

Christopher  
Moore



BRUDNA  
ROBOTA

NOWA POWIEŚĆ  
AUTORA BESTSELLEROWEGO  
*NAJGŁĘPSZEGO ANIOŁA*

**ORAZ**

**Brudna Robota**

Ksiazke dedykuje Patricii Moss, ktora rownie hojnie dzielila sie swoja smiercia, jak swoim zyciem.

## **CZESC PIERWSZA**

### **SMUTNY BIZNES**

Zycia, co go szukasz, nigdy nie znajdziesz. Kiedy bogowie tworzyli czlowieka, Zycie zachowali we wlasnym reku. Napelniaj zoladek. Dniem i noca obys wciaz byl wesol. Patrz, jak dziecko twej reki sie trzyma. Kobieca sprawe czyn z chetna niewiasta. Tylko takie sa sprawy czlowieka.

Epos o Gilgameszu

## **1. NIE MOGLEM STANAC I CZEKAC NA SMIERC – ONA SAMA MNIE PODWIOZLA**

Charlie Asher chodzil po ziemi tak, jak mrowka porusza sie po powierzchni wody – jakby najmniejszy krok mogl sprawic, ze znajdzie sie pod powierzchnia i wciagna go glebiny. Obdarzony wyobraznia samca beta, przez znaczna czesc zycia spogladal w przyszosc w poszukiwaniu wszelkich sposobow, w jakie swiat spiskowal, by go zabic. Jego, jego zone Rachel, a teraz takze nowo narodzona Sophie. Ale pomimo calej jego ostroznosci, calej paranoi, nieustannej zgrzyzoty od chwili, gdy Rachel wysikala niebieski pasek na tescie ciazowym, az do momentu, gdy ja wwozono na wozku do szpitala St. Francis Memorial, smierc i tak sie podkradala.

–Nie oddycha – powiedzial Charlie.

–Oddycha jak trzeba – odparla Rachel, klepiac noworodka po plecach. – Chcesz ja potrzymac?

Tego dnia Charlie trzymal juz malenka Sophie przez kilka sekund, po czym szybko oddal ja poloznej, nalegajac, by ktos bardziej wykwalifikowany policzyl malej palce u rak nog. Sam robil to dwa razy i za kazdym wychodzilo mu dwadziescia jeden.

–Zachowuja sie, jakby wszystko bylo w porzadku. Ze niby dzieciak ma dziesiec palcow u rak, dziesiec u nog wszystko bedzie dobrze. A jesli sa jakies dodatkowe? No? Nadprogramowe palce? A jesli ma ogon? (Charlie byl pewien, ze na ultrasonogramie z szostego miesiaca ciazy dostrzegl ogon. Pepowina, akurat! Zachowal kopie wydruku).

–Nie ma ogona, panie Asher – zapewnila polozna. A palcow jest dziesiec plus dziesiec, sprawdzilismy. Moze lepiej pojdzie pan do domu i odpocznie.

–I tak ja kocham, nawet z tym dodatkowym palcem.

**–Jest najzupełniej normalna.**

**–U reki albo u nogi.**

**–Naprawde wiemy, co robimy, prosze pana. To sliczna zdrowa dziewczynka.**

**–Albo z ogonem.**

**Polozna westchnela. Byla niska, tega i miala na prawej lydce wytatuowanego smoka, widocznego przez biale, pielegniarskie ponczochoy. Przez cztery godziny dziennie masowala wczesniaki rekami wsunietymi w otwory inkubatora Lucite, jakby trzymala w nich radioaktywna iskry. Mowila do nich, chwaila, opowiadala, jakie sa niezwykle, i czula bicie serduszek w klatkach piersiowych nie wiekszych niz zwinieta para sportowych skarpet. Plakala nad kazdym, wierzac, ze lzy i dotyk przeleja troche jej wlasnego zycia w te cialka. Mogla sobie na to pozwolic. Byla polozna od dwudziestu lat i nigdy nawet nie podniosla glosu na swiezo upieczzonego ojca.**

**–Nie ma zadnego cholernego ogona, durniu! Patrz! – Zsunela kocyk i wycelowala w Charliego pupę Sophie, jakby mala mogla puscic serie smiercionosnych kupek, jakiej prostoduszny samiec beta nigdy nie widzial.**

**Charlie odskoczyl – byl szczuplym i zwinnym trzydziestolatkiem – a potem, zrozumiawszy, ze dziecko nie jest nabite, wygladzil klapy tweedowej marynarki w gescie swietego oburzenia.**

**–Mogliscie usunac jej ogon na porodowce, a my o niczym nie wiemy. – Faktycznie mogli nie wiedziec. Zostal poproszony o wyjscie z porodowki, najpierw przez ginekologa, a w koncu przez Rachel. ("On albo ja" – powiedziala. "Jedno z nas musi wyjsc").**

**W sali Charlie powiedzial do Rachel: – Jesli odcieli jej ogon, powinniśmy go zabrac. Bedzie chciala go zachowac, kiedy dorosnie.**

**–Sophie, twój tatus wcale nie jest wariatem. Po prostu nie spal od paru dni.**

**–Patrzy na mnie – stwierdzil Charlie. – Patrzy na mnie tak, jakbym przepental pieniadze na jej studia na wycigach i teraz bedzie musiala sie puszczac, zeby dostac MBA.**

**Rachel wziala go za reke.**

**–Skarbie, watpie, zeby juz umiala skupic wzrok, a poza tym jest troche za mloda, zeby sie martwic, czy bedzie sie puszczac dla MFA.**

**–MBA – poprawil. – W dzisiejszych czasach bardzo wczesnie zaczynaja. Zanim sie polapie, ktoredy na wycigi, moze byc juz dostatecznie duza. Boze, twoi rodzice mnie znenawidza.**

**–To nie nowina.**

**–Ale mieliby nowe powody. Zrobilem szikse z ich wnuczki.**

**–To nie szikse. Juz to omawialismy. Jako moja corka jest Zydowka, tak jak ja.**

**Charlie przyklakl przy lozku na jedno kolano i ujal w palce malenka dlon Sophie.**

**–Tata przeprasza, ze zrobil z ciebie szikse. – Opuscil glowe, zanurzajac twarz w miejscu, gdzie dziecko dotykalo boku Rachel. Rachel przejechala mu paznokciem po wlosach, rysujac ostry zakret na jego waskim czole.**

**–Musisz isc do domu i sie przespac.**

**Charlie mruknal cos w przescieradlo. Kiedy podniosl wzrok, mial w oczach lzy.**

**–Wydaje sie ciepla.**

**–Bo jest ciepla. Powinna taka byc. Jest ssakiem. To ma zwiazek z karmieniem piersia. Dlaczego placzesz?**

**–Jestescie takie piekne. – Zaczal ukladac ciemne wlosy Rachel na poduszce. Nasunal dlugi kosmyk na glowe Sophie, stylizujac go na niemowleca peruke. – Nic by sie nie stalo, gdyby nie wyrosly jej wlosy. Pamietasz, ta gniewna irlandzka piosenkarka. W ogole nie miala wlosow, a wygladala atrakcyjnie. Gdybysmy mieli jej ogon, moglibysmy przeszczepic cebulki.**

**–Charlie! Idz do domu!**

**–Twoi rodzice beda mnie obwiniac. Ich wnuczka, lysa szikse, ktora sie puszcza dla dyplomu z biznesu... To wszystko bedzie moja wina.**

**Rachel wziela z koldry brzczyk i uniosla go, jakby przyczepiono don bombe.**

**–Charlie, jesli nie pojdiesz do domu i sie nie przespisz, przysiegam, ze wezwe pielegniarke i kaze cie wyrzucic.**

**Przyjela surowy ton, ale sie usmiechala. Zawsze lubil patrzec na jej usmiech. Wygladal jak aprobata i przyzwolenie. Przyzwolenie, by byl Charliem Asherem.**

**–Dobra, pojde. – Wyciagnal reke, by dotknac jej czola. – Masz goraczke? Wygladasz na zmeczona.**

**–Wlasnie urodzilam dziecko, osle!**

**–Po prostu sie o ciebie troszcze. – Nie byl oslem. Obwiniala go o ogon Sophie i dlatego nazwala go oslem, a nie durniem, jak wszyscy inni.**

**–Skarbie, idz. Juz. Zebym mogla odpoczac.**

**Uklepal jej poduszki, sprawdził, czy w dzbanku jest woda, poprawił koldre, pocałował ją w czoło, pocałował dziecko w główkę, uklepal dziecko, a potem zaczął inaczej układać kwiaty, które przesłała jego matka. Umieścił dużą lilię z przodu...**

**–Charlie!**

**–Już ide. Jezu. – Ostatni raz omiotł się wzrokiem, po czym cofnął się w stronę drzwi.**

**–Przyniesć ci coś z domu?**

**–Dam sobie radę. Myślę, że w zestawie, który mi spakowałeś, niczego nie brakuje. Właściwie niewykluczone, że gasznica do niczego mi się nie przyda.**

**–Lepiej ją mieć i nie potrzebować, niż potrzebować i...**

**–Idź! Odpocznij, lekarz zbada Sophie, a rano zabierzemy ją do domu.**

**–To chyba bardzo szybko.**

**–Standardowa procedura.**

**–Mam przynieść więcej gazu do kuchenki turystycznej?**

**–Postaramy się, żeby wystarczyło. – Ale...**

**Rachel uniosła brzozyk, jakby chciała powiedzieć, że niespełnienie jej zadan będzie miało oplakane skutki.**

**–Kocham cie – powiedziała.**

**–Ja też – odparł Charlie. – Kocham was obie.**

**–Pa, tatusiu. – Rachel pomachała mu małą rączką Sophie.**

**Charliego scisnęło w gardle. Nikt wcześniej nie nazwał go tatusiem, nawet kukielka. (Raz zapytał Rachel podczas seksu: "Kto jest twoim tatusiem?". Na co odparła: "Saul Goldstein", czyniąc go na tydzień impotentem i przywołując najrozniejsze sprawy, o których wolął nie myśleć).**

**Wycofał się z pomieszczenia, zamknął drzwi, a następnie przeszedł przez korytarz i minął recepcję, w której położona z wytatuowanym wężem uśmiechnęła się, patrząc na niego z ukosa. Charlie jeździł szesnaścioletnim minivanem, którego odziedziczył po ojcu razem ze sklepem z używanymi rzeczami i budynkiem, w którym ów sklep się znajdował. W samochodzie zawsze unosił się lekki zapach kurzu, kulek na mole i potu, pomimo istniejącego lasu zapachowych choinek, które Charlie wieszal na każdym haczyku, klamce i innych wystających elementach. Otworzył drzwi auta i oblala go niemiła won towarów ze sklepu. Zanim włożył kluczyk do**

stacyjki, zauwazył na siedzeniu pasazera plyte CD z piosenkami Sarah McLachlan. Rachel bedzie za nia tesknic. To jej ulubiona plyta i przeciez zwykle nie mogła sie bez niej obyc. Charlie zlupal plyte, zamknal samochod i ruszył z powrotem do sali zony.

Ku jego uldze, polozna zniknela z recepcji i nie musiał znosic jej lodowatego, oskarzycielskiego wzroku – potrafil go sobie wyobrazic. W myslach przygotował sobie wczesniej krotka mowe o tym, ze dobry maz i ojciec powinien przewidywac potrzeby i zachcianki zony, co obejmowalo przynoszenie jej muzyki. Mogł jeszcze wykorzystac te mowe przy wyjsci, gdyby polozna jednak poslala mu lodowate spojrzenie. Otworzył drzwi do sali Rachel – powoli, by jej nie przestraszyc – spodziewajac sie ujrzec jej usmiech, cieply, lecz pelen dezaprobaty. Zobaczył jednak, ze Rachel spi, a obok jej lozka stoi bardzo wysoki czarnoskory mezczyzna, odziany w mietowa zielen.

–Co pan tu robi?

Mezczyzna w zieleni odwrocil sie zaskoczony.

–Widzisz mnie? – "Wskazal swoj krawat czekoladowej barwy i Charliemu na ulamek sekundy przypomnialy sie cienkie, mietowe czekoladki, jakie w niektórych hotelach zostawiaja gosciowi na poduszce.

–Jasne, ze widze. Co pan tu robi?

Charlie podszedl do lozka Rachel, wciskajac sie miedzy nieznajomego a swoja rodzine. Wysoki czarnoskory mezczyzna najwyrazniej fascynowal mala Sophie.

–Niedobrze – powiedzial Groszkowy.

–Pomylil pan sale – oznajmil Charlie. – Prosze wyjsc. – Poklepal dlon Rachel.

–Bardzo, bardzo niedobrze.

–Prosze pana, moja zona spi, a pan pomylil sale. Teraz prosze wyjsc, zanim...

–Ona nie spi – odparl Groszkowy. Mowil cicho, z lekkim poludniowym akcentem. – Przykro mi.

Charlie odwrocil sie, by popatrzec na Rachel, spodziewajac sie, ze ujrzy jej usmiech i uslyszy, ze ma sie uspokoic. Miala jednak zamkniete oczy, a jej glowa zsunela sie z poduszki.

–Kochanie? – Wypuscil plyte z reki i delikatnie potrzasnal zona. – Kochanie?

Mala Sophie zaczela plakac. Charlie dotknal czola Rachel, po czym zlupal ja za ramiona i znowu potrzasnal.

–Kochanie, obudz sie. Rachel. – Przylozyl ucho do jej serca i nic nie uslyszal. – Siostro!

Potyknął się o łóżko, rzucił się po brzozyk, który wysunął się z dłoni Rachel i leżał na poscieli.

–Siostrze! – Wcisnął przełącznik i odwrócił się do mężczyzny w mietowej zieleni. – Co się stało...?

Groszkowy zniknął.

Charlie wybiegł na korytarz, ale nikogo na nim nie było.

–Siostrze!

Po dwudziestu sekundach zjawiała się położna z wytatuowanym wężem, a po kolejnych trzydziestu zespół reanimacyjny ze sprzętem. Nic nie mogli zrobić.

## 2. CIENKIE OSTRZE

Wraz z nowym zalem pojawia się cienkie ostrze, które odcina nerwy, odłącza rzeczywistość i niesie ze sobą miłosierdzie. Dopiero z czasem, gdy się stepi, zaczyna się prawdziwy ból.

A zatem Charlie ledwo zdawał sobie sprawę z własnych wrzasków w szpitalnej sali Rachel, będąc pod wpływem środków uspokajających i warstewki elektrycznej hysterii, otaczającej wszystko, co robił tego pierwszego dnia. Później przypominało to wspomnienia lunatyka, sceny filmowane z oczodołu zombie, gdy jako żywy trup brnął przez wyjaśnienia, oskarżenia, przygotowania i ceremonie.

–Nazywamy to zawałem mózgu – wyjaśnił lekarz. – Podczas porodu, w nogach lub miednicy tworzy się skrzep, który następnie trafia do mózgu i odcina dopływ krwi. To rzadkie, ale się zdarza. Nic nie mogliśmy zrobić. Nawet gdyby zespół reanimacyjny ją uratował, miałaby poważnie uszkodzony mózg. Nie cierpiała. Zapewne czuła się tylko senna i omdlała.

Charlie szeptał, by powstrzymać się od krzyku.

–Facet w zieleni! Coś jej zrobił. Podał jej jakiś zastrzyk. Był tam i wiedział, że ona umiera. Widziałem go, kiedy przyszedłem do niej z płytą.

Pokazali mu nagranie ze szpitalnych kamer – położna, lekarz, władze szpitala, prawnicy – wszyscy oglądali czarno-białe obrazy, na których było widać jego wyjście z sali, potem pusty korytarz, a potem jego powrót. Nie było tam wysokiego czarnego mężczyzny, odzianego w mietową zielen. Nie znaleźli nawet tego CD.

"Brak snu" – mówili. Halucynacje wywołane przemęczeniem. Szok. Podali mu proszki nasenne, proszki na niepokój, proszki na depresję, po czym odesłali do domu z nowo narodzoną córką.



Starsza siostra Charliego, Jane, trzymała małą Sophie, gdy rozmawiali nad ciałem Rachel i chowali ją następnego dnia. Nie pamiętał wybierania trumny i ustalania szczegółów. Przypominało to raczej sen somnambulika: jej krewni w czerni, którzy chodzili w te i z powrotem, niczym krazace wokół widma, i wygłaszali nie pasujące do sytuacji, banalne kondolencje: "Tak nam przykro. Była taka młoda. Jeśli możemy coś zrobić...".

Potem rodzice Rachel przytulili go, a ich głowy zetknęły się na podobieństwo wierzchołka trójnogu. Na posadzce w przedsionku domu pogrzebowego zasnęły ich łzy. Za każdym razem, gdy starszy mężczyzna zanosił się szlochem, serce Charliego pekało na nowo. Saul ujął jego twarz w dłoń i powiedział:

–Nie umiesz sobie tego wyobrazić, bo ja nie umiem.

Ale Charlie umiał to sobie wyobrazić, był bowiem samcem beta i wyobraźnia stanowiła jego przekleństwo. Umiał to sobie wyobrazić, bo stracił Rachel, a teraz miał córkę, tę małą, obcą istotę śpiącą w ramionach jego siostry. Umiał sobie wyobrazić, jak jego żonę zabiera mężczyzna w mietowej zieleni. Charlie spojrział na łzy na posadzce i stwierdził:

–To dlatego w większości domów pogrzebowych mają dywany. Ktoś mógłby się pośliznąć.

–Biedaczek – powiedziała matka Rachel. – Spędzimy z tobą szywe, ma się rozumieć.

Charlie przeszedł przez pomieszczenie, kierując się do swojej siostry Jane, która była ubrana w meski, dwurzędowy grafitowy garnitur w prążki. Garnitur, w zestawieniu z fryzurą w stylu gwiazdy pop z lat osiemdziesiątych i niemowleciem w różowym kocyku, które trzymała, sprawiał, że wydawała się nie tyle meska, ile zagubiona. Charlie pomyślał, że ubranie leży na niej lepiej niż na nim, ale i tak powinna była zapytać go o pozwolenie.

–Nie mogę tego zrobić – powiedział.

Opadł w przód, aż cypeł przerzedzonych, ciemnych włosów dotknął jej nasmarowanej zębem, platynowej grzywy. Taka pozycja, z pochylonym czołem, wydawała się najlepsza do wspólnego przeżywania żalu. Zupełnie jakby po pijanemu stał nad pisuarem i opadał w przód, aż jego głowa uderzy w ścianę. Rozpacz.

–Nieźle ci idzie – powiedziała Jane. – Nikt nie jest dobry w takich sprawach.

–Co to jest szywa, do cholery?

–Zdaje się, że taki hinduski bog z mnóstwem rak.

–Niemożliwe. Goldsteinowie chcą to ze mną spędzić.

–Rachel nic ci nie mówiła o żydowskich zwyczajach?

**–Nie sluchalem. Myslalem, ze mamy czas.**

**Jane podparla malenka Sophie jednym ramieniem, a wolna reka dotknela karku Charliego.**

**–Wszystko bedzie dobrze, maly.**

**–Siedem – powiedziala pani Goldstein. – Szywa to znaczy "siedem". Kiedys siedzialo sie przez siedem dni, oplakujac zmarlego i modlac sie. To ortodoksyjny wariant, dzis wiekszosc ludzi siedzi przez trzy dni.**

**Odbywali szywe w mieszkaniu Charliego i Rachel, z ktorego rozciagal sie widok na tory tramwaju linowego na rogu Mason Street i Vallejo Street. Byl to czteropietrowy budynek w stylu edwardianskim (nie byl to moze architektoniczny odpowiednik sukni wiktorskiej kurtyzany, mial jednak tyle detali w burdelowym stylu, ze nawet marynarza by odrzucilo), wzniesiony po trzesieniu ziemi i pozarze w 1906 roku, ktore zrownaly z ziemia caly obszar obecnych North Beach, Russian Hill i Chinatown. Charlie i Jane odziedziczyli budynek wraz ze sklepem na parterze, gdy cztery lata wczesniej zmarl ich ojciec. Charlie przejal firme, duzy, podwojny apartament, w ktorym sie wychowali, i koszty utrzymania budynku, a Jane dostala polowe przychodow z najmu i jedno z mieszkam na ostatnim pietrze z widokiem na Bay Bridge.**

**Zgodnie ze wskazowkami pani Goldstein, wszystkie lustra w domu przykryto czarna tkanina, a na stoliku do kawy posrodku salonu stanela duza swieca. Powinni siedziec na niskich lawkach lub poduszkach, a Charlie nie mial w domu ani jednego, ani drugiego. Pierwszy raz od smierci Rachel zszedl wiec do sklepu w poszukiwaniu czegos, co by sie nadalo. Tylne schody wiodly ze spizarni za kuchnia do magazynu, gdzie Charlie mial biuro miedzy pudlami z towarami, ktore nalezalo posortowac, ometkowac i umiescic na sklepowych polkach.**

**W sklepie panowala ciemnosc, nie liczac saczacego sie przez okno blasku ulicznych latarn na Mason Street. Charlie stanal u podnoza schodow z reka na przelaczniku swiatla i patrzyl. Wsrod regalow, bibelotow i ksiazek, stosow starych odbiornikow radiowych, wieszakow z ubraniami, wsrod tych ciemnych ksztaltow w mroku widzial przedmioty rozsiewajace czerwone swiatlo, niemal pulsujace, jak bijace serca. Sweter na wieszaku, porcelanowa zaba w gablotce, przy oknie stara taca z logo firmy Coca-Cola, para butow – wszystko to swiecilo na czerwono.**

**Kiedy Charlie pstryknal przelacznikiem, swietlowki na suficie zamigotaly i ozyly, a sklep wypelnil sie swiatlem. Czerwony blask zniknal.**

**–Okeeeej – powiedzial, uspokoiony.**

**Zgasil swiatlo. Przedmioty zaswiecily na czerwono. Na ladzie, blisko miejsca, w ktorym stal Charlie, znajdowal sie mosiezny wizytownik w ksztalcie tokujacego zurawia, jasniejacy teraz czerwonym blaskiem. Charlie przygladal mu sie przez chwile, by sprawdzic, czy na zewnatrz nie ma zrodla czerwonego swiatla, ktore wpada do pokoju i bez powodu budzi w nim niepokoj. Wszedl do pograzonego w mroku sklepu, popatrzyll z bliska na mosieznego zurawia. Nie. Mosiadz bez dwoch zdan pulsowal czerwienia. Charlie odwrocil sie i pognal po schodach z**

**powrotem na gore najszybciej, jak mogl. Omal nie wpadl na Jane, ktora stala w kuchni i delikatnie kolysala Sophie w ramionach, mruzcac cos do niej pod nosem.**

**–I co? – spytala Jane. – Wiem, ze gdzieś w sklepie masz kilka duzych poduszek.**

**–Nie moge – powiedzial Charlie. – Biore leki. – Oparl sie plecami o lodowke, jakby chcial ja wziac na zakladnika.**

**–Ja po nie pojde. Wez dziecko.**

**–Nie moge, biore leki – powtorzyl. – Mam halucynacje. Jane umiescila niemowle w zgieciu, prawego lokcia, a wolna reka objela mlodszeo brata.**

**–Charlie, bierzesz proszki przeciwdpresyjne i przedwiekowe, a nie kwas. Rozejrzyj sie po tym mieszkaniu, nie ma tu ani jednej osoby, ktora by czegos nie brala.**

**Charlie omiotl spojrzeniem kuchni. Kobiety w czerni, w wiekszosci w srednim wieku albo starsze, krecily glowami. Mezczyzni zachowywali stoicki spokoj, stojac na skraju salonu. Wszyscy trzymali szklaneczki z alkoholem i patrzyli w przestrzen.**

**–Widzisz, wszyscy sa pojebani.**

**–A mama? – Glowa wskazal matke, ktora wyrozniala sie sposrod innych siwych kobiet w czerni, bo nosila srebrna indianska bizuterie i byla tak opalona, ze wygladala, jakby rozpuszczala sie do szklanki, gdy unosila ja do ust.**

**–Zwlaszcza mama – odparla Jane. – Poszukam czegos, na czym mozna przesiedziec szywe. Nie wiem, czemu nie moziecie po prostu zostac na sofach. Wez swoja corke.**

**–Nie moge. Nie mozna mi jej powierzac.**

**–Bierz ja, lajzo! – warknela mu prosto w ucho. Bylo to takie warkniecie szeptem. Dawno temu ustalili, kto z nich dwojga jest samcem alfa, i nie byl to Charlie. Podala mu dziecko i ruszyla do schodow.**

**–Jane! – zawolal za nia. – Rozejrzyj sie, zanim zapalisz swiatlo. Sprawdz, czy zobaczysz cos dziwnego, dobra?**

**–Dobra. Cos dziwnego.**

**Zostawila go w kuchni. Uwaznie ogladal coreczke, dochodzac do wniosku, ze glowe ma troche prostokatna, ale poza tym jest podobna do Rachel.**

**–Twoja mamusia kochala ciocie Jane – powiedzial. – Zmawialy sie przeciwko mnie w "Ryzyku" ... i w "Monopoly" ... i w klotniach... i w kuchni. – Osunal sie po drzwiach lodowki, siadajac z rozlozonymi nogami na podlodze, po czym zatopil twarz w kocyku Sophie.**

**W ciemności Jane uderzyła gołeniami o drewnianą skrzynkę, pełną starych telefonów.**

**–To po prostu głupie – powiedziała do siebie i zapaliła światło. Nie zauważyła nic dziwnego. A potem, jako że o Charliem można było wiele powiedzieć, ale nie to, że jest stuknięty, znowu zgasła światło, żeby się upewnić, że nic jej nie umknie. – Tak. Dziwne.**

**W sklepie nie było nic dziwnego z wyjątkiem faktu, że stała w ciemności, masując sobie gołen. Ale wtedy, tuż przed ponownym zapaleniem światła, zobaczyła, że ktoś zagląda przez okno wystawowe, osłaniając oczy dłońmi, bo w szybie odbijały się światła z ulicy. Jakis bezdomny albo pijak, pomyślała. Ruszyła przez pograżony w mroku sklep, lawirując między stertami komiksów, do miejsca za wieszakiem z kurtkami, skąd miała dobry widok na wystawę, pełną tanich aparatów fotograficznych, wazonów, sprzączek do pasków i najrozniejszych przedmiotów, które Charlie uznał za godne zainteresowania, ale na pewno niewarte wybitcia szyby, by je ukraszać.**

**Mezycyzna wydawał się wysoki i z pewnością nie był bezdomny. Miał ładne ubranie, całe w jednym, jasnym kolorze – zdawało jej się, że żółtym, ale w świetle latarni nie widziała wyraźnie. Może jasnozielonym.**

**–Zamknięte – oznajmiła Jane na tyle głośno, by usłyszał ją przez szybę.**

**Tamten zaczął rozglądać się po sklepie, ale nie mógł jej zobaczyć. Odszedł od wystawy i okazało się, że faktycznie jest wysoki. Bardzo wysoki. Światło latarni padło na jego policzek, gdy się odwrócił. Okazał się też bardzo chudy i bardzo czarny.**

**–Szukam właściciela – powiedział. – Muszę mu coś pokazać.**

**–Mielismy śmierć w rodzinie – odparła Jane. – Przez tydzień będzie zamknięte. Może pan wrócić za tydzień?**

**Wysoki mezcyzna skinał głową, rozglądając się przy tym po ulicy. Kolysał się na jednej nodze, jakby lada chwila miał pognąć przed siebie, ale się powstrzymywał, niczym sprinter, napinający mięśnie w blokach startowych. Jane ani drgnęła. Na ulicy zawsze byli jacyś ludzie i pora nie była jeszcze taka późna, ale ten facet wydawał się wyjątkowo spięty.**

**–Jeśli ma pan coś do wyceny...**

**–Nie – uciął. – Nie. Proszę mu tylko powiedzieć, że ona... nie, proszę mu powiedzieć, że poczta przyjdzie paczka. Nie mam pewności kiedy.**

**Jane uśmiechnęła się pod nosem. Ten facet coś miał – broszkę, monetę, książkę – coś, co uważał za wartościowe. Może znalazł to w babcinej szafce. Widziała takie rzeczy dziesiątki razy. Zachowywali się tak, jakby odkryli Eldorado. Przynosili to w kieszeni płaszcza albo owinięte setkami warstw bibuły i taśmy klejącej. (Im więcej taśmy, tym bardziej bezwartościowy okazywał się dany przedmiot – istniała tu jakaś zależność). Dziewiec razy na**

dziesięć przynosili szajs. Nieraz widziała, jak jej ojciec lechce z finezja ego właścicieli i łagodzi ich rozczarowanie, przekonując, że wartość sentymentalna czyni dane przedmioty bezcennymi, i że on, skromny właściciel sklepu, nie osmieleł się oszacować ich ceny. Z kolei Charlie mówił im po prostu, że nie zna się na broszkach, monetach, czy co tam przyniesli, obarczając kogoś innego zadaniem przekazania im złych wieści.

–Dobrze, powiem mu – rzuciła Jane ze swojej kryjówki za kurtkami.

Wysoki mężczyzna odszedł, stawiając długie kroki – wyglądał jak modliszka. Po chwili zniknął z jej pola widzenia. Jane wzruszyła ramionami, zawróciła i zapaliła światło, po czym znowu zaczęła szukać poduszek. Sklep był duży – zajmował niemal cały parter budynku – i nie najlepiej rozplanowany, bo każdy system, który Charlie wprowadzał, szedł w diabły po kilku tygodniach. Skutkiem była nie mieszanka systemów organizacyjnych, tylko cała masa bezładnych stosów różnych rzeczy. Lily, dziewczyna o drapieżnym wyglądzie i wisniowych włosach, która pracowała u Charliego przez trzy popołudnia w tygodniu, mawiała, że skoro cokolwiek udaje im się znaleźć, to znaczy, że teoria chaosu sprawdza się w praktyce, po czym, mamrocząc pod nosem, wychodziła, by palić papierosy i spoglądać w otchłan. (Choć Charlie zauważył, że otchłan wyjątkowo przypomina smietnik).

Jane potrzebowała dziesięciu minut, by w tym labiryncie znaleźć trzy poduszki, które wydawały się wystarczająco szerokie i grube, by przesiedzieć na nich szywe, a kiedy wróciła do mieszkania Charliego, zastała swojego brata spiącego na podłodze w kuchni, zwiniełego w pozycji embrionalnej wokół małej Sophie. Pozostali zalobnicy zupełnie o nim zapomnieli.

–Ej, matolku. – Szturchnęła go stopa w ramię, a on przekreślił się na plecy, wciąż trzymając dziecko w ramionach. – Moga być?

–Widziałas coś świecącego? Jane rzuciła poduszki na podłogę. – Co?

–Świecące na czerwono. Widziałas, żeby coś w sklepie świeciło, tak pulsowało na czerwono?

–Nie. A ty?

–Właściwie tak.

–Daj mi je. – Co?

–Leki. Dawaj. Najwyraźniej są dużo lepsze, niż mi się wydawało.

–Ale mówiłaś, że to tylko proszki przedwiekowe.

–Dawaj je. Zajmę się twoim dzieckiem, kiedy będziesz na tej szywie.

–Nie możesz opiekować się moją córką, będąc na prochach.

**–Dobra. Podaj mi te kruszyny i idź siedzieć. Charlie przekazał niemowlę Jane.**

**–Musisz też pilnować mamy, żeby nie przeszkadzała.**

**–O, nie. Nie bez prochów.**

**–Sa w szafce z lekami w dużej łazience. Dolna polka. Siedział teraz na podłodze, pocierając czoło, jakby chciał rozciągnąć skórę na swoim cierpieniu. Dźgnęła go kolaniem w ramię.**

**–Ej, mały, bardzo mi przykro. Wiesz to, prawda? Rozumie się samo przez się, nie?**

**–Tak. – Słaby uśmiech.**

**Uniosła niemowlę, po czym spojrzała z uwielbieniem w dół, w stylu Matki Boskiej.**

**–Co myślisz? Powinam sobie takie sprawić, co?**

**–Możesz pożyczyć moje, kiedy tylko zechcesz.**

**–Nie, powinam mieć własne. I tak mi źle z powodu pożyczania twojej żony.**

**–Jane!**

**–Zartowałam! Rany. Czasami taki z ciebie kolek. Idź na szywe. Idź. Idź. Idź.**

**Charlie pozbił poduszki i poszedł do salonu, by wraz z tesciami przeżywać żalobę. Denerwował się, bo z modlitw znalazł tylko "Aniele Boży, strozu moj", i nie był pewien, czy poradzi sobie przez trzy pełne dni. Jane zapomniała mu powiedzieć o wysokim facecie spod sklepu.**

### **3. POD AUTOBUSEM LINII CZTERDZIESCI JEDEN**

**Minęły dwa tygodnie, zanim Charlie wyszedł z mieszkania do bankomatu przy Columbus Avenue, gdzie pierwszy raz kogoś zabił. Jako bron wybrał sobie autobus linii czterdzieści jeden, jadący ze stacji Trans Bay przez most Bay do Presidio przy moście Golden Gate. Jeśli w San Francisco ma cię przejechać autobus, najlepiej postawić na linii czterdzieści jeden, bo można wtedy liczyć na ładny widok na most.**

**Tak naprawdę tego ranka Charlie nie zamierzał nikogo zabijać. Chciał tylko wziąć parę dwudziestodolarówek do sklepowej kasy, sprawdzić stan konta i ewentualnie kupić żółtą musztardę w delikatesach. (Nie należał do facetów, którzy lubią brązową. Brązowa musztarda to kulinarny odpowiednik skoków ze spadochronem – dobre dla kierowców wycigówek i seryjnych zabójców – a zdaniem Charliego delikatna, żółta musztarda francuska dodawała życiu wystarczająco dużo smaku). Po pogrzebie przyjaciele i krewni zostawili mu w lodowce całe haldy zimnych przekąsek i przez dwa tygodnie nie żywił się niczym innym, ale teraz**

**zostały mu tylko szynka, ciemny żytni chleb i mleko Enfamil dla niemowląt – wszystko niejadalne bez musztardy. Kupił plastikową butelkę żółtej musztardy i, mając ją w kieszeni, od razu poczuł się bezpieczniej, ale kiedy autobus przejechał tego faceta, kwestia musztardy w ogóle wyleciała Charliemu z głowy.**

**Był ciepły październikowy dzień, światło nad miastem nabrało jesiennej miękkości, letnia mgła przestała co rano nieustrudzenie wypelzać znad zatoki i wiał leciutki wietrzyk, przez co nieliczne zagłowki na jej wodach wyglądały tak, jakby pozowały do obrazu malarza impresjonisty. Jeśli mężczyzna będący ofiarą Charliego zdążył przez ułamek sekundy zdac sobie sprawę, że zostanie przejechany, to może nie był z tego powodu szczęśliwy, ale naprawdę trudno by mu było wybrać ładniejszy dzień na to wydarzenie.**

**Facet nazywał się William Creek. Miał trzydzieści dwa lata i pracował jako analityk rynkowy w dzielnicy finansowej. Właśnie tam zmierzał tego ranka, gdy postanowił zatrzymać się przy bankomacie. Miał na sobie cienki, wełniany garnitur i buty do biegania, a buty do pracy niosł w skórzanej teczce pod pachą. Z bocznej kieszeni teczki wystawała rączka składanego parasola, i to ona przyciągnęła uwagę Charliego, bo, mimo że wydawała się zrobiona ze sztucznego drewna orzechowego, świeciła na czerwono, jakby rozgrzano ją w kowalskim piecu.**

**Charlie stał w kolejce do bankomatu i próbował tego nie zauważyć, udawać brak zainteresowania, ale nie mógł się powstrzymać i po prostu się gapił. To świeciło, do cholery! Czy nikt tego nie widział?**

**William Creek obejrzał się przez ramię, wsuwając kartę do maszyny, i zobaczył, że Charlie na niego patrzy, po czym usiłował zrobić z marynarki coś na podobieństwo płaszczki, by się zasłonić, gdy wstukował kod PIN. Zabrał swoją kartę i forse, która wypluła maszyna, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku rogu ulicy.**

**Charlie nie mógł już tego znieść. Rączka parasola zaczęła pulsować czerwienią niczym bijące serce. Gdy Creek był przy krawężniku, Charlie zawołał:**

**–Przepraszam. Przepraszam pana bardzo! Gdy tamten się odwrócił, Charlie dodał:**

**–Panski parasol...**

**W tym momencie autobus linii czterdzieści jeden przejechał przez skrzyżowanie Columbus z Vallejo z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując się w stronę chodnika, by zatrzymać się na następnym przystanku. Creek spojrzął w dół na swoją teczkę, która wskazywał Charlie, i pięta jego sportowego buta natrafiła na lekko wystający nad poziom chodnika krawężnik. Tracąc równowagę, zaczął robić to, co zrobiłby każdy z nas, gdyby szedł przez miasto i nagle się potknął na dziurawym chodniku – kilka szybkich kroków, by odzyskać równowagę. Tyle że William Creek zrobił tylko jeden krok. W tył. Za krawężnik.**

**W takiej chwili trudno już uratować sytuację, prawda? Walnął go autobus linii czterdzieści jeden. Mężczyzna przeleciał dobre piętnaście metrów, zanim wylądował na tylnej szybie saaba**

**niczym wielki impregnowany worek miesa, po czym odbil sie z powrotem na chodnik, gdzie zaczely z niego wyplywac rozne ciecze. Jego rzeczy – teczka, parasol, zlota spinka do krawata, zegarek Tag Heuer -pomknely po asfalcie, odbijajac sie od opon, butow, studzienek kanalizacyjnych. Niektore zatrzymaly sie dopiero przecznice dalej. Charlie stal przy krawezniku i probowal oddychac. Slyszal wylacznie jeden dzwiek – wysoki, jakby ktos uruchomil gwizdek zabawkowej lokomotywy. Potem ktos na niego wpadl i Charlie, ocknawszy sie, zdal sobie sprawe, ze ow odglos to byl jego wlasny jek. Ten facet, facet z parasolem, zostal wlasnie zmieciony z tego swiata. Ludzie podbiegali, tloczyli sie wokol, kilka osob gadalo przez komorki. Kierowca autobusu niemal zmiadzyl Charliego, gnajac chodnikiem w strone trupa. Charlie chwiejnym krokiem ruszyl za nim.**

**–Chcialem go zapytac...**

**Nikt na niego nie patrzyl. Musial wykorzystac cala swoja silna wole, nie mowiac o namowach siostry, by dzis w ogole wyjsc z mieszkania... a teraz to?**

**–Chcialem mu tylko powiedziec, ze jego parasol sie pali – powiedzial, jakby sie tłumaczyl przed oskarzycielami.**

**Tak naprawde nikt go nie oskarzal. Ludzie przebiegali obok niego, niektorzy zmierzali w strone ciala, inni przeciwnie. Objimali sie o Charliego i ogladali z takim zdumieniem, jakby wlasnie zderzyli sie z poteznym pradem powietrznym albo duchem, a nie z czlowiekiem.**

**–Parasol – powiedzial Charlie, szukajac dowodu. Po chwili zauwazyl go przy nastepnym rogu. Lezal w rynsztoku, wciaz swiecac na czerwono, pulsujac niczym zepsuty neon. – Tam! Patrzcie!**

**Ludzie staneli wokol zwlok szerokim polkolem i zakrywali usta dlonmi. Nikt nie zwracal uwagi na przerzonego, szczuplego mezczyzne, ktory wygadywal bzdury.**

**Charlie ruszyl przez tlum w strone parasola, zbyt wstrzasniety, by odczuwac lek. Gdy zostaly mu do pokonania juz tylko trzy metry, podniosl wzrok na ulice, chcac sie upewnic, ze nie nadjezdz nastepny autobus, a potem zszedl z chodnika. Obejrzal sie z powrotem akurat w chwili, gdy smukla, czarna jak smola dlon wylonila sie z kanalu burzowego i zabrala parasol z ulicy.**

**Cofnal sie i rozejrzal, by sprawdzic, czy ktos jeszcze to widzial – ale nie. Nikt nie nawiazal z nim kontaktu wzrokowego. Obok przechodzil akurat policjant i Charlie pociagnal go za rekaw. Gdy mundurowy odwrocil sie na piecie, a w jego oczach odmalowalo sie najpierw zdumienie, a potem cos, co wygladalo na prawdziwe przerazenie, Charlie go puscil.**

**–Przepraszam – powiedzial. – Przepraszam. Rozumiem, ze ma pan duzo pracy. Przepraszam.**

**Policjant wzruszyl ramionami i zaczal sie przeciskac przez tlum w strone zmasakrowanego ciala Williama Creeka. Charlie przebiegl Columbus Avenue i gnal przez Vallejo Street, az**



oddech i walenie serca zagluszyly w jego uszach wszystkie inne odglosy. Kiedy od sklepu dzielila go tylko jedna przecznicza, przesunal sie nad nim jakis wielki cien, niczym nisko przelatujacy samolot czy ogromny ptak, i Char-liemu przeszedl po plecach dreszcz. Opuscil glowe, uniosl ramiona i skrecil w Mason Street w chwili, gdy przejezdziel tamtedy tramwaj linowy, pelen turystow, ktorzy patrzyli na wskros przez niego. Podniosl wzrok, tylko na chwile, i wydalo mu sie, ze w gorze zobaczyl cos, co zniknelo nad dachem szesciopietrowego, wiktoriańskiego budynku po drugiej stronie ulicy. Nastepnie otworzyl drzwi i wpadl do swojego sklepu.

–Czolem, szefie – powitala go Lily.

Byla blada szesnastolatka, nieco przy kosci – jej kobiece ksztalty wciaz stanowiły etap przejsciowy miedzy tluszczkiem dziecka a noszeniem dziecka. Akurat dzisiaj jej wlosy mialy kolor lawendy: wygladalo to jak przypominajaca helm fryzura kury domowej z lat piecdziesiatych, okryta kolorowym celofanem z wielkanocnego koszyka.

Charlie pochylil sie i oparl o regal z osobliwosciami przy drzwiach, chrapliwie wciagajac hausty stechlego powietrza.

–Chyba wlasnie zabilem czlowieka – wydyszal.

–Doskonale – powiedziala Lily, ignorujac zarowno jego slowa, jak i zachowanie. – Potrzebne bedzie zastepstwo przy kasie.

–Autobusem – dodal.

–Dzwonil Ray – oznajmila. Ray Macy byl drugim pracownikiem Charliego, trzydziestodziewiecioletnim kawalerem, ktorego cechowalo niezdrowe zatarcie granic miedzy Internetem a rzeczywistoscia. – Leci do Manili na spotkanie milosci swojego zycia. Niejakiej pani KochamCieDlugo. Jest przekonany, ze to jego bratnia dusza.

–W kanale cos bylo – powiedzial Charlie.

Lily ogladala odprysk czarnego lakieru na paznokciu.

–Wiec urwalam sie ze szkoly, zeby go zastapic. Robie tak od kiedy cie, ee, nie ma. Musze dostac usprawiedliwienie.

Charlie wyprostowal sie i podszedl do lady.

–Lily, slyszalas, co powiedzialem?

Zlupal ja za ramiona, ale wyrwala sie z jego uscisku.

–Au! Kurwa. Zostaw mnie, stukniety sadysto, to nowy tatuaz. – Uderzyla go pieścia w ramie,

**naprawde mocno, po czym cofnela sie, rozcierajac wlasne ramie. – Slysalam wszystko. Skoncz te odloty, sil vous plait. – Ostatnio, od kiedy znalazla Kwiaty zla Baudelaire'a w stercie uzywanych ksiazek na zapleczu, urozmaicala swoje wypowiedzi francuskimi wtretami. – Francuski lepiej wyraza gleboki noir mojej egzystencji – twierdzila.**

**Charlie oparl rece o lade, by powstrzymac ich drzenie, po czym zaczal mowic powoli i z naciskiem, jakby zwracal sie do osoby, dla ktorej angielski nie jest jezykiem ojczystym:**

**–Lily, mam kiepski miesiac i doceniam fakt, ze rezygnujesz z wykształcenia, zeby tu przychodzic i odstraszac mi klientow. Ale jesli zaraz nie usiadziesz i nie okazesz mi odrobiny cholernych ludzkich uczuc, bede cie musial zwolnic.**

**Lily usiadla na barowym stolku z chromu i plastiku, ktory stal przy kasie, i odgarnela z oczu dlugie lawendowe kosmyki.**

**–Mam z uwaga sluchac, jak przyznajesz sie do zabojstwa? Robic notatki? A moze wziac z polki stary magnetofon i wszystko nagrywac? Probuje ignorowac twoje slowa, ktore potem musialabym powtorzyc policji i poniesc osobista odpowiedzialnosc za to, ze pojdiesz do komory gazowej, a ty mowisz, ze jestem nieczula?**

**Charlie zadrzal.**

**–Jezu, Lily.**

**Bezustannie zaskakiwala go precyzja jej koszmarnego sposobu myslenia. Wydawala sie cudownym dzieckiem koszmaru. Z drugiej strony, dzieki jej mrocznemu rozumowaniu zdal sobie sprawe, ze zapewne nikt nie posle go do komory gazowej.**

**–To nie bylo zabojstwo tego rodzaju. Cos za mna szlo i...**

**–Cicho! – Uniosla reke. – Jako twoja podwladna wole nie zapisywac w swojej fotograficznej pamieci wszystkich szczegolow tej ohydnej zbrodni, by potem odtworzyc je w sadzie. Powiem tylko, ze cie widzialam, ale dla osoby postronnej wygladales zupełnie normalnie.**

**–Nie masz fotograficznej pamieci.**

**–Owszem, mam, i to jest moje przeklenstwo. Nie moze zapomniec o bezsensie...**

**–W zeszlym miesiacu przynajmniej osiem razy zapomnialas wyniesc smieci.**

**–Nie zapomnialam.**

**Charlie wzial gleboki wdech. Znajoma sytuacja, czyli klotnia z Lily, podzialala na niego uspokajajaco.**

**–No dobra, bez patrzenia. Jakiego koloru masz bluzke? – Uniosl brew, jakby chcial**

**powiedzieć: "Tu cie mam".**

**Uśmiechnęła się i przez chwilę widział, że to jeszcze dziecko, urocze i niemądre, mimo ostrego makijazu i wyzywającego zachowania.**

**– Czarna.**

**– Zgadłś.**

**– Wiesz, że mam tylko czarne ubrania. – Uśmiechnęła się. – Dobrze, że nie spytales o włosy. Właśnie dziś rano przefarbowalam.**

**– To niezdrowe. Te farby zawierają toksyny.**

**Lily uniosła lawendową perukę, odsłaniając krótko obcięte bordowe loki pod spodem, po czym opuściła ją z powrotem.**

**– Jestem całkowicie naturalna. – Wstała i poklepała stół. – Siadaj, Asher. Opowiadaj. Zanudz mnie.**

**Oparła się plecami o łade i przechyliła głowę, by okazać zainteresowanie, ale z ciemnym makijażem wokół oczu i lawendowymi włosami wyglądała raczej jak marionetka z zerwanym sznurkiem, tym który podtrzymuje głowę. Charlie obszedł łade i usiadł na stolku.**

**– Stałem w kolejce za tym Williamem Creekiem i zobaczyłem, że jego parasol świeci...**

**Opowiedział jej całą historię, o parasolu, o autobusie, o rece wylaniającej się z kanału burzowego, o pospiesznym powrocie do domu i cieniu nad dachami. A kiedy skończył, spytała:**

**– Skąd wiesz, jak się nazywał?**

**– He? – zdziwił się Charlie.**

**Mogła zadać tyle strasznych i fantastycznych pytań, dlaczego wybrała właśnie to?**

**– Skąd wiesz, jak nazywał się ten facet? – powtórzyła. – Prawie z nim nie gadales, zanim kopnął w kalendarz. Widziałeś nazwisko na potwierdzeniu z bankomatu, czy jak?**

**– Nie, ja...**

**Nie miał pojęcia, skąd znał nazwisko tego człowieka. Pojawilo się niespodziewanie w jego głowie, wypisane dużymi drukowanymi literami. Zeskoczył ze stolka.**

**– Muszę lecieć, Lily.**

**Pomknął przez drzwi do magazynu, a potem schodami na górę.**

**–Nadal potrzebuje usprawiedliwienia do szkoły! – krzyknęła za nim z dołu Lily, ale Charlie jej nie słuchał.**

**Przebiegł przez kuchnię, mijając wysoko Rosjanke, kołysząca w ramionach jego córeczkę, wpadł do sypialni i złapał notatnik, który trzymał na szafce nocnej przy telefonie.**

**Widniało w nim napisane jego własną ręką nazwisko William Creek, a pod spodem liczba 12. Usiadł na łóżku, trzymając notatnik tak, jakby to była fiolka z nitrogliceryną.**

**Za jego plecami rozległy się ciężkie kroki pani Korjev, która weszła za nim do sypialni.**

**–Panie Asher, co się stało? Biegł pan jak wściekły niedzwiędz.**

**Charlie był samcem beta, a miliony lat ewolucji doprowadziły do wykształcenia standardowej reakcji samców beta na to co niewytłumaczalne. Powiedział więc:**

**–Ktoś robi mnie w konia.**

**Lily właśnie poprawiała flamastrem lakier na paznokciu, gdy do sklepu wszedł Stephan, listonosz.**

**–Co tam, Czarna? – spytał, wyciągając z torby plik przesylek.**

**Był niskim, muskularnym czarnoskórym czterdziestolatkiem. Nosił ciemne okulary, które zazwyczaj nasuwał na włosy zaplecione w cienkie dredy. Wywoływał w Lily mieszane uczucia. Lubiała go, bo mówił do niej "Czarna", co było skrótem od "Elficka Czarna Wierzba" – tak właśnie adresowane były przesyłki, które przychodziły do niej do sklepu. Niestety, był też wesóły i najwyraźniej lubił ludzi, więc mu nie ufała.**

**–Musisz podpisać – oznajmił, podsuwając jej elektroniczny notes. Bez patrzenia napisała "Charles Baudelaire".**

**Stephan rzucił pocztę na ladę.**

**–Znowu pracujesz sama? Gdzie są wszyscy?**

**–Ray na Filipinach, Charlie w szoku. – Westchnęła. – Ciężar całego świata spoczywa na moich barkach...**

**–Biedny Charlie – powiedział listonosz. – Podobno śmierć współmałżonka to najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić.**

**–Tak, to też. Ale dzisiaj jest w szoku, bo widział, jak na Columbus Avenue autobus przejechał faceta.**

**–Słyszałem o tym. Dojdzie do siebie?**

**–Kurde, nie, Stephan. Przejechał go autobus. – Pierwszy raz podniosła wzrok znad paznokci.**

**–Chodziło mi o Charliego. – Puscil do niej oko, nie zważając na jej surowy ton.**

**–A, wiesz, jak to Charlie.**

**–Jak mała?**

**–Wydziela różne obrzydliwe substancje. – Lily pomachała flamastrem pod nosem, jakby to mogło zamaskować won dziecka.**

**–No to wszystko gra – powiedział Stephan z uśmiechem. – To wszystko na dzisiaj. Masz coś dla mnie?**

**–Wczoraj odkupiłam czerwone buty na sloninie. Meskie dziesiątki.**

**Stephan kolekcjonował stare ubrania w stylu alfonsów z lat siedemdziesiątych. Lily miała mieć oko na wszystko, co przychodziło do sklepu.**

**–Jaka wysokość?**

**–Dziesięć centymetrów.**

**–Niskie – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. – Trzymaj się, Czarna.**

**Lily pomachała mu flamastrem, gdy wychodził, po czym zaczęła sortować pocztę. Były to głównie rachunki, kilka ulotek, a także jedna gruba przesyłka w czarnej kopercie, wyglądająca na książkę albo katalog. Zaadresowano ją do Charliego Ashera, "sprzedawcy w Komisie Ashera" i miała znaczek z Plutonskich Brzegów Nocy, które najwyraźniej leżały w jakimś stanie na Z. (Lily uważała geografie nie tylko za potwornie nudną, ale także – w epoce Internetu – zupełnie zbędną).**

**Czy przesyłka nie zaadresowano do sprzedawcy w Komisie Ashera? – rozmyślała Lily. I czy to nie ona, Lily Elficka Czarna Wierzba, zajmowała się sprzedażą, jako jedyna pracownica – nie, właściwie kierowniczka rzeczoności sklepu? I czy nie było jej prawem – nie, właściwie obowiązkiem – otworzyć kopertę i zaoszczędzić Charliemu fatygi? Śmiało, Wierzbo! Twój los jest przesadzony, a jeśli nie los, to przynajmniej sprzyjające okoliczności, co w politycznym żargonie oznacza jedno i to samo.**

**Wyjęła spod lady sztylet inkrustowany klejnotami (które wyceniono na siedemdziesiąt pięć centów) i rozcięła kopertę, po czym wyciągnęła książkę i od razu się zakochała.**

**Okladka była błyszcząca, jak w dziecięcej książeczce z obrazkami. Widniała na niej barwna ilustracja, przedstawiająca uśmiechnięty szkielet z małutkimi ludzikami nabitymi na palce. Wszyscy najwyraźniej świetnie się bawili, zupełnie jakby to była karuzela, która akurat**

wymagała przebicia klatki piersiowej na wylot. Wszystko' wygladalo odswietnie – kwiaty i slodycze w kolorach podstawowych, przedstawione w stylu meksykanskiej sztuki ludowej. Nad ilustracja umieszczono tytul: Bardzo wielka ksiega Smierci, wydrukowany literami zlozonymi z ludzkich piszczeli.

Lily otworzyla ksiazke na pierwszej stronie, do ktorej ktos przyczepil spinaczem mala karteczke.

To powinno wszystko wyjasnic. Przepraszam.

Lily odpiela karteczke i otworzyla tom na pierwszym rozdziale: "A zatem jestes Smiercia. Oto, czego ci potrzeba". To bylo wszystko, czego potrzebowała. Najprawdopodobniej trzymala wlasnie najfajniejsza ksiazke, jaka w zyciu widziala. Charlie z pewnoscia nie umialby docenic tej lektury, zwlaszcza w obecnym stanie ostrej nerwicy. Wsunela tom do plecaka, po czym podarła karteczke i koperte na male kawaleczki, ktore nastepnie wlozyla na samo dno kosza na smieci.

## **4. SAMIEC BETA W NATURALNYM SRODOWISKU**

Jane – powiedzial Charlie. – Wydarzenia ostatnich paru tygodni przekonaly mnie, ze jakies' niktzemne sily albo osoby, niezidentyfikowane, ale jak najbardziej prawdziwe, zagrazaja zyciu takiemu, jakie znamy, a byc moze probuja nawet rozmontowac sama strukture naszej egzystencji. – I dlatego musze jesc zolta musztarde? – Jane siedziala przy blacie kuchennym i jadla kielbaski koktajlowe Little Smokies prosto z paczki, maczajac je w sloiku z francuska zolta musztarda.

Mala Sophie siedziala na blacie w foteliku samochodowym czy tez kolysce, w kazdym razie czymś, co przypominalo helm szturmowca Imperium.

Charlie chodzil po kuchni, wymachujac kielbaska dla podkreslenia swoich slow.

–Po pierwsze, w sali Rachel byl facet, ktory w tajemniczy sposob zniknal z filmow nagranych przez kamery.

–Bo nigdy go tam nie bylo. Zobacz, Sophie lubi zolta musztarde, tak jak ty.

–Po drugie – ciagnal, pomimo uporczywej obojetnosci siostry – wszystkie rzeczy w sklepie swiecily tak, jakby byly radioaktywne. Nie wkladaj jej tego do buzi.

–Boze, Charlie, Sophie jest hetero. Zobacz, jak wsuwa te kielbaske.

–A po trzecie, wczoraj na Columbus Avenue autobus przejechal tego Creeka. Wiedzialem, jak sie nazywa, i mial parasol, ktory swecil na czerwono.

–Jestem zawiedziona. Chcialam ja wychowywac po dziewczecemu, mialaby szanse, jakiej ja

**nigdy nie dostalam. Ale patrz, co robi z ta kielbaska. Ta mala ma wrodzony talent.**

**–Wyjmij jej to z buzi!**

**–Spokojnie, nie moze jej zjesc. Nawet nie ma zebow. A to cos nie sterczy z jeczacego teletubisia. O, rany, musze walnac duza teauile, zeby wymazac ten obraz z umyslu.**

**–Ona nie moze jesc wieprzowiny, Jane. Jest Zydowka! Chcesz zrobic z mojej corki sziksei Jane wyciagnela kielbaskę koktajlowa z ust Sophie i obejrzala ja, nie zwazajac na podobne do swiatlowodu pasemko sliny, wciaz polaczone z dzieckiem.**

**–Pewnie juz nigdy ich nie tkne – powiedziala. – Zawsze beda wywoływac wizje mojej bratanicy, obciagajacej koleśowi we frotowym kostiumie.**

**–Jane! – Charlie wyrwal jej kielbaskę i cisnal do zlewu. – Co?!**

**–Czy ty mnie w ogole sluchasz?**

**–Tak, tak, widziales, jak autobus przejechal jakiegos faceta, wiec struktura ci sie rozmontowuje. I co?**

**–I to, ze chyba ktos robi mnie w konia.**

**–A co to za nowina? Od kiedy skonczyles osiem lat, ciagle myslisz, ze ktos robi cie w konia.**

**–Bo tak bylo. Zapewne. Ale tym razem to jest prawda. To moze byc prawda.**

**–Hej, to wolowe little smokies. Sophie nie jest jednak szychta.**

**–Szikse!**

**–Wszystko jedno.**

**–Jane, nie pomagasz mi z tym problemem.**

**–Z jakim problemem? Masz jakis problem?**

**Problem Charliego polegala na tym, ze jego wyobraznia samca beta dreczyla go niczym bambusowe drzazgi pod paznokciami. Samce alfa sa czesto obdarzone szczegolnymi cechami fizycznymi, takimi jak wielkosc, sila, szybkość, atrakcyjny wyglad, wyksztalconymi w ciagu eonow przez ewolucje, czyli przetrwanie najsilniejszego, ktoremu, mowiac wprost, przypadaja wszystkie dziewczyny. Z kolei gen samca beta przetrwal nie dzieki pokonywaniu przeciwnosci, lecz ich przewidywaniu i unikaniu. Kiedy samce alfa szly polowac na mastodonty, samce beta umialy przewidziec, ze atakowanie wscieklego, wlochatego buldozera za pomoca zaostzonego patyka to lekka przesada, i zostawaly w obozowisku, by pocieszac zrozpaczone wdowy. Kiedy samce alfa ruszaly podbijac sasiednie plemiona, zdobywac trofea i scinac glowy, samce beta**

przewidywały, że w razie zwycięstwa napływ niewolnic spowoduje powstanie nadwyżki samotnych kobiet, wymienionych na nowszy, zdobyczny model. Nie będa one miały nic do roboty oprócz konserwowania ściętych głów i liczenia trofeów, a niektóre poszukują pociechy w ramionach samców beta, które miały dość sprytu, by przetrwać. W wypadku klęski, coż, powtarzała się historia z wdowami. Samce beta rzadko bywają najsilniejsze albo najszybsze, ale jako że umieją przewidywać zagrożenia, ich liczba znacznie przewyższa liczbę samców alfa. To samce alfa rządzą światem, ale samce beta stanowią tryby, dzięki którym ta maszyna działa.

Problem (Charliego) polegał na tym, że wyobraźnia samca beta stała się zbyt bogata w nowoczesnym społeczeństwie, podobnie jak kły tygrysa szablonowego czy testosteron samców alfa. Wyobraźnia samców beta jest za duża, by można ją było sensownie wykorzystać. W związku z tym wielu samców beta stało się hipochondrykami, neurotykami i paranoikami albo uzależniło się od pornografii czy gier komputerowych. Choć wyobraźnia samca beta wykształciła się po to, by pomagać w unikaniu niebezpieczeństw, ma ona także działanie uboczne: pozwala mu na dostęp – jedynie w świecie fantazji – do władzy, pieniędzy i długonogich samic w typie modelek, które tak naprawdę nie raczyłyby go nawet kopnąć w nerki, by straszyć owada z buta. Bogata fantazja samca beta często wpływa na rzeczywistość, co objawia się nadzwyczajnym poziomem rozczarowania sobą. Niejeden samiec beta wierzy, wbrew wszelkim empirycznym dowodom, że jest samcem alfa obdarzonym przez stworcę niewidzialną charyzmą, która – choć świetnie pomyślana – okazuje się całkowicie niewykrywalna dla kobiet niewykonanych z włókna węglowego. Za każdym razem, gdy modelka rozwodzi się z gwiazdorem rocka, samiec beta cieszy się w duchu (a dokładnie czuje ogromny przypływ niczym nie popartej nadziei). I za każdym razem, gdy piękna aktorka wychodzi za mąż, samiec beta ma poczucie straconej szansy. Całe Las Vegas – plastikowy przepych, skarby czekające na zdobywcę, ordynarne wieżowce i kelnerki z nieprawdopodobnymi biustami – powstało z rozczarowania samca beta.

Owo rozczarowanie sobą odegrało ważną rolę, gdy Charlie poznał Rachel tego deszczowego, lutowego dnia pięć lat wcześniej, kiedy to schował się przed burzą w Czystej, Jasno Oświetlonej Księgarni, a Rachel posłała mu niesmiały uśmiech z nad steru powieści Carson McCullers, które układała na polce. Szybko sobie wmówił, że leje się z niego chłopięcy urok, podczas gdy w istocie po prostu lalo się z niego i już.

–Leje się z pana – oznajmiła.

Miała niebieskie oczy, jasną cerę i ciemne loki okalające twarz. Spojrzała na niego z ukosa, okazując mu akurat tyle uwagi, by polechtać ego samca beta.

–Tak, dziękuję – powiedział, podchodząc o krok bliżej.

–Przyniesć panu recznik czy coś?

–Nie, jestem do tego przyzwyczajony.



**–Leje sie z pana na Cormaca McCarthy'ego.**

**–Przepraszam. – Otarl rekawem egzemplarz Raczych koni, jednocześnie probujac zobaczyc, czy pod jej szerokim swetrem i bojownikami kryje sie zgrabna figura. – Czesto tu pani przychodzi?**

**Rachel nie odpowiedziala od razu. Miala identyfikator, rozkladala towar z metalowego wozka i byla niemal pewna, ze juz wczesniej widziala tego faceta w ksiegarni. Nie zachowywal sie zatem glupio, tylko sprytnie. W pewnym sensie. Nie mogac sie powstrzymac, parsknela smiechem.**

**Charlie wzruszyl mokrymi ramionami i usmiechnal sie.**

**–Nazywam sie Charlie Asher.**

**–Rachel – powiedziala Rachel. Podali sobie rece.**

**–Rachel, mialabys ochote napic sie kiedys kawy czy cos?**

**–To zalezy, Charlie. Najpierw musisz mi odpowiedziec na kilka pytan.**

**–Oczywiscie – odparl. – Jesli nie masz nic przeciwko temu, tez chcialbym zapytac cie o to i owo. – W tym momencie myslal: "Jak wygladasz nago?" i "Ile musze czekac, zanim to sprawdzę?".**

**–No dobrze. – Odlozyla Ballade o smutnej knajpie i zaczela wyliczac na palcach. – Masz prace, samochod i dach nad glowa? I czy dwie ostatnie rzeczy to jedno? – Miala dwadziescia piec lat i od jakiegos czasu byla sama. Nauczyla sie kontrolowac kandydatow.**

**–Ee, tak, tak, tak i nie.**

**–Doskonale. Jestes gejem? – Od jakiegos czasu byla sama w San Francisco.**

**–Zaprosilem cie na kawe.**

**–To nic nie znaczy. Znalam facetow, ktorzy nie wiedzieli, ze sa gejami, dopoki pare razy sie ze mna nie umowili. Zdaje sie, ze to moja specjalnosc.**

**–O rany, chyba zartujesz. – Obejrzal ja od stop do glow i doszedl do wniosku, ze pod luznymi ubraniami na pewno ma swietna figure. – Zrozumialbym, gdyby bylo na odwrot, ale...**

**–Dobra odpowiedz. W porzadku, napije sie z toba kawy.**

**–Nie tak predko. A moje pytania? Wywrocila oczami i westchnela.**

**–Dobra, wal.**

**–Tak naprawdę nie mam żadnych pytań. Tylko nie chciałem, żebyś myślała, że jestem łatwy.**

**–Zaprosiłeś mnie na kawę po półminutowej znajomości.**

**–Nie można mieć do mnie pretensji. Byłaś tu w całej okazałości, uczesana, sucha, z dobrymi książkami...**

**–Pytaj!**

**–Myślisz, że jest taka możliwość, wiesz, kiedy już się poznamy, że mnie polubisz? Znaczący, wyobrazasz to sobie?**

**–Nie miało znaczenia, że przegina – nieważne, czy był cwany, czy po prostu niezreczny. Była bezbronna wobec jego pozbawionego charyzmy uroku samca beta i wiedziała, co odpowiedzieć.**

**–Bez szans – skłamała.**

**–Tesknienie za nią – powiedział Charlie, po czym odwrócił wzrok od swojej siostry, jakby w zlewie było coś, co koniecznie należało dokładnie obejrzeć. Jego ramionami wstrząsał szloch.**

**Jane podeszła i przytrzymała go, gdy opadł na kolana.**

**–Naprawdę tesknienie.**

**–Wiem.**

**–Nienawidzę tej kuchni.**

**–W pełni się z tobą zgadzam. Dobra z niej była siostra.**

**–Widzę tę kuchnię i widzę jej twarz, i nie mogę tego znieść.**

**–Możesz. Zniesiesz. Będzie lepiej.**

**–Może powinienem się przeprowadzić, czy coś.**

**–Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale cierpienie porusza się razem z nami. – Pomasażowała mu ramiona i kark, jakby jego ból był napięciem w mięśniach, które można było zlikwidować za pomocą nacisku.**

**–Po kilku minutach znowu jako tako funkcjonował. Siedział przy blacie, między Sophie i Jane, i pił kawę.**

**–Więc myślisz, że wszystko to sobie wymyśliłem?**

**Jane westchnęła.**

–Charlie, Rachel była dla ciebie pepkiem świata. Każdy, kto widział was razem, wiedział, że tak jest. Twoje życie kreciło się wokół niej. Gdy Rachel zabrakło, nie masz już podstawy, nie masz nic, co by ci mocno trzymało, jesteś roztrzesiony, więc wszystko wydaje się nierzeczywiste. Ale ty masz podstawę.

–Mam?

–Siebie samego. Ja nie mam Rachel ani nikogo podobnego na horyzoncie, ale nie tracę panowania nad sobą.

–Chcesz powiedzieć, że muszę być samolubny, jak ty?

–Chyba faktycznie jestem samolubna. Myślisz, że jestem przez to złym człowiekiem?

–A obchodzi cię to?

–Słuszna uwaga. Poradzisz sobie? Muszę iść kupić parę DVD o jodze. Jutro zaczynam kurs.

–Skoro zamierzasz uczestniczyć w kursie, po co ci te DVD?

–Muszę sprawiać wrażenie, że wiem, co robię, albo nikt się ze mną nie umówi. Poradzisz sobie?

–Tak. Nie mogę tylko wchodzić do kuchni ani na nic patrzeć w tym mieszkaniu, ani słuchać muzyki, ani oglądać telewizji.

–No to baw się dobrze – powiedziała, szczypiąc małą w nos w drodze do drzwi.

Kiedy poszła, Charlie siedział przez chwilę na blacie i patrzył na małą Sophie. O dziwo, tylko ona w całym mieszkaniu nie przywodziła mu na myśl Rachel. Była obca istota.

Popatrzyła na niego – ach te wielkie, niebieskie oczy – jakimś takim dziwnym, szklistym wzrokiem. Nie z uwielbieniem czy zadziwieniem, których można by się spodziewać. Raczej tak, jakby za dużo wypila i zbierała się do odjazdu, kiedy tylko znajdzie kluczyki do samochodu.

–Przepraszam – powiedział Charlie, odwracając spojrzenie na stertę niezapłaconych rachunków przy telefonie. Czuł, że dziecko na niego patrzy, zastanawiając się – jak myślał – ilu gościom we frotowych kostiumach musi obciagnąć, żeby dostać porządnego ojca. Sprawdzał, czy jest dobrze przypięta pasami, po czym wyszedł, by wziąć pranie, bo tak naprawdę zamierzał być bardzo dobrym ojcem.

Samce beta niemal zawsze są dobrymi ojcami. Zwykle cechuje je stałość i odpowiedzialność. To tacy faceci, których dziewczyny (o ile postanowią obyc się bez siedmio-cyfrowej pensji czy wysokości dosiężnego powyżej metra) chcą na ojców swoich dzieci. Oczywiście, wolałyby nie iść z nimi w tym celu do łóżka. Ale kiedy dostaniesz kopa od paru samców alfa, całkiem miłym

kompromisem wydaje się myśl o pobudce w ramionach faceta, który cię uwielbia, już choćby z samej wdzięczności za seks, i który zawsze będzie przy tobie, aż do przesyty. Ponieważ samiec beta jest wierny. To doskonały maz i doskonały przyjaciel. Pomoże ci chodzić i przynieść żupę, kiedy zachorujesz. Samiec beta zawsze liczy się z innymi, dziękuje kobiecie po seksie i zwykle nie zwleka z przeprosinami. Jest świetnym opiekunem domu, zwłaszcza jeśli kobieta nie czuje się specjalnie związana ze swoimi domowymi zwierzętami. Samcowi beta można ufać. Twoja dziewczyna będzie w dobrych rękach, jeśli zostawisz ją z kolegą, który należy do samców beta. No, chyba, że ma się rozumieć, że to ostatnia zdriza. (Właściwie, ostatnie zdrizy na przestrzeni dziejów mogą być wyłącznie odpowiedzialne za przetrwanie genu samców beta. Bo samiec beta, choć wierny, jest zupełnie bezradny wobec cudownych, napierających biustów). Choć samiec beta ma potencjał, by zostać doskonałym mężem i ojcem, wciąż musi nabyć niezbędne umiejętności. Przez kilka następnych tygodni Charlie robił niewiele poza opieką nad małą obcą istotą. Była kosmitka, słowo – czymś w rodzaju maszyny do jedzenia, robienia kupy i wpadania w złość – a on ani w ząb nie rozumiał jej gatunku. Ale gdy się nią zajmował, rozmawiał z nią, nie spał przez nią, kapal ją, patrzył, jak spi, i besztal ją z powodu obrzydliwych substancji, które się z niej wydobywały – zaczął się zakochiwać. Pewnego ranka, po szczególnie aktywnej nocy, spędzonej na przemian na karmieniu i przewijaniu, obudził się i zobaczył, że mała patrzy głupkowato na karuzelkę nad swoim łóżeczkiem. A kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się. To załatwiło sprawę. Tak jak wcześniej jej matka, wyznaczyła kierunek jego życia za pomocą uśmiechu. I tak jak tego deszczowego poranka w księgarni, jego dusza wyjaśniała. Dziwne okoliczności śmierci Rachel, świecące na czerwono przedmioty w sklepie, ciemny skrzydlaty kształt nad ulicą – wszystko to ustąpiło miejsca nowemu światłu jego życia. Nie rozumiał, że ona kocha go bezwarunkowo, a zatem – kiedy wstawał w środku nocy, by ją nakarmić, wkładał koszulę, czesał się i sprawdzał, czy nie cuchnie mu oddech. Miłość do córki ogłuszyła go, a kilka minut później zaczął odczuwać lek o jej bezpieczeństwo, który w ciągu kilku dni rozwinał się i rozkwitł w istny ogród paranoi.

–Wygląda to jak jakiś gąbkowy świat – powiedziała Jane pewnego popołudnia, gdy przyniosła ze sklepu rachunki i czeka, żeby Charlie je podpisał.

Charlie zabezpieczył wszystkie ostre rogi i krawędzie w mieszkaniu za pomocą gąbki i taśmy izolacyjnej, włożył plastikowe zatyczki do wszystkich gniazdek, zamontował zamki we wszystkich szafkach, zainstalował nowe wykrywacze dymu, tlenu węgla i radonu, a także włączył blokadę rodzicielską w telewizorze, przez co mógł oglądać już tylko programy z małymi zwierzątkami i nauka liter.

–Wypadki to najczęstsza przyczyna śmierci dzieci w Ameryce – oznajmił.

–Ale ona jeszcze nawet nie umie przewrócić się na brzusek.

–Chce być przygotowany. Wszędzie pisza, że jednego dnia karmisz je piersią, a drugiego budzisz się i one już rzucają studia. – Przewijał małą na stoliku do kawy i zużył przy tej okazji dziesięć chusteczek, o ile Jane dobrze policzyła.

–Mysle, ze to moze byc przenosnia. Wiesz, niby ze dzieci szybko rosna.

–Tak czy siak, kiedy zaczniesz raczkowac, wszystko jest gotowe.

–Dlaczego nie zrobisz jej skafandra z gabki? To prostsze niz obijanie calego swiata czymś miękkim. Charlie, tu jest strasznie. Nie mozesz zaprosic do domu kobiety, bo wezmie cie za swira.

Przez dluzsza chwile patrzyl w milczeniu na siostrę. Zamarl z zapasowa pielucha w jednej rece i stopkami swojej coreczki miedzy palcami drugiej.

–Kiedy bedziesz gotowy – zajaknela sie. – Znaczy, nie mowie, ze przyrowadzisz tu jakas kobiete.

–To dobrze, bo nie mam zamiaru.

–Jasne, ze nie. Nic nie powiedzialam. Ale musisz wyjsc z domu. Po pierwsze, powinienes isc na dol do sklepu. Ray zrobil z komputera jakis serwis randkowy, a strazniczka szkolna juz trzy razy zagladala do sklepu w poszukiwaniu Lily. Ja nie moze prowadzic ksiegowosci, wszystkim zawiadywac i jeszcze wykonywac swojej pracy. Tata nie bez powodu zostawil firme wlasnie tobie.

–Ale nie ma komu pilnowac Sophie.

–Masz w budynku pania Korjev i pania Ling. Niech one sie nia zajma. Do diabla, ja moze sie nia opiekowac wieczorami przez pare godzin, jesli to w czymś pomoze.

–Nie zejde tam wieczorem. To wtedy rzeczy staja sie radioaktywne.

Jane polozyla sterte papierow na stoliku obok glowki Sophie, po czym cofnela sie, zaplotlszy rece na piersi.

–Powtorz sobie w myslach to, co wlasnie powiedziales.

Charlie zrobil to i wzruszyl ramionami.

–Dobra, brzmi troche dziwnie.

–Idz, pokaz sie w sklepie. Tylko pare minut, zamocz nogi i tchnij bozazn boza w Raya i Lily, dobra? Ja skoncze ja przewijac.

Jane wsliznela sie miedzy kanape i stolik, popychajac brata, by zszedl jej z drogi. Przy okazji stracila brudna pieluszkę, ktora spadla na podloge i sie otworzyla.

–O moj Boze! – jeknela i odwrocila glowe.

–Jeszcze jeden powód, żeby nie jesc brazowej musztardy, co? – powiedział Charlie.

–Ty draniu! Cofnal sie.

–Dobra, ide na dol. Na pewno wiesz, jak to zrobic?

–Idz! – zawolala, gestem jednej reki wyganiajac go z pokoju, a palcami drugiej trzymajac sie za nos.

## 5. CIEMNOSC ZADZIERA NOSA

Hej, Ray – powiedział Charlie, zszedlszy do magazynu. Zawsze staral sie robic na schodach jak najwiecej halasu, zwykle tez krzyczal glosno "czes", by uprzedzic pracownikow, ze idzie. Pracowal w roznych miejscach, zanim wrocil, by przejac rodzinna firme, i z doswiadczenia wiedzial, ze nikt nie lubi podstepnego szefa.

–Hej, Charlie – odrzekl Ray, ktory siedzial na stolku za lada.

Mial na karku czwarty krzyzyk, byl wysoki, lysial i szedl przez zycie, nie ogladajac sie za siebie. Nie mogl sie ogladac. Szesc lat temu, jeszcze jako policjant z San Francisco, dostal w szyje kulke od mlodocianego gangstera, i to wtedy ostatni raz spojrzal w tyl bez uzycia lustra. Zyl z wysokiej renty inwalidzkiej od miasta i pracowal dla Charliego w zamian za darmowy wynajem mieszkania na czwartym pietrze, wiec po transakcji nie bylo sladu w zadnych papierach. Obrocil sie na krzesle twarza do Charliego.

–Ee, chcialem powiedziec, ze, no wiesz, twoja sytuacja, znaczy twoja strata... Wszyscy lubilismy Rachel. Wiesz, jesli moze cos zrobic...

Charlie widzial go pierwszy raz od pogrzebu, nie zwrocil wiec uwagi na niezreczne slowa pocieszenia.

–I tak zrobiles bardzo duzo, zastepujac mnie w pracy. Nad czym pracujesz? – Charlie rozpaczliwie staral sie nie patrzec na rozne swiece na czerwono przedmioty.

–A, nad tym. – Ray odwrocil sie i odsunal, by Charlie zobaczyl monitor komputera, na ktorym widnialy ulozone rzadami portrety mlodych Azjatek. – Nazywa sie to "Zdesperowane Kobiety z Filipin kropka com".

–To tutaj poznales panne KochamCieDlugo?

–Nie nazywala sie tak. Lily ci to powiedziala? To dziecko ma problemy.

–No tak, dzieci – powiedział Charlie, dostrzegajac nagle krepa kobiete w tweedowym plaszczu, szperajaca wsrod polek z osobliwosciami przy drzwiach sklepu. Trzymala swiecaca na czerwono, porcelanowa zabke.

Ray kliknal na jednym ze zdjec, otwierajac podstrone z profilem.

–Spojrz na te, szefie. Pisz, ze lubi slupy. – Znowu obrocil sie na stolku i uniosl brwi.

Charlie odwrocil wzrok od kobiety ze swiecaca zaba i spojrzal na ekran.

–To takie zaglowki, Ray.

–Nieprawda. Zobacz, w szkole sredniej byla skiperka. – Tym razem uniosl reke, by przybic piatke.

–Tu tez chodzi o zeglarstwo – wyjasnil Charlie, a byly gliniarz zostal z reka w powietrzu. – To ta, co pokrzykuje na zaloge.

–Powaznie? – spytal Ray, nie kryjac zawodu.

Byl zonaty trzy razy i wszystkie trzy zony zostawily go z powodu jego niezdolnosci do dojrzalych relacji spolecznych. Ray postrzegal swiat jak gliniarz i choc wielu kobietom wydawalo sie to z poczatku pociagajace, oczekiwaly, ze po jego powrocie z pracy do domu owo nastawienie zostanie przy drzwiach wraz z bronia sluzbowa. Nic z tego. Kiedy Ray podjal prace w Komisie Ashera, dopiero po dwoch miesiacach przestal mowic do klientow: "Rozejsc sie, nie ma tu nic do ogladania". Ray wiele czasu poswiecal rozczarowaniu samym soba i ludzkoscia w ogole.

–Ale, stary... zeglarstwo! – powiedzial z entuzjazmem Charlie, by ratowac sytuacje.

Lubil tego bylego gliniarza, pomimo jego nieprzystosowania. Ray byl w zasadzie dobrym czlowiekiem, lojalnym i dobrodusznym, pracowitym i punktualnym, a co jeszcze wazniejsze, wlosy wypadaly mu szybciej niz Charliemu.

Ray westchnal.

–Moze powinienem poszukac innej strony. Jakie slowo oznacza cos wiecej niz "zdesperowane"?

Charlie przez chwile czytal informacje na dole ekranu.

–Ta kobieta uzyskala dyplom magistra literatury angielskiej na Cambridge, Ray. I popatrz na nia. Piekna. Dlaczego jest zdesperowana?

–Ej, zaraz. Dyplom magistra w wieku dziewietnastu lat? Jest dla mnie za madra.

–Wcale nie. Po prostu klamie.

Ray obrocil sie na stolku, jakby Charlie uklul go olowkiem w ucho. – Nie!

–Popatrz na nią. Wygląda jak modelka z opakowania ciasteczek z kalmarow o smaku zielonego jabłka.

–Maja cos takiego?

Charlie wskazał lewa stronę okna.

–Pozwol, że przedstawię ci Chinatown. Chinatown, to jest Ray. Ray, Chinatown.

Ray uśmiechnął się, zawstydzony. Dwie przecznice dalej znajdował się sklep, w którym nie sprzedawano niczego innego oprócz różnych suszonych części rekina. Wystawa była pełna zdjęć pięknych Chinek, trzymających rekiny śledziona i galki oczne z taką dumą, jakby właśnie dostały Oscara.

–No, ostatnia kobieta, która poznałem tą drogą, miała w swoim opisie parę błędów i niedopowiedzeń.

–Na przykład? – Charlie patrzył na kobietę w tweedowym płaszczu, idącą w stronę lady ze świecą zaba w ręce.

–Wiesz, napisała, że ma dwadzieścia trzy lata, metr pięćdziesiąt, sto pięć funtów, więc pomyślałem: "Dobra, mogę się zabrać z drobna kobietka". A okazało się, że to sto pięć kilo.

–Czyli nie to, na co liczyłeś? – zapytał Charlie. Uśmiechnął się do zbliżającej się kobiety, czując fale paniki. Chciała kupić te zabe!

–Metr pięćdziesiąt, sto pięć kilo. Wyglądała jak skrzynka pocztowa. Z tym bym się jeszcze pogodził, ale miała nie dwadzieścia trzy, a szesćdziesiąt trzy lata. Jeden z jej wnuków próbował mi ją sprzedać.

–Przykro mi, nie może pani tego kupić – powiedział Charlie do klientki.

–Często się tak mówi – ciągnął Ray – ale rzadko spotykasz kogoś, kto naprawdę próbuje sprzedać własną babcię.

–Dlaczego nie? – spytała kobieta.

–Pięćdziesiąt dolców – powiedział Ray.

–Skandal – odparła kobieta. – Na metce jest dziesięć.

–Nie, pięćdziesiąt za babcię, z którą Ray ma romans – wyjaśnił Charlie. – A zaba nie jest na sprzedaż, proszę pani. Przykro mi. To wadliwy towar.

–Więc dlaczego stoi na polce? Dlaczego ma metkę z ceną? Nie widzę żadnej wady.



**Najwyraźniej nie widziała, że ta głupia porcelanowa zaba nie tylko świeci, ale wręcz zaczęła pulsować. Charlie wyciągnął rękę przez ladę i wyrwał jej figurkę.**

**–Jest radioaktywna. Przykro mi. Nie może jej pani kupić.**

**–Wcale nie miałem z nią romansu. Poleciałem tylko na Filipiny, żeby ją poznać.**

**–Wcale nie jest radioaktywna – powiedziała kobieta. – Próbuje pan podbić cenę. W porządku, dam dwadzieścia.**

**–Nie, proszę pani, to zagraża bezpieczeństwu publicznemu – odparł Charlie, starając się zrobić z troską minę i przyciskając zabę do piersi, jakby chronił kobietę przed jej groźną energią. – W dodatku jest śmieszna. Proszę zauważyć, że gra na banjo, które ma tylko dwie struny. No, parodia! Może kolega pokazać pani malpę grającą na cymbałkach? Ray, pokaż tej młodej pani malpę. – Miał nadzieję, że zdobędzie parę punktów za "młoda pania".**

**Kobieta zrobiła krok w tył, zasłaniając się torebką niczym tarczą.**

**–Nie wiem, czy chce coś od was kupić, swiry.**

**–Hej! – oburzył się Ray, jakby chciał powiedzieć, że w sklepie pracuje tylko jeden swir i że to nie on nim jest.**

**I wtedy szybkim krokiem podeszła do regału z butami i wzięła parę czerwonych trampek Converse Ali Stars w rozmiarze dwadzieścia. One także świeciły.**

**–Chcę kupić te buty.**

**–Nie. – Charlie rzucił zabę przez ramię do Raya, który złapał ją w ostatniej chwili. – Też nie są na sprzedaż.**

**Kiedy kobieta w tweedowym płaszczu uderzyła pośladkami w drzwi wejściowe i zadzwieczała dzwonek nad ościeżnicą, Charlie wykonał swój ruch. Zamarkował skok w lewo, po czym ruszył w prawo, wyciągnął rękę i złapał sznurowadła trampki, a wraz z nimi kawałek dużego, okrytego tweedem tyłka. Szybko cofnął się do lady i rzucił buty Rayowi, po czym odwrócił się i przyjął pozycję wojownika sumo, by stawić czoło klientce.**

**Wciąż stała przy drzwiach, jakby nie mogła się zdecydować, czy okazać strach, czy obrzydzenie.**

**–Powinno się was zamknąć. Zgłoszę to do Urzędu Ochrony Konsumentów i miejscowej organizacji kupieckiej. A pan, panie Asher, może powiedzieć pani Seve-ro, że na pewno wroce. – Z tymi słowami zniknęła za drzwiami.**

**Charlie odwrócił się do Raya.**

**–Pani Severo? Lily? Ona przyszła do Lily?**

**–Strazniczka szkolna – wyjaśnił Ray. – Przychodziła tu już parę razy.**

**–Mogłes coś powiedzieć.**

**–Nie chciałem stracić klientki.**

**–Zatem Lily...**

**–Chowa się na zapleczu, kiedy ja widzi. Ta babka chciała też pogadać z tobą i spytać, czy usprawiedliwienia Lily są prawdziwe. Potwierdziłem.**

**–Lily wraca do szkoły, a ja do pracy.**

**–To świetnie. Odebrałem dziś telefon. Rezydencja w Pacific Heights. Dużo ładnych damskich ubrań. – Ray poklepał leżącą na ławie kartkę papieru z notatnika. – Nie mam kwalifikacji, żeby się tym zająć.**

**–Zrobisz to, ale najpierw mamy trochę do nadrobienia. Odwróć tabliczkę na "Zamknięte" i zamknij drzwi na klucz, dobrze?**

**Ray ani drgnął.**

**–Jasne, ale... Charlie, jesteś pewien, że możesz już wrócić do pracy? – Ray wskazał głową leżące na blacie trampki i zabe.**

**–A, to. Zdáje się, że coś jest z nimi nie tak. Nie widzisz w nich nic niezwykłego?**

**Ray przyjrzał się jeszcze raz. – Nie.**

**–A w tym, że kiedy zabrałem jej zabe, od razu wzięła parę trampek, które na pewno na nią nie pasują?**

**Ray w myślach dokonał kalkulacji, kładąc na szalę prawdę oraz swój korzystny układ – mieszkanie, dochody pod stołem i szef, który był porzadnym gościem, zanim mu odbilo – i w końcu powiedział:**

**–Tak, było w niej coś dziwnego.**

**–Aha! – wykrzyknął Charlie. – Szkoda, że nie wiem, skąd wziąć licznik Geigera.**

**–Mam licznik Geigera – powiedział Ray.**

**–Naprawdę? – Jasne. Przynieść?**

**–Moze pozniej – odparl Charlie. – Zamknij drzwi i pomoz mi pozbierac towar.**

**Przez nastepna godzine Ray patrzyl, jak Charlie przenosi na zaplecze rozne przedmioty – z pozoru wybrane na chybil trafil – surowo zabraniajac mu przy tym ponownego wystawienia ich w sklepie badz sprzedazy jakiemukolwiek klientowi. Potem przyniosl licznik Geigera, ktory pozyskal w drodze wymiany za rakiete tenisowa bez naciagu, i zgodnie z poleceniem Charliego zbadal kazdy z przedmiotow. Oczywiscie okazaly sie zupełnie nieszkodliwe.**

**–I nie widzisz w tej stercie nic swiecacego, pulsujacego ani w ogole? – spytal Charlie.**

**–Przykro mi. – Ray pokrecil glowa, nieco zazenowany cala sytuacja. – Ale w sumie niezle, jak na pierwszy dzien po powrocie do pracy – dodal na pocieszenie. – Moze powinienes skonczyc na dzisiaj, zajrzec do dziecka, a rano podjechac do tej rezydencji? Zapakuje te rzeczy i oznacze pudlo, zeby Lily ich nie sprzedala albo na cos nie wymienila.**

**–Dobra – powiedzial Charlie. – Tylko ich nie wyrzucaj. Chce to rozgryzc.**

**–Jasne, szefie. Do zobaczenia rano.**

**–Tak. Dzieki, Ray. Mozesz isc do domu, kiedy skonczysz.**

**Charlie wrocil do mieszkania, przez cala droge ogladajac swoje rece, by sprawdzic, czy nie przeszedl na nie czerwony blask ze sterty towarow. Wygladaly jednak zwyczajnie. Odeslal Jane do domu, nakarmil i wykopal Sophie, przeczytal jej do poduszki pare stron Rzezni numer piec, a potem wczesnie sie polozyl i zapadl w niesppkojny sen. Rano obudzil sie polprzytomny i po chwili usiadl gwałtownie na lozku, z szeroko otwartymi oczami i mocno bijacym sercem, ujrzal bowiem kartke na szafce nocnej. Kolejna. Zauwazyl, ze tym razem nie jest to jego pismo, a ciag cyfr byl bez watpienia numerem telefonu. Westchnal. Ten numer zapisal dla niego Ray. Charlie polozyl go sobie na szafce, zeby nie zapomniec. "Pan Michael Mainheart", glosila notatka. I jeszcze: "luksusowe damskie ubrania" oraz podkreslone dwa razy slowo "futra". Numer zaczynal sie od miejscowego kierunkowego. Charlie wzial kartke i pod spodem znalazl druga. Widnialo na niej to samo nazwisko, zanotowane jego wlasnym charakterem pisma, a pod spodem cyfra 5. Nie pamietal, zeby to pisal. W tym momencie za oknem sypialni na drugim pietrze przemknelo cos duzego i ciemnego, ale gdy podniosl wzrok, juz tego nie bylo.**

**Zatoke spowijala mgla, a wielkie, pomaranczowe wieze mostu Golden Gate przy Pacific Heights wystawaly z niej niczym marchewki z twarzy dwoch spiacych, polaczonych balwanow snieznych. Na Pacific Heights poranne slonce otworzylo juz niebo. Po ogrodach i dziedzincach wokol rezydencji krzatali sie pracownicy.**

**Dojechawszy do domu Michaela Mainhearta, Charlie stwierdzil, ze nikt go nie zauwaza. Na dziedzincu pracowalo dwoch mezczyzn. Pomachal im, przechodzac, ale oni nie zareagowali. Potem listonosz, schodzacy z duzej werandy, zepchnal go z drozki na zroszona trawe, nie mowiac nawet "przepraszam".**

**–Przepraszam! – zawołał Charlie z sarkazmem, ale listonosz miał na uszach słuchawki i słuchał czegoś, co skłaniało go do kolysania głową na podobieństwo gołębia dziobiącego tabletki amfetaminy.**

**Charlie chciał już wykrzyknąć jakąś porażająco inteligentną uwagę, ale zmienił zdanie. Choć od ładnych paru lat nie słyszał o pracowniku poczty dokonującym rzezi, to wołał nie ryzykować, zwłaszcza że słowo "doreczyciel" kojarzyło mu się z "dreczycielem".**

**Jednego dnia zupełnie obca osoba nazywa go swirem, a następnego funkcjonariusz publiczny spycha go z chodnika. To miasto zmieniało się w dżunglę.**

**Charlie zadzwonił do drzwi i czekał przy sześciometrowych wieżach z pancernego szkła. Po minucie usłyszał ciche kroki i za szybą mignęła drobna sylwetka, po czym drzwi powoli się otworzyły.**

**–Pan Asher – powiedział Michael Mainheart. – Dziękuję, że pan przyszedł.**

**Starszy mężczyzna tonął w garniturze w jodelkę, najwyraźniej kupionym trzydziści lat temu, gdy jeszcze był po-stawniejszym mężczyzną. Podał Charliemu rękę. Jego skóra przypominała w dotyku stare opakowanie po chińskich pierozkach – była zimna i jakby zapylona. Charlie starał się nie trząść, gdy gospodarz poprowadził go do wielkiej marmurowej rotundy z pancernymi oknami, sięgającymi sklepienia na wysokości dwunastu metrów, oraz kretymi schodami wiodącymi na galerijkę, która prowadziła do dalszych skrzydeł domu. Charlie często się zastanawiał, jak to jest mieć dom ze skrzydłami. Jak w takim miejscu znaleźć kluczyki do samochodu?**

**–Tedy – powiedział Mainheart. – Pokażę panu, gdzie żona trzymała ubrania.**

**–Przykro mi z powodu pańskiej żony – rzucił odruchowo Charlie.**

**Wiele razy był wzywany do rezydencji. "Nie chcesz wyjść na jakiegoś sepa" – mawiał jego ojciec. "Zawsze chwal towar. Dla ciebie to może być szajs, ale dla nich to często kawałek duszy. Chwal, ale nie pozadaj. Możesz zarobić, nie naruszając przy tym niczyjej godności".**

**–O, kurde – powiedział Charlie, gdy wszedł za mężczyzną do garderoby wielkości własnego mieszkania. – To znaczy... pańska żona miała wysmienity gust, panie Mainheart.**

**Były tam całe rzędy strojów od ekskluzywnych projektantów. Suknie wieczorowe i dwukondygnacyjne wieszaki z różnymi ubraniami, ułożonymi według kolorów i stopnia formalności – wspaniała tecza jedwabiu, lnu i wełny. Kaszmirowe swetry, kurtki, płaszcze, spodnice, bluzki, bielizna. Garderoba miała kształt litery T, na szczycie której znajdowała się duża toaleta z lustrami, a w skrzydłach dodatki (nawet garderoba miała skrzydła!), po jednej stronie buty, a po drugiej paski, szale i torebki. Całe skrzydło butów – włoskich i francuskich, ręcznie uszytych ze skóry zwierząt, które kiedyś wiodły radosne, bez troski życie. Po bokach toaletki na koncu garderoby widniały wysokie lustra i Charlie dostrzegł odbicia własne i**

**Mainhearta -Charlie miał na sobie szary garnitur w prążki z drugiej reki, a gospodarz niedopasowana marynarkę w jodelkę. Studium w szarości i czerni, surowe i martwe posród tego wielobarwnego ogrodu.**

**Starzec podszedł do krzesła przy toalecie i usiadł z trzaskiem i jękiem.**

**–Pewnie potrzebuje pan trochę czasu na wycenę – powiedział.**

**Charlie stanął na środku garderoby i rozglądał się przez chwile, zanim odpowiedział:**

**–To zależy, z czym zechce się pan rozstać.**

**–Ze wszystkim. Co do sztuki. Nie mogę znieść tych śladów po niej. – Zalamal mu się głos. – Chce, żeby to zniknęło.**

**Odwrocił wzrok od Charliego i popatrzył na skrzydło z butami, starając się nie pokazać, że się rozsypuje.**

**–Rozumiem – odparł Charlie, nie wiedząc co powiedzieć. Ta kolekcja to nie była jego liga.**

**–Nie, nie rozumie pan, młodzieńcze. Nie mógłby pan zrozumieć. Emily była dla mnie całym życiem. Dla niej wstawiałem co rano, dla niej chodziłem do pracy, dla niej zbudowałem firmę. Nie mogłem się doczekać wieczornego powrotu do domu, żeby opowiedzieć jej o swoim dniu. Kładłem się z nią do łóżka i o niej snilem. Była moja fascynacja, zona, najlepszym przyjacielem, miłością mojego życia. A pewnego dnia odeszła bez ostrzeżenia i w moim życiu zapanowała pustka. Nie rozumie pan.**

**Ale Charlie rozumiał.**

**–Ma pan dzieci, panie Mainheart?**

**–Dwoch synów. Przyjechali na pogrzeb, a potem wrócili do domów, do swoich rodzin. Powiedzieli, że robią, co będą mogli, ale...**

**–Nie mogą – dokończył za niego Charlie. – Nikt nie może.**

**Mężczyzna podniósł na niego wzrok. Jego blada, nijaka twarz kojarzyła się ze zmumifikowanym bassetem.**

**–Chce umrzeć.**

**–Proszę tak nie mówić – powiedział Charlie, bo tak wypadło. – To minie.**

**Powiedział to, co wszyscy powtarzali jemu. Wiedział, że to bzdurne banale.**

**–Była... – Głos Mainhearta zamarł na granicy szłochu. Oto silny człowiek, nagle**

**przytłoczony zalem i zawstydzony, ze go okazuje.**

**–Wiem – powiedział Charlie, myslac o miejscu, ktore Rachel wciaz zajmowala w jego sercu. I o tym, jak trafil dech, gdy odwracal sie do kuchni, by cos do niej powiedziec, a jej tam nie bylo.**

**–Byla...**

**–Wiem – przerwal mu Charlie, chcac ulatwic starcowi sprawe, wiedzial bowiem, co on czuje. "Byla sensem, porzadkiem i swiatlem, a teraz, gdy jej zabraklo, chaos spadl na mnie jak ciemna, olowiana chmura".**

**–Byla tak fenomenalnie glupia.**

**–Co? – Charlie podniosl wzrok tak szybko, ze uslyszal chrzest kregu w swojej szyi. Tego sie nie spodziewal.**

**–Ta durna baba zjadla silikazel.**

**–Co? – Charlie krecil glowa, jakby probowal cos z niej strzasnac.**

**–Silikazel.**

**–Co?**

**–Silikazel! Silikazel! Silikazel, idioto!**

**Charlie mial wrazenie, ze powinien w odpowiedzi wykrzyczec nazwe jakiejś tajemniczej substancji: "Simetykon! Simetykon! Simetykon, matole!". Ale zamiast tego spytal:**

**–To, z czego robia sztuczne biusty? – Obraz dobrze ubranej, starszej kobiety, pochlaniajacej lyzeczka breje ze sztucznego cycka przebiegal przez jego zwoje mozgowe jak jakajacy sie koszmar.**

**Mainheart wstal, podpierajac sie na toaletce.**

**–Nie, te kuleczki w paczuszkach, ktore wkladaja do pudelek ze sprzetem elektronicznym i aparatami fotograficznymi.**

**–Te torebki z napisem "Nie jesc"?**

**–Wlasnie.**

**–Ale na paczce sa ostrzezenia. Zjadla to?**

**–Tak. Kusnierz wlozyl te paczuszki razem z jej futrami, kiedy zainstalowal te gablote. – Mainheart wskazal reka.**

Charlie odwrócił się i za dużymi drzwiami garderoby, przez które weszli, zobaczył podświetlaną szklaną gablotę. W środku wisiał jakiś tuzin futer. Gablota miała zapewne własne urządzenie klimatyzacyjne kontrolujące wilgotność, ale uwagę Charliego zwróciło coś innego. Mimo oświetlenia gabloty jedno z futer wyraźnie świeciło na czerwono i pulsowało. Powoli odwrócił się do Mainhearta, unikając gwałtownych reakcji, niepewny, co właściwie byłoby w tej sytuacji gwałtowna reakcja. Starł się mówić spokojnym głosem, ale nie chciał dać sobie wcisnąć kitu.

–Panie Mainheart, przykro mi z powodu pańskiej żony, ale czy dzieje się tu coś więcej, niż mi pan powiedział?

–Niestety, nie rozumiem, o co panu chodzi.

–Chcę wiedzieć – wyjaśnił Charlie – dlaczego spośród wszystkich sklepów z używaną odzieżą w Bay Area wybrał pan właśnie mój? Są ludzie, którzy mają znacznie lepsze kwalifikacje, by zająć się kolekcją o takim rozmiarze i jakości. – Przypadł do gabloty z futrami i otworzył drzwi. Rozległ się krótki szum i cyknięcie, jak przy otwieraniu lodówki. Złapał świecące futro – wyglądało na lisie. – Co to jest? Czy wezwanie miało z tym coś wspólnego?

Trzymał futro tak, jakby pokazywał oskarżonemu narzędzie zbrodni. "Krótko mówiąc" – chciał dodać – "robi mnie pan w konia?".

–Był pan pierwszym handlarzem używanej odzieży w książce telefonicznej.

Charlie upuścił futro.

–Asher?

–Zaczyna się na "A" – powiedział Mainheart powoli i ostrożnie, wyraźnie zwalczając w sobie ochotę, by ponownie nazwać Charliego idiotą.

–Czyli to nie miało nic wspólnego z tym futrem?

–Miało. Chcę, żeby zabrał pan to futro razem z całą resztą.

–Aha – mruknął Charlie, próbując się otrząsnąć. – Proszę pana, jestem wdzięczny, że się pan zgłosił, i to jest bez wątpienia piękny zbiór ubrań, wręcz niesamowity, ale nie mam możliwości, by przyjąć taki towar. I będę z panem szczerzy, choć mój ojciec pewnie przewróci się w grobie, jeśli to panu powiem. W tej garderobie są ubrania warte zapewne milion dolarów. Może więcej. Uwzględniając miejsce w magazynie i czas poświęcony na odsprzedaż, należałoby chyba zapłacić jedną czwartą tej sumy. Nie mam takich pieniędzy.

–Możemy się jakos dogadać – odparł Mainheart. – Byle zabrać to z domu...

–Mogłbym wziąć część w komis...

**–Piecset dolarow. – Co?**

**–Niech mi pan zaplaci piecset dolarow i zabierze to wszystko do jutra. Sprawa zalatwiona.**

**Charlie zaczal protestowac, ale czul, ze jesli nie przestanie, przybedzie duch jego ojca, by walnac go w glowe spluwaczka.**

**"Swiadczymy wazne uslugi, synu. Jesteśmy jak sierociniec dla przedmiotow, bo bierzemy te niechciane i nadajemy im wartosc".**

**–Nie moglbym tego zrobic, panie Mainheart. To by bylo wykorzystywanie panskiego zalu.**

**"Na litosc boska, ty pieprzony frajerze, nie jestes moim synem. Nie mam syna". Czy to duch ojca pobrzekiwal lancuchami w jego glowie? W takim razie dlaczego posluzyl sie glosem i slownictwem Lily? Czy sumienie moze byc chciwe?**

**–Wyswiadczylbym mi pan przysluge, panie Asher. Wielka przysluge. Jesli pan tego nie wezmie, zadzwonie do organizacji charytatywnej. Obiecalem Emily, ze jesli cos jej sie stanie, nie oddam jej rzeczy za darmo. Prosze.**

**W glosie mezczyzny bylo tyle cierpienia, ze Charlie musial odwrocic wzrok. Wspolczul mu, bo naprawde rozumial. Nie mogl mu w zaden sposob pomoc, powiedziec "bedzie lepiej", tak jak wszyscy powtarzali jemu. Nie bylo lepiej. Inaczej, ale nie lepiej. A ten facet mial o piecdziesiat lat wiecej, dodatkowe pol wieku nadziei, czy – w tym wypadku – historii.**

**–Musze pomyslec. Sprawdze, jak stoje z miejscem. Jesli dam rade, zadzwonie jutro. Mozemy sie tak umowic?**

**–Bede wdzieczny – odparl Mainheart.**

**A potem, bez wyraznego powodu, Charlie spytal:**

**–Moge wziac to futro ze soba? Jako probke jakosci, na wypadek gdybym musial sie podzielic tym zbiorem z innymi sklepami.**

**–W porzadku. Odprowadze pana.**

**Gdy weszli do rotundy, jakis cien przelecial za pancernymi oknami na wysokosci trzeciego pietra. Duzy cien. Charlie przystanal na schodach, czekajac na reakcje gospodarza, ten jednak schodzil dalej, opierajac sie ciezko o porecz. Kiedy dotarl do drzwi, odwrocil sie do Charlie-go i wyciagnal reke.**

**–Przepraszam za ten, ee, wybuch na gorze. Nie jestem soba, od kiedy...**

**Gdy zaczal otwierac drzwi, na ziemie na zewnatrz opadla jakas postac. Przez szklo bylo widac ptasi kontur wielkosci doroslego mezczyzny.**



**–Nie! – Charlie rzucił się naprzód, odepchnął Main-hearta i zatrzasnął drzwi na głowie wielkiego ptaka.**

**Ciężki, czarny dziób wsunął się do środka, klekocząc niczym wielkie szczypce i potrącając stojak na parasole, które rozsypały się na marmurowej posadzce. Twarz Charliego znajdowała się ledwie o centymetry od ptasiego oka. Naparł na drzwi ramieniem, nie chcąc, by dziób oderwał mu rękę. Ptak miotał się, by się uwolnić, a jego szpony podrapały szkło, zostawiając głęboką rysę na jednej z fazowanych szyb.**

**Charlie uderzył biodrem o futrynę, po czym zsunął się po niej, upuścił futro i wziął jeden z parasoli z podłogi. Dźgnął, chcąc trafić opierzona szyję ptaka, ale jeden z czarnych pazurów wsunął się przez szparę, rozcinając mu marynarkę, rękaw koszuli i ciało. Charlie pchnął parasolem z całej siły, wypychając ptasia głowę z powrotem na zewnątrz.**

**Kruk zaskrzeczał i wzbil się w powietrze z głośnym łopotem skrzydeł. Charlie leżał na plecach, bez tchu, i patrzył na pancerne szyby, jakby w każdej chwili cien wielkiego ptaka mógł powrócić. Potem spojrzał na Michaela Main-hearta, który leżał bezładnie na boku niczym marionetka bez sznurków. Przy jego głowie spoczywała laska z raczką z kości słoniowej, która wyrzeźbiono w kształt głowy niedźwiedzia polarnego. Laska wypadła ze stojaka na parasole. Świeciła na czerwono. Mężczyzna nie oddychał.**

**–Przejebane – powiedział Charlie.**

## **6. BOHATEROWIE MIMO WOLI**

**W alei za Komisem Ashera Cesarz San Francisco karmił żołnierzy focaccia z oliwkami i starał się, by psia flegma nie zepsuła mu śniadania. – Cierpliwości, Bummer – powiedział do boston teriera, który skakał do wczorajszego, płaskiego bochenka niczym porośnięta sierścią, kauczukowa piłka, podczas gdy Lazarus, poważny golden retriever, stał obok, czekając na swoją porcję.**

**Bummer parsknął niecierpliwie w odpowiedzi (stad psia flegma). Był okropnie głodny, bo dzisiaj śniadanie się spóźniło. Cesarz spał na ławce przy Muzeum Morskim i w nocy jego ogarnięte reumatyzmem kolano wysunęło się z welnianego płaszcza na wilgotny ziab, przez co marsz do North Beach i włoskiej piekarni, która dawała im za darmo czerstwe pieczywo, stał się istną drogą przez meke. Cesarz jęknął i usiadł na pustej skrzynce po mleku. Postura przypominał niedźwiedzia, ramiona miał szerokie, choć nieco zapadnięte od dźwigania ciężaru miasta. Zmierzwiła platanina siwych włosów i brody okalała jego twarz niczym burzowa chmura. O ile pamiętał, patrolował miasto wraz z żołnierzami od zawsze, choć jeśli się nad tym zastanowić, może tylko od zeszłej srody. Nie był do końca pewien. Cesarz postanowił wygłosić do żołnierzy odezwę na temat znaczenia współczucia w obliczu narastającej fali podstępnego kurestwa i politycznego cwaniactwa w pobliskim królestwie Stanów Zjednoczonych. (Zauważył, że jego publiczność najpilniej słucha odezw wtedy, gdy doprawiona mięsem focaccia wciąż tkwi w otchłani kieszeni jego płaszcza, a w tej chwili wonny bochenek z peperoni i parmezanem**

spoczywał w welnianych zakamarkach, więc krolewskie ogary wyteżaly sluch). Jednakże, gdy odchrzaknął, by zacząć przemowę, zza rogu wyjechała z piskiem opon furgonetka. Przechyliła się na dwa koła, kosząc rząd pojemników na śmieci, i zatrzymała najwyżej piętnaście metrów dalej. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wyskoczył szczupły mężczyzna w garniturze, trzymający łaskę i damskie futro, a następnie ruszył prosiutko ku tylnym drzwiom Komisu Ashera. Zanim jednak uszedł dwa kroki, runął na beton, jakby coś uderzyło go z tyłu, po czym przekreślił się na plecy i zaczął wymachiwać w powietrzu łaską oraz futrem. Cesarz, który znalazł niemal wszystkich, rozpoznał Charliego Ashera. Bummer szczekał jak szalony, ale bardziej zrownoważony Lazarus warknął tylko raz i pobiegł do Charliego.

–Lazarus! – krzyknął Cesarz, ale pies gnał naprzód, scigany teraz przez wielkookiego towarzysza broni.

Charlie zerwał się już na nogi i machał łaską, jakby pojedynkował się z jakimś widmem, używając futra jako tarczy. Mieszkając na ulicy, Cesarz niejednokrotnie widział ludzi walczących z niewidzialnymi demonami, ale Charlie Asher najwyraźniej zaliczał trafienia. Rozlegały się odgłosy uderzeń, mimo że łaska tylko przeszywała powietrze – chociaż nie, tam coś było, jakiś cien...

Cesarz wstał i pokustykał w stronę komisu. Uszedł ledwie dwa kroki, gdy Lazarus skoczył, by, jak się zdawało, zaatakować Charliego. Przeleciał jednak nad nim i klapnął zębami gdzieś nad jego głową – a potem zawisł z klami zatopionymi w jak najbardziej materialnej krtani z przejrzystego powietrza.

Charlie wykorzystał sytuację, cofnął się o krok i machnął łaską nad kwitującym psem. Rozległ się trzask i Lazarus pusczył, ale teraz Bummer rzucił się na niewidzialnego wroga. Spudłował i z wizgiem wpadł do kosza na śmieci. Charlie znowu ruszył do stalowych drzwi komisu, te jednak okazały się zamknięte. Gdy sięgnął po klucze, coś złapało go z tyłu.

–Puszczaj, pojebanu – wycharczał.

Futro, które trzymał, zostało mu wyrwane z ręki, po czym pomknęło w górę i zniknęło nad czteropiętrowym budynkiem.

Charlie odwrócił się, trzymając łaskę w pogotowiu, ale najwyraźniej nic się tam już nie czaiło.

–Nie powinienes siedzieć nad drzwiami, krzyżec "nigdy już", być poetycki i w ogóle?! – wrzasnął w kierunku nieba. A potem na dokładkę dorzucił jeszcze: – Ty wstretny popaprancu!

Lazarus szczekał, a potem zaskamlał. Z pojemnika na śmieci, do którego wpadł Bummer, dobiegło ostre, metaliczne szczekanie.

–Czegoś takiego nie widuje się codziennie – odezwał się Cesarz, kustykając w stronę Charliego.

–Widziałes to?

–No nie, właściwie nie. Tylko cien, ale widziałem, że coś tam jest. Bo było, prawda?

Charlie skinął głową, próbując złapać oddech.

–To wróci. Scigało mnie przez miasto. – Grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. – Powinnście schować się ze mną w sklepie, wasza wysokość. – Charlie oczywiście znalazł Cesarza. Każdy mieszkaniec San Francisco go znalazł. Cesarz uśmiechnął się.

–Bardzo miło z twojej strony, ale będziemy zupełnie bezpieczni. Na razie musimy uwolnić podopiecznego z tego cynkowanego więzienia.

Wielki mężczyzna przechylił pojemnik na śmieci i ze środka wyłonił się Bummer, parszcząc i machając głową, jakby był gotów odgryźć tyłek każdemu człowiekowi lub zwierzęciu, które stanęłoby mu drodze (i zrobiłby to, pod warunkiem, że przeciwnik miałby najwyżej pół metra wzrostu). Charlie wciąż miał kłopoty z kluczem. Wiedział, że zamek należało dawno wymienić – ale działał przy odrobinie finezyjnego kreacenia, więc nigdy nie była to sprawa priorytetowa. Kto by, do diabła, przypuszczał, że kiedyś będzie musiał szybko dostać się do środka, żeby uciec przed olbrzymim ptakiem? A potem usłyszał krakanie i odwrócił się, by zobaczyć nie jednego, a dwa wielkie kruki, przelatujące nad dachem i opadające nad zaułek. Z psich gardel dobiegła się salwa gorączkowych szczeknięć na skrzydlatych intruzów, a Charlie włożył tyle języka ciała w manipulowanie kluczem, że poczuł rwanie będącego w zaniku mięśnia tanecznego w swoim biodrze.

–Wróciły. Oslaniaj mnie.

Charlie rzucił laskę Cesarzowi i przygotował się na uderzenie, ale w chwili, gdy laska dotknęła dłoni starca, ptaki zniknęły. Było nawet słychać syk powietrza zajmującego zwolnione przez nie miejsce. Psy przestały jazgotać. Bummer zaskamlał.

–Co? – spytał Cesarz. – Co?

–Nie ma ich.

Mężczyzna popatrzył w niebo.

–Na pewno?

–Na razie tak.

–Widziałem dwa cienie. Tym razem naprawdę widziałem – powiedział Cesarz.

–Tak, tym razem były dwa.

–A co to jest?

**–Nie mam pojęcia, ale kiedy wzięłaś laske, one... no, zniknęły. Naprawdę je widziałeś?**

**–Jestem tego pewien. Wyglądały jak zmierzający do jakiegoś celu dym.**

**W końcu klucz przekreślił się i drzwi na zaplecze stały otworem.**

**–Może wejdiesz. Odpoczniesz. Zamów coś do jedzenia.**

**–Nie, nie, muszę iść na obchód z żołnierzami. Dzisiaj rano postanowiłem przygotować odezwę, więc musimy się spotkać z drukarzem. Masz, będzie ci potrzebna. – Cesarz podał mu laske, jakby to był miecz koronacyjny.**

**Charlie już chciał ją wziąć, ale zmienił zdanie.**

**–Zachowaj ją, wasza wysokość. Zdaje się, że znajdziesz dla niej zastosowanie. – Głowa wskazała osłabione kolano Cesarza. Tamten wciąż trzymał laske w wyciągniętej ręce.**

**–Wiesz, że nie należy do czcicieli dóbr materialnych?**

**–Rozumiem.**

**–Głęboko wierzę, że poządanie to główne źródło ludzkich cierpien, a najbardziej podstępna jego odmiana stanowi chęć posiadania.**

**–W biznesie kieruje się tymi zasadami. Mimo wszystko nalegam, byś zachował te laske. Bądź tak uprzejmy i wyświadcz mi tę przysługę.**

**Stwierdził, że naśladuje formalny sposób mówienia Cesarza, jakby w jakiś sposób przeniesiono go na dziwny królewski dwór, gdzie szlachcica poznaje się po wplątanych w brode okruchach, a palacowi gwardzisci nie mają nic przeciwko lizaniu się po jajkach.**

**–Jeśli mówimy o przysłudze, zgadzam się. To piękna, reczna robota.**

**–Co ważniejsze, pozwoli ci dokonać obchodu w krótszym czasie.**

**Cesarz zdradził się z tkwiącą w głębi jego serca chęcią posiadania, uśmiechając się szeroko i przyciskając laske do piersi.**

**–Zaiste, piękna. Charlie, muszę ci coś wyznaczyć. Nalegam, byś obdarzył mnie zaufaniem, należnym człowiekowi, który właśnie wraz z przyjacielem ujrzał dwa cienie w kształcie wielkich kruków.**

**–Ma się rozumieć. – Charlie uśmiechnął się, choć jeszcze przed chwilą był gotów uznać, że w ciągu minionych miesięcy jego uśmiech zaginał na dobre.**

**–Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za niegodziwca, ale w chwili, gdy jej dotknąłem,**

**poczulem sie tak, jakbym czekal na to cale zycie. I wtedy, bez zadnego wyraznego powodu, Charlie odpowiedzial:**

**–Wiem.**

**Kilka minut wczesniej Lily pograzyla sie w myslach. Nie bylo to jej zwykle zamyslenie, stanowiace reakcje na swiat, w ktorym wszyscy byli glupi, a zycie nie mialo sensu, zwlaszcza jesli twoja matka zapomniala kupic kawe. Bylo to bardziej szczegolne zamyslenie, ktore zaczelo sie w chwili, gdy przyszla do sklepu i Ray oznajmil, ze dzis przypada jej kolej na noszenie tiary do odkurzania. Potem zaczel sie upierac, ze skoro nosi tiare, powinna naprawde odkurzac sklep. (Prawde mowiac, lubila ten diadem z krysztalem gorskim. Charlie, w przyplywie mieszczańskiego sprytu, oglosil, ze bedzie go nosila wylacznie osoba, zajmujaca sie danego dnia odkurzaniem i zmiataniem. Lily protestowala nie przeciwko diademowi, lecz samym czynnosciom odkurzania i zmiatania. Czula sie manipulowana i wykorzystywana, bynajmniej nie w przyjemny sposob). Dzisiaj jednak, gdy juz odlozyla diadem i odkurzacz, a takze wreszcie wprowadzila do organizmu kilka kubkow kawy, zamyslenie trwalo, przeradzajac sie w koncu w dojmujacy niepokoj. Dotarlo do niej bowiem, ze musi jakos rozwiacz kwestie "studia-kariera". Niestety, wbrew temu, co napisano w Bardzo wielkiej ksiedze Smierci, Lily nie zostala wybrana na mrocznego sluge zniszczenia. Kurwa mac!**

**Stala na zapleczu i patrzyla na wszystkie przedmioty, ktore Charlie zgromadzil tam poprzedniego dnia: buty, lampy, parasole, porcelanowe figurki, zabawki, pare ksiazek, czarno-bialy telewizor i portret klauna na czarnym aksamicie.**

**–Powiedzial, ze te rzeczy swieca? – spytala Raya, ktory stal w wejsci do sklepu.**

**–Tak. Kazal mi je sprawdzic licznikiem Geigera.**

**–Ray, skad ty, kurwa, masz licznik Geigera?!**

**–Lily, skad masz w nosie kolczyk w ksztalcie nietoperza? Zignorowala jego pytanie i wziela ceramiczna zabe, na ktorej teraz naklejono kartke z napisem NIE SPRZEDAWAC ANI NIE WYSTAWIAC, wykaligrafowanym przez Charliego rownymi, drukowanymi literami.**

**–To byla jedna z tych rzeczy? To?**

**–Od niej sie zaczely te wszystkie wyglupy – odparl rzeczowo Ray. – Strazniczka szkolna probowala to kupic. Wtedy sie zaczelo.**

**Lily byla wstrzasnieta. Cofnela sie do biurka Charliego i usiadla na skrzypiacym, debowym krzesle obrotowym.**

**–Widzisz cos swiecacego albo pulsujacego, Ray? Zdarzylo ci sie to?**

**Pokrecil glowa.**

**–Przezyl wiele stresow. Smierc Rachel, opieka nad dzieckiem. Mysle, ze moze potrzebuje pomocy. Pamietam, ze kiedy musialem odejsc z policji... – Urwal.**

**W zauлку wybuchlo jakies zamieszanie, rozleglo sie szczekanie psow i ludzkie krzyki, a potem ktos usilowal przekrecic klucz w zamku. Sekunde pozniej do srodka wszedl Charlie, w ubraniu tu i owdzie uwalanym brudem, z podartym i upackanym krwia rekawem marynarki.**

**–Asher – powiedziala Lily. – Jestes ranny.**

**Szybko zwolnila mu krzeslo, a Ray ujal go za ramiona i posadzil.**

**–Nic mi nie jest – odparl Charlie. – To drobiazg.**

**–Przyniose apteczke – powiedzial Ray. – Zdejmij mu te marynarkę, Lily.**

**–On majaczy – stwierdzila Lily, probujac sciagnac ze sojego szefa marynarkę. – Masz jakies proszki przeciwbolowe, Ray?**

**–Nie potrzebuje proszkow przeciwbolowych – wtracil Charlie.**

**–Zamknij sie, Asher, nie mialy byc dla ciebie – odparla odruchowo Lily, po czym pomyslala o ksiedze, o opowiesci Laya, o karteczkach na przedmiotach z zaplecza i w koncu wzruszyla ramionami. Wygladalo na to, ze Charlie nie jest ciapa, za jakiego zawsze go uwazala. – Przepraszam, szefie. pomozemy ci.**

**Ray wrocil z mala, plastikowa apteczka. Odwinal Charliemu rekaw i zabral sie do oczyszczania rany za pomoca gazy i wody utlenionej.**

**–Co sie stalo?**

**–Nic – odparl Charlie. – Posliznalem sie i upadlem na zwir.**

**–Dosc czyste skaleczenie. Nie widac w nim sladow zwiru. To musial byc niezly upadek.**

**–To dluga historia. – Charlie westchnal. – Au!**

**–Co to byly za halasy w zauлку? – spytala Lily, ktorej bardzo chcialo sie palic, ale jakos nie mogla zebrac sie w sobie i wyjsc.**

**Nie miescilo jej sie w glowie, ze Charlie Asher zostal wybrany. Jakim cudem wlasnie on? Byl taki... taki niegodny. W przeciwienstwie do niej, nie rozumial mrocznego podbrzusza tego swiata. A jednak to on widzial swiecace przedmioty. On. Byla zalamana.**

**–To tylko psy Cesarza pogonily mewe przy smietniku. Nic takiego. A ja spadlem z werandy na Pacific Heights.**

–A, ta rezydencja – przypomniał sobie Ray. – Jak poszło?

–Nie najlepiej. Pograzony w bolu maz dostal ataku serca, kiedy tam bylem.

–Zartujesz.

–Nie. Przytloczyly go mysli o zonie i nagle upadl. Zrobilem mu sztuczne oddychanie, a potem przyjechalo pogotowie i zabralo go do szpitala.

–No – odezwala sie Lily – a miales... ee... widziales cos szczegolnego?

–Co? – Charlie szerzej otworzyl oczy. – Jak to "szczegolnego"? Nie bylo tam nic szczegolnego.

–Luz, szefie, chodzilo mi tylko o ubrania po tej babci. To on, pomyslala. Skurwiel.

Charlie pokrecil glowa.

–Nie wiem. To takie dziwne. Cala ta sprawa jest dziwna. – Az zadrzal, gdy to mowil.

–Jak dziwna? – spytala Lily. – Dziwna w fajny, mroczny sposob czy dziwna, bo jestes Asher i we wszystkim sie gubisz?

–Lily! – warknal Ray. – Idz do sklepu. Odkurz cos.

–Nie jestes moim szefem, Ray. Ja tylko okazuje troske.

–W porzadku, Ray. – Charlie wygladal tak, jakby sie zastanawial, jak dokladnie opisac znaczenie slowa "dziwna" i nie byl w stanie wymyslic zadnej zadowalajacej definicji. W koncu powiedzial: – No, po pierwsze, rezydencja tej kobiety to nie nasza liga. Maz powiedzial, ze zadzwonil wlas'nie do mnie, bo bylem pierwszy w ksiazce telefonicznej, ale nie wygladal na faceta, który by cos takiego zrobil.

–To nie takie dziwne – stwierdzila Lily. "No, przyznaj sie", dodala w myslach.

–Mowiles, ze byl zalamany – wtracil Ray, wklepujac masc z antybiotykiem w skaleczenie Charliego. – Moze zachowuje sie inaczej niz zwykle.

–Tak, byl tez zly na zone za to, jak zmarla. – Jak?

–Zjadla silikazel – wyjasnil Charlie.

Lily zerknela na Raya, czekajac na wyjasnienia, bo slowo "silikazel" pachnialo technicznym zargonem, wiec Ray mial pole do popisu.

–To srodek osuszajacy, który wkladaja do pudelek z elektronika i innymi rzeczami

wrażliwymi na wilgoc – powiedział.

–Te torebki z napisem "Nie jesc"?! – wykrzyknęła Lily. – Moj Boze, jakie to głupie. Każdy wie, że nie je się torebek z napisem "Nie jesc".

–Pan Mainheart był zdruzgotany – rzekł Charlie.

–Nie dziwie się – odparła dziewczyna. – Ożenił się z kompletną kretynką.

Charlie aż się skulił.

–Lily, tak nie można.

Wzruszyła ramionami i wywrocila oczyma. Nie znosiła, kiedy wpadał w ojcowski ton.

–Dobra, dobra. Ide zajarac.

–Nie! – Charlie zerwał się na nogi i stanął między Lily a tylnymi drzwiami.

–Ale mówiles, że wyglądam jak nieletnia prostytutka, kiedy pale od frontu.

–Zmieniłem zdanie. Dojrzałas.

Przymknęła jedno oko, by sprawdzić, czy zdoła głębiej wejrzyć w duszę Charliego i odkryć jego prawdziwe motywy. Wyglądziła czarna błyszcząca spodnice, która wydała udreżony, piskliwy dźwięk.

–Próbujesz powiedzieć, że mam wielki tyłek, tak?

–Absolutnie nie mówię nic takiego – odparł Charlie. – Twierdzą po prostu, że twoja obecność przed sklepem to duży plus i na pewno przyciągnie klientów spośród turystów jeżdżących tramwajem linowym.

–A. Dobra.

Wzięła paczkę papierosów z biurka, minęła ladę i wyszła na zewnątrz, by pograć się w myślach, a właściwie w żalu, jako że wbrew swojej wielkiej nadziei nie była Śmiercią. Księga należała do Charliego. Tego wieczoru Charlie siedział w sklepie i zastanawiał się, czemu okłamał swoich pracowników, gdy zobaczył, że za oknem przemyka coś o płomiennej barwie. Chwilę później drzwi otworzyła rudowłosa kobieta. Miała na sobie krótka koktajlowa sukienka i czarne buty na obcasach typu "zerknij mnie". Przeszła przez sklep tak, jakby brała udział w castingu do teledysku. Długie loki opadały jej na ramiona i plecy niczym rudy welon. Jej oczy miały kolor szmaragdów, a gdy zobaczyła, że Charlie na nią patrzy, uśmiechnęła się i przystanęła jakieś trzy metry od niego.

Charlie poczuł niemal bolesny dreszcz, emanujący gdzieś z okolic krocza. Po sekundzie



rozpoznał to uczucie jako samoistny przyływ chuci. Od kiedy Rachel odeszła, nie przydarzyło mu się nic podobnego, i poczuł teraz irracjonalny wstyd.

Babka szacowała go wzrokiem, tak jak mogłaby to robić, patrząc na używany samochód. Charlie był pewien, że oblał się rumieńcem.

–Dzień dobry – powiedział. – Czym mogę służyć? Rudowłosa znowu się lekko uśmiechnęła, po czym sięgnęła do małej czarnej torebki, której wcześniej nie zauważył.

–Znalazłam coś takiego – oznajmiła, pokazując srebrną papierosnicę. Ostatnio Charlie nieczęsto widywał takie rzeczy, nawet na rynku rzeczy używanych. Papierosnica świeciła, pulsowała, tak jak towary na zapleczu. – Przechodziłam obok i przyszło mi do głowy, że jej miejsce jest tutaj.

Stanela przyładzie naprzeciwko Charliego i położyła przed nim papierosnicę.

Ledwo mógł się ruszyć. Patrzył na nią, nieswiadomy tego, że aby uciec przed jej spojrzeniem, gapi się na jej dekolt.

Ona z kolei podazała wzrokiem wokół jego głowy i ramion, jakby śledziła jakieś latające wokół niego owady.

–Dotknij mnie – powiedziała.

–He? – Uniosł wzrok i stwierdził, że się nie przesłyszał.

Kobieta wyciągnęła dłoń. Paznokcie miała wypielegnowane i pomalowane takim samym głębokim odcieniem czerwieni, jaki miała jej szminka. Wzjął ją za rękę.

Ledwie go dotknęła, a już cofnęła dłoń.

–Jestes ciepły.

–Dzięki. – W tym momencie dotarło do niego, że ona nie była ciepła. Miała lodowate palce.

–Wiec nie jesteś jednym z nas?

Zaczął się zastanawiać, o jakich "nas" chodzi. Irlandczyków? Niskociśniowców? Nimfomanki? Zaraz, czemu przyszło mu to do głowy?

–Jednym z nas? Co to znaczy "nas"? Cofnęła się o krok.

–Nie. Nie zabierasz tylko słabych i chorych, prawda? Zabierasz wszystkich.

–Zabieram? Jak to "zabieram"?

–Nawet nie wiesz co?

–Czego nie wiem? – Coraz bardziej sie denerwował. Jako samiec beta miał trudności z samym funkcjonowaniem pod okiem pięknej kobiety, ale ta tutaj wprost budziła grozę. – Zaraz. Widzisz, że świeci? – Podniósł papierosnice.

–Nie. Po prostu poczułam, że tu jest jej miejsce – odparła. – Jak się nazywasz?

–Charlie Asher. To jest Komis Ashera.

–Wiesz, Charlie, wydajesz się miły i nie do końca wiem, kim jesteś. Wygląda na to, że ty sam nie wiesz. Bo nie wiesz, prawda?

–Ostatnio trochę się w moim życiu zmieniło – powiedział, nie mając pojęcia, czemu czuje, że powinien o tym mówić.

Kobieta skinęła głową, jakby sama sobie przytakiwała.

–Dobra. Wiem, jak to jest, eee, kiedy nagle znajdziesz się w takiej sytuacji, że siły, których nie kontrolujesz, zmieniają cię w kogoś, w coś... do czego nie masz instrukcji obsługi. Rozumiem, jak to jest nie wiedzieć. Ale ktoś, gdzieś... wie. Ktoś może ci powiedzieć, co się dzieje.

–O czym ty mówisz? – zapytał, choć znał odpowiedź. Nie wiedział tylko, skąd ona może wiedzieć.

–Sprawiasz, że ludzie umierają, prawda, Charlie? – Powiedziała to tak, jakby zebrala się na odwagę, by oznajmić mu, że ma trochę szpinaku na zębach. Zabrzmiało to raczej jak przysługa niż zarzut.

–Skąd ty...? – Skąd ona...?

–Bo sama to robie. Nie tak jak ty... ale robie to. Znajdź ich, Charlie. Cofnij się do chwili, gdy twój świat się zmienił, i znajdź tych, którzy przy tym byli.

Charlie popatrzył najpierw na nią, potem na papierosnice, a w końcu znowu na kobietę, która już się nie uśmiechała, lecz cofała w stronę drzwi. Starając się nie tracić kontaktu z normalnością, skupił się na papierosnicy i rzekł:

–Mysle, że mogę dokonać wyceny...

Usłyszał dźwięk dzwonka nad drzwiami, a gdy podniósł wzrok, jej już nie było.

Przez żadne z okien po obu stronach drzwi nie dostrzegł, jak się oddala. Po prostu jej nie było. Przebiegł przez sklep, dopadł drzwi i wyskoczył na chodnik. Tramwaj linowy właśnie dojeżdżał do szczytu wzgórza przy California Street. Do uszu Charliego dobiegało dzwonienie.

Znad zatoki plynela rzadka mgla, rzucajaca barwne nimby wokol neonow nad innymi sklepami, ale na calej ulicy nie bylo zadnej rudowlosej pieknosci. Doszedl do rogu i spojrzal w dol Vallejo Street, ale znowu nie zobaczyl tej rudej, a jedynie Cesarza, ktory siedzial oparty o sciane budynku, w towarzystwie swoich psow.

–Dobry wieczor, Charlie.

–Wasza wysokosc, widziales tu przed chwila ruda kobiete?

–A, tak. Rozmawialem z nia. Nie wiem, czy masz u niej szanse, zdaje sie, ze jest zajeta. I uprzedzila mnie, zebym trzymal sie od ciebie z daleka.

–Dlaczego? Powiedziala, dlaczego?

–Powiedziala, ze jestes Smiercia.

–Ja? – powiedzial Charlie. – Jestem? – Glos uwiازل mu w gardle, gdy przez glowe przebiegaly wspomnienia z calego dnia. – A jesli jestem?

–Wiesz, synu – odezwal sie Cesarz – nie jestem specjalista w kontaktach z plcia piekna, ale moze lepiej zachowuj te informacje dla siebie gdzieś tak do trzeciej randki, zeby zdazyly cie troche poznać.

## 7. TANATOST

Choc wyobraznia samca beta czesto powodowala u Charliego niesmialosc, a nawet paranoje, to kiedy szlo o przyjmowanie tego, co nie do przyjecia, spisywala sie jak papier toaletowy z kewlaru: kuloodporny, choc troszke uciazliwy w stosowaniu. Charlie Asher nie mogl zginac z powodu niezdolnoscii uwierzenia w rzeczy niewiarygodne. Nie mial zostac owadem, rozplaszczonym na brudnej szybie braku wyobrazni. Zdawal sobie sprawe, ze wszystko, co przydarzylo mu sie poprzedniego dnia, dla wiekszosci ludzi lezalo poza granica prawdopodobienstwa. A poniewaz jego jedynym swiadkiem byl facet, ktory uwazal sie za Cesarza San Francisco, nikt nie uwierzy, ze scigaly go kruki o cuchnacym oddechu, a seksowna wyrocznia w dziwkarskich butach na wysokim obcasie oznajmila mu, ze jest przewodnikiem wycieczek w zaswiaty.

Nawet Jane by czegos takiego nie kupila. Tylko jedna osoba moglaby dac mu wiare i po raz dziesieciotysieczny poczul, ze brak Rachel otwiera w jego klatce piersiowej miniaturowa czarna dziure. A zatem jego wspolspiskowcem zostala Sophie.

Malenkie dziecko, ubrane w spioszki z wizerunkiem Elmo i niemowlece martensy (zasluga cioci Jane), siedzialo w foteliku samochodowym na blacie kuchennym, obok akwarium. (Charlie kupil coreczke szesc duzych zlonych rybek mniej wiecej w czasie, gdy zaczela zauwazac ruchome obiekty. Mala dziewczynka potrzebuje zwierzat domowych. Nadal im imiona prawnikow z telewizji. W tej chwili Matlock plynal za Perrym Masonem i probowal zjesc dlugie

**pasmo rybich odchodow, ktore ciagnelo sie za Perrym).**

**Sophie miala po matce ciemne wloski, a takze, o ile Charlie sie nie mylil, spogladala na niego z ta sama niepewna tkliwoscia (i ze struzka sliny na wargach).**

**–Wiec jestem Smiercia – powiedzial Charlie, usilujac zmontowac kanapke z tunczykiem. – Tatus jest Smiercia, kochanie.**

**Obejrzal tost, nie ufajac mechanizmowi w tosterze, bo producenci tosterow lubia czasem robic innych w konia.**

**–Smiercia – powtorzyl. Otwieracz do konserw zesliznal sie po puszcze i Charlie walnal obandazowana dlonia w blat. – Cholera!**

**Sophie zagulgotala i wydala z siebie radosne niemowlece bekniecie, co wedlug Charliego oznaczalo: "Naprawde, tatusiu? Mow dalej, prosze".**

**–Nie moge nawet wyjsc z domu, ze strachu, ze ktos padnie przede mna trupem. Jestem Smiercia, skarbie. Jasne, teraz cie to smieszy, ale nigdy nie trafisz do dobrego przedszkola, majac ojca, ktory wysyla ludzi do piachu.**

**Jako wyraz wspolczucia Sophie wypuscila banieczke sliny. Charlie recznie wysunal kromke z tostera. Byla troche niedopieczona, ale jesli wsunie ja z powrotem, spali sie, chyba ze nawet na sekunde nie spusi jej z oka i w odpowiednim momencie wysunie znowu. Wiec teraz pewnie zakazi sie jakimś rzadkim patogenem, obecnym w niedopieczonych tostach. Choroba wscieklych tostow! Ci cholerni producenci tosterow.**

**–To jest tost Smierci, mloda damo. – Pokazal jej kromke. – Tost Smierci.**

**Polozyl tost na stole i przypuscil ponowny atak na puszcze z tunczykiem.**

**–Moze to byla przenosnia? Znaczy, moze ta ruda miala na mysli, ze jestem, no wiesz, smiertelnie nudny? – Oczywiscie, to nie wyjasnialo wszystkich innych dziwnych historii, ktore mu sie przydarzily. – Jak myslisz? – spytal Sophie.**

**Czekal na odpowiedz, a na buzi malej zagoscil ten rachelopodobny, cwaniacki usmieszek (minus zeby). Bawila sie jego udreka. O dziwo, poczul sie lepiej, gdy zdal sobie z tego sprawe.**

**Otwieracz znowu sie zesliznal. Ciecz z konserwy zalala mu koszule, a tost polecial na podloge. Teraz przykleil sie do niego kurz. Kurz na jego toscie! Kurz na toscie Smierci. I co z tego, ze jestes Panem Zaswiatow, skoro masz kurz na swoim niedopieczonym toscie?**

**–Kurwa!**

**Porwal kromke z podlogi i rzucil ja obok Sophie do salonu. Mala sledzila ja wzrokiem, po**

czym znow spojrzala na ojca, z radosnym piskiem, jakby chciala powiedziec: "Jeszcze raz, tato. Jeszcze raz!".

Wyjal ja z fotelika i mocno przytulil, wdychajac slodko-kwasny zapach niemowlecia. Jego lzy wsiakaly w spioszki. Moglby to zrobic, gdyby tu byla Rachel. Ale bez niej nie mogl.

Nie wyjdzie. Oto rozwiazanie. Jedyny sposob, by mieszkancy San Francisco byli bezpieczni. Nie ruszy sie z mieszkania. A zatem przez nastepne cztery dni siedzial z Sophie w domu, wysylajac po zakupy pania Ling z gory. (Zgromadzil calkiem spory zbior warzyw, ktorych nie umial nazwac ani przyrzadzic, bo pani Ling, nie baczac na to, co umieszczal na liscie, zawsze robila zakupy na targu w Chinatown). Po dwoch dniach w notatniku przy lozku pojawilo sie nowe nazwisko, na co zareagowal tak, ze schowal notes pod ksiazka telefoniczna w kuchennej szufladzie.

Piatego dnia zobaczyl cien kruka na oknie w dachu budynku naprzeciwko. Z poczatku nie mial pewnosc, czy to olbrzymi kruk, czy tez zupełnie zwyczajny kruk, rzucajacy duzy cien. Jednakze, gdy sie zorientowal, ze jest poludnie, i wszystko rzuca cienie prosto w dol, ten mniejszy, przekorny kruk natychmiast wyfrunal z jego umyslu. Charlie zaciagnal story i usiadl w zamknietej na klucz sypialni, z Sophie, paczka pampersow, koszem plodow rolnych i dwoma szesciopakami – pokarmu dla niemowlat oraz gazowanej oranżady. Ukrywal sie tak, dopoki nie zadzwonil telefon.

–Co ty robisz? – uslyszal w sluchawce dudniacy, meski glos. – Oszalales?

Charlie byl zdumiony. Widzac numer na wyswietlaczu, myslal, ze to pomyłka.

–Jem takie cos, zdaje sie, ze to albo melon, albo kabaczek. – Popatrzył na zielonkawy owoc, który smakowal jak melon, ale wygladal raczej jak kabaczek z kolcami. (Pani Ling nazwala to "niech sie zamyka i je, bardzo zdrowe".) – Nawalasz – powiedzial mezczyzna. – Masz robote do wykonania. Rob, co mowi ksiega, albo stracisz wszystko, na czym ci zalezy. Nie zartuje.

–Jaka ksiega? Kto mowi? – spytal Charlie. Wydawalo mu sie, ze glos brzmi znajomo, co z jakiegos powodu natychmiast przelaczylo go w tryb alarmowy.

–Tego nie moge powiedziec. Przykro mi – odparl tamten. – Naprawde mi przykro.

–Mam identyfikacje numeru, durniu. Wiem, skad dzwonisz.

–Uups – powiedzial tamten.

–Trzeba bylo o tym pomyslec. Co z ciebie za straszliwa sila ciemnosci, skoro nie umiesz nawet zablokowac identyfikacji numeru?

Na malenkim wyswietlaczu telefonu widnialy slowa MUZYKA u FRESHA oraz numer. Charlie oddzwonil, ale nikt nie odebral. Zbiegl do kuchni, wygrzebal z szuflady ksiazke

telefoniczna i odszukał MUZYKE U FRESHA. Był to sklep płytowy niedaleko Market Street w dzielnicy Castro.

Telefon znowu zadzwonił i Charlie porwał słuchawkę tak gwałtownie, że uderzając się nią, niemal ukruszył sobie ząb.

–Ty nieczuła lajzo! – wrzasnął. – Masz pojęcie, przez co przeszedłem, potworze bez serca?

–Ej, pierdol się, Asher! – odparła Lily. – Jestem młoda, ale to nie znaczy, że nie mam uczuć. – I rozłączyła się.

Charlie oddzwonił.

–Komis Ashera – odezwała się Lily. – Prywatny sklep, od ponad trzydziestu lat w rękach burżuazyjnych niedomytych wafli.

–Lily, przepraszam. Myślałem, że to ktoś inny. Z czym dzwoniłaś?

–Moi?– spytała. – Je me jours de tagueule, espece degaufre de douche.

–Lily, przestan gadać po francusku. Powiedziałem, że przepraszam.

–Przyszła gliniarz i chce z tobą gadać – powiedziała.

Gdy Charlie wszedł po tylnych schodach na dół, Sophie była przypięta do jego piersi niczym bomba do terrorysty. Właśnie osiągnęła etap trzymania głowy w gorze, przypięła ją więc twarzą do przodu, by mogła się rozglądać. Gdy wszedł, wymachiwała rączkami i nożkami. Wyglądało to tak, jakby skoczyła z samolotu, używając tego chudego swira jako spadochronu.

Policjant stał przy ladzie naprzeciwko Lily. Wyglądał jak reklama koniaku w dwurzędowym, jedwabnym garniturze włoskiego kroju i barwy indygo, szarej lnianej koszuli i żółtym krawacie. Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat, latynoska cera, szczupłą budowę i ostre rysy, które nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka. Włosy nosił zaczesane do tyłu, a siwe pasma na skroniach wywoływały wrażenie, że sunie w twoją stronę, nawet wtedy, gdy stał w miejscu.

–Inspektor Alphonse Rivera – przedstawił się, wyciągając rękę. – Dziękuję, że pan wszedł. Ta młoda dama powiedziała, że ostatni raz pracował pan w poniedziałek wieczorem.

Poniedziałek. Dzień, w którym walczył z krukami w zaułku, a do sklepu przyszła blada, rudowłosa kobieta.

–Nie musisz mi nic mówić, Asher – odezwała się Lily, najwyraźniej odnawiając przysięgę wierności pomimo faktu, że był burżuazyjnym waflem.

–Dzięki, Lily. Może zrobisz sobie przerwę i sprawdzisz, co tam słychać w otchłani?

**Mruknęła coś pod nosem, po czym wyciągnęła jakiś przedmiot z szuflady pod kasa – przypuszczalnie swoje papierosy – i wyszła przez tylne drzwi.**

**–Dlaczego ta mała nie jest w szkole?**

**–Jest niezwykła – odparł Charlie. – Wie pan, indywidualny tok nauczania.**

**–To dlatego jest taka wesola?**

**–W tym miesiącu przerabia egzystencjalistów. W zeszłym tygodniu poprosiła o wychodne, żeby zabić jakiegoś Araba na plaży.**

**Rivera uśmiechnął się i Charlie trochę się odprezył. Policjant wyjął zdjęcie z kieszeni na piersi i podał je Charlie-mu. Sophie zrobiła ruch, jakby chciała je złapać. Fotografia przedstawiała starszego mężczyznę w odświeżonym ubraniu, stojącego na schodach kościoła. Charlie rozpoznał katedrę Świętych Piotra i Pawła, która znajdowała się tylko parę przecznic dalej, przy Washington Square.**

**–Widział pan tego mężczyznę w poniedziałkowy wieczór? Miał wtedy na sobie grafitowy płaszcz i kapelusz.**

**–Nie, przykro mi. Nie widziałem – odparł zgodnie z prawdą Charlie. – Byłem tutaj, w sklepie, mniej więcej do dziesiątej. Przyszło paru klientów, ale nie ten pan.**

**–Jest pan pewien? Nazywa się James O'Malley. Nie czuje się najlepiej. Rak. Zona powiedziała, że w poniedziałek, mniej więcej o zmierzchu, wyszedł na spacer i nie wrócił.**

**–Nie, przykro mi – powtórzył Charlie. – Pytał pan motorniczego tramwaju linowego?**

**–Już rozmawiałem z ludźmi, którzy tego wieczoru obsługiwali linię. Przypuszczamy, że może gdzieś zemdlal i go nie znaleźliśmy. Po takim czasie sprawa nie wygląda najlepiej.**

**Charlie skinął głową, starając się sprawiać wrażenie zamyszonego. Czuł ogromną ulgę, że gliniarz nie przyszedł w sprawie związanej z nim samym, i miał niemal ochotę parsknąć śmiechem.**

**–Może powinien pan spytać Cesarza. Zna go pan, nie? Widzi w zakamarkach tego miasta więcej niż większość ludzi.**

**Rivera skrzywił się na wzmiankę o Cesarzu, ale potem rysy mu złagodniały i znowu się uśmiechnął.**

**–Dobry pomysł, panie Asher. Zobacze, czy zdołam go odszukać. – Podał Charlie-mu wizytówkę. – Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę zadzwonić, dobrze?**

**–Zadzwoń. Ee, inspektorze – powiedział Charlie i Rivera zatrzymał się kilka kroków od**

lady. – Czy cos takiego to nie jest rutynowa sprawa dla zwykłego inspektora?

–Tak, zazwyczaj takie śledztwa prowadzi funkcjonariusze w mundurach, ale to może mieć związek z inną sprawą, nad którą pracuje, dlatego to ja przyszedłem.

–A, w porządku – odparł Charlie. –ładny garnitur, swoja droga. Nie mogłem nie zauważyć. Taka praca.

–Dziękuję – powiedział Rivera, zerkając z lekkim rozmarzeniem w oczach na swoje rekawy.  
– Jakiś czas temu dopisało mi szczęście.

–Gratuluję – rzucił Charlie.

–To już minęło – odrzekł inspektor. – Urocze dziecko. Trzymajcie się. – I zniknął za drzwiami.

Charlie odwrócił się, by wrócić po schodach na górę, i omal nie wpadł na Lily. Skrzyżowała ręce nad napisem na koszulce, głoszącym "Pieńko to inni", i patrzyła na niego jeszcze bardziej badawczo niż zazwyczaj.

–No, Asher, chciałbyś mi o czymś powiedzieć?

–Lily, nie mam czasu na...

Wyciągnęła przed siebie srebrną papierosnicę, która dała mu tą rudą. Papierosnica wciąż rozsiewała czerwony blask. Sophie wysunęła rączkę w jej stronę.

–Co? – spytał. Czyżby Lily to widziała? Czy była czuła na czerwone światło?

Otworzyła papierosnicę i podetknęła mu ją pod nos.

–Przeczytaj, co tu wygrawerowano. James O'Malley – głosił ozdobny napis. Cofnął się o krok.

–Lily, nie mogę... nic nie wiem o tym facecie. Słuchaj, muszę poprosić panią Ling, żeby popilnowała Sophie, i podejść na Castro. Później wszystko wyjaśnię, dobra? Obiecuję.

Zastanawiała się przez chwilę, patrząc na niego oskarżycielko, jakby go przyłapała na karmieniu jej bite noire platkami owocowymi, w końcu jednak ustąpiła. 6 Idz – powiedziała.

## 8. TRAMWAJ ZWANY ZAMIESZANIEM

Charlie jechał do dzielnicy Castro. Stary, ukryty w lasce miecz ze sklepu leżał za nim, na siedzeniu furgonetki. Charlie wysunął w przód szczękę niczym bagnet, a rysy twarzy mu stezały. Miał minę budzącego lek zdeterminowanego gościa. Jedna ulica, druga, trzecia –



przekonany o swojej racji samiec beta jechał do Doliny Drogich Barow i Dziwacznych Fryzur. I biada nieszczęsnemu zлочyncy, który osmielił się zdrzec z tym handlarzem starzyzna, bo jego niedzne życie niewiele w tym momencie znaczyło. Szykuje się wielka draka w pedalskiej dzielnicy, pomyślał Charlie, rozległa się strzały o zmierzchu.

No, niezupełnie strzały – jako że w lasce miał ukryty miecz, a nie pistolet, raczej dzgnięcia o zmierzchu. Nie budziło to takich skojarzeń z aniołem zemsty, "o jakie mu chodziło. Był wściekły i gotowy walczyć w pysk, to wszystko. (Traf chciał, że "Dzgnięcia o zmierzchu" stanowiły akurat drugi pod względem popularności tytuł w wypożyczalni wideo w Castro, o włos wyprzedzając film "Narodziny gwiazdy – wersja reżyserska" i przegrywając tylko z "Gliniarzami bez spodni", którzy bili wszystko inne na głowę). Charlie skręcił z Market Street i tuż za rogiem Noe Street ujrzał swój cel: MUZYKA U FRESHA, potężny szyld z barwnego szkła. Poczł dreszcz na karku i parcie na pecherz. Jego ciało weszło w tryb "walcz albo uciekaj", a on już drugi raz w tym tygodniu postępował wbrew naturze samca beta i wybierał walkę. Niech się dzieje co chce, pomyślał. Stawi czoło swojemu prześladowcy i go załatwi. Kiedy tylko znajdzie miejsce do zaparkowania. Nie znalazł. Skręcił w przecznice, mijając kafejki i bary – w Castro było pełno i jednych, i drugich. Jeździł w te i z powrotem bocznymi uliczkami, między rzędami nienagannie utrzymanych (i nagannie drogich) lokali w stylu wiktoriańskim, nie znajdując ani kawałka miejsca dla swojego wiernego rumaka. Poł godziny krążył po okolicy, po czym zawrócił w stronę centrum i znalazł miejsce na wielopoziomym parkingu przy Fillmore, a następnie wsiadł do zabytkowego tramwaju, jadącego przez Market Street do Castro. Uroczy, mały, zielony wagon tramwajowy produkcji włoskiej, z debowymi lawkami, mosiężnymi poręczami i mahoniowymi ramami okien, z cudnym mosiężnym dzwonkiem i prędkością maksymalną w okolicach trzydziestu kilometrów na godzinę – w taki oto sposób Charlie Asher pedził na pole bitwy. Gdy mijali graffiti w dzielnicy Mission, próbował sobie wyobrazić horde Hunów, zwieszających się z boków wagonu, wymachujących zakrzywionymi ostrzami i strzelających z luków. Albo może wilenskich najeźdźców, z tarczami przymocowanymi do burt tramwaju, wiosłujących przy wtorze wielkiego bebną, by złupić te sklepy z antykami, bary dla gejów, bary sushi, bary sushi dla gejów (ani słowa!) i galerie sztuki w Castro. W tym momencie niezwykle bogata wyobraźnia zawiodła Charliego. Wysiadł z tramwaju i cofnął się do MUZYKI U FRESHA. Zatrzymał się przed sklepem, rozmyślając, co, do diabła, ma teraz zrobić.

A jeśli ten, kto do niego zadzwonił, skorzystał z nie swojego telefonu? A jeśli wpadł do środka z krzykiem i pogrozkami, a za łada stał akurat jakiś przestraszony dzieciak? Ale potem Charlie spojrzał w drzwi, a tam, za łada, stał nadzwyczaj wysoki czarnoskóry mężczyzna, od stop do głów odziany w mietową zielen. I w tym momencie Charlie dostał szalu.

–Zabiles ja! – wrzeszczał, ruszając między rzędami regałow z płytami CD w stronę mężczyzny w zieleni.

W biegu wyciągnął miecz, a raczej próbował, licząc, że jednym płynnym ruchem uda mu się wydobyć brzoń z pochwy i rozplatać krtan zbrojcy Rachel. Ale miecz w lasce leżał na zapleczu już od dłuższego czasu i nie licząc trzech przypadków, kiedy to Abby, przyjaciółka Lily,

probowała go zabrac (raz chciała go kupic, a gdy Charlie odmówił sprzedaży, dwa razy usiłowała go ukrasć), w ogóle nie wyciągano go z pochwy. Mały mosiężny zaczep, który należało nacisnąć, by uwolnić ostrze, zaciął się. Kiedy więc Charlie zadawał śmiertelny cios, machnął całą łaską, która była cięższa – i powolniejsza – od miecza. Mężczyzna w zieleni, szybki, jak na swoje gabaryty, uchylił się, a Charlie stracił cały rząd płyt Judy Garland, stracił równowagę, odbił się od lady, obroczył, po czym ponownie spróbował wykonać sekwencję wysunięcia-cios, która tyle razy widział w samurajskich filmach i która tyle razy przetrenował po drodze w myślach. Tym razem klinga wyszła z futerału i zatoczyła śmiertelny łuk metr przed mężczyzną, co skończyło się dekapitacją naturalnej wielkości kartonowej sylwetki Barbary Streisand.

–Należało się! – zagrzmiał mężczyzna.

Gdy Charlie odzyskał równowagę i chciał uderzyć z bek-hendu, zobaczył, że leci na niego coś dużego i ciemnego. W ostatniej chwili poznał, co to takiego, nim stara kasa sklepową walnęła go w głowę. Błysnęło, brzeknęło, a potem wszystko stało się ciemne i lepkie.

Kiedy Charlie odzyskał przytomność, siedział przywiązany do krzesła na zapleczu sklepu płytowego, które zauważalnie przypominało zaplecze jego własnego sklepu, jeśli nie liczyć faktu, że tutaj pudła były pełne płyt, a nie rozmaitego używanego badziewia. Stał nad nim wysoki czarnoskóry mężczyzna. Z początku Charlie miał wrażenie, że tamten zmienia się w mgłę albo w dym, ale potem zdał sobie sprawę, że to jego wzrok zaczyna falować. Po chwili w głowie odezwał się ból niczym reflektor stroboskopowy.

–Au.

–Jak kark? – spytał tamten. – Czy nie złamany? Masz czucie w stopach?

–No już, zabij mnie, pieprzony tchorzu – powiedział Charlie, rzucając się na krzesło.

Próbował dosięgnąć swojego przesładowcę i czuł się trochę jak czarny rycerz z filmu "Monty Python i Święty Graal", po tym, jak odcięto mu ręce i nogi. Jeśli ten facet podejdzie o krok bliżej, Charlie będzie mógł walnąć go z główki w klejnoty, był tego pewien.

Mężczyzna nadepnał mu na palce u nog. Skorzany bucior w rozmiarze osiemnastki, sterowany przez studwudziestokilowego sprzedawcę płyt.

–Au! – Charlie podskoczył z bólu, zataczając wraz z krzesłem małe koło. – Niech to szlag! Au!

–Czyli masz czucie w stopach?

–Skoncz to. No, dalej. – Wyciągnął szyję, jakby nadstawiał gardło do poderznięcia.

Jego strategia zakładała zwabienie tamtego na niewielką odległość, a następnie rozszarpanie

mu zębami tetnicy udowej i napawanie się widokiem krwi spływającej na podłogę po zielonych nogawkach. Charlie śmiałyby się długo i złowieszczo, patrząc, jak z tego wrednego sukinaśyna uchodzi życie, a później, podskakując razem z krzesłem, wydostałby się na ulicę, wskoczył do tramwaju przy Market Street, przesiadł do autobusu linii czterdziści jeden przy Van Ness, wyskoczył przy Columbus i przekicał dwie przecznice do domu, gdzie ktoś by go rozwiązał. Miał plan – oraz bilet autobusowy ważny jeszcze przez cztery dni – więc ten skurwiel zadarł nie z tym gościem, co powinien.

–Nie mam zamiaru cię zabijać, Charlie – oznajmił mężczyzna, utrzymując bezpieczny dystans. – Przykro mi, że musiałem walnąć cię kasa. Nie dałeś mi innej możliwości.

–Mogłeś posmakować straszliwego ciosu mojego ostrza! – Charlie rozejrzał się w poszukiwaniu łaski z mieczem, na wypadek gdyby facet zostawił ją w zasięgu.

–Tak, jasne, taka możliwość akurat była, ale woląłem wybrać opcję bez plam i bez pogrzebu.

Charlie napreżył się pod więzami, które, jak właśnie stwierdził, zrobiono z foliowych torebek na zakupy.

–Zadarłeś ze Śmiercią, wiesz? Jestem Śmiercią.

–Tak, wiem.

–Serio?

–Jasne.

Wysoki obrócił inne drewniane krzesło i usiadł na nim okrakiem, przodem do Charliego. Kolana miał uniesione do wysokości łokci i wyglądał jak wielka rzekotka, przyczajona przed atakiem na owada. Charlie dopiero teraz zauważył, że tamten ma zielone oczy, ostro kontrastujące z ciemną skórą.

–Ja też – powiedział zły mietowo-zielony człowiek-rzekotka.

–Ty? To ty jesteś śmiercią?

–Jedna ze Śmierci. Nie jedyna. Nie sadzę, by istniała jedyna Śmierć. Teraz już nie.

Charlie nie umiał tego ogarnąć, więc zaczął się wic i rzucać, aż wysoki musiał wyciągnąć rękę, by powstrzymać go przed upadkiem.

–Zabijeś Rachel. – Nie.

–Widziałem cię tam.

–Owszem, widziałeś. W tym sek. Może łaskawie przestaniesz się rzucać? – Potrząsnął

**krzesłem Charliego. – Ale nie odegrałem kluczowej roli w śmierci Rachel. Nie zajmujemy się tym. Teraz już nie. Nawet nie zajrzałeś do książki?**

**–Jakiej książki? Coś o niej wspominałeś przez telefon.**

**–Bardzo wielkiej książki Śmierci. Wysłałem ci ją do sklepu. Powiedziałem kobiecie za łada, że ją przysła, i dostałem potwierdzenie odbioru, więc wiem, że dotarła.**

**–Jakiej kobiecie? Lily? To nie kobieta, to dziecko.**

**–Nie, to była kobieta mniej więcej w twoim wieku, z fryzurą w stylu nowej fali.**

**–Jane? Nie. Nic mi nie powiedziała. I nie dostałem żadnej książki.**

**–O, szlag. To wyjaśnia, dlaczego się pojawiały. Nawet nie wiedziałeś.**

**–Kto? Co? One?**

**Śmierć w Mietowej Zieleni ciężko westchnął.**

**–Zdaje się, że trochę tu posiedzimy. Chcesz kawy? – Jasne, spróbuj uspic moją czujność złudnym poczuciem bezpieczeństwa, a potem zadaj cios.**

**–Jesteś związany, do kurwy niedziej, nie musisz usypiać żadnej twojej czujności. Majstrowałeś przy strukturze ludzkiej egzystencji i ktoś musiał kopnąć cię w dupę.**

**–No jasne, nawijaj jak czarny. Wprowadz w to wątek etniczny.**

**Facet w zieleni wstał i poczłapał ku drzwiom sklepu.**

**–Z mlekiem?**

**–I dwie kostki cukru, poproszę – powiedział Charlie.**

**–To jest naprawdę super, dlaczego chcesz oddać? – spytała Abby Normal.**

**Abby była najlepszą przyjaciółką Lily. Siedziały na podłodze na zapleczu Komisji Ashera i przeglądały Bardzo wielką książkę Śmierci. Abby tak naprawdę miała na imię Alison, ale nie zamierzała dłużej znosić tego "imienia niewolnicy światła". Ludzie dość chętnie zwracali się do niej przybranym imieniem, inaczej niż w przypadku Lily. Elficka Czarna Wierzba – każdy chciał, żeby mu to prze-literować.**

**–Okazało się, że to Asher, a nie ja – odparła Lily. – Mocno się wkurzy, kiedy się dowie, że ja wzięłam. A teraz jest Śmierć, zdaje się, więc mogłabym mieć kłopoty.**

**–Zamierzasz mu powiedzieć, że to ty miałas te książki?**

**–Nie. Powiem, że się zapodziała. To często się tu zdarza.**

**–Długo myślałaś, że to ty?**

**–Jakis miesiąc.**

**–A co ze snami, nazwiskami i takimi rzeczami, o których w niej pisza? Nie miałaś nic takiego, prawda?**

**–Myślałam, że dopiero nabieram mocy. Zrobiłam mnóstwo list ludzi, których chciałabym wykonać.**

**–Tak, też to robie. I wczoraj się dowiedziałas, że to Asher?**

**–Tak – przyznała Lily.**

**–Do dupy – powiedziała Abby.**

**–Życie jest do dupy – stwierdziła Lily. – I co teraz? – spytała Abby. – Szkoła średnia?**

**Obie z zalem pokiwaly głowami, spoglądając w głąb barw polakierowanych paznokci, by nie dzielić tego upokorzenia – jedna z nich w ułamku sekundy zmieniła się z polbogini w ostatnią ofierę. Szły przez życie w nadziei, że wydarzy się coś wielkiego, mrocznego i nadnaturalnego, więc kiedy już się zdarzyło, podeszły do tego z niezdrowym spokojem. W końcu strach to mechanizm obronny, decydujący o przetrwaniu.**

**–Więc to wszystko są przedmioty duchowe? – spytała Abby. Machnęła ręką w stronę sterty rzeczy, które Charlie oznaczył napisami "Nie sprzedawać". – W środku są jakby czyjeś dusze?**

**–Według księgi, tak – odparła Lily. – Asher twierdzi, że widzi, jak świeca.**

**–Podobają mi się te czerwone Converse Ali Stars.**

**–Bierz. Są twoje – powiedziała Lily.**

**–Naprawdę?**

**–Tak – potwierdziła Lily. Zdjęła trampki z polki i podała przyjaciółce. – Nie zauważyła, że ich brakuje.**

**–Super. Mam czerwone siatkowe ponczo, które świetnie do nich pasują.**

**–Pewnie mają w sobie dusze jakiegoś spoconego sportowca – stwierdziła Lily.**

**–Może teraz oddawać część moim stopom – powiedziała Abby, wykonując piruet i arabeske (które wraz z zaburzeniami jedzenia stanowiły ślad po dziesięciu latach lekcji baletu).**

–Czyli jestem takim jakby pomocnikiem Mikolaja, to znaczy Smierci? – spytał Charlie, kolyszac kubkiem z kawa.

Wysoki uwolnił mu jedną rękę, by mógł się napić kawy, i teraz Charlie przy każdym gęście chrzcil podłogę magazynu kroplami mieszanki francuskiej. Pan Fresh zmarszczył brwi.

–O czym ty, do diabła, mówisz, Asher? – Miał wyrzuty sumienia, że walnął Charliego Ashera kasa, a potem go związał. Zastanawiał się, czy uderzenie nie spowodowało jakiegoś uszkodzenia mózgu.

–Mówię o Świętym Mikołaju w domu towarowym Macy's. Kiedy jesteś mały, zauważasz, że Mikołaj w Macy's ma sztuczna broda i że przynajmniej sześciu Mikołajów z Armii Zbawienia stoi na Union Square. Pytasz o to rodziców, a oni ci mówią, że prawdziwy Mikołaj mieszka na biegunie północnym i jest bardzo zajęty, więc ci pozostali to jego pomocnicy. Właśnie to mi chcesz powiedzieć, że jesteśmy takimi pomocnikami Smierci?

Fresh stał wcześniej przy swoim biurku, ale teraz usiadł z powrotem naprzeciwko Charliego, by spojrzeć mu w oczy.

–Charlie, już wiesz, że to nieprawda, co? – powiedział bardzo cicho. – Znaczący, to z pomocnikami Mikołaja i tak dalej?

–No pewnie, wiem, że nie ma Świętego Mikołaja. To była taka przenośnia, młotku.

Tamten skorzystał z okazji, by wyciągnąć rękę i płaśnić Charliego w głowę. Natychmiast tego pozalował.

–Ej! – Charlie odstawił kubek i potarł jedno ze swych zakoli, które poczerwieniało od uderzenia.

–To było niegrzeczne – stwierdził Fresh. – Nie bądźmy niegrzeczni.

–Więc mówisz, że Mikołaj istnieje? – powiedział Charlie, kuląc się w oczekiwaniu na następny cios. – O, mój Boże, jak daleko sięga ten spisek?

–Nie, nie ma żadnego cholernego Mikołaja. Mówię tylko, że nie wiem, czym jesteśmy. Nie wiem, czy istnieje naczelną Śmierć przez duże S, chociaż księga sugeruje, że kiedyś była. Chcę powiedzieć, że jest nas wielu, tu, w samym mieście znam mniej więcej dziesięć osób. Wszyscy zbieramy naczynia duchowe i pilnujemy, by trafiły we właściwe ręce.

–I wszystko bazuje na tym, że przypadkowi ludzie wchodzi do twojego sklepu i kupują płyty? – Oczywiście Charliego stały się okrągłe, gdy coś do niego dotarło. – Sarah McLachlan. Płyta Rachel. Ty ją wzięłaś?

–Tak. – Fresh wbił wzrok w podłogę, nie dlatego, że poczuł wstyd, ale dlatego, że nie chciał

**patrzec na cierpienie w oczach Charliego Ashera.**

**–Gdzie ona jest? Chce ja zobaczyc – powiedział Charlie.**

**–Sprzedalem ja.**

**–Komu? Znajdz ja. Chce Rachel z powrotem.**

**–Nie wiem. Kobiecie. Nie zapisałem nazwiska, ale jestem pewien, że była przeznaczona właśnie dla niej. Nauczysz się to rozpoznawac.**

**–Naucze się? Po co? – spytał. – Dlaczego ja? Nie chce zabijac ludzi.**

**–Nikogo nie zabijamy. To błędne myslenie. My tylko ułatwiamy przejście duszy.**

**–Zaraz, jeden facet zginął, bo coś do niego powiedziałem, a drugi miał atak serca z powodu czegoś, co zrobiłem. Śmierć, która wynika z twoich działań, to w gruncie rzeczy zbrojstwo, o ile nie jesteś politykiem, tak? Więc dlaczego ja? Nie mam wielkiej wprawy we wciskaniu kitu. No? Dlaczego ja?**

**Fresh zastanowił się nad słowami Charliego i poczuł, że coś złowrogiego przebiegło mu po plecach. Nie pamiętał, by kiedykolwiek jego działania doprowadziły wprost do czyjegos zgonu, nie słyszał też, by coś takiego przydarzyło się innym Handlarzom Śmierci. Oczywiście, czasami pojawiali się w momencie odejścia danej osoby, ale nieczęsto – i nigdy jako przyczyna.**

**–No? – powiedział Charlie. Fresh wzruszył ramionami.**

**–Bo mnie widziałeś. Na pewno zauważyłeś, że nikt cię nie widzi, kiedy idziesz po naczynie duchowe.**

**–Nigdy nie szedłem po naczynie duchowe.**

**–Owszem, szedłeś, i będziesz chodził, a przynajmniej powinieneś. Musisz postępować zgodnie z programem, panie Asher.**

**–Tak, mówiles. Więc jesteś... ee... jesteśmy niewidzialni, kiedy idziemy po te naczynia?**

**–Niezupełnie niewidzialni, że tak powiem, tyle że nikt nas nie dostrzega. Możesz wejść ludziom do domu i nie zauważa, że stoisz obok, ale jeśli odezwiesz się do kogoś na ulicy, to cię zobaczy, kelnerka przyjmie od ciebie zamówienie, taksówka zatrzyma się przy tobie... no, przy mnie nie, bo jestem czarny, ale, wiesz, ogólnie tak. To chyba kwestia woli. Sprawdziłem. Zwierzeta nas widza. Lepiej uważaj na psy, kiedy zabierasz naczynie.**

**–Więc tak zostałeś tym... jak się na nas mówi?**

**–Handlarze Śmierci.**

**–No co ty? Powaznie?**

**–W ksiedze tego nie ma. Sam wymyslilem te nazwe.**

**–Jest super.**

**–Dzieki. – Fresh usmiechnal sie. Ulzylo mu, ze przez chwile nie myslil o jedynej w swoim rodzaju drodze Charliego do roli Handlarza Smierci. – Wlasciwie wydaje mi sie, ze to postac z okladki plyty, facet przy sklepowej kasie, z oczami swiecacyimi na czerwono. Ale nie wiedzialem o nim, kiedy przyszlo mi to do glowy.**

**–To ma sens.**

**–Tak sobie wlasnie pomyslalem – powiedzial Fresh. – Jeszcze kawy?**

**–Poprosze. – Charlie wyciagnal reke z pustym kubkiem. – Wiec ktos cie zobaczył. I tak zostales Handlarzem?**

**–Nie. To ty tak zostales Handlarzem. Mysle, ze mozesz, ee... – Fresh nie chcial wprowadzic biedaka w blad, ale z drugiej strony, wlasnie nie wiedzial, co sie stalo. – Mysle, ze mozesz byc inny niz reszta. Nikt mnie nie zobaczył. Pracowalem jako ochroniarz w kasynie w Vegas, ale mialem dosyc... mowia, ze mam problem z autorytetem... wiec przyjechalem do San Francisco, otworzyłem ten sklep, zaczalem sprzedawac uzywane plyty, na poczatku glownie jazz. Po jakim czasie samo sie zaczelo. Swiecace naczynia duchowe, czasem ludzie sami je przynosili, czasem znajdowalem je w domach. Nie wiem, dlaczego ani jak, po prostu sie zaczelo, a ja nic nikomu nie powiedzialem. Potem poczta dostalem ksiege.**

**–Znowu ta ksiega. Nie masz jej gdzieś pod reka?**

**–Jest tylko jeden egzemplarz. Przynajmniej ja wiem tylko o jednym.**

**–I po prostu wyslales go poczta?**

**–Przesylka polecona! – zagrmial Fresh. – Ktos w twoim sklepie ja odebral i sie podpisal. Mysle, ze zrobilem, co do mnie налеzalo.**

**–Dobra, przepraszam, mow dalej.**

**–Tak czy owak, kiedy przyjechalem do Castro, bylo tu strasznie smutno. Na ulicach widzialem albo bardzo starych ludzi, albo bardzo mlodych. Wszyscy w srednim wieku nie zyli albo mieli AIDS. Ludzie chodzili o lasce, ciagneli za soba zbiorniki z tlenem. Smierc byla wszedzie. Zupelnie jakby to miejsce potrzebowalo stacji dla dusz, a ja tu bylem i handlowalem plytami. A potem w poczcie pojawila sie ksiega. Przychodzilo wiele dusz. Przez pare pierwszych lat codziennie zbieralem naczynia, czasami dwa albo trzy razy w ciagu dnia. Zdziwilbys sie, ilu gejaw ma swoja dusze w muzyce.**



**–Wszystkie sprzedales?**

**–Nie. Przychodza, wychodza. Zawsze cos jest na skladzie.**

**–Ale skad mozesz miec pewnosc, ze odpowiednia osoba dostaje odpowiednia dusze?**

**–To nie moj problem, prawda? – Fresh wzruszył ramionami.**

**Na poczatku sie tym przejmowal, ale wygladalo na to, ze wszystko odbywa sie tak, jak powinno, i zaczal po prostu ufac sile czy mechanizmowi, ktory tym sterowal.**

**–No, skoro tak do tego podchodzisz, po co w ogole sie tym zajmowac? Nie chce tej roboty. Mam prace. I dziecko.**

**–Musisz to robic. Wierz mi, kiedy dostalem ksiege, probowalem tego nie robic. Wszyscy probowalismy. Przynajmniej ci, z ktorymi rozmawialem. Chyba juz widziales, co sie dzieje, jesli odpuscisz. Zaczynasz slyszec glosy, pozniej pojawiaja sie cienie. Ksiega nazywa ich Zaswiatowcami.**

**–Te wielkie kruki? One?**

**–Dopoki sie nie zjawiles, to byly tylko niewyraźne cienie i glosy. Cos sie dzieje. Zaczynajac od ciebie, i na tobie konczac. Pozwoliles im zabrac naczynie duchowe, prawda?**

**–Ja? Mowiles, ze jest wielu Handlarzy Smierci.**

**–Inni sa rozsadniejsi. To ty spieprzyles sprawe. Zdawalo mi sie, ze w tym tygodniu widzialem jednego, jak latal. A dzisiaj poszedlem na spacer i glosy byly takie, ze hej. Wtedy do ciebie zadzwonilem. To ty, prawda?**

**Charlie skinal glowa.**

**–Nie wiedzialem. Skad mialem wiedziec?**

**–Wiec maja naczynie?**

**–Dwa – odparl Charlie. – Z kanalu wylonila sie reka. To byl moj pierwszy dzien.**

**–No to koniec – powiedzial Fresh, lapiac sie za glowe. – Teraz to juz na pewno mamy przejebane.**

**–Nie wiesz tego – powiedzial Charlie, szukajac dobrych stron sytuacji. – Moze wczesniej mielismy przejebane. Znaczy, prowadzimy punkty skupu i sprzedazy dla trupow. To jakby definicja slowa "przejebane".**

**Fresh podniosl wzrok.**

–Księga mówi, że jeśli nie wywiążemy się z zadania, wszystko może się pograć w ciemnościach, stać się takie, jak Zaswiaty. Nie wiem, jakie są Zaswiaty, panie Asher, ale parę razy widywałem przybyszy stamtąd na gościnnych występach i na pewno nie chce się dowiedzieć. A ty?

–Może to Oakland? – powiedział Charlie.

–Co Oakland?

–Zaswiaty.

–Oakland to nie Zaswiaty. – Fresh skoczył na równe nogi. Nie był brutalem, przy takich rozmiarach nie musiał być. Ale...

–Dzielnica Tenderloin? – podsunął Charlie.

–Nie zmuszaj mnie, żebym ci przyłożył. Żaden z nas tego nie chce, mam rację, panie Asher?

Charlie pokręcił głową.

–Widziałem kruki – stwierdził – ale nie słyszałem żadnych głosów. Jakie głosy?

–Mówią do ciebie, kiedy jesteś na ulicy. Czasami słyszysz głos z kanału wentylacyjnego, rynny, rzadziej studzienki kanalizacyjnej. To tamci. Damskie głosy, uwodzicielskie. Przez długi czas ich nie słysze, potem biore naczynie i któryś się odzywa. Kiedyś dzwoniłem do innych handlarzy, pytałem, czy coś zrobili, ale skończyliśmy z tym.

–Dlaczego?

–Bo wydaje nam się, że to jedna z rzeczy, które je przyciągają. Nie powinniśmy utrzymywać żadnych kontaktów. Minęło trochę czasu, zanim do tego doszliśmy. Wtedy znalazłem w mieście tylko szóstkę handlarzy i raz w tygodniu szliśmy na lunch, rozmawialiśmy o tym, co wiemy, porównywaliśmy notatki... i wtedy zobaczyliśmy pierwsze cienie. Właściwie, tak na wszelki wypadek, to będzie pierwszy i ostatni raz, kiedy ze sobą rozmawiamy.

Fresh znowu wzruszył ramionami i zaczął uwalniać Charliego z wiezow, myślał: "Wszystko zmieniło się tamtego dnia w szpitalu. Ten facet wszystko zmienił, a ja wysyłam go jak owce na rzeź... A może to on dokona rzezi? Może to on jest tym jedynym...?".

–Czekaj, ciągle nic nie wiem – powiedział Charlie błagalnym tonem. – Nie możesz mnie wysłać z tak skąpymi informacjami. Co z moją córką? Skąd mam wiedzieć, komu sprzedawać dusze? – Ogarniała go panika i próbował zadać wszystkie możliwe pytania, zanim zostanie uwolniony. – Co to za liczby za nazwiskami? Nazwiska pojawiają się ot tak, po prostu? Jak długo mam to robić, zanim przejdę na emeryturę? Dlaczego zawsze ubierasz się w mietowa zielen?

**Gdy Fresh odwiazyl od krzesla jedna z kostek Charlie-go, on probowal przywiazac druga z powrotem.**

**–Chodzi o imie.**

**–Slucham? – Charlie przestal przywiazowac sie do krzesla.**

**–Ubieram sie w mietowa zielen z powodu mojego imienia. Minty.**

**Charlie zupełnie zapomniat o swoich zmartwieniach.**

**–Minty? Nazywasz sie Minty Fresh? Mietowa Swiezosc? Wydawalo sie, ze probuje stlumic kichniecie, ale potem parsknal glosnym smiechem. A potem sie uchylił.**

## **9. SMOK, NIEDZWIEDZ I RYBA**

**W korytarzu na trzecim pietrze budynku Charliego trwalo spotkanie dwoch azjatyckich poteg: pani Ling i pani Korjev. Pani Ling, ktora trzymala Sophie, miala strategiczna przewage. Z kolei pani Korjev, ktora byla od niej dokladnie dwa razy wieksza, dysponowala potezna sila odwetowa. Laczylo je kilka cech wspolnych, oprócz faktu, ze obie byly wdowami i imigrantkami – gleboka milosc do malej Sophie, brak pewnosc w jezyku angielskim i absolutny brak wiary w to, ze Charlie Asher jest w stanie sam wychowac corke.**

**–On zly, kiedy dzis wychodzic. Jak niedzwiedz – powiedziala pani Korjev, znana z atawistycznej slabosci do porownan z niedzwiedziami.**

**–On mowi: bez szwaba – powiedziala pani Ling, ktora stosowala czasowniki jedynie w czasie terazniejszym, jako wyraz wiernosci wobec wierzen buddyizmu czan, a przynajmniej tak twierdzila. – Kto daje szwaba dziecku?**

**–Schab dobry dla dziecka. Ona byc po nim duza i silna – powiedziala pani Korjev, po czym szybko dodala: –Jak niedzwiedz.**

**–On mowi, ze to zmienia ja w shi tzu. Shi tzu to pies. Jaki ojciec mysli, ze mala dziewczynka zmienia sie w psa?**

**Pani Ling byla szczegolnie opiekuncza wobec malych dziewczynek, jako ze dorastala w prowincji Chin, gdzie co rano mezczyzna z wozkiem robil obchod i zbieral ciala dziewczynek, ktore urodzily sie w nocy i zostaly wyrzucone na ulice. Miala szczescie, bo jej matka zabrala ja na pola i nie zgodzila sie wrocic do domu, dopoki coreczka nie zostanie przyjeta w poczet rodziny.**

**–Nie shi tzu – poprawila pani Korjev. – Szikse.**

**–Dobrze, szikse. Pies to pies – stwierdzila pani Ling. – To horrendalna nieodpowiedzialnosc.**

– W słowie "horrendalna" nie dało się słyszeć ani jednej głoski "r", gdy wymawiała je pani Ling.

– To słowo w jidysz, które oznacza nieżydowska dziewczynę. Rachel to Żydówka, wie pani.

Pani Korjey, w przeciwieństwie do większości imigrantów z Rosji, którzy pozostali w tej okolicy, nie była Żydówka. Jej rodzina pochodziła z rosyjskich stepów. Właściwie pochodziła od Kozaków, nieuważanych w gruncie rzeczy za szczególnych miłośników Żydów. Pokutowała za grzechy przodków w ten sposób, że była zaciekle opiekunka (trochę jak niedzwiedzica) wobec Rachel, a teraz Sophie.

– Trzeba dziś podlać kwiaty – powiedziała pani Korjev.

Na końcu korytarza znajdowało się duże okno z widokiem na budynek naprzeciwko i okienna skrzynka z pelargoniami. Wieczorami dwie azjatyckie potęgi stały w korytarzu, podziwiali pelargonie, rozmawiały o cenach różnych towarów i narzekały na coraz mniej wygodne buty. Żadna nie odważyła się założyć własnej skrzynki z pelargoniami, żeby nie zostać posadzona o kradzież pomysłu i nie rozpocząć nakrecającej się kwiatowej rywalizacji, która mogłaby doprowadzić do rozlewu krwi. Panowała między nimi milcząca zgoda, że czerwone kwiaty można podziwiać, ale nie można ich pozadac.

Pani Korjev lubiła je za samą czerwień. Zawsze była zła, że komunisty zaanektowali kolor, który inaczej wywoływałby w niej niepohamowane szczęście. Z drugiej strony, rosyjska dusza, uwarunkowana tysiącami lat strachu, nie zniosłaby zapewne niepohamowanego szczęścia, więc może i dobrze się złożyło.

Pani Ling też była urzeczona czerwienią pelargonii, jako że w jej kosmologii kolor ten oznaczał powodzenie, dostatek i długie życie. Nawet bramy świątyn malowano na ten sam odcień czerwieni, a zatem czerwone kwiaty symbolizowały jedną z licznych ścieżek do wu – wieczności, oświecenia – w zasadzie w kwiatach krył się cały wszechświat. Pani Ling uważała też, że świetnie smakowałyby w zupie.

Sophie dopiero ostatnio odkryła barwy, i czerwone plamy na tle szarości wystarczały, by wywołać bezzębny uśmiech na jej drobnej buzi.

Cała trójka zaczynała się zatem cieszyć czerwonymi kwiatami, gdy w okno uderzył czarny ptak i na szybie pojawiło się peknienie w kształcie pajeczyny. Zamiast jednak spasc, ptak najwyraźniej wtopił się w owo peknienie i niczym czarny tusz rozlał się po szybie, a potem po ścianach korytarza.

Azjatyckie potęgi uciekły na schody.

Charlie rozcierał lewy nadgarstek, obwiązany wcześniej foliową torebką.

– Co, mama nazwała cię na część reklamy płynu do ust? Pan Fresh, który wydawał się dość

wrażliwy jak na tak wielkiego mezczyznie, odparł:

–Pasty do zębów, ściśle rzecz biorąc.

–Naprawdę? – Tak.

–Przepraszam, nie wiedziałem – powiedział Charlie. – Mogłes to zmienić, nie?

–Tylko przez jakiś czas mozesz się sprzeciwić temu, kim jesteś. W końcu postanawiasz poddać się losowi. Dla mnie to oznaczało, że jestem czarny, mam dwa metry dziesięć wzrostu, a jednak nie gram w NBA, nazywam się Minty Fresh i zostałem zwerbowany na Handlarza Śmierci. – Unosił brwi, jakby oskarżał Charliego. – Nauczyłem się akceptować i ogarniać wszystkie te sprawy.

–Myślałem, że powiesz "jestem gejem" – przyznał Charlie.

–Co? Nie trzeba być gejem, żeby nosić mietową zielen.

Charlie przyjrzał się zielonemu garniturovi Fresha, uszytemu z kory i zdecydowanie zbyt cienkiemu, jak na te pory roku – i poczuł dziwną sympatię wobec tego Handlarza Śmierci o higienicznym nazwisku. Nie zdając sobie z tego sprawy, rozpoznał u niego cechy innego samca beta. (Oczywiście istnieją także geje beta: taki partner jest bardzo ceniony w środowisku homoseksualnym. Mozesz go nauczyć, jak ma się ubierać, a jednocześnie być niemal pewnym, że nigdy nie wyrobi sobie lepszego gustu ani nie będzie wspanialszy od ciebie).

–Chyba masz rację – powiedział Charlie. – Przepraszam za swoje pochopne wnioski.

–W porządku – odparł Fresh. – Ale naprawdę powinieneś już iść.

–Nie, nadal nie rozumiem, skąd mam wiedzieć, komu oddać dusze? Znaczący, kiedy to się stało, w moim domu objawiły się najrozniejsze naczynia duchowe, o których nie miałem pojęcia. Skąd mam wiedzieć, czy nie sprzedałem naczynia komus, kto już jedno ma? A jeśli ktoś ma cały komplet?

–To się nie może zdarzyć. Przynajmniej o ile nam wiadomo. Słuchaj, po prostu się zorientujesz. Masz na to moje słowo. Kiedy ludzie są gotowi, by przyjąć dusze, to ja biora. Interesowałaś się kiedyś którąś religią Wschodu?

–Mieszkam w Chinatown – odparł Charlie.

Choć, technicznie rzecz biorąc, była to w jakimś sensie prawda, znalazł tylko trzy zwroty po mandaryńsku: "Dzień dobry", "Malo krochmalu, proszę" i "Jestem niedouczone białym diablem". Wszystkich nauczyła go pani Ling. Był przekonany, że to ostatnie zdanie oznacza: "Życze milego dnia".

**–Pozwol, ze inaczej sformuluje pytanie – powiedzial Fresh. – Interesowales sie kiedykolwiek ktora religia Wschodu?**

**–A, religia Wschodu – powtorzil Charlie, udajac, ze poprzednio zle zrozumial pytanie. – Wiem tylko to i owo z Discovery Channel. Wiesz, Budda, Siwa, Gandalf, tylko grube ryby.**

**–Rozumiesz koncepcje karmy? Wiesz, ze nierozwiazane sprawy wracaja w nastepnym zyciu?**

**–Tak, pewnie. Phi. – Charlie wywrocil oczyma.**

**–Dobra, mozesz uznac sie za agenta przydzialu dusz. Jesteśmy agentami karmy.**

**–Tajnymi agentami – dodal marzycielsko Charlie.**

**–No, to sie chyba rozumie samo przez sie, ze nie mozesz nikomu powiedziec, kim jestes. Czyli tak, mysle, ze jesteście tajnymi agentami karmy. Trzymamy dusze, dopoki ktos nie bedzie gotowy, by ja wziac.**

**Charlie potrzasnal glowa, jakby probowal sie pozbyc wody z oczu.**

**–Czyli jesli ktos przyjdzie do mojego sklepu i kupi naczynie duchowe, to znaczy, ze do tego czasu szedl przez zycie bez duszy? To okropne.**

**–Naprawde? – spytal Minty Fresh. – A ty wiesz, czy masz dusze?**

**–Jasne, ze mam.**

**–Dlaczego tak mowisz?**

**–Bo ja to ja. – Poklepal sie po piersi. – Oto jestem.**

**–To tylko osobowosc – odparl Minty. – 1 to raptem jedna. Mozesz byc pustym naczyniem i nigdy nie poznalbys roznic. Mogles jeszcze nie dojsc w zyciu do tego punktu, w którym bedziesz gotowy, by przyjac swoja dusze.**

**–He?**

**–Dusza moze sie znajdowac na wyzszym stopniu rozwoju niz ty w tej chwili. Jesli dzieciak nie zda do dziesiatej klasy, to kazesz mu powtarzac wszystkie, od zerowki do dziewiatej?**

**–Nie. Raczej nie.**

**–Wlasnie. Musi tylko zaczac od poczatku dziewiatej klasy. No i z duszami jest tak samo. Moga jedynie piac sie w gore. Czlowiek dostaje dusze wtedy, gdy moze przeniesc ja na wyzszy poziom. Kiedy jest gotow na nastepna lekcje.**

**–To znaczy, że jeśli sprzedaje komus któregoś świecący przedmiot, ten ktoś był dotąd bez duszy?**

**–Taka mam teoria – odparł Minty Fresh. – Przez lata sporo czytałem na ten temat. Teksty z różnych kultur i religii. Ta koncepcja wyjaśnia to wszystko lepiej, niż cokolwiek, co zdołałem wykombinować.**

**–Czyli nie wszystko jest w księdze, która mi przysłała.**

**–To tylko praktyczne zalecenia. Nie ma tam wyjaśnień. Wszystko jest proste jak bzykanie. Księga mówi, żeby kupić sobie kalendarz i trzymać go przy łóżku, a nazwiska same przyjdą. Nie mówi, jak znaleźć ich właścicieli ani jaki jest cel. Tylko tyle, że musisz ich znaleźć. Kup sobie kalendarz biurowy. Ja tak robię.**

**–Ale co z liczbą? Kiedy znajduje przy łóżku zapisane nazwisko, obok zawsze jest liczba.**

**Fresh skinął głową i uśmiechnął się, jakby lekko zmieszany.**

**–Oznacza, że tyle masz dni na odzyskanie naczynia duchowego.**

**–Innymi słowy, ile czasu zostało do śmierci danej osoby? Nie chce tego wiedzieć.**

**–Nie, nie do śmierci, tylko ile dni masz na odzyskanie naczynia. Długo się temu przyglądałem i liczba nigdy nie jest wyższa niż czterdzieści dziewięć. Pomyślałem, że to może być ważne, więc zacząłem szperać w źródłach o śmierci i umieraniu. Tak się składa, że czterdzieści dziewięć to liczba dni w baro. Pojęcie to pojawia się w tybetańskiej Księdze Umarłych i oznacza stan przejściowy między życiem a śmiercią. My, Handlarze Śmierci, przenosimy dusze, ale z jakiegoś powodu musimy do nich dotrzeć w ciągu czterdziestu dziewięciu dni. Taka mam przynajmniej teoria. Nie zdziw się, jeśli się okaże, że dana osoba nie żyje od paru tygodni, a ty dopiero dostajesz nazwisko.**

**–A jeśli nie zdąży? – spytał Charlie.**

**Minty Fresh smetnie pokręcił głową.**

**–Cienie, kruki, mroczne gówno z Zaswiatów, kto wie? Rzecz w tym, że musisz znaleźć naczynie na czas. I znajdziesz.**

**–Jak, skoro nie ma adresu ani wskazówek, na przykład "pod materacem".**

**–Czasami, właściwie zazwyczaj, same do ciebie przychodzą. To szczęśliwe sploty okoliczności. Charlie pomyślał o słodkiej rudowłosej dziewczynie, która przyniosła mu srebrną papierosnicę.**

**–Powiedziałeś "czasami"?**

**Fresh wzruszył ramionami.**

**–Czasami trzeba naprawdę poszukać, znaleźć właściwą osobę, iść do jej domu... Raz wynajmowałem nawet detektywa, żeby pomógł mi kogoś poszukać, ale to zaczęło przyciągać głośy. Możesz się przekonać, czy jesteś blisko, wystarczy sprawdzić, czy ludzie cię widzą.**

**–Ale muszę zarabiać na życie. Mam dziecko...**

**–Będziesz zarabiał, Charlie. Pieniądze to część tej roboty. Zobaczysz.**

**Charlie już zobaczył. Ubrania z rezydencji Mainhearta – mogłoby zarobić na nich grube tysiące dolarów.**

**–Musisz już iść – oznajmił Minty Fresh. Wyciągnął rękę na pożegnanie i na jego twarzy wypłynął uśmiech, niczym księżyc na nocne niebo. Dłoń Charliego zniknęła w uścisku Handlarza Śmierci.**

**–Na pewno będę miał jeszcze jakieś pytania. Może zadzwonić?**

**–Nie – odparł Mietowy.**

**–Dobra, to ja już pójdę – powiedział Charlie, nie wykonując najmniejszego ruchu. – Zdany na łaskę i nieszczęście mrocznych sił z Zaswiatów i w ogóle.**

**–Trzymaj się – rzucił Minty Fresh.**

**–Nie mam pojęcia, co robię – ciągnął Charlie, stawiając niepewne, chwiejne kroki w stronę drzwi. – Ciesząc się ludzką spoczyna na moich barkach.**

**–Aha, pamiętaj, żeby rano porządnie się przeciągnąć -poradził tamten.**

**–A przy okazji – powiedział Charlie, gubiąc rytm swoich jęków – jesteś gejem?**

**–Jestem – odparł Minty Fresh – samotny. Całkowicie i absolutnie.**

**–Dobra – powiedział Charlie. – Przepraszam.**

**–Nie szkodzi. Przepraszam, że walnąłem cię w głowę. Charlie skinął głową, wziął zza lady swój miecz w łasce, a następnie wyszedł z MUZYKI U FRESHA.**

**No i w zasadzie nie był Śmiercią, ale nie był także pomocnikiem Mikołaja. Nie miał znaczenia fakt, że nikt by mu nie uwierzył. Handlarz Śmierci – to brzmiało dość złowieszczo, ale podobala mu się myśl, że jest tajnym agentem. Jego agencja była KARMA – KARMICZNA AGENCJA REDYSTRYBUCJI MORDERSTWA I AWANTUR... No, dobra, nad skrótem musiał jeszcze popracować, ale tak czy inaczej był tajnym agentem.**



Wlasciwie Charlie, choc sam o tym nie wiedzial, dobrze sie nadawal do tego zawodu. Samce beta, starajac sie dzialac ponizej zasiegu radarow, staja sie doskonalymi szpiegami. Nie w stylu "James Bond, Aston Martin z pociskami kierowanymi, tarzajacy sie w gronostajowym lozu z rosyjska specjalistka do spraw rakiet". Raczej w stylu "Zle uczesany, gleboko zakamuflowany biurokrata, wyciagajacy zaplamione kawa dokumenty ze smietnika". Przesadna bojazliwosc pozwala mu na dostep do miejsc zamknietych dla samca alfa, z jego testosteronem na rekawie. Samiec beta potrafi byc grozny, choc znowu nie w stylu "Cale cialo Jet Li to smiercionosna bron", tylko raczej "Pijak na rozpedzonej kosiarce, udajacy Luke'a Skywalkera w ataku na komorke z narzedziami".

Gdy wiec Charlie zdazal na przystanek tramwajowy przy Market Street, w myslach juz przywdziewal swoj nowy kostium tajnego agenta i czul sie w nim calkiem dobrze. Nagle, gdy przechodzil nad studzienka kanalizacyjna, uslyszal szorstki, kobiecy szept:

–Dorwiemy mala. Zobaczycie swieze miesko. Niedlugo ja zlapiemy.

Gdy tylko Charlie wszedl z zaulka do sklepu, Lily wparowala do niego na zaplecze.

–Ten gliniarz znowu tu przyszedl. Tamten facet nie zyje. Zabiles go? – Po czym po zolniersku dodala: – Sir?

Pozniej zasalutowala i dygnela, by w koncu zlozyc rece i uklonic sie po japonsku. Charlie byl zupełnie zaskoczony, zwlaszcza ze, zdjety panika o bezpieczenstwo corki, wlasnie przejechal jak szaleniec przez pol miasta. Byl pewien, ze te gesty szacunku to tylko przykrywka dla jakiegos wystepku lub prosby o przysluge. Mozliwe tez, ze nastolatka, jak to czesto bywalo, robila sobie z niego jaja. Usiadl wiec ciezko na jednym z wysokich drewnianych stolkow obok biurka i zapytal:

–Gliniarz? Facet? Jasniej, prosze. I nikogo nie zabilem. Lily wziala gleboki wdech.

–Ten gliniarz, ktory byl tu pare dni temu. Okazuje sie, ze gosc, z ktorym poszedles sie spotkac w Pacific Heights... – zerknela na cos, co zapisala sobie czerwonym tuszem na przedramieniu – Michael Mainheart, popelnil samobojstwo. I zostawil list do ciebie. Ze masz zabrac ubrania jego i jego zony, i sprzedac je po cenie rynkowej. I jeszcze napisal... – znowu popatrzyla na pomazana na czerwono reke -...a co ze slowami "chce tylko umrzec"? Nie zrozumial pan? – Podniosla wzrok.

–Tak powiedzial, kiedy udzielilem mu pierwszej pomocy – oznajmil Charlie.

–Wiec go zabiles? Czy jak to tam nazywasz. Mnie mozesz powiedziec.

Znowu dygnela, co powaznie zaniepokoiło Charliego. Dawno uznal, ze jego relacje z Lily opieraja sie na solidnej podstawie czulej pogardy, a takie jej zachowanie wywracalo wszystko do gory nogami.

**–Nie zabilem go. Co to za pytanie?**

**–Zabiles faceta z papierosnica?**

**–Nie! Nigdy go nie widzialem.**

**–Wiesz, ze jestem twoja wierna sluzebnica – powiedziala, dodajac tym razem jeszcze jeden uklon.**

**–Lily, do diabla, co sie z toba dzieje?**

**–Nic. W ogole nic sie nie dzieje, panie Asher... eee, Charles. Wolisz Charles czy Charlie?**

**–Teraz mnie o to pytasz? Co jeszcze mowil ten policjant?**

**–Chcial z toba pogadac. Zdaje sie, ze znalezli tego Mainhearta przebranego w fatalaszki zony. Wrocil ze szpitala po godzinie, odprawil pielegniarke, przebral sie od stop do glow i polknal garosc srodkow przeciwbolowych.**

**Charlie skinal glowa, myslac o tym, jak nieugiety byl Mainheart w kwestii zabrania ciuchow zony z domu. Probowal wszelkich sposobow, by czuc bliskosc z nia, ale nic nie dzialalo. A kiedy noszenie jej ubran tez nie zdalo egzaminu, ruszyl za nia w jedyny sposob, jaki znal, i polaczyl sie z nia po smierci. Charlie go rozumial. Gdyby nie Sophie, moze sprobowałby polaczyc sie z Rachel.**

**–Niezly zbok, co? – powiedziala Lily.**

**–Nie! – warknal Charlie. – Wcale nie, Lily. To zupełnie nie tak. Nawet tak nie mysl. Pan Mainheart zmarl z zalu. Moze wyglada to inaczej, ale tak wlasnie bylo.**

**–Przepraszam – powiedziala Lily. – To ty jestes specem. Charlie wbil wzrok w podloge, probujac dostrzec w tym wszystkim jakis sens. Zastanawial sie, czy zgubienie futra, ktore bylo naczyniem duchowym pani Mainheart, oznaczalo, ze ta para juz nigdy nie bedzie razem? Z jego powodu.**

**–A, wlasnie – dodala Lily. – Pani Ling zadzwonila do sklepu cala wystraszona i wrzeszczala cos po chinsku o czarnym ptaku walacym w okno...**

**Charlie zerwal sie ze stolka i popedzil po schodach, przeskakujac po dwa stopnie naraz.**

**–Jest w twoim mieszkaniu! – zawolala za nim Lily.**

**Gdy Charlie dotarl do mieszkania, na powierzchni wody w akwarium unosila sie pomaranczowa warstwa telewizyjnych prawnikow. Azjatyckie potegi staly w kuchni, pani Korjev trzymala przy piersi Sophie, ktora wygladala, jakby plywala, probujac uciec z wielkiego, gabczastego kanionu bezpieczenstwa miedzy poteznymi kozackimi balonami. Charlie zlupal**

corke, gdy ta trzeci raz zapadła się w dekolt, i mocno ją przytulił.

–Co się stało? – spytał.

Nastąpiła kanonada chińskiego i rosyjskiego, przerywana od czasu do czasu jakimś angielskim słowem: "ptak", "okno", "rozbite", "czarny" i "zeszła się".

–Stop! – Charlie unosił wolną rękę. – Pani Ling, co się stało?

Pani Ling już oprzytomniała po uderzeniu ptaka w okno i szalenczej gonitwie schodami w dół, ale okazywała teraz niezwykłą dla siebie niesmiałość, bała się bowiem, że Charlie zauważy mokra plamę na kieszeni jej sukienki. Niedawno zmarły, pomarańczowy Barnaby Jones czekał tam na spotkanie z zupą wonton, zieloną cebulą, szczyptą ziół i miseczką na zupę. "Ryba to ryba", powiedziała w myślach, wyciągając łobuza z akwarium. W końcu w akwarium było jeszcze pięciu martwych prawników, więc kto mógłby tęsknić za jednym?

–A, nic – powiedziała pani Ling. – Ptak rozbija okno i nas straszy. Teraz już nie tak źle.

Charlie spojrzał na panią Korjev.

–Gdzie?

–Na naszym piętrze. Rozmawiamy w korytarzu, co najlepsze dla Sophie, i nagle bum, ptak wali w okno i czarny tusz się rozlewa. Uciekamy tutaj i zamykamy drzwi. – Obie wdowy miały klucze do mieszkania Charliego.

–Jutro wezwę kogoś do naprawy – powiedział Charlie. – To wszystko? Nic... nikt nie wszedł?

–To trzecie piętro. Nikt nie wchodzi. Popatrzył na akwarium.

–Co tu się wydarzyło?

Pani Ling otworzyła szerzej oczy.

–Muszę iść. Umawiam się na partyjkę madzonga w świątyni.

–Wchodzimy, zamykamy drzwi – zaczęła tłumaczyć pani Korjev. – Ryby są zdrowe. Sadzamy Sophie w foteliku, jak zawsze robimy, a potem patrzymy na korytarz, czy wszystko w porządku. Kiedy pani Ling się ogląda, ryby nie żyją.

–Nie ja! To Ruska pierwsza widzi zdechłe ryby – powiedziała pani Ling.

–W porządku – odrzekł Charlie. – Widziały panie jakieś ptaki albo w ogóle coś ciemnego w tym mieszkaniu?

**Obie pokrecily glowami.**

**–Tylko na gorze – stwierdzila pani Ling.**

**–Chodmy zobaczyc – powiedzial Charlie, opierajac sobie Sophie na biodrze i biorac do reki miecz w lasce.**

**Poprowadzil kobiety do niewielkiej windy, po czym szybko przekalkulowal gabaryty pani Korjev i objetosc kabiny, by w koncu wybrac schody. Na widok rozbitego okna poczul lekka slabosc w kolanach. Nie tyle z powodu samego okna, ile tego, co widnialo na dachu po drugiej stronie ulicy. W kawalkach stluczonej szyby widnialo tysiace odbic cienia kobiety, widocznego na budynku. Podal niemowle pani Korjev, podszedl do okna i wybil otwor w szybie, by lepiej widziec. W tym momencie cien zsunal sie po scianie budynku przemkнал po chodniku i zniknal w kratce kanalizacyjnej obok miejsca, w ktorzym tuzin turystow wysiadl wlasnie z tramwaju linowego. Najwyrazniej zaden z nich nic nie zauwazyl. Dopiero minela pierwsza i promienie slonca rzucaly cienie prosto w dol. Charlie odwrocil sie z powrotem i popatrzył na obie wdowy.**

**–Widzialy panie to?**

**–Rozbite okno? – spytala pani Ling, powoli podchodzac do okna i wygladajac przez otwor, ktory zrobil Charlie. – O, nie.**

**–Co? Co?**

**Pani Ling obejrzala sie na pania Korjev.**

**–Ma pani racje. Trzeba podlac kwiaty.**

**Charlie zerknal przez otwor w oknie i zobaczyl, ze chodzilo jej o skrzynke pelna zwiedlych, czarnych pelargonii.**

**–Kraty we wszystkich oknach. Jutro – powiedzial.**

**Calkiem niedaleko – w linii prostej – pod Columbus Avenue, w miejscu przeciecia kilku kanalow burzowych, Orcus, Starozytny, chodzil zgarbiony w te i z powrotem. Grube kolce sterczace mu z ramion drapaly sciany i rury, sypiac iskrami i rozsiewajac won plonacego torfu.**

**–Rozwalisz sobie kolce, jak bedziesz tak zapierdzielal – odezwala sie Babd.**

**Przykucnela w jednej z mniejszych rur, obok swoich siostr o imionach Nemain i Macha. Za wyjatkiem Nemain, na ktorej ciecie zaczal sie pojawiac czarny relief ptasich pior, wszystkie byly pozbawione glebi. Plaskie plamy bez swiatla, zupełnie czarne nawet w polmroku saczacych sie ze studzienek kanalizacyjnych – same sylwetki, mroczne pierwowzory chlapaczy z wizerunkami dziewczat. Cienie, delikatne, zenskie i dzikie.**

**–Siadaj. Zjedz cos. Po co zdobywac Powierzchnie, skoro i tak bedziesz wygladal jak smierc?**

**Orcus warknal i odwrocil sie do trzech siostr Morrigan.**

**–Za dlugo na powietrzu! Za dlugo. – Wetknal zakrzywiony pazur do koszyka przy pasie i wyciagnal ludzka czaszke, po czym wsunal ja sobie do ust i schrupal.**

**Morrigan wybuchly smiechem, ktory brzmial jak wycie wiatru w rurach, zadowolone, ze prezent sie spodobal. Spedzily wieksza czesc dnia pod cmentarzami San Francisco, wykopujac czaszki (Orcus lubil te bez kofeiny), a potem scierajac z nich brud i bloto, dopoki nie lsnily jak porcelana.**

**–Latalysmy – powiedziala Nemain. Przez chwile podziwiala niebiesko-czarne, podobne do pior ksztalty na swojej powierzchni. – Na Powierzchni – dodala bez potrzeby. – Sa wszedzie, jak czeresnie, ktore czekaja, az ktos je ukradnie.**

**–Nie ukradnie – zaoponowal Orcus. – Myslisz jak kruk. Sa nasze, trzeba tylko brac.**

**–Tak? No to gdzie ty byles? Ja zdobylam to. – W jednej rece cien uniosl parasol Williama Creeka, a w drugiej futro zabrane Charliemu Asherowi. Wciaz swiecily na czerwono, ale poswiata szybko bledla. – Z ich powodu bylam na Powierzchni. Latalam. – Gdy nikt nie zareagowal, Nemain dodala: – Na Powierzchni.**

**–Ja tez latalam – odezwala sie niesmialo Babd. – Troszke. – Miala lekkie kompleksy, poniewaz nie pojawily sie u niej ksztalty pior ani glebia.**

**Orcus zwiesil wielki leb. Siostry Morrigan podeszly do niego i zaczely glaskac dlugie kolce, ktore kiedys byly skrzydlami.**

**–Wkrotce wszyscy bedziemy na Powierzchni – powiedziala Macha. – Ten nowy nie wie, co robi. Dzieki niemu wszyscy bedziemy mogli isc na Powierzchnie. Spojrz, jak daleko zaszliśmy, jestesmy juz naprawde blisko. Dwie na Powierzchni w tak krotkim czasie. To nowe mieso, ten ignorant, to wszystko, czego nam potrzeba.**

**Orcus uniosl bycza glowe i usmiechnal sie, odslanjajac pilowate zeby.**

**–Beda jak owoce, ktore wystarczy zerwac.**

**–Widzisz? – powiedziala Nemain. – Tak jak mowilam. Wiedziales, ze na Powierzchni widac naprawde daleko? Na wiele mil. I te cudowne zapachy. Nigdy nie zdawalam sobie sprawy, ze tutaj wszystko jest takie wilgotne i zatechle. Czy istnieje jakis powod, dla ktorego nie mozemy miec okna?**

**–Zamknij sie! – ryknal Orcus.**

**–Kurde, może odgryziesz mi głowę? Czemu nie?**

**–Nie kus – odparł byczogłowy Śmierc.**

**Wstał i poprowadził pozostałe Śmierci, siostry Morrigan, kanałem w stronę dzielnicy finansowej, do zakopanego statku z czasów Gorączki Żłota, w którym urządzili sobie dom.**

## **CZESC DRUGA**

### **DUSZE Z ODZYSKU**

**Nie szukaj smierci. Smierc sama cie znajdzie. Lecz szukaj takiej drogi, by smierc byla spelnieniem.**

**Dag Hammarskjold**

## **10. SMIERC IDZIE NA SPACER**

**Rankami Charlie spacerowal. O szostej, po wczesnym sniadaniu, powierzal opieke nad Sophie pani Korjev albo pani Ling (zalezy, czyja kolej wypadala) na czas dnia pracy, po czym wyruszal na przechadzke. Przemierzal miasto z mieczem w lasce, który stal sie czescia jego codziennego wyposazenia. Nosil miekkie buty z czarnej skory i drogi garnitur z drugiej reki, który oddal do poprawki do swojej pralni w Chinatown. Chociaz udawal, ze ma jakis cel, spacerowal po to, by miec czas na rozmyslania, by przymierzyc sie do roli Smierci i poobserwowac ludzi. Zastanawial sie, czy dziewczyna z kwiatami, u ktorej czesto kupowal gozdzik do butonierki, ma dusze i czy ja odda, gdy bedzie patrzyl na jej smierc. Obserwowal faceta na North Beach, robiacego cappuccino z rysunczkami w pianie, przedstawiajacymi buzie i liscie paproci, i zastanawial sie, czy ktos taki moglby w ogole funkcjonowac bez duszy – a moze to jego dusza kurzyla sie u Charliego na zapleczu? Chcial zobaczyc wielu ludzi i przemyslec wiele spraw.**

**Przebywajac w miescie wsrod ludzi, ktorzy dopiero ruszali z miejsca, witali dzien, czynili przygotowania, zaczal odczuwac nie tylko odpowiedzialnosc zwiazana ze swoja nowa rola, ale takze wladze, a w koncu – swoja wyjatkowosc. Nie liczyl sie to, ze nie ma pojecia, co robi, albo ze byc moze z tego powodu stracil milosc swojego zycia. Zostal wybrany. Gdy zdal sobie z tego sprawe, pewnego dnia poszedl przez California Street, w dol Nob Hill do dzielnicy finansowej, gdzie zawsze czul sie gorszy i pozbawiony kontaktu ze swiatem, wsrod pedzacych wokol maklerow i bankierow, ktorzy gadali przez komorki z Hongkongiem, Londynem czy Nowym Jorkiem i nigdy nie patrzyli mu w oczy. Tym razem nie tyle szedl, ile dumnie kroczył. Tego dnia Charlie Asher pierwszy raz od dzieciinstwa wsiadl do tramwaju linowego na California Street i uwiesil sie na zewnatrz, trzymajac sie poreczy i dzierzac laske z ukrytym ostrzem, jakby ruszal do ataku. Hondy i mercedesy mknely obok, przejezdzaly pod jego pacha w bardzo niewielkiej odleglosci. Wsiadl na petli, kupil w automacie "Wall Street Journal", a potem poszedl do najblizszej studzienki kanalizacyjnej, rozlozyl gazete, by nie pobrudzic spodni, po czym opadl na czworaki i wrzasnal do kanalu:**

**–Zostalem wybrany, wiec nie zadzierajcie ze mna! Kiedy wstal, obok stalo z dziesiec osob czekajacych na zielone swiatlo. Wszyscy na niego patrzyli.**

**–Musialem to zrobic – powiedzial, nie tonem przeprosin, lecz wyjasnienia.**

**Bankierzy, maklerzy, asystenci menedzerow, specjaliszcisci od HR i kobieta, ktora podawala zupe z malzy w Boudin Bakery – wszyscy pokiwal glowami, nie do konca pewni dlaczego. Pracowali w dzielnicy finansowej i mieli do czynienia z roznymi osobnikami, ktorzy probowali z nimi zadzierac. W glebi duszy wiedzieli, ze Charlie krzyczal we wlasciwym kierunku. Zlozyl**

gazete i wcisnął ją sobie pod pachę, po czym odwrócił się i wraz z nimi przeszedł przez ulicę, gdy światło wreszcie się zmieniło.

Czasami Charlie przemierzał ulicę, myślał tylko o Rachel, i tak pograżał się we wspomnieniach jej oczu, uśmiechu, dotyku, że wpadał prosto na ludzi. Bywało i tak, że to ludzie wpadali na niego, a potem nawet nie podnosili mu portfela z chodnika i nie mówili "przepraszam", co w Nowym Jorku byłoby może normalne, ale w San Francisco oznaczało, że zbliżał się do naczynia duchowego, które należało zabrać. Znalazł jedno z nich, pogrzbacz do kominka – był z brązu, ułożony przy krawężniku razem ze smieciami na Russian Hill. Innym razem zauważył świecący wazon, wystawiony w oknie wiktoriańskiego budynku na North Beach. Zebrał się na odwagę i zapukał do drzwi, a kiedy młoda kobieta otworzyła i wyszła na ganek, zdumiona, że nikogo nie widzi, Charlie przesliznął się obok, złapał wazon i uciekł bocznymi drzwiami, zanim wrocila. Serce waliło mu jak wojskowy werbel, adrenalina mknęła przez żyły niczym hormonalna karuzela. Gdy tego poranka ruszył z powrotem do sklepu, zdał sobie sprawę – nie bez pewnej ironii – że zanim został Śmiercią, nigdy tak bardzo nie czuł, że żyje. Co rano Charlie starał się spacerować w innym kierunku. W poniedziałki lubił pojechać do Chinatown tuż po świcie, kiedy odbywały się wszystkie dostawy – przywożono skrzynie ze zbożami, marchwią, salata, brokulami, kalafiorami, melonami i tuzinem odmian kapusty. Wszystko to było uprawiane przez Latynosów w Central Valley i konsumowane przez Chinczyków w Chinatown, lecz wcześniej przechodziło przez anglosaskie rece, które wyciskały z tego pożywe pieniądze. W poniedziałki firmy rybne przywoziły świeży połow. Silni Włosi, których rodziny działały w tej branży od pokoleń, przekazywali towar enigmatycznym chińskim handlarzom, których przodkowie sto lat temu kupowali ryby od Włochów jeżdżących konnymi wozami. Chodnikami przemierzały się najrozniejsze żywe i do niedawna żywe ryby: lupacze, halibuty i makrele, okonie morskie, dorsze i pozbawione szczyptę pacyficzne homary o złotych ogonach, kraby kieszence, upiorne zabnice o długich, sztyletowatych zębach i sterczących z głowy kolcach ze świetlnymi wabikami, które przyciągały zdobycz w odmetach oceanu, gdzie nie docierały promienie słońca. Charliego fascynowały stworzenia z głębin – wielkookie kalamarnice, matwy, ślepe rekiny, które lokalizowały ofiary za pomocą impulsów elektrycznych – stworzenia, które nigdy nie widziały światła. Patrzeć na nie, myślał o tym, co może go czekać w Zaswiatach. Mimo że wszedł w rytm znajdowania nazwisk przy łozku i naczyń duchowych w najrozniejszych miejscach, a kruki i cienie przestały się pojawiać, wciąż czuł ich obecność pod ulicą, za każdym razem, gdy mijal studzienkę kanalizacyjną. Czasami, w tych rzadkich chwilach, gdy na ulicach zapadała cisza, słyszał, jak do siebie szepczą.

Przechodząc o świcie przez Chinatown, człowiek uczestniczył w niebezpiecznym tancu. Nie było tu bowiem tylnych drzwi ani załkówek dla dostawców i wszystkie towary przenoszono przez chodnik, i chociaż do tej pory Charlie nie lubił ani niebezpieczeństw, ani tanca, podobał mu się taniec z tysiącem małych, chińskich babć w czarnych kapciach albo przejrzystych, plastikowych butach, które skakały od handlarza do handlarza, sciskały, wachwały i opukiwały towar. Szukały dla swoich rodzin tego co najświeższe i najlepsze, zamawiały i zadawały pytania po mandaryńsku, wciąż o włos od przejechania przez poltusze wołowe, wielkie wieszaki ze świeżymi kaczkami czy wózki wyladowane skrzynkami żywych żółwi. Charlie nie znalazł



jeszcze naczynia duchowego podczas przechadzek po Chinatown, był jednak gotowy, bo ten szalency ruch zwiastował, że kiedyś jedna z babc padnie trupem. Pewnego ranka, tak dla zabawy, Charlie złapał baklazana, po który wyciągała reke pewna szczególnie pomarszczona staruszka. Kobięcina jednak nie wytraciła mu go z reki jakimś mistycznym ciosem kung-fu – czego się spodziewał – a tylko popatrzyła mu w oczy i pokreciła głowa. Było to zaledwie drgniecie, ledwie widoczne, które mogłoby wygladac na tik, lecz w istocie stanowiło nadzwyczaj wymowny gest. Charlie odczytał go tak: "O, Biały Diablu, nie chcesz sobie przywlaszczyc tego fioletowego owocu, bo mam nad toba przewage czterech tysiecy lat przodkow i cywilizacji. Moi dziadkowie budowali kolej i wydobywali srebro w kopalniach, a rodzice przezyli trzesienie ziemi, pozar i spoleczenstwo, które zakazywalo nawet byc Chinczykiem. Jestem matka tuzina, babka setki i prababka legionu. Rodzilam dzieci i obmywalam zmarlych. Jestem historia, cierpieniem i madroscia. Jestem Budda i smokiem. Wiec lapy precz od mojego pieprzonego baklazana, zanim je stracisz". I Charlie odpuscil. A ona usmiechnela sie, odrobine. Trzy zeby. A on zaczel rozmyslac, czy jesli bedzie musial wziac naczynie duchowe jednej z tych staruch, starych jak sam Czas, w ogole zdola je uniesc. I usmiechnal sie w odpowiedzi. I poprosil ja o numer telefonu, który dal Rayowi.

–Wydawala sie mila – powiedzial mu. – Taka dojrzala.

Czasami podczas spaceru Charlie trafial do Japan Town, gdzie mijal najbardziej tajemniczy zaklad w miescie – Naprawe Niewidzialnych Butow. Naprawde chcial zajrzec tam ktoregos' dnia, ale wciaz jeszcze nie oswoil sie z olbrzymimi krukami, przeciwnikami z Zaswiatow, i rola Handlarza Smierci, nie byl wiec pewien, czy jest gotow na niewidzialne buty, a juz tym bardziej niewidzialne buty, które wymagaja naprawy! Gdy tamtedy przechodzil, czesto staral sie zajrzec do srodka przez japonskie litery na szybie, ale nic nie widzial, choc ten fakt, ma sie rozumiec, jeszcze nic nie oznaczal. Po prostu nie byl jeszcze gotowy. Ale w Japan Town miescil sie sklep ze zwierzetami (Dom Milych Rybek i Gryzoni), gdzie kupil rybki dla Sophie i dokad wrocil, by zastapic telewizyjnych prawnikow piecioma telewizyjnymi detektywami, którzy tydzien pozniej tez jednoczesnie odeszli do Wiecznego Akwenu. Charlie byl oszolomiony, gdy zobaczyl, ze jego corka slini sie na widok martwych detektywow, ktorych bylo wiecej niz na festiwalu filmow noir. Natychmiast spuscil wszystkie rybki w sedesie, po czym uzyl przepychacza, by usunac Magnuma i Mannixa. Poprzysiagl sobie, ze nastepnym razem znajdzie malej zywotniejszych przyjaciol. Pewnego popoludnia wychodzil z Domu MRiG, niosac plastikowa klatke firmy Habitrail z para solidnych chomikow, i wpadl na Lily, która zmierzala do kafejki przy Van Ness, gdzie zamierzala spotkac sie ze swoja przyjaciolka Abby i oddac pospiesznym rozmyslaniom nad latte.

–Czesc, Lily, jak sie masz? – Charlie silil sie na obojetny ton, ale stwierdzil, ze niezreczna atmosfera, panujaca miedzy nimi od jakiegos czasu, nie poprawila sie, gdy Lily zobaczyla go na ulicy z gryzoniami w pudelku.

–Ladne myszoscoczki – powiedziala Lily.

Miala na sobie spodniczke w kratke, niczym dziewczyna ze szkoły katolickiej, oraz czarne

rajstopy i martensy, a do tego czarny, gumowany gorset, z którego od góry wystawały scisnięte fragmenty Lily, przypominające kawał ciasta, którym walnięto w krawędź blatu. Jej włosy miały dziś fioletowo-czerwona barwę, podkreślona liliowym cieniem do powiek, który pasował do fioletowych koronkowych rekawiczek, sięgających łokci. Spojrzała w jedną stronę, potem w drugą. Nie zobaczywszy nikogo znajomego, zwróciła się do Charliem.

–To nie myszoscoczki, tylko chomiki – odparł.

–Asher, czy coś przede mną ukrywałeś? – Lekko przechyliła głowę, ale nie patrzyła na niego, tylko przed siebie, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby ją poznać, gdy szła obok Charliego, tym samym zmuszając do popełnienia seppuku.

–Jezu, Lily, to dla Sophie! – powiedział Charlie. – Jej rybki zdechły, więc kupiłem jej nowe zwierzątka. Poza tym cała ta sprawa z myszoscoczkami to tylko miejska legenda...

–Chodziło mi o to, że jesteś Śmiercią – wyjaśniła Lily. Charlie niemal nie upuścił chomików.

–E?

–To takie niesprawiedliwe – ciągnęła, idąc dalej, choć Charlie stanął jak wryty. Teraz musiał podbiec, by do niej dołączyć. – Takie niesprawiedliwe, że zostałeś wybrany. Muszę powiedzieć, że ze wszystkich życiowych rozczarowań właśnie to ma palme pierwszeństwa.

–Masz szesnaście lat – zauważył Charlie, który trochę się jękał, zdumiony faktem, że dziewczyna traktuje temat z taką swobodą.

–Pewnie, rzuć mi to w twarz. Jeszcze tylko przez dwa miesiące będę miała szesnaście lat, a potem co? Moja uroda w mgnieniu oka stanie się uczta dla robaków, a ja będę zapomnianym westchnieniem w morzu nicosci.

–Za dwa miesiące masz urodziny? No, musimy ci sprawić ładny tort – powiedział Charlie.

Znowu przystanął i odwrócił się, by na nią popatrzeć. Tym razem ona też się zatrzymała.

–Lily, wiem, że od śmierci Rachel zachowuje się trochę dziwnie, i przepraszam, że miałas z mojego powodu kłopoty w szkole, ale próbowałem sobie z tym wszystkim poradzić, z dzieckiem, z firmą. Cały ten stres...

–Mam Bardzo wielką księgę Śmierci – oznajmiła. Złapała klatkę z chomikami, gdy wypuścił ją z ręki. – Wiem o naczyniach duchowych, o mrocznych siłach, które przybędą, jeśli spieprzysz sprawę, i tak dalej. Wszystko. Dowiedziałam się wcześniej od ciebie, zdaje się.

Nie wiedział co powiedzieć. Odczuwał panikę i ulgę jednocześnie. Panikę, bo Lily wiedziała, lecz i ulgę, że w końcu ktoś wie i w to wierzy, a w dodatku widział księgę. Księga!

–Lily, nadal masz ksiege?

–Jest w sklepie. Schowałam ja z tyłu gabloty, tam gdzie trzymasz cenne rzeczy, których nikt nigdy nie kupi.

–Do tej gabloty nikt nie zagląda.

–Powaznie? A ja myslalam, ze jesli ja znajdziesz, powiem, ze zawsze tam byla.

–Musze isc. – Odwrocil sie i ruszyl w przeciwna strone, ale potem sie zorientowal, ze szli we wlasciwym kierunku, wiec znowu zawrocil. – Dokad sie wybierasz?

–Na kawe.

–Przejde sie z toba.

–Nie. – Znowu sie rozejrzala, w obawie ze ktos moglby ich zobaczyc.

–Ale, Lily, jestem Smiercia. Dzieki temu chyba powinienem byc choc w niewielkim stopniu fajny.

–Aha, tak sie wydaje. Jednak ty najwyrazniej zdolales pozbawic Smierc wszystkiego co fajne.

–Ale jestes ostra.

–Witaj w moim swiecie, Asher.

–Wiesz, ze nie wolno ci nikomu o tym mowic?

–Tak jakby kogos obchodzilo, co robisz ze swoimi my-szoskoczkami.

–To chomiki! Nie...

–Wyluzuj, Asher. – Lily zachichotala. – Wiem, o co ci chodzi. Nie zamierzam nikomu mowic, oprócz Abby, ktora wie, ale ma to gdzieś. Mowi, ze poznala jakiegos faceta, ktory jest jej mrocznym panem. Ona przechodzi ten etap. Mysli, ze fiut to jakas mistyczna czarodziejska rozdzka. Charlie poprawil klatke z chomikami, maskujac zmieszanie.

–Dziewczyny przechodza przez taki etap? – Dlaczego dowiaduje sie o tym dopiero teraz? Nawet chomiki wydawaly sie zaklopotane.

Lily odwrocila sie na piecie i ruszyla chodnikiem.

–Nie bede o tym z toba rozmawiac.

**Charlie stal i patrzyl za nia, balansujac chomikami i zupełnie bezuzytecznym mieczem w lasce, i jednocześnie probujac wydostac telefon komorkowy z kieszeni marynarki. Musial zobaczyc te ksiege, i to szybciej niz za godzine, gdy dotrze do domu.**

**–Lily, zaczekaj! – zawolal. – Dzwonie po taksowke. Podwoize cie.**

**Pomachala reka, nawet sie nie ogladajac, i szla dalej. Gdy czekal, az ktos' w korporacji taksowkowej odbierze telefon, uslyszal ten glos. Zdal sobie sprawe, ze stoi dokladnie nad studzienka kanalizacyjna. Od dnia, w ktorym je ostatnio slyszal, minal ponad miesiac, i myslal, ze zniknely.**

**–Ja tez dorwiemy, Mieso. Jest nasza.**

**W gardle poczul lek, niczym bilardowa bile. Z trzaskiem zamknal telefon i popedzil za Lily. Gdy biegł, laska grzechotala, a chomiki podskakiwaly.**

**–Lily, czekaj! Czekaj!**

**Odwrocila sie blyskawicznie, a jej fioletowa peruka wykonala tylko cwierc obrotu, a nie pol, wiec twarz miala zaslonieta wlosami, gdy mowila:**

**–Tort lodowy z Trzydziestu Jeden Smakow, dobra? A potem rozpacz i nicosc.**

**–Napiszemy to na torcie – powiedzial.**

## **11. DZIEWCZETA BYWAJA TROCHE MROCZNE**

**Okazalo sie, ze Bardzo wielka ksiega Smierci wcale nie jest taka wielka, a juz z pewnoscia nie wyczerpujaca. Charlie przeczytal ja z dziesiec razy, robil notatki i wypisy, kartkowal ja w poszukiwaniu szczegolowych informacji, ale caly material, zawarty na dwudziestu osmiu bogato ilustrowanych stronach, sprowadzal sie do ponizszego:**

**1. Gratulujemy, zostales wybrany, by dzialac jako Smierc. To brudna robota, ale ktos musi sie tym zajmowac. Twoim obowiazkiem jest odzyskiwanie naczyn duchowych od zmarlych i umierajacych oraz przekazywanie ich nastepnemu cialu. Jesli zawiedziesz, Ciemnosc skryja swiat i zapanuje Chaos.**

**2. Jakis czas temu Luminatus, czyli Wielka Smierc, ktory utrzymywal rownowage miedzy swiatlem a ciemnoscia, przestal istniec. Od tamtej pory Sily Ciemnosc probuja powstac spod ziemi. Tylko ty stoisz pomiedzy nimi a zniszczeniem wspolnej duszy calej ludzkosci.**

**3. Aby powstrzymac Sily Ciemnosc, potrzebujesz olowka "dwojki" i kalendarza, najlepiej takiego bez zdjec z kociakami.**

**4. Otrzymasz nazwiska i liczby. Liczba wskazuje, ile masz dni na zabranie naczyinia**

**duchowego. Poznasz naczynia po karmazynowym blasku.**

**5. Nikomu nie mów, czym się zajmujesz, bo inaczej mroczne siły itd., itp.**

**6. Ludzie mogą cię nie widzieć, gdy wykonujesz obowiązki Śmierci, więc uważaj, gdy przechodzisz przez ulice. Nie jesteś nieśmiertelny.**

**7. Nie szukaj innych. Nie wahaj się w swojej pracy Śmierci, bo inaczej Siły Ciemności niszcza wszystko, na czym ci zależy.**

**8. Nie powodujesz śmierci ani jej nie zapobiegasz, jesteś sługą Przeznaczenia, nie jego wykonawcą. Weź się w garść.**

**9. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie pozwól, by naczynie duchowe wpadło w łapy tych z dołu, bo będzie źle.**

**Minęło kilka miesięcy, zanim Charlie znów znalazł się w sklepie sam na sam z Lily.**

**–I jak, kupiłeś sobie ołówek "dwojkę"? – spytała go.**

**–Nie, kupiłem jedynekę.**

**–Ty łobuzie! Asher, halo! Siły Ciemności...**

**–Jeśli równowaga w świecie bez tego Luminatusa jest tak chwiejna, że mój ołówek z trochę twardszym grafitem straci nas wszystkich w otchłań, to może najwyższa pora.**

**–Ej, ej, ej, ej – powiedziała Lily, jakby chciała uspokoić spłoszonego konia. – Mój nihilizm i tak dalej to jedno, dla mnie to deklaracja, mam do tego odpowiednie ubrania. Ale tobie na pewno nie tak śpieszno do grobu, skoro nosisz ten głupi garnitur z Savile Row.**

**Charlie był dumny, że rozpoznała jeden z jego kosztownych garniturów z drugiej ręki, uszytych przy londyńskim Savile Row. Wbrew samej sobie uczyła się fachu.**

**–Strach już mnie zmęczyl – powiedział. – Miałem do czynienia z Siłami Ciemności, czy z czym tam, Lily, i wiesz co, to jest pojedynek.**

**–Powinieneś mi o tym opowiadać? To znaczy księga mówi...**

**–Chyba jestem inny od tego, co mówi księga. Mówi, że nie przyczyniam się do śmierci, ale już dwie osoby zginęły, ogólnie rzecz biorąc, z powodu moich działań.**

**–Powtarzam: czy powinieneś mi o tym opowiadać? Jak wiele razy podkreślałeś, jestem jeszcze dzieckiem, i to szalenie nieodpowiedzialnym. Jestem szalenie nieodpowiedzialna, tak? Nigdy nie słucham cię zbyt uważnie.**

**–Tylko ty wiesz – stwierdził. – I masz już siedemnaście lat, nie jesteś dzieckiem, tylko młoda kobieta.**

**–Nie pogrywaj ze mną, Asher. Jeśli nie przestaniesz tak do mnie gadac, zrobię sobie następny piercing, będę brała ecstasy, aż odwodnie się jak mumia, będę gadała przez komórkę do wyczerpania baterii, a potem znajde jakiegoś chudego, bladego faceta i będę go ssala, aż zacznę krzyczeć.**

**–Czyli będzie jak w piątek?**

**–Co robie w weekendy, to moja sprawa. – Wiem!**

**–No to się zamknij!**

**–Strach już mnie zmeczył, Lily!**

**–No to przestan się bac, Charlie!**

**Oboje odwrócili wzrok, zawstyżeni. Lily udawała, że szpera w paragonach, a Charlie udawał, że szuka czegoś w tym, co on nazywał neseserem, a Jane torebka dla faceta.**

**–Przepraszam – powiedziała Lily, nie podnosząc wzroku znad paragonów.**

**–W porządku – odparł. – Ja też. Wciąż na niego nie patrzac, spytała:**

**–Ale serio, powinienes mi to mowić?**

**–Pewnie nie – przyznał. – To jest wielki ciezar. Taka jakby...**

**–Brudna robota? – Teraz uniosła wzrok i wyszczerzyła się.**

**–Tak. – Charlie usmiechnał się z ulgą. – Więcej nie porusze tego tematu.**

**–W porządku. To całkiem fajne.**

**–Powaznie? – Nie pamiętał, by w odniesieniu do niego ktos używał słowa "fajny". Był wzruszony.**

**–Nie ty. Cała ta sprawa ze śmiercią.**

**–Aha – mruknął. Tak! We współczynniku niefajności wciąż osiągał tysiąc. – Ale masz rację, to nie jest bezpieczne. Koniec rozmów o moim, eee, zajeciu.**

**–I już nigdy nie powiem do ciebie "Charlie" – dodała. – Przenigdy.**

**–W porządku – powiedział. – Bedziemy zachowywali się tak, jakby to nigdy się nie zdarzyło.**

**Doskonale. Dobry pomysl. Traktuj mnie jak zwykle, czyli ze slabo skrywana pogarda.**

**–Odpierdol sie, Asher.**

**–O, wlasnie.**

**Czekaly na niego nastepnego ranka, kiedy poszedl na spacer. Spodziewal sie tego i sie nie rozczarowal. Wszedl do sklepu, by zabrac wloski garnitur, dopiero co przyjety na sklad, a takze zapalniczke do cygar, od dwoch lat marniejaca w szafce z osobliwosciami. Wcisnal je do torby razem ze swiecacym porcelanowym niedzwiadkiem, ktory byl naczyniem duchowym kogos, kto odszedl juz dawno temu. A potem wyszedl na ulice i stanal tuz nad studzienka kanalizacyjna. Pomachal turystom w tramwaju linowym, ktory z brzekiem przejechal ulica.**

**–Dzien dobry – powiedzial radosnie.**

**Gdyby ktos go widzial, pomyslalby, ze wita nowy dzien, bo nikogo obok nie bylo.**

**–Wydziobiemy jej oczy jak sliwki – syknal zenski glos ze studzienki. – Wez nas na gore, Mieso. Wez nas na gore, zebysmy mogly chleptac krew z ziejacej rany, ktora wyrwiemy ci w piersi. – 1 schrupac twoje kosci jak cukierki – dorzucil inny glos, takze zenski.**

**–Wlasnie – podchwycil pierwszy glos. – Jak cukierki.**

**–Wlasnie – powiedzial trzeci glos.**

**Charlie poczul, ze na calym ciele dostaje gesiej skorki, ale otrzasnal sie i staral panowac nad glosem.**

**–Dzisiaj bylby dobry dzien – powiedzial. – Jestem wypoczety, bo wyspalem sie w swoim wygodnym lozku pod puchowa koldra. Nie spedzilem nocy w kanalach czy cos w tym rodzaju.**

**–Lajdak! – zasyczal zenski chor.**

**–No, pogadamy przy nastepnej studziencie. Przeszedl do Chinatown, raznie kroczac chodnikiem ze swoim mieczem w lasce i garniturem w lekkim pokrowcu, narzuconym na ramie. Probował gwizdac, ale po chwili pomyslal, ze to zbyt banalne. Byly juz pod nastepnym skrzyzowaniem, gdy tam dotarl.**

**–Wysse dusze tej malej na twoich oczach, Mieso.**

**–O, fajnie! – powiedzial Charlie, starajac sie ukryc przerazenie w glosie. – Zaczyna juz calkiem niezle raczkowac, wiec zjedz tego dnia porzadnie sniadanie. Jesli bedzie miala swoja gumowa lyzeczke, pewnie spusci ci becki.**

**Z kanalow dobiegl gniewny pisk, a potem ochrypla, szeptana rozmowa.**

**–Nie moze tak mowic! Moze? Czy on wie, kim jestesmy?**

**–Ide w lewo, do nastepnego skrzyzowania. Na razie. Mlody Chinczyk w hip-hopowym stroju popatrzył na Charliego i szybko odskoczył w bok, jakby sie bał, ze ten dobrze ubrany Lopak\* zarazi go swoim swirem. Charlie postukal sie w ucho i powiedzial:**

**–Przepraszam, zestaw sluchawkowy. Hip-hopowiec skinal glowa, jakby o tym wiedzial i, mimo ze to wygladalo inaczej, wcale nie spanikowal, tylko wrzucil luz i pieprzony blues, man, wiec wypad z baru, ziom. Przeszedl przez ulice, lekko utykajac pod ciezarem rymow.**

**Charlie wszedl do Pralni pod Zlotym Smokiem. Mezczyzna za lada, pan Hu, ktorego Charlie znal, odkad mial osiem lat, powital go wylewnym i cieplym uniesieniem brwi, co stanowiło u niego standardowe powitanie, a takze znak, ze staruszek jeszcze zyje. Z jego uzebienia sterczala fifka, w ktorej dymil papieros.**

**–Dzien dobry, panie Hu – powiedzial Charlie. – Piekny dzien, prawda?**

**–Garnitur? – spytal pan Hu, patrzac na garnitur przewieszony przez ramie Charliego.**

**–Tak, dzisiaj tylko ten – odparl Charlie. \* bialy czlowiek.**

**Najlepszy towar zawsze pral w Zlotym Smoku i przez kilka ostatnich miesiecy zapewnił pralni niezły zysk, bo przyjal sporo ubran z tamtej rezydencji. Tutaj tez zlecal poprawki krawieckie. Pan Hu byl uwazany za najlepszego trojpalczastego krawca na calym Zachodnim Wybrzezu, a zapewne i na s'wiecie. W Chinatown zwano go Trojpal-czasty Hu, choc – badzmy uczciwi – tak naprawde posiadal osiem palcow, brakowalo mu tylko dwoch u prawej dloni.**

**–Krawiec? – spytal Hu.**

**–Nie, dziekuje – odparl Charlie. – Ten bedzie na sprzedaz, nie dla mnie.**

**Hu wyrwal mu garnitur z reki, przypial metke, a potem zawolal po mandarynsku:**

**–Jeden garnitur dla Bialego Diabla!**

**Z zaplecza wybiegla ktoras z jego wnuczek, zabrala garnitur i zniknela za kotara, zanim Charlie zdazyl zobaczyc jej twarz.**

**–Jeden garnitur dla Bialego Diabla – powtorzyla do kogos na zapleczu.**

**–Sroda – oznajmil Trojpalczasty Hu. Podal Charlie mu kwit.**

**–Jest jeszcze cos – powiedzial Charlie.**

**–Dobra, wtorek – odparl Hu. – Ale bez znizki.**



**–Nie, panie Hu. Wiem, że minelo sporo czasu, od kiedy tego potrzebowalem... ale zastanawiam sie, czy ma pan jeszcze swoja druga firme?**

**Pan Hu przymknal oko i patrzyl na Charliego przez pelna minute, zanim odpowiedzial. W koncu rzekl:**

**–Chodz. – I zniknal za kotara, zostawiajac za soba oblok papierosowego dymu.**

**Charlie poszedl za nim, przez halasliwe, spowite para pieklo plynow do prania, maglownic i uwijajacych sie pracownikow, do malego, obitego sklejka gabinetu. Hu zamknal drzwi na klucz i zalatwili sprawe – cos, czego nie robili od ponad dwudziestu lat.**

**Gdy Trojpalczasty Hu pierwszy raz poprowadzil Charliego Ashera przez czeluscie zaplecza Pralni pod Zlotym Smokiem, dziesięcioletni samiec beta mial pewnosc, ze zostanie porwany i sprzedany do niewolniczej pracy, za-szlachtowany i spieniezony za okragla sumke albo zmuszony do palenia opium i walki z piecdziesiecioma wojownikami kung-fu w pizamach (jako dziesięcioletek mial blade pojecie o kulturze swoich sasiadow). A jednak mimo leku powodowal nim impuls, wyryty w jego genach od pieciu milionow lat: zdobywanie ognia. Tak, to pomyslowy samiec beta odkryl ogien. Oczywiscie, samiec alfa niemal natychmiast mu go odebral. (Odkrycie ognia nie przypadlo w udziale samcom alfa, ci bowiem nie rozumieli, ze nie nalezy chwytac za goracy, pomaranczowy koniec kija. Mozna im za to przypisac odkrycie oparzen trzeciego stopnia). Po dzis dzien pierwotna iskra plonie jasno w zylach kazdego samca beta. Podczas gdy chlopcy alfa przerzucaja sie na sport i dziewczyny, beta pasjonuja sie pirotechnika do poznej mlodosci albo i dluzej. Moze i samce alfa dowodza wszystkimi armiami swiata, ale to rece samcow beta wysadzaja rozne rzeczy w powietrze.**

**A co moze byc lepszym znakiem rozpoznawczym dostawcy fajerwerkow niz brak palcow? Trojpalczasty Hu. Gdy otworzyl szeroka szafe za biurkiem, ukazujac towar, mlody Charlie poczul, ze przeszedl przez ognie piekielne, by wreszcie dotrzec do rajku, i z radoscia oddal Chinczykowi zwitek zmietych, przepoconych banknotow. Srebrny popiol z papierosa Hu opadl na lonty fajerwerkow niczym smiercionosny snieg, a Charlie wzial swoje skarby. Byl tak podekscytowany, ze niemal sie zszal. Zajmujacy sie smiercia Charlie, ktory tego ranka wyszedl z Pralni pod Zlotym Smokiem ze zgrabna, owinieta w papier paczuszka, czul podobne podniecenie, bo – co prawda wbrew swojej naturze – znowu szedl w paszcze lwa. Skierowal sie w strone studzienki kanalizacyjnej i, wymachujac swiecacym porcelanowym niedzwiadkiem, krzyknal:**

**–Do nastepnego skrzyzowania prosto, a potem czwarta ulica po lewej, zdziroy! Idziecie ze mna?!**

**–Bialy Diabel w koncu do reszty zwariowal – powiedziala jedenasta wnuczka Trojpalczastego Hu, Cindy Lou Hu, ktora stala przy ladzie obok czcigodnego i ograniczonego manualnie przodka.**

**–Ale jego pieniądze nie zwariowały – odparł Trojpalczasty Hu.**

**Charlie zauważył ten zaułek podczas jednego ze spacerów do dzielnicy finansowej. Znajdował się pomiędzy Montgomery Street a Kearney Street i było w nim wszystko, co zaułek z prawdziwego zdarzenia mieć powinien: wyjścia pożarowe, kontenery na śmieci, różne stalowe drzwi po-bazgrane graffiti, szczur, dwie mewy, różne odcienie brudu, nieprzytomny facet pod kawalem kartonu i kilka znaków "zakaz parkowania", w tym trzy podziurawione kulami. Był to platonski ideał zaułka. Od innych okolicznych zaułków odróżniało go to, że były tu dwa wyloty kanałów burzowych, znajdujące się mniej niż pięćdziesiąt metrów od siebie, jeden na końcu uliczki, a drugi pośrodku, skryty między dwoma kontenerami na śmieci. Charlie od niedawna miał oko na studzienki kanalizacyjne, nie mógł więc ich nie zauważyć.**

**Wybrał studzienkę ukrytą od strony ulicy, przykucnął nieco ponad metr od niej i otworzył paczkę od Trojpalczastego Hu. Wyjął osiem M-80 i skrocił pięciocentymetrowe wodoodporne lonty do około centymetra za pomocą obcinacza do paznokci, który nosił przy kluczach. (M-80 to bardzo duży fajerwerk, siła eksplozji odpowiadający ponoc cwiartce łaski dynamitu. Wiejskie dzieci używają takich do wysadzania skrzynek pocztowych lub rur w szkołach, ale w miastach do takich psotnych żartów częściej służy dziś pistolet Glock kaliber 9 mm).**

**–Dzieci! – zawołał Charlie do studzienki. – Jesteście? Przepraszam, ale nie znam waszych imion. – Wyciągnął miecz z łaski i położył go przy kolanie, a następnie wydobyl z torby porcelanowego niedzwiedka, którego umieścił przy drugim kolanie. – Proszę bardzo! – zawołał.**

**Ze studzienki rozległ się wściekły syk i choć już wcześniej wydawało mu się, że panuje tam zupełna ciemność, teraz zrobiło się jeszcze ciemniej. Dostrzegł srebrne okrągłe kształty, poruszające się w mroku. Przypominały monety w morskich odmetach, były to jednak patrzące w górę oczy.**

**–Dawaj, Mieso. Dawaj – wyszeptał zenski głos.**

**–Chodźcie i weźcie to sobie – powiedział Charlie, zmagając się z najsilniejszą falą leku, jaka go kiedykolwiek ogarnęła. Zupełnie jakby ktoś układał mu na plecach suchy lod. Wszystko, co mógł zrobić, to nie trząść się na całym ciele.**

**Cień z kanału zaczął wylewać się na chodnik, ledwie na parę centymetrów, ale Charlie go widział – tak jakby zmieniło się światło. A wcale się nie zmieniło. Cień przybrał kształt kobiecej dłoni i przesunął się o piętnaście centymetrów w kierunku świecącego niedzwiedka. W tym momencie mężczyzna złapał miecz i ciachnął ostrzem cieniem. Klinga nie uderzyła w chodnik, lecz trafiła w coś bardziej miękkiego. Rozległ się ogłuszający wrzask.**

**–Ty gnoju! – krzyknął głos, tym razem pełen gniewu, a nie bólu. – Ty mały, bezwartościowy... ty...**

**–Szybcy i martwi, moje panie – powiedział. – Szybcy i martwi. Śmiało, jeszcze jedna próba.**

**Drugi cien w ksztalcie dloni wychynal ze studzienki po lewej, a potem jeszcze jeden, po prawej. Charlie odsunal niedzwiadka od studzienki i wyjal z kieszeni zapalnicke. Podpalil krotkie lonty czterech M-80 i cisnal je do kanalu w chwili, gdy cienie wyciagaly rece.**

**–Co to bylo?**

**–Co on rzucil?**

**–Posun sie, nie moge...**

**Charlie zatkal uszy palcami. M-80 eksplodowaly, a on usmiechnal sie szeroko. Wsunal miecz do laski, pozbieral swoje rzeczy i sprintem popedzil do drugiej studzienki. W zamknietej przestrzeni halas bedzie dojmujacy, wrecz brutalny. Charlie wciaz sie usmiechal.**

**Slyszal chor wrzaskow i przeklenstw w kilku martwych jezykach. Jedne nakladaly sie na inne, jakby ktos krecil galka radia, odbierajacego fale z czasu i przestrzeni. Opadl na kolana i nasluchiwal nad studzienka, uwazajac, by nie zbliczyc sie do niej na odleglosc ramienia. Slyszal, jak nadchodzi, sledza go pod ulica. Liczyl na to, ze mial racje – ze naprawde nie moga wyjsc. Gdyby jednak nawet wyszly, mial miecz, a w swietle slonca byl na swoim terenie. Podpalil jeszcze cztery M-80, te z dlugimi lontami, i pojedynczo wrzucil je do kanalu. – I kto jest teraz Nowym Miesem? – spytal.**

**–Co? Co powiedzial?**

**–Gowno slyszalam.**

**Charlie pomachal nad studzienka porcelanowym niedzwiadkiem.**

**–Tego chcecie?**

**Cisnal do srodka kolejny M-80.**

**–Podoba wam sie, co?! – krzyknal, wrzucajac trzeci fajerwerk. – To was oduczy dziobania mnie w reke, pieprzone harpie!**

**–Panie Asher – rozlegl sie czyjs glos za jego plecami. Charlie obejrzal sie i zobaczyl, ze stoi za nim Alphonse Rivera, inspektor policji.**

**–A, witam – powiedzial i po chwili zdal sobie sprawe, ze trzyma M-80 z zapalonym lontem, wiec dodal: – Przepraszam na chwile.**

**Wrzucil fajerwerk do studzienki. W tym momencie wszystkie zaczely wybuchac. Rivera cofnal sie o kilka krokow, trzymajac reke w kieszeni, zapewne zacisnieta na pistolecie. Charlie wlozyl niedzwiadka do torby i dzwignal sie na nogi. Slyszal ich glosy – krzyczaly, miotaly przeklenstwa.**

–Pieprzony frajerze! – wrzasnęła jedna z mrocznych istot. – Z twoich flaków upłote koszyki i będę w nim nosić twoją odciętą głowę!

–Właśnie – dodała druga. – Koszyki.

–Zdaje się, że już mu tym groziłaś – odezwała się trzecia istota.

–Wcale nie – zaprzeczyła pierwsza.

–Zamknijcie się, kurwa! – krzyknął Charlie do studzienki, po czym spojrzał na Riverę, który wyciągnął broń i trzymał ją przy boku.

–Co? – spytał Rivera. – Kłopoty z kims w kanale? Charlie uśmiechnął się.

–Nie słyszy pan tego, prawda?

Ze studzienki dochodziły kolejne przekleństwa, tym razem w języku, który, jak się zdawało, wymagał ogromnej ilości śluzu, by brzmieć, jak należy. Był to celtycki albo niemiecki, albo jakiś inny.

–Słyszysz wyraźne dzwonienie w uszach, panie Asher, z powodu pańskich absolutnie nielegalnych fajerwerków, ale oprócz tego... nie, nic.

–Szczury – powiedział Charlie, nieswiadomie unosząc brwi w grymasie pod tytułem: "No co, kupisz te kupe bredni?". – Nienawidzę szczurów.

–Mhm – mruknął beznamietnie inspektor. – Szczury dziobały pana w rękę. I najwyraźniej uważa pan, że w głębi duszy pragną tandetnych zwierzęcych figurek?

–A, więc pan słyszał? – spytał Charlie. – Tak.

–To pewnie ma pan zagwozdkę, co?

–Tak – powtórzył gliniarz. –ładny garnitur. Armani?

–Canali, ściśle rzecz biorąc – odparł Charlie. – Ale dzięki.

–Nie to, co sam bym włożył na bombardowanie kanałów, ale co kto lubi.

Rivera ani drgnął. Stał tuż przy krawężniku, o jakieś trzy metry od Charliego, wciąż trzymając pistolet przy boku. Minal ich mężczyźni uprawiający jogging i zaraz skorzystał z okazji, by przyspieszyć. Zarówno Charlie, jak i Rivera uprzejmie skinęli mu głową.

–No – odezwał się Charlie – jest pan zawodowcem. Co pan zamierza?

Rivera wzruszył ramionami.

**–Nie bierze pan zadnych lekow, z ktorymi mogl pan przesadzić?**

**–Chcialbym – odparl Charlie.**

**–Pil pan przez cala noc, zona pana rzucila, dobijaja pana wyrzuty sumienia?**

**–Moja zona nie zyje.**

**–Przykro mi. Od jak dawna?**

**–Juz prawie rok.**

**–No to nic z tego – stwierdzil Rivera. – Cierpial pan na choroby psychiczne?**

**–Nie.**

**–Teraz juz tak. Gratuluje, panie Asher. Moze pan to wykorzystac nastepnym razem.**

**–Przeprowadza mnie przed reporterami? – spytal Charlie, zastanawiajac sie, jak to wytlumaczy pracownikom oswiaty. Biedna Sophie, z tatusiem skazancem, a do tego Smiercia, w szkole nie bedzie jej latwo. – To marynarka szyta na miare, nie sadze, bym mogl naciagnac ja na glowe, kiedy beda mnie prowadzic przed reporterami. Pojde do wiezienia?**

**–Nie ze mna. Nie. Mysli pan, ze mnie byloby latwiej to wyjasnic? Jestem inspektorem, nie aresztuje ludzi za wrzucanie fajerwerkow i krzyczenie do kanalow.**

**–Wiec czemu wyciagnal pan bron?**

**–Czuje sie z nia bezpiecznie.**

**–Rozumiem – powiedzial Charlie. – Pewnie wydawalem sie troche niezrownowazony.**

**–Tak pan myśli?**

**–Wiec dokad nas to prowadzi?**

**–To reszta panskiego arsenu? – Rivera zerknal na parowa paczke z fajerwerkami pod pacha Charliego. Charlie skinal glowa.**

**–Moze wrzuci pan to do kanalu i bedzie po sprawie?**

**–Nie ma mowy. Nie mam pojecia, co moga zrobic, jesli wpadna im w rece fajerwerki.**

**Teraz to inspektor uniosl brwi.**

**–Szczury?**

**Charlie wrzucił paczkę do studzienki. Słyszał dochodzące z dołu szepty, ale starał się nie pokazać po sobie, że ma stracha. Rivera schował bron i klepnął go w klapy marynarki.**

**–Często przyjmuje pan takie garnitury do sklepu? – zapytał.**

**–Teraz częściej niż kiedyś. Sporo kupuje z rezydencji – powiedział Charlie.**

**–Nadal ma pan moja wizytówkę. Proszę zadzwonić, jeśli trafi się panu czterdziestka, dowolnej włoskiej marki, ze: dniej albo cienkiej wełny. A, z jedwabiu też.**

**–Tak, jedwab jest w sam raz na naszą pogodę. Jasne, świetnie, coś panu zostawie. Przy okazji, inspektorze, jak pan trafił do zaułka przy bocznej uliczce we wtorek rano?**

**–Nie muszę panu mówić – odparł z uśmiechem Rivera. – Nie?**

**–Nie. Miłego dnia, panie Asher.**

**–Wzajemnie – powiedział Charlie.**

**Zatem teraz śledzono go nie tylko pod ulicą, ale i na ulicy? Gdyby było inaczej, skąd by się tu wziął policjant z wydziału zabójstw? Ani Bardzo Wielka Księga, ani Minty Fresh nie wspominali ani słowem o gliniarzach. Jak można było utrzymać w tajemnicy całą tę sprawę ze śmiercią, gdy obserwowała ją policja? Z Charliego wyparowała cała radość wywołana faktem, że stawiał czoło wrogowi, to znaczy zrobił coś całkowicie wbrew swej naturze. Nie miał pewności dlaczego, ale coś mu mówiło, że właśnie nawalił.**

**Pod ulicą Morrigan patrzyły na siebie ze zdumieniem.**

**–On nie wie – powiedziała Macha, oglądając swoje szpony, które lśniły niczym szcietkowana stal w bladym blasku saczacym się z góry.**

**Na jej ciele zaczęły pojawiać się czarno-granatowe kształty piora, a oczy nie były już tylko srebrnymi krazkami, lecz miały w sobie czujność oczu drapieżnego ptaka. Kiedyś fruwała nad polami bitew na Polnocy pod postacią zakapturzonego kruka, ładując na ciałach tych żołnierzy, którzy umierali od ran, i wydziobując im dusze. Celtowie nazywali odcięte głowy wrogów "zoledziami Machy". Nie mieli pojęcia, że w ogóle nie dba o ofiary składane przez ich plemiona, a jedynie o ich krew i dusze. Tysiąc lat minęło, odkąd widziała swoje kobiece pazury w takim kształcie.**

**–Nadal słysze – powiedziała jej siostra Nemain, która czesała własne czarno-granatowe piora.**

**Syczła z rozkosza, gdy przesuwiała ostrymi końcami pazurów po swoich piersiach. Wyrastały jej też kły, pozostawiające ślady na delikatnych wargach. Miała zwyczaj skrapiać jadem tych, których wyznaczała na śmierć. Nie było zacieklejszego wojownika niż ten, na**

ktorego spadl jad Nemain. Ktos taki bowiem nie mial nic do stracenia, ruszal do boju bez leku, w bitewnym szale, ktory dawal im sile dziesieciu chlopa i udzielal sie innym, pchajac ich ku zagladzie. Babd przesunela swoimi nowo odkrytymi pazurami po scianie kanalu, zlobiac w betonie glebokie rysy.

–Bardzo mi sie podobaja. W ogole zapomnialam, ze je mam. Zaloze sie, ze mozemy isc na Powierzchnie. Chcecie isc na Powierzchnie? Czuje sie tak, jakbym mogla. Tej nocy pojdziemy na Powierzchnie. Mozemy oderwac mu nogi i patrzec, jak pelza we wlasnej krwi. Ale bedzie ubaw. – Babd byla krzykaczka. Jej wrzask na polu bitwy nakazywal armiom odwrot. Szeregi zolnierzy umieraly ze strachu. Byla wszystkim co dzikie, wsciekle i niezbyt inteligentne.

–Mieso o niczym nie wie – odparla Macha. – Po co tracic przewage z powodu tego przedwczesnego ataku?

–Bo bedzie fajnie – odparla Babd. – Rozumiesz? Powierzchnia? Zabawa? Wiem, zamiast koszyka, mozesz uplesc z jego flakow kapelusz.

Nemain stracila z pazurow troche jadu, ktory utworzyl na betonie syczaca, parujaca kreske.

–Trzeba powiedziec Orcusowi. On bedzie mial jakis plan.

–O kapeluszu? – spytala Babd. – Musisz mu powiedziec, ze to byl moj pomysl. Uwielbia kapelusze.

–Musimy mu powiedziec, ze Nowe Mieso nie wie. Cala trojka ruszyla przez rure, niczym dym, w kierunku wielkiego statku, by podzielic sie wieścia, ze ich nowy wrog nie wie, kim jest ani co sciagnal na swiat.

## 12. KSIEGA UMARLYCH Z BAYCITY

Charlie nazwal chomiki Parmezan i Romano (albo dla skrotu Parm i Romy), bo kiedy nadeszla pora na wymyslenie imion, akurat czytaly etykiety na sosie Alfredo. Byl to caly wysilek intelektualny, jaki w to wlozyl, i wystarczylo. W zasadzie przyszlo mu nawet do glowy, ze przesadzil, bo kiedy wrocil do domu w dniu wielkiej kleski fajerwerkowo-kanalowej, zastal swoja corke radosnie walaca sztywnym chomikiem w tace wysokiego, niemowlecego krzeselka. Zabawka okazal sie Romano, co Charlie poznal po kropce lakieru do paznokci miedzy uszami, majacej odrozniac chomika od jego kumpla Parmezana, ktory rownie sztywny lezal w plastikowej klatce Habitrail. W karuzelce, scisle rzecz biorac. Padl w kieracie.

–Pani Ling! – zawolal Charlie.

Wyjal przeterminowanego gryzonia z raczki ukochanej corci i wrzucil go do klatki.

–To ja, Vladlena, panie Asher – dobiegl donosny glos z lazienki. Potem rozlegl sie szum spuszczonej wody i z lazienki wylonila sie pani Korjev, zapinajaca zatrzaski ogrodniczek. –

**Przepraszam, musze srac jak niedziedz. Sophie byla bezpieczna w krzeselku.**

**–Bawila sie martwym chomikiem.**

**Pani Korjev popatrzyła na dwa zwierzatka w plastikowym pojemniku. Lekko w niego stuknela, potrzasnala w przod i w tyl.**

**–One spia.**

**–Nie spia, tylko zdechly.**

**–Dobrze sie czuja, kiedy ide do lazienki. Bawia sie, biegaja w kolku, sa wesole.**

**–Nie byly wesole. Byly martwe. Sophie miala jednego w raczce. – Uwazniej obejrzal gryzonia, ktorego mala usilowala zmiekczyć. Jego glowa wydawala sie mokra. – W buzi. Miala go w buzi.**

**Oderwal papierowy recznik z rolki na blacie i zaczal wycierac wnetrze ust Sophie. Wydala z siebie dzwiek, ktory brzmial jak "la-la-la", i sprobowala zjesc recznik. Sadzila, ze na tym polega zabawa.**

**–A w ogole gdzie jest pani Ling?**

**–Musi odebrac recepte, wiec ja pilnuje Sophie przez jakis czas. A male niedziedzki sie ciesza, kiedy ide do lazienki.**

**–Chomiki, pani Korjev, nie niedziedzki. Dluho tam pani siedziala?**

**–Moze piec minuta. Mysle, ze moze teraz mam naciagniete jelito, tak sie staram.**

**–Aaaiiiii! – rozlegl sie krzyk od strony drzwi, gdy pani Ling weszla do srodka i wpadla na Sophie. – Juz pozno na spanie – warknela do pani Korjev.**

**–Teraz ja sie nia zajme – powiedzial Charlie. – Niech jedna z pan jej chwile popilnuje, a ja pojde sie pozbyc chomikow.**

**–Mowi o malych niedziedzkach – wyjasnila pani Korjev.**

**–Ja sie pozbywam – zaferowala sie pani Ling. – Nie ma sprawa. Co im sie staje?**

**–Spia – powiedziala pani Korjev.**

**–Prosze juz isc. Rano zajrze do jednej z pan.**

**–Moja kolej – powiedziala ze smutkiem pani Korjev. – Mam zakaz? Nie ma Sophie dla Vladleny, tak?**



–Nie. Eee, tak. W porządku, pani Korjev. Przyjde rano. Pani Ling potrzasała klatka. Mocno spaly te gryzonie. Lubila gryzc.

–Zajmuje sie tym – powiedziala.

Wziela pojemnik pod pache i wycofala sie do drzwi, machajac na pozegnanie.

–Pa, pa, Sophie. Pa, pa.

–Pa, pa, babelek – dodala pani Korjev.

–Pa, pa – powiedziala Sophie i pomachala raczka.

–Kiedy nauczylas sie robic "pa, pa"? – spytal ja Char-lie. – Nie mozna cie zostawic nawet na chwile.

Zostawil ja jednak juz nastepnego dnia, by znalezc jakies zastepstwo dla chomikow. Tym razem do sklepu ze zwierzetami pojechal furgonetka. Odwaga czy brawura, ktora zebral w sobie, by zaatakowac harpie z kanalow, zupełnie stopniala i nie chcial sie nawet zbliczac do studzienek. W sklepie wybral dwa malowane zolwie, oba mniej wiecej wielkosc wieczek od sloikow z majonezem. Kupil tez dla nich duze naczynie w ksztalcie nerki z wlasna wysepka, plastikowa palemka, paroma roslinami wodnymi i slimakiem. Slimak mial zapewne podniesc zolwiom poczucie wlasnej wartosci: "Mowisz, ze my wolno chodzimy? No to popatrz na tego goscia". Byl tez kamien, ktory na tej samej zasadzie podnosil morale slimaka. Kazdy lepiej sie czuje, gdy moze na kogos patrzec z gory, a takze podziwiac kogos z dolu, zwlaszcza jesli gardzi jednym i drugim. To nie tylko typowa dla samcow beta strategia przetrwania, ale tez podstawa kapitalizmu, demokracji i wiekszosci religii. Po pietnastominutowym wypytywaniu sprzedawcy o zywtosc zolwi i uzyskaniu zapewnienia, ze prawdopodobnie moglyby przezyc atak jadrowy, o ile zostalyby wtedy jakies robale do jedzenia, Charlie wypisal czek, po czym zaczal go odrywac nad swoimi zolwiami.

–Wszystko w porządku, panie Asher? – spytal facet ze sklepu ze zwierzetami.

–Przepraszam – powiedzial Charlie. – To ostatni blankiet w ksiazeczce.

–I bank nie dal panu nowej?

–Nie, mam nowa, ale to ostatni blankiet, ktory wypelnia moja zona. Kiedy go zuzyje, juz nigdy nie zobacze jej pisma w ksiazeczce.

–Przykro mi – powiedzial sprzedawca, ktory do tej chwili myslal, ze najwieksze wyzwanie tego dnia to pocieszanie faceta, ktoremu zdechly dwa chomiki.

–To nie panski problem – odparl Charlie. – Zabiorę zolwie i juz pojde.

Tak też zrobił. Podczas jazdy sciskał w ręce książeczkę czekowa. Rachel oddalała się, z każdym dniem coraz bardziej. Tydzień temu Jane zeszła na dół, by pożyczyć trochę miodu, i z tyłu lodowki znalazła dzem sliwkowy, który lubiła Rachel. Był pokryty zielonym meshem.

–Braciszku, trzeba to wyrzucić – oznajmiła, krzywiąc się. – Nie. To było Rachel.

–Wiem, maly, ale ona po to nie wróci. Co jeszcze... o, Boże! – Wyloniła się z lodowki. – Co to było?

–Lasagne. Rachel ją zrobiła. – To... leżało tu ponad rok?

–Nie mogłem się zmusić, żeby to wyrzucić.

–Słuchaj, przyjdzie w sobotę i posprzątam to mieszkanie. Zabiorę wszystkie rzeczy Rachel, których nie chcesz.

–Chce je wszystkie.

Jane zawahała się, wyrzucając do kosza zielono-fioletową lasagne razem z patelnią.

–Nie, Charlie. Takie rzeczy nie pomagają ci pamiętać Rachel. One ci tylko ranią. Musisz się skupić na Sophie i waszym dalszym życiu. Jesteś młodym facetem, nie możesz się poddawać. Wszyscy kochaliśmy Rachel, ale musisz iść naprzód. Albo wyjść do ludzi.

–Nie jestem gotowy. A ty nie możesz przyjść w sobotę, bo wtedy pracuję w sklepie.

–Wiem – odparła. – Lepiej, żeby cię tu nie było. – Ale tobie nie można ufać, Jane – powiedział, jakby to było równie oczywiste, jak fakt, że Jane jest denerwująca. – Wyrzucisz wszystkie rzeczy Rachel i ukradniesz mi ubrania. – Jane faktycznie regularnie podprowadzała mu garnitury, od kiedy zaczął się ubierać bardziej z klasą. Miała na sobie szyta na miarę dwurzędowa marynarka, którą raptem dwa dni temu odebrał od Trojpalczastego Hu. Charlie ani razu jej jeszcze nie włożył. – A w ogóle dlaczego ciągle nosisz garnitury? Czy twoja nowa dziewczyna nie jest instruktorką jogi? Nie powinnas nosić tych szerokich spodni z konopi i włókien tofu, tak jak ona? Wyglądasz jak David Bowie, Jane. No, powiedziałem to. Przykro mi, ale musiałem to powiedzieć.

Jane objęła go i pocałowała w policzek.

–Jesteś taki słodki. Bowie to jedyny facet, który kiedykolwiek wydawał mi się atrakcyjny. Pozwól mi posprzątać swoje mieszkanie. Zajmę się tego dnia Sophie. Dajmy wdowom jeden dzień, żeby mogły powalczyć w sklepie "Wszystko za Dolara".

–Dobra, ale tylko ubrania i takie tam. Zdjęć nie ruszaj. Spakuj wszystko w pudła i wynies do piwnicy, niczego nie wyrzucaj.

**–Nawet jedzenia? Chuck, ta lasagne, wiesz...**

**–Dobra, jedzenie mozesz wywalic. Ale niech Sophie nie wie, co robisz. I zostaw perfumy Rachel. I jej szczotke do wlosow. Chce, zeby Sophie wiedziala, jak pachniala jej matka.**

**Tego wieczoru, gdy skonczyl prace w sklepie, zszedl do piwnicy, do malej, odgrudzonej czesci z rzeczami z mieszkania, i popatrzyln na pudla, ktore spakowala Jane. Kiedy to nie wystarczylo, otworzyln kazde z nich i po kolei pozegnal wszystkie przedmioty – kawalki Rachel.**

**W drodze ze sklepu ze zwierzetami do domu zatrzymal sie w Czystej, Jasno Oswietlonej Ksiegarni, bo to takze byl kawalek Rachel, z ktorym chcial sie zetknac. Zarazem jednak musial sie doksztalcic. Szperal po Internecie w poszukiwaniu informacji o smierci. Wprawdzie dowiedzial sie, ze wielu ludzi chce sie ubierac jak smierc, rozbierac przy zmarlych, ogladac zdjecia rozebranych i zmarlych, sprzedawac pigulki na erekcje dla zmarlych, lecz nie znalazl nic o tym, jak byc zmarlym albo Smiercia. Nikt nie slyszal o Handlarzach Smierci, o harpiach z kanalow ani o niczym podobnym. Wyszedl z ksiegarni z polmetrowym stosem ksiazek o smierci i umieraniu. Zwyczajem samcow beta uwazal, ze jesli znowu ma walczyć z wrogami, powinien sie najpierw dowiedziec, z czym dokladnie ma do czynienia. Tego wieczoru usiadl na kanapie obok swojej coreczki i czytal, podczas gdy nowe zolwie, Brutal i Jeep (nazwane tak w nadziei, ze imiona przeloza sie na ich trwalosc) jadlo suszone robale i ogladaly "Safari-land" w kablownce.**

**–No, kochanie, zdaniem tej pani Kubler-Ross, piec etapow smierci to gniew, odrzucenie, walka, depresja i akceptacja. Przeszlismy przez te wszystkie etapy, kiedy stracilismy mamusie, prawda?**

**–Mama – powiedziala Sophie.**

**Gdy pierwszy raz powiedziala "mama", Charlie sie rozplakal. Patrzyln nad jej malenkim ramieniem na zdjecie Rachel. Gdy powiedziala to po raz drugi, emocje byly mniejsze. Siedziala w swoim wysokim krzeselku, jadlo sniadanie i mowila do toster.**

**–To nie mama, Sophie. To toster.**

**–Mama – upierala sie Sophie, wyciagajac raczke do urzadzenia.**

**–Zadzierasze ze mna, tak? – spytal.**

**–Mama – powiedziala Sophie do lodowki.**

**–Super – jeknal Charlie.**

**Czytal dalej, zdajac sobie sprawe, ze doktor Kubler-Ross miala swieta racje. Co rano, gdy sie budzil i w notesie przy lozku znajdowal kolejne nazwisko i liczbe, przechodzil caly piecioetapowy proces, zanim jeszcze dokonczyl sniadanie. Teraz jednak, gdy te fazy zyskaly**

swoje nazwy, zaczął rozpoznawać je jako uczucia członków rodziny swoich klientów. Tak właśnie nazywał ludzi, których dusze zabierał. Klienci. A potem przeczytał książkę pod tytułem Ostatni worek, o tym, jak się zabić za pomocą torebki foliowej. Książka nie mogła być jednak bardzo skuteczna, bo na tylnej okładce zobaczył, że ukazały się dwa kolejne tomy. Wyobraził sobie list od czytelnika: Szanowny Autorze Ostatniego worka. Już prawie umarłem, ale moja torebka cała zaparowała i nie widziałem telewizora, więc zrobiłem sobie dziurkę na oko. Spróbuję jeszcze raz, korzystając z Panskiej następnej książki.

Lektura nic Charliemu nie przyniosła, z wyjątkiem wzbudzenia w nim nowej paranoi w związku z plastikowymi torebkami. W ciągu kilku następnych miesięcy przeczytał: egipską Księgę umarłych, która nauczyła go, jak za pomocą haka wyciągnąć komus mózg przez otwór nosowy, co z pewnością mogło się pewnego dnia przydać; tuzin książek o śmierci, żalobie, zwyczajach pogrzebowych i mitach, dotyczących Zaswiatów – dowiedział się, że uosobienia Śmierci istniały od zarania dziejów i że żadne z nich nie wyglądało jak on; a także tybetańska Księgę umarłych, gdzie wyczytał, że bardo, okres przejściowy między tym życiem a następnym, trwa czterdzieści dziewięć dni, i że w tym czasie spotykasz około trzydziestu tysięcy demonów – każdego opisano z najdrobniejszymi szczegółami i żaden nie przypominał harpii z kanałów, a wszystkie należało ignorować i nie bać się ich, nie były bowiem prawdziwe, jako że pochodziły z materialnego świata.

–Dziwne – powiedział Charlie do Sophie. – Wszystkie te książki mówią, jak nieważny jest świat materialny, a jednak muszę zbierać ludzkie dusze, które są powiązane z materialnymi przedmiotami. Wygląda na to, że śmierć jest przynajmniej ironiczna, nie sądzisz?

–Nie – powiedziała Sophie.

Poltoraroczna Sophie odpowiadała na wszystkie pytania albo "nie", albo "ciacho", albo "jak niedzwiedz". To ostatnie Charlie przypisywał zbyt częstemu pozostawianiu córki pod opieką pani Korjev. Po tym, jak dwa żolwie, dwa kolejne chomiki, krab pustelnik, legwan i dwie zaby trafiły do wielkiego woka w niebiosach (a dokładniej na trzecim pietrze), Charlie w końcu ustąpił i przyniósł do domu siedmiocentymetrowego karaczana madagaskarskiego, któremu dał na imię Niedzwiedz, by jego córka nie kroczyła przez życie, wygadując same wierutne bzdury.

–Jak niedzwiedz – powiedziała Sophie.

–Mówi o robalu – oznajmił Charlie pewnego wieczoru, gdy wpadła do niego Jane.

–Nie mówi o robalu – odparła Jane. – A w ogóle, jaki ojciec kupuje karalucha malej dziewczynce? To obrzydliwe.

–Nic nie powinno go zabić. Te owady istnieją od jakichś stu milionów lat. Miałem do wyboru karalucha albo żarłacza białego, ale te drugie ponoc ciężko się hoduje.

–Dlaczego nie odpuścisz? Wypchane zwierzęta ułatwiają sprawę.

–Dziecko powinno mieć zwierzątko. Zwłaszcza dziecko, które dorasta w mieście.

–My dorastaliśmy w mieście i nie mieliśmy żadnych zwierząt.

–Wiem, i zobacz, co z tego wyszło – powiedział Charlie, wskazując na przemian siebie i siostrę.

Jedno zajmowało się śmiercią i miało wielkiego karalucha imieniem Niedzwiedz, drugie spotykało się z trzecią już instruktorka jogi w ciągu pół roku i nosiło zabranej rodzenstwu tweedowy garnitur od Harrisa.

–Wyszło świetnie, przynajmniej z jednym z nas – stwierdziła Jane, gestem wskazując wspaniałość swojego garnituru, jakby była modelką, prezentującą nagrody w teleturnieju "Badzmy androgeniczni". – Musisz trochę przytyć. Jest za ciasny w tyłku – powiedziała, znowu popadając w obsesję na własnym punkcie. – Czy odznaczają mi się genitalia?

–Nie patrze, nie patrze, nie patrze – zaśpiewał Charlie.

–Nie potrzebowałaby zwierząt, gdyby kiedykolwiek oglądała świat poza tym mieszkaniem – powiedziała Jane, obciągając spodnie w kroku, by zniwelować koszmarny efekt przekrojonej bulki. – Zabierz ją do zoo, Charlie. Niech zobaczy coś oprócz tego domu. Wyjdź z nią.

–Dobrze, jutro. Pokażę jej miasto – postanowił.

I zrobiłby to, tyle że gdy się obudził, zobaczył w kalendarzu nazwisko Madeline Alby, a obok jedynekę. Aha, i jeszcze karaluch zdechl.

–Wyjdziemy stąd – mówił Charlie, wkładając Sophie do wysokiego krzeselka, by zjadła śniadanie. – Wyjdziemy, skarbie. Obiecuję. Wyobrazasz sobie, że dali mi tylko jeden dzień?

–Nie – powiedziała Sophie. – Sok – dodała, ponieważ siedziała w swoim krzeselku i nadeszła pora na sok.

–Przykro mi z powodu Niedzwiedzia, kochanie – rzekł Charlie, czesząc ją na jedną stronę, potem na drugą, i w końcu rezygnując. – To był dobry robak, ale już go nie ma. Pani Ling go pochowała. Ziemia w jej skrzynce z kwiatami robi się strasznie zatłoczona. – Nie pamiętał, by w oknie pani Ling była skrzynka z kwiatami, ale czy miał prawo mieć wątpliwości?

Otworzył książkę telefoniczną i na szczęście znalazł nazwisko M. Alby z adresem na Telegraph Hill – niecałe dziesięć minut piechota. Jeszcze żaden klient nie mieszkał tak blisko. Od szóstego miesiąca harpie z kanałów nie dawały znaku życia i Charlie powoli nabierał pewności, że jako Handlarz Śmierci zaczyna mieć wszystko pod kontrolą. Przekazał nawet większość naczyń duchowych, które zebrał. Ten krótki termin go martwił. Bardzo.

Dom we włoskim stylu wiktoriańskim stał na wzgórzu tuż pod Coit Tower, wielką kolumną z

granitu, wzniesiona na czesc strazakow z San Francisco, ktorzy polegli w akcji. Choc podobno zaprojektowano ja na wzor dyszy weza strazackiego, na widok kolumny niemal nikt nie potrafil sie powstrzymac od komentarza na temat jej podobienstwa do ogromnego penisa. Dom Madeline Alby, biały prostokąt z płaskim dachem i falistymi zdobieniami, a także gzymsem, na którym wyrzezbiono amorki, wygladal jak tort weselny umieszczony na mosznie pomnika. Charlie wspinal sie na wzgorze i zastanawial, jak wejsc do tego domu. Zwykle mial sporo czasu, mogl poczekac i wsliznac sie za kims do srodka lub obmyslic jakis fortel, by sie tam dostac. Tym razem jednak mial tylko jeden dzien, by wejsc, odnalezc naczynie duchowe i wyjsc. Mial nadzieje, ze Madeline Alby juz nie zyje. Bardzo nie lubil bliskosci ludzi chorych. Kiedy przed domem ujrzal zaparkowany samochod z niewielka zielona naklejka hospicjum, jego nadzieja na martwego klienta pekla niczym ciastko pod oburecznym mlotem.

Wszedl po schodach na ganek po lewej stronie domu i czekal przy drzwiach. Czy moze sam je otworzyc? Czy ludzie to zauwaza? A moze jego szczegolna "niezauwazalnosc" obejmowala także przedmioty, ktore poruszał? Nie przypuszczal, by tak bylo. Nagle drzwi sie otworzily i na ganek wyszła kobieta mniej wiecej w jego wieku.

–Ide tylko zapalic! – zawolala do wnetrza domu.

Zanim zdazyla zamknac drzwi za soba, Charlie wsliznal sie do srodka.

Drzwi wejsciowe prowadzily do holu. Po prawej Charlie widzial pomieszczenie, ktore pierwotnie pelnilo funkcje salonu. Na wprost niego znajdowaly sie schody, a za nimi inne drzwi, ktore, jak przypuszczal, wiodly do kuchni. W salonie uslyszal glosy. Zajrzal tam i zobaczyl cztery starsze kobiety, siedzace na dwoch sofach, ktore ustawiono naprzeciwko siebie. Mialy na glowach kapelusze, zupełnie jakby wlasnie wyszly z kosciola, Charlie jednak przypuszczal, ze przyszly pozegnac przyjaciolke.

–Mozna by sie spodziewac, ze rzuci palenie, kiedy na gorze jej matka umiera na raka – odezwala sie jedna z dam, ktora miala na sobie szara spodnice i zakiet oraz dopasowany do nich kapelusz, a także błyszczacy znaczek w ksztalcie krowy rasy holsztyńskiej.

–Zawsze byla z niej uparta dziewczucha – powiedziala druga, w sukience, ktora na oko uszyto z tego samego materialu w kwiatki, co sofe. – Wiecie, ze spotykala sie z moim synem Jimmym, w Pioneer Park, kiedy byli mali.

–Mowila, ze za niego wyjdzie – dodala inna kobieta, ktora wygladala jak siostra pierwszej.

Wszystkie wybuchly smiechem, w ktorym pobrzmiewaly nutki drwiny i smutku.

–No, nie wiem, co sobie wyobrazala. On jest taki niestaly – stwierdzila Mamusia.

–Tak, i chory na umysle – dodala Siostra.

–Tak, teraz to prawda.

–Od kiedy przejechał go samochód – powiedziała Siostra.

–Czy nie wybiegł prosto przed maske? – spytała kobieta, która do tej pory milczała.

–Nie, wbiegł na nią – sprostowała Mamusia. – Był pod wpływem narkotyków. – Westchnęła. – Zawsze mówiłam, że mam trzy w jednym: chłopca, dziewczynkę i Jimmy'ego.

Wszystkie pokiwały głowami. Charlie domyślał się, że robią to wspólnie nie pierwszy raz. Należały do osób, które hurtowo kupują kartki z wyrazami współczucia, a kiedy słyszą przejeżdżającą karetkę, przypominają sobie o odebraniu czarnej sukienki z pralni.

–Wiecie, Maddy źle wygląda – powiedziała ta w szarym.

–Coż, umiera, biedaczka, ot co.

–Chyba tak. – Kolejne westchnienie. Brzek lodu w szklaneczkach.

Wszystkie trzymały małe, zgrabne drinki. Charlie podejrzewał, że przyrzadziła jej ta młodsza kobieta, która wyszła na papierosa. Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co by świeciło na czerwono. W kacie stało debowe biurko, do którego chętnie by zajrzał, ale to musiało poczekać. Cofnął się od drzwi i poszedł do kuchni, gdzie dwaj mężczyźni pod czterdziestkę, a może już po czterdziestce, siedzieli przy debowym stole i grali w scrabble.

–Czy Jenny wróci? Jej kolej.

–Może poszła na górę z którąś z panów, żeby sprawdzić, co u mamy. Pielęgniarka z hospicjum wpuszcza je pojedynczo.

–Chciałbym, żeby to się już skończyło. Nie mogę znieść tego oczekiwania. Powinienem wrócić do rodziny. Wychodzę, kurde, ze skóry.

Starszy wyciągnął rękę nad stołem i położył dwie niebieskie pigułki przy płytkach z literami leżącymi obok brata.

–To ci pomoże.

–A co to?

–Morfina o przedłużonym działaniu.

–Poważnie? – Młodszy wydawał się zaniepokojony.

–Prawie tego nie czujesz, po prostu łagodzi napięcie. Jenny bierze to od dwóch tygodni.

–Wiec dlatego wy znosicie to tak dobrze, a ja jestem wrakiem człowieka? Jestecie naciągani lekiem przeciwbolowym mamy?

–Mhm.

–Nie biore narkotykow. To narkotyki. Nie wolno ich brac.

Starszy z braci odchylił się na krzesle.

–Srodki przeciwbolowe, Bill. Co czujesz?

–Nie bede zazywal lekow mamy.

–Jak chcesz.

–A jesli bedzie ich potrzebowac?

–W tym pokoju jest dosc morfiny, zeby powalic niedzwiedzia, a jesli nie wystarczy dla mamy, z hospicjum przywioza wiecej.

Charlie miał ochotę potrzasnac młodszym z braci i wrzasnac: "Bierz te prochy, idioto!". Moze była to kwestia doswiadczenia. Widzial podobne sytuacje juz wiele razy. Rodziny czekajace na smierc, odchodzace od zmyslow z zalu i zmeczenia. Przyjaciele, ktorzy wchodzili i wychodzili niczym duchy, by sie pozegnac, albo po prostu moc potem powiedziec, ze przyszli, i byc moze pozniej uchronic siebie samych od samotnej smierci. Dlaczego w ksiegach umarłych nie bylo o tym ani slowa? Dlaczego instrukcje nie mowily o cierpieniu i zamecie, ktorych bedzie swiadkiem?

–Ide poszukac Jenny – oznajmil starszy. – Spytam, czy nie chce czegos do jedzenia. Mozemy dokonczyc gre pozniej, jesli chcesz.

–W porzadku, i tak przegrywalem. – Młodszy pozbieral plytki i odlozyl plansze na bok. – Pojde na gore i sprobuj sie zdrzemnac. Dzisiejszej nocy to ja mam czuwac przy mamie.

Kiedy starszy z braci wyszedl, młodszy wrzucil niebieskie pigulki do kieszeni koszuli i rowniez wyszedl z kuchni, pozostawiajac ja Handlarzowi Smierci, by ten mogl przetrzasnac kredens i szarki w poszukiwaniu naczyńia duchowego. Charlie jednak, jeszcze zanim zaczal, wiedzial, ze go tam nie znajdzie. Musial isc na gore. Naprawde nie znosil bliskosci ludzi chorych. Madeline Alby na wpol siedziala, wcisnieta w lozko, z puchowa koldra wokol szyi. Byla tak wychudzona, ze pod posciela ledwie bylo widac jej cialo. Charlie sadzil, ze wazy trzydziesci, maksymalnie trzydziesci piec kilogramow. Miala sciagnieta twarz i przez skore, ktora nabrala zoltej barwy, dostrzegal kontury oczodolow i szczeki. Przypuszczal, ze to rak watroby. Jedna z przyjaciolek chorej siedziala przy lozku, a pracownica hospicjum, postawna kobieta w kitlu, na krzesle po drugiej stronie pokoju i czytala. Malý piesek, na oko yorkshire terier, wcisnal sie miedzy ramie a szyje Madeline i spal.

Kiedy Charlie wszedl do pokoju, Madeline powiedziala:



–Czesc, maly.

Stanal jak wryty. Patrzyła na niego swoimi kryształowo-blekitnymi oczami i usmiechala sie. Czyzby zaskrzypiala podloga? A moze cos potracil?

–Co tu robisz, maly? – Zachichotala.

–Kogo widzisz, Maddy? – spytala przyjaciolka. Podazyla za spojrzeniem Madeline, ale patrzyła na wskros przez Charliego.

–Dzieciaka, o tam.

–W porzadku, Maddy. Chcesz wody? – Kobieta siegnela po dzieciacy kubek z wbudowana slomka, stojacy na szafce nocnej.

–Nie. Ale powiedz temu dzieciakowi, zeby podszedl blizej. Chodz, maly. – Madeline wysunela rece spod koldry i zaczela przebierac palcami, jakby tkala dywan.

–Lepiej juz pojde – powiedziala przyjaciolka. – Odpocznij troche.

Popatrzyła na kobiete z hospicjum, ktora zerknela na nia znad okularow do czytania i usmiechnela sie oczami. Jedyna specjalistka w calym domu wydala pozwolenie.

Przyjaciolka wstala i ucalowala Madeline Alby w czolo. Chora przerwala na chwile tkanie, zamknela oczy i nadstawila sie do pocalunku niczym mala dziewczynka. Przyjaciolka scisnela jej dlon i powiedziala:

–Do widzenia, Maddy.

Charlie odsunal sie na bok, by przepuscic kobiete. Gdy przechodzila przez drzwi, jej ramionami wstrzasnal spazm szlochu.

–Ej, maly – powiedziala Madeline. – Podejdz tu i usiadz.

Znow przerwala tkanie, by popatrzec mu w oczy, co przestraszylo go bardziej niz odrobine. Zerknal na pracownice hospicjum, ktora podniosla wzrok znad ksiazki, po czym wrocila do lektury. Charlie wskazal swoja piers.

–Tak, ty – potwierdzila.

Wpadl w panike. Chora go widziala, ale kobieta z hospicjum nie, a przynajmniej tak to wygladalo. W zegarku pielegniarki zadzwieczal alarm i Madeline podniosla pieska, przykladajac go sobie do ucha.

–Halo? Czesc, jak sie masz? – Popatrzyła na Charliego. – To moja najstarsza corka.

**Piesek tez na niego spojrzal, a jego wzrok wyraźnie mowil "ratuj".**

**–Pora na lekarstwo, Madeline – oznajmila pielegniarka.**

**–Sally, nie widzisz, ze rozmawiam przez telefon? – odparla kobieta. – Poczekaj chwile.**

**–Dobrze, poczekam – zgodzila sie pielegniarka. Uniosla brazowa buteleczke z wsunietym do srodka zakraplaczem, napelnila zakraplacz, sprawdzila dawke i czekala.**

**–Pa. Tez cie kocham – powiedziala Madeline. Wyciagnela pieska w strone Charliego. – Potrzyмай, dobra?**

**Pielegniarka zlapala czworonoga w powietrzu i polozyla go przy lozku pacjentki.**

**–Otworz buzie, Madeline – powiedziala.**

**Madeline otworzyla szeroko usta i pielegniarka trysnela w nie lekarstwem z zakraplacza.**

**–Mmm, truskawkowe – stwierdzila chora.**

**–Zgadza sie, truskawkowe. Chcesz wody do popicia? – Kobieta wziela kubek.**

**–Nie. Sera. Zjadlabym troche sera.**

**–Moge ci przyniesc ser.**

**–Cheddar.**

**–Dobrze, cheddar – powiedziala pielegniarka. – Zaraz wroce. – Poprawila koldre na Madeline i wyszla z pokoju.**

**Staruszka znowu spojrzala na Charliego.**

**–Mozesz juz mowic, skoro poszla?**

**Wzdrygnal sie i rozejrzal dookola, jak ktos, kto szuka odpowiedniego miejsca, by wypluc niesmaczne owoce morza.**

**–Nie rob min, skarbie – powiedziala Madeline. – Nikomu sie to nie podoba.**

**Charlie westchnal ciezko. Co mial teraz do stracenia? Widziala go.**

**–Witaj, Madeline. Jestem Charlie.**

**–Zawsze lubilam to imie – stwierdzila. – Dlaczego Sally cie nie widzi?**

**–Teraz tylko ty mnie widzisz – odparl.**

**–Bo umieram?**

**–Tak sadze.**

**–Dobra. Sympatyczny z ciebie dzieciak, wiesz?**

**–Dzieki. Tez nie jestes taka najgorsza.**

**–Boje sie, Charlie. To nie boli. Kiedys sie balam, ze bedzie bolalo, ale teraz sie boje tego, co bedzie dalej.**

**Usiadl na krzesle przy lozku.**

**–Chyba dlatego tu jestem, Madeline. Nie musisz sie bac.**

**–Pilam duzo brandy. Dlatego to sie stalo.**

**–Maddy... Moge ci mowic "Maddy"?**

**–Jasne, maly, jestesmy przyjaciolmi.**

**–Zgadza sie. Maddy, to musialo sie stac. W zaden sposob tego nie spowodowalas.**

**–No to dobrze.**

**–Maddy, masz cos dla mnie?**

**–Jakis prezent?**

**–Prezent, ktory podarowalabys sama sobie. Cos, co moglbym dla ciebie przechowac i oddac pozniej, zeby to byla niespodzianka.**

**–Poduszka na igly – odparla Madeline. – Chcialabym ci ja dac. Nalezala do mojej babci.**

**–Bede zaszczycony, jesli pozwolisz mi ja dla ciebie przechowac. Gdzie mam jej szukac?**

**–W pudelku z przyborami do szycia, na najwyzszej polce w tej szafie. – Wskazala stara szafa po przeciwnej stronie pokoju. – Oj, przepraszam, telefon.**

**Gdy Madeline rozmawiala z najstarsza corka przez rog koldry, Charlie wzial pudelko z przyborami do szycia z najwyzszej polki w szafie. Bylo uplecione z wikliny i ze srodka saczyl sie czerwony blask naczynia duchowego. Wyjal poduszke na igly z czerwonego aksamitu, owinieta wstazkami z prawdziwego srebra, i uniosl tak, by ja widziala Madeline. Usmiechnela sie i pokazala mu uniesiony kciuk. W tym momencie wrocila pielegniarka, niosac na talerzyku ser i krakersy.**

–To moja najstarsza corka – wyjasnila jej Madeline, przyciskajac rog koldry do piersi, by corka nie uslyszala. – Ojej, to moj ser?

Pielegniarka skinela glowa. – I krakersy.

–Oddzwonie, kochanie. Sally przyniosla ser i nie chce byc niegrzeczna. – Odlozyla rog koldry i pozwolila, by Sally nakarmila ja kawalkami sera i krakersami.

–To chyba najlepszy ser, jaki w zyciu jadlam – stwierdzila Madeline.

Po wyrazie jej twarzy Charlie poznal, ze w istocie byl to najlepszy ser, jaki jadla. Kazdy gram jej jestestwa angazowal sie w smakowanie tych skrawkow cheddara. Gdy zula, wydawala ciche jeki zadowolenia.

–Chcesz troche sera, Charlie? – spytala, zasypujac odlamkami krakersa pielegniarke, ktora spojrzala w kat pokoju, gdzie stal Charlie z poduszka na igly bezpiecznie wcisnieta w kieszen marynarki.

–O, ty go nie widzisz, Sally – oznajmila Madeline, klepiac ja po dloni. – Ale to przystojny lobuz. Chociaz troche chudy. – A potem szepnela do Sally na tyle glosno, by na pewno uslyszal: – Troche pieprzonego sera by mu nie zaszkodzilo.

Rozesmiala sie, znnow opluwajac okruszkami pielegniarke, ktora tez sie smiala i usilowala nie upuscic talerzyka.

–Co powiedziala? – dobiegl glos z korytarza.

Po chwili do pokoju weszli dwaj synowie oraz corka, z poczatku zaniepokojeni tym, co uslyszeli, ale po chwili smiejacy sie wraz z pielegniarka i matka.

–Powiedzialam, ze ser jest dobry – odparla Madeline.

–Tak, mamo, to prawda – powiedziala corka.

Charlie stal w kacie, patrzyl, jak jedza ser, i smial sie, myslac: o tym powinno byc w ksiedze. Potem patrzyl, jak podaja jej basen i wode, jak ocieraja jej twarz wilgotna sciereczka, jak ona gryzie te sciereczke – to samo robila Sophie, gdy obmywal jej buzie. Najstarsza corka, ktora, jak sie okazalo, od jakiegos czasu nie zyła, zadzwonila jeszcze trzy razy, raz przez psa i dwa razy przez poduszke. Mniej wiecej w porze obiadu Madeline poczula zmeczenie i zasnala. Jakies pol godziny pozniej zaczela dyszec przez sen, potem przestala i nie oddychala przez cala minute. Pozniej wziela gleboki wdech, potem juz nie. A Charlie wymknal sie przez drzwi z jej dusza w kieszeni.

## **13. WOLAC BEDZIE "MORDOWAC!" I SPUSCI PIESKI**

# WOJNY

Obserwowanie śmierci Madeline Alby wstrzasnęło Charliem. Chodziło nie tyle o samą śmierć, ile o życie, które ujrzał w ciągu tych kilku minut przed jej odejściem. Pomyślał: jeśli musisz spojrzeć śmierci w oczy, by cieszyć się pozostałymi chwilami życia – kto nadaje się lepiej niż facet, który goli twarz Śmierci?

–Sera nie było w księdze – powiedział Charlie do Sophie, wywozając ją ze sklepu w nowym joggingowym wozku, który wyglądał tak, jakby z dziecięcym wozkiem ktoś skrzyżował rower z włókien węglowych. Powstał z tego wehikul, którym można się było wybrać na wycieczkę pod Kopule Gromu, był jednak solidny i łatwy do pchania, a do tego okalał Sophie bezpieczna, aluminiowa rama. Z powodu sera nie wkładał jej kasku. Chciał, by mogła się rozglądać, chłonąć otaczający świat, być jego częścią.

Gdy patrzył, jak Madeline Alby je ser każdym gramem swojego jestestwa, jakby to był pierwszy i najlepszy raz w życiu, zdał sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie smakował sera, ani krakersów, ani życia. Nie chciał, by jego córka też tak żyła. Poprzedniego wieczoru przeniósł dziewczynkę do jej pokoju, który Rachel ozdobiła namalowanymi na suficie chmurkami i wesołym balonem, wiozącym w gondoli grupę wesołych zwierzątek. Nie spał zbyt dobrze, w nocy wstawał pięć razy, by sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, i przekonać się, że spokojnie śpi. Mogł jednak poświęcić trochę snu, by jego córka szła przez życie bez leków i ograniczeń. Chciał, by doświadczała w życiu jak najwięcej wspaniałego sera. Szli przez North Beach. Zatrzymał się i kupił kawę dla siebie oraz sok jabłkowy dla malej. Podzielili się wielkim ciastkiem z masłem orzechowym i stado gołębi podążało za nimi chodnikiem, objadając się okruszkami, których pasmo ciągnęło się za wozkiem Sophie. Na ekranach telewizyjnych w barach i kawiarniach toczyły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Na chodniki i na ulice wylewali się ludzie, którzy oglądali mecz, krzyčili, szydzili z przeciwników, obciskiwali się, przeklinali i ogólnie okazywali radość w towarzystwie nowo poznanych osób, które z całego świata zjechały do tej amerykańsko-włoskiej dzielnicy. Sophie krzyczała wraz z kibicami i piszczała z radości, bo tamci byli szczęśliwi. Kiedy tłum okazywał rozczarowanie – zablokowany strzał, przejęte podanie – Sophie było przykro. Spoglądała wtedy na tatę, by ten wszystko naprawił i na powrót wszystkich uszczęśliwił. I tata to robił, bo kilka sekund później znowu wszyscy krzyčili z radości. Jakis wysoki Niemiec nauczył Sophie krzyzczeć "gooooooooooooooooooooool!" tak jak komentator, ćwicząc z nią tak długo, aż umiała rozciągnąć to słowo na pełne pięć sekund. Pięć ulic dalej miała wciąż ćwiczyła, a Charlie musiał wzruszać ramionami do zdziwionych przechodniów, jakby chciał powiedzieć: "Mała pasjonuje się piłką, co zrobić?".

Gdy zbliżała się pora drzemki, Charlie zatoczył petle i skierował się do parku przy Washington Square, gdzie ludzie czytali i wylegiwali się w cieniu, jakiś facet grał na gitarze i tak dla odmiany śpiewał piosenki Boba Dylana, dwóch młodych, białych rastamanów kopali zoskę i wszyscy napawali się miłym, bezwietrznym letnim dniem. Charlie wypatrzył czarnego kotka, który wychynał z żywopłotu przy ruchliwej Columbus Avenue, najwyraźniej

podkradając się do porzuconego papierka po paczku. Pokazał go Sophie.

–Zobacz, Sophie, kotek. – Było mu przykro z powodu śmierci karalucha Niedzwiedzia. Może tego popołudnia wybierze się do sklepu ze zwierzetami i przywiezie corce nowego przyjaciela. Sophie zapiszczała z radości i wyciągnęła rękę w stronę kociaka.

–Umiesz powiedzieć "kotek"? – spytał Charlie. Pokazywała zwierzątko raczka i uśmiechała się, tocząc z ust kropelki sliny.

–Chciałabys kotka? Umiesz powiedzieć "kotek"? Sophie wciąż pokazywała kotka.

–Kotek – powiedziała.

I wtedy kotek padł trupem.

–Muzyka u Fresha – powiedział Minty Fresh, odbierając telefon. Jego głos brzmiał jak cool-jazzowy utwór na saksofon basowy. ' – Co to, kurwa, jest?! Nic o tym nie mówiłeś?! Księga nic o tym nie mówiła? Co się, kurwa, dzieje?

–Proszę się udać do kościoła albo do biblioteki. To sklep płytowy, nie odpowiadamy na pytania ogólne.

–Mówi Charlie Asher. Coś ty, kurwa, zrobił?! Co zrobiłeś z moją córeczką?!

Minty zmarszczył brwi i przeciągnął dłoń po głowie. Tego ranka zapomniał o goleniu. Mogł się domyślić, że coś się wydarzy.

–Charlie, nie możesz do mnie dzwonić. Mówiłem ci. Przykro mi, jeśli twojej malej coś się stało, ale słowo daję, że ja...

–Pokazała kotka, powiedziała "kotek", a ten padł martwy.

–To nieszczęśliwy zbieg okoliczności, śmiertelność wśród kotków jest dość wysoka.

–Tak, tylko że potem pokazała staruszka, który karmił gołębie, powiedziała "kotek" i on też umarł na miejscu.

Minty Fresh mógł się cieszyć, że w sklepie nie było akurat nikogo i nikt nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy. Miał bowiem pewność, że dreszcze, które przebiegły mu po plecach, popsuly jego zwykłą, pełną spokoju i luzu minę.

–To dziecko ma wadę wymowy, Charlie. Powinieneś zrobić jej badania.

–Wadę wymowy! Wadę wymowy! Wada wymowy to urocze seplenienie, a moja córka zabija ludzi słowem "kotek". Przez całą drogę do domu musiałem zakrywać jej usta ręką. Pewnie ktoś to nagrał na wideo. Ludzie brali mnie za jednego z tych, którzy biją swoje dzieci w

sklepach.

–Nie wyglupiaj sie, ludzie kochaja rodzicow, ktorzy bija dzieci w sklepach. Nie lubia tych, ktorzy pozwalaja dzieciom bezkarnie siac zamet.

–Mozemy trzymac sie tematu? Co o tym wiesz? Czego sie domysliles przez te wszystkie lata w roli Handlarza Smierci?

Minty Fresh usiadl na stolku za lada i wbil spojrzenie w oczy kartonowej sylwetki Cher, w nadziei ze tam znajdzie odpowiedzi. Ale ta suka nic sobie z tego nie robila.

–Charlie, nic nie wiem. Mala byla w pokoju, kiedy mnie zobaczyles, i widzisz, co sie wtedy z toba stalo. Kto wie, co sie stalo z nia. Mowilem ci, mysle, ze grasz w innej lidze niz reszta z nas, no i moze twoja corka tez jest kims innym. Nigdy nie slyszalem o Handlarzu Smierci, który potrafilby zabijac slowem "kotek" albo w ogole zabijac w jakis niezwykly sposob. Probowales ja sklonic, zeby uzywala innych slow? Na przyklad "piesek"?

–Mialem taki zamiar, ale pomyslalem, ze jesli ktos w sasiedztwie nagle padnie trupem, moga spasc ceny nieruchomosci! Nie, nie probowalem zadnych innych slow. Nie chce jej nawet karmic fasolka, ze strachu, ze na mnie tez powie "kotek".

–Na pewno masz na to jakas odpornosc.

–Bardzo wielka ksiega mowi, ze jestesmy smiertelni. Kiedy nastepnym razem na Discovery Channel pokaza kotka, moja siostra bedzie wybierala trumne.

–Przykro mi, Charlie. Nie wiem co ci poradzic. Sprawdze w swojej domowej bibliotece, ale wyglada na to, ze mala znacznie bardziej od nas odpowiada mitycznym przedstawieniom Smierci. Ale zazwyczaj w przyrodzie istnieje rownowaga, wiec moze sa jakies pozytywne strony tego jej, eee, zaburzenia. Tymczasem powinienes sie wybrac do Berkeley, poszukac czegos w tamtejszej bibliotece. Trafia do niej wszystko, co zostanie wydane.

–A ty nie probowales?

–Owszem, ale nie szukalem niczego tak konkretnego. Sluchaj, tylko uwazaj, kiedy bedziesz jechal. Nie korzystaj z metra.

–Myslisz, ze w tunelach metra sa harpie z kanalow? – spytal Charlie.

–Harpie z kanalow? A co to?

–Tak je nazwalem – wyjasnil Charlie.

–A. Nie wiem. Po prostu metro jest pod ziemia, a ja nim kiedys jechalem, kiedy wysiadl prad. Chyba nie chcesz ryzykowac. Mozna odniesc wrazenie, ze to ich teren. A skoro o tym mowa, to

**u mnie mniej więcej od poł roku panuje cisza. Nawet nie pisnęły.**

**–Tak, u mnie to samo – powiedział Charlie. – Przypuszczam jednak, że nasza rozmowa może to zmienić.**

**–Pewnie tak. Ale biorąc pod uwagę to, co się dzieje z twoją córką, być może gramy według zupełnie nowych reguł. Uwważaj na siebie, Charlie Asher.**

**–Ty też, Minty.**

**–Panie Fresh.**

**–Znaczący, panie Fresh.**

**–Do widzenia, Charlie.**

**W swojej kabinie na wielkim statku Orcus dłużyła złamana kość udowa dziecka. Babski czesała pazurami jego czarna sierść, a byczogłowy stwor rozmyślał o tym, co Morrigan widziała z kanału pod Columbus Avenue: Charliego i Sophie w parku.**

**–Już czas – powiedziała Nemain. – Chyba czekamy wystarczająco długo?**

**Zaklekała szponami niczym kastanietami, rozrzucając krople jadu na ściany i podłogę.**

**–Mogłabyś uważać – upomniła ją Macha. – Ten szajs zostawia plamy. Dopiero położyłam nowy dywan.**

**Nemain wysunęła czarny język.**

**–Czyszciszka – powiedziała.**

**–Dziwka – odparła Macha.**

**–Nie podoba mi się to – stwierdził Orcus. – To dziecko mnie niepokoi.**

**–Nemain ma rację. Zobacz, jakie stałyśmy się silne – odezwiała się Babski, głaszcząc błone rosnące między kolcami na ramionach Orcusa. Wyglądało to tak, jakby miał przyczepione wachlarze, niczym w jakiejś ozdobnej zbroi samurajskiej. – Wypuść nas. Może po ofierze z tego dziecka odzyskasz skrzydła.**

**–Myślicie, że możecie?**

**–Możemy, kiedy zrobi się ciemno – potwierdziła Macha. – Jesteśmy silniejsze niż kiedykolwiek od tysiąca lat.**

**–Pojdzie tylko jedna, i to po kryjomu – powiedział Orcus. – To jest prastary talent, choć w**



nowym ciele. Jeśli nad nim zapanuje, nasza szansa może przepaść na kolejne tysiąc lat. Zabij dziecko i przynies mi ciało. Nie może cię zobaczyć przed atakiem.

–A jej ojciec? Zabić go?

–Nie jesteście aż tak silni. Ale kiedy się obudzi i zobaczy, że dziecko zniknęło, zał może go zniszczyć.

–Nie masz pojęcia, co robisz, prawda? – spytała Nemain.

–Dzisiaj w nocy zostaniesz tutaj – powiedział Orcus.

–Cholera – zakleła Nemain, rozrzucając po ścianach parujący jad. – Przepraszam, że osmieliłam się zapytać jasnie pana. Ej, bycza głowa... Ciekawe, co jest z drugiej strony?

–Ha – powiedziała Babd. – Ha. Dobrze.

–A jaki mózdek można znaleźć pod piorami? – spytał Orcus.

–O! Załatwił cię, Nemain. Pomyśl o tym, jak cię załatwił, kiedy ja w nocy będę zabijała dziecko.

–Mówiłem do ciebie – oznajmił Orcus. – Pojdziesz Macha.

Weszła przez dach, wyrwała okrągłe okienko dachowe nad czwartym piętrem i zeskoczyła do korytarza. Cicho jak cien przemknęła korytarzem do schodów, a potem dosłownie spłynęła na dół, niemal nie dotykając stopni. Na drugim piętrze zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała zamki. Oprócz głównej zasuwki zamontowano w nich dwa dodatkowe, mocne rygle. Uniosła wzrok i ujrzała witrażowe naswietle, zamknięte na mały mosiężny haczyk. Pazur szybko wsunął się w szczelinę i po szybkim ruchu nadgarstka haczyk odpadł, po czym zabrzeczał na podłodze od wewnątrz. Wśliznęła się przez otwór i rozplaszczyła na podłodze w środku, przyczajona niczym kaluza cienia. Czula zapach dziecka i słyszała delikatne chrapanie dobiegające z drugiego końca mieszkania. Przesunęła się na środek salonu i przystanęła. Nowe Mieso też tu był, wyczuwała go, spiącego w pokoju naprzeciwko pokoju dziecka. Jeśli się wtraci, oderwie mu głowę i zanieś je na statek, by dowieść Orcusowi, że nigdy nie powinien jej lekceważyć. Kusilo ją, by i tak go załatwić, ale dopiero kiedy upora się z dzieckiem.

Do salonu wpadał snop łagodnego, różowego światła z nocnej lampki w pokoju malej. Macha machnęła szponiastą dłoń i światło zgasło. Wydała cichy pomruk zadowolenia. Był czas, że umiała w ten sam sposób zgasić ludzkie życie. Być może ten czas powracał. Wśliznęła się do pokoju dziecka i zatrzymała się. W blasku księżycy, który się saczył przez okno, widziała w łóżeczku małą, śpiącą na boku i tulącą pluszowego krowka. Nie widziała jednak katów pomieszczenia – cienie były tam tak mroczne i płynne, że nawet jej oczy nocnego drapieżcy nie mogły ich przeniknąć. Podeszła do łóżeczka i pochyliła się. Dziecko spało z szeroko otwartymi ustami. Macha postanowiła wbicić jej pazur przez podniebienie do mózgu. Wszystko odbedzie się

bezglosnie, a w pokoju zostanie duzo krwi, ktora znajdzie ojciec. Poza tym bedzie mogla niesc zwloki niczym rybe na haku. Powoli opuscila reke i pochylista sie, by cios mial jak najwieksza sile. Swiatlo ksiezycyca zaskrzylo na osmiocentymetrowym szponie. Cofnela sie, bo ten piekny blask na moment odwrocil jej uwage, i nagle poczula zeby zaciskajace sie na jej rece.

–Skurw... – zaskrzeczala, zataczajac luk i walac o sciane.

Kolejne zeby wbily sie w jej kostke. Szybko przybrala kilka roznych postaci, ale nie zdolala sie uwolnic. Niczym szmaciana lalka poleciala na szafe, na lozeczko, znow na sciane. Machnela szponami w kierunku napastnika i na cos natrafila, potem jednak poczula, ze zaraz cos wyrwie jej pazury, wiec puscila. Nic nie widziala, poczula jedynie dziki, dezorientujacy ruch, a potem uderzenie. Mocno kopnela w to, co trzymalo ja za kostke. Puscilo, ale napastnik, ktory trzymal ja za ramie, cisnal nia przez okno w zamontowane od zewnatrz kraty. Uslyszala brzek szkla na ulicy ponizej. Naparla z calej sily, w ogromnym tempie zmieniajac ksztalty, az w koncu przedostala sie przez kraty i spadla na chodnik.

–Au. Kurwa! – dobiegl glos z ulicy. Zenski glos. – Au!

Charlie zapalil swiatlo i ujrzal Sophie, ktora siedziala w lozeczku, sciskala krolika i smiala sie. Okno za nia bylo strzaskane. Kazdy mebel z wyjatkiem lozeczka zostal przewrocony, a w tynku na dwoch scianach widnialy dziury wielkosci pilki do koszykowki – drewniane listwy pod spodem tez byly polamane. Na podlodze wszedzie walaly sie czarne piora, byly tez plamy, ktore wygladaly jak krew, ale na oczach Charliego piora wyparowaly, zmieniajac sie w obloczki dymu.

–Piefek, tata – powiedziala Sophie. – Piefek. – A potem zachichotala.

Reszte nocy Sophie przespala w lozku Charliego, podczas gdy tata siedzial obok niej na krzesle i patrzyl na zamkniete drzwi, trzymajac w pogotowiu laske z mieczem. W sypialni Charliego nie bylo okien, wiec wejsc albo wyjsc mozna bylo jedynie przez drzwi. Gdy Sophie obudzila sie tuz po swicie, Charlie ja przebral, wykopal i ubral. Potem zawolal Jane, by zrobila jej sniadanie. W tym czasie sprzatnal szklo i tynk w pokoju Sophie, po czym zszedl na dol, by znalezc jakas sklejke i zaslonic nia rozbite okno. Draznilo go, ze nie moze zadzwonic na policje ani w ogole do nikogo, ale skoro telefon do innego Handlarza Smierci wywoływal takie skutki, nie mogl ryzykowac. Zreszta, co powiedzialaby policja na czarne piora i krew, ktore zmienialy sie w dym?

–W nocy ktos rzucil cegla w okno Sophie – oznajmil siostrze.

–No, no, a to drugie pietro. Myslalam, ze zwariowales, kiedy powstawiales kraty we wszystkie okna, ale teraz zdaje sie, ze wcale nie. Powinienes wstawic w to okno zbrojona szybe, tak dla bezpieczenstwa.

–Tak zrobie – powiedzial.

**Dla bezpieczeństwa? Nie miał pojęcia, co się wydarzyło w pokoju Sophie, ale fakt, że nic jej się nie stało pośród całego tego zniszczenia, bardzo go wystraszył. Wymienił okno, ale córka będzie spała w jego pokoju do trzydziestki, do czasu, gdy wyjdzie za wielkiego faceta o umiejętnościach ninjy. Kiedy Charlie wrócił z piwnicy z kawalem sklejk, młotkiem i gwoździami, zastał Jane siedzącą przy blacie i palącą papierosa.**

**–Jane, myślałem, że rzuciłaś.**

**–Tak, rzuciłam. Miesiąc temu. Znalazłam to w swojej torebce.**

**–Dlaczego palisz w moim domu?**

**–Weszłam do pokoju, żeby przynieść Sophie krowlika. – Tak? Gdzie Sophie? Na podłodze ciągle może być szkło, chyba nie...**

**–Tak, jest tam. A ty nie jesteś zabawny, Asher. Mocno przesadziłeś z tymi zwierzętami. Muszę odbyć trzy lekcje jogi, zrobić sobie masaż i wypalić skreta wielkości termosu, jeśli ma mi opaść adrenalina. Tak mnie przestraszyły, że się trochę posikałam.**

**–O czym ty, do diabła, mówisz?**

**–Śmieszne – powiedziała, uśmiechając się. – Naprawdę śmieszne. Mówię o piefkach, tato.**

**Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć siostrze "czy można wyrazić się mniej spójnie i jasno, niż ty?" – doskonalił ten gest od trzydziestu dwóch lat. Potem pobiegł do pokoju Sophie i otworzył drzwi na oścież. Po obu bokach jego ukochanej córeczki siedziały dwa największe i najczarniejsze psy, jakie w życiu widział. Sophie siedziała oparta o jednego z nich, a drugiego walila w głowę swoim pluszowym krowlikiem. Charlie zrobił krok naprzód, by ratować małą, gdy wtem jeden z psów skoczył przez pomieszczenie, powalił go na podłogę i unieruchomił. Drugi stanął między Charliem a dzieckiem.**

**–Sophie, tatus idzie po ciebie, nie bój się. – Próbował wypelznąć spod psa, ten jednak tylko opuścił głowę i warknął na niego. Nawet się nie ruszył. Charlie miał wrażenie, że bestia jednym kłapnięciem może mu wyrwać kawał nogi i torsu. Miała większy łeb niż tygrys w zoo w San Francisco.**

**–Jane, na pomoc. Zdejmij to ze mnie.**

**Wielki pies podniósł wzrok, trzymając łapy na ramionach Charliego. Jane obróciła się na stolku i mocno zaciągnęła papierosem.**

**–Raczej nie, braciszku. Jesteś zdany na siebie, skoro wyciałeś mi taki numer.**

**–Nie wyciałem. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Nikt nie widział.**

–Wiesz, my, lesby, mamy wysoki poziom tolerancji względem psów, ale to nie daje ci prawa do takiego postępowania. No, zostawie cie już – powiedziała. Wzięła torebkę i klucze z blatu. – Baw się dobrze ze swoimi czworonożnymi przyjaciółmi.

–Jane, poczekaj.

Ale już poszła. Usłyszał trzaskanie drzwi. Wielki pies najwyraźniej nie był zainteresowany zjedzeniem Charliego, po prostu go trzymał. Za każdym razem, gdy mężczyzna próbował się spod niego wśliznąć, pies warczał i naciskał mocniej.

–Siad. Noga. – Charlie próbował komend, które słyszał w telewizji wypowiedziane przez trenerów psów. – Aport. Leżec. Złaz ze mnie, pieprzony potworze. (Ostatnia dodał od siebie).

Pies zaszczekał mu w lewe ucho, tak głośno, że potem Charlie słyszał w nim tylko dzwonięcie. W drugim uchu usłyszał śmiech młodej dziewczynki po drugiej stronie pokoju.

–Sophie, kochanie, wszystko w porządku.

–Piefek, tata – powiedziała Sophie. – Piefek. – Niepewnym krokiem podeszła bliżej i popatrzyła z góry na Charliego. Ogromny pies polizal ją po twarzy, niemal przewracając. (Poltoraczna Sophie poruszała się na ogół jak pijana). – Piefek – powiedziała znowu.

Złapała psa za ucho i odciągnęła go od ojca. A dokładniej, pies pozwolił jej poprowadzić się za ucho. Charlie skoczył na równe nogi i zaczął wyciągać rece do Sophie, ale drugi pies zastąpił mu drogę i głośno zawarczał. Głowa psa sięgała piersi mężczyzny, choć zwierzę nie odrywał nog od podłogi. Charlie stwierdził, że psy waga po jakieś dwieście kilogramów. Były przynajmniej dwa razy większe od największego psa, z jakim się dotąd zetknął – nowofundland, którego widział pływającego w parku wodnym przy Muzeum Morskim. Miały krótką sierść dobermanów, szerokie ramiona i piersi rottweilerów, ale kwadratowe głowy i odwrócone uszy doga. Były tak czarne, że odnosiło się wrażenie, że dosłownie pochłaniają światło, a Charlie tylko raz w życiu widział stworzenia, które tak robiły: kruki z Zaswiatów. Było jasne, że psy nie pochodzą z tego świata. Ale było też jasne, że nie przybyły po to, by skrzywdzić Sophie. Dla zwierząt tej wielkości nie wystarczyłaby nawet na przekaske i z pewnością już dawno by ją rozszarpały, gdyby chciały zrobić jej coś złego.

Zniszczenia w pokoju Sophie poprzedniej nocy mogły spowodować psy, ale to nie one były napastnikami. Coś tu przyszło, by skrzywdzić małą, a one jej broniły, tak jak teraz. Charlie nie dbał o przyczynę, był po prostu wdzięczny, że stoją po jego stronie. Nie miał pojęcia, gdzie się podziały, kiedy wpadł do pokoju po stłuczeniu okna, ale wyglądało na to, że teraz, skoro już tu są, nigdzie sobie nie pójdą.

–Dobra, nic jej nie zrobię – powiedział Charlie. Pies rozluźnił mięśnie i cofnął się o kilka kroków. – Musi iść na nocnik – dodał mężczyzna, czując się trochę głupio.

Zauważył, że oba psy mają szerokie, srebrne obroże, które, o dziwo, niepokoiły go bardziej

niz rozmiary zwierząt. Po półtorarocznym treningu jego wyobraźnia samca beta z łatwością mieściła dwa ogromne psy, pojawiające się zniemacka w pokoju jego córki, ale myśl, że ktoś założył im obroże, wydawała mu się przerażająca.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych i Charlie wycofał się z pokoju.

– Kochanie, tatus zaraz wróci.

## 14. PIESKI ŚWIAT

Gdy Charlie otworzył drzwi, minęła go Lily. – Jane powiedziała, że masz tu dwa wielkie psy. Muszę je zobaczyć. – Lily, poczekaj! – zawołał za nią Charlie, ale ona przemierzyła salon i weszła do pokoju Sophie, zanim zdolał ją zatrzymać.

Rozległo się warczenie i po chwili wycofała się rakiem.

– O rany, ja pierdole, facet – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Sa rewelacyjne. Skąd je wystraszales?

– Znikąd ich nie wystraszałem. Po prostu były tu. Stał z Lily przed drzwiami pokoju Sophie. Dziewczyna odwróciła się i złapała go za ramię.

– To są narzędzia, którymi się posługujesz jako Śmierć?

– Lily, umowiliśmy się, że nie będziemy o tym rozmawiać.

Faktycznie. Zresztą Lily i tak dzielnie się spisywała. Od kiedy się dowiedziała, że Charlie jest Handlarzem Śmierci, niemal nie poruszała tego tematu. Ukończyła też szkołę średnią, i to bez bogatej kartoteki nagan i występów, po czym zapisała się do Instytutu Kulinarnego. Ową fakt miał te zalety, że wkładała do pracy kucharski fartuch, kraciaste spodnie i gumowe chodaki, co trochę łagodziło efekt jej włosów i makijażu. Te pozostały surowe, mroczne i nieco przerażające.

Sophie zachichotała i podeszła do jednego z psów. Już wcześniej ją lizali i była pokryta psią sliną. Włosy miała sklezione w niesamowite strąki, przez co wyglądała trochę jak wielkooka postać z filmu anime.

Sophie zobaczyła w drzwiach Lily i pomachała rączką.

– Piefek, Lily, piefek.

– Cześć, Sophie. Tak, ładne pieski – powiedziała Lily, po czym zwróciła się do Charliego: – Co zrobisz?

– Nie wiem co robić. Nie pozwalają mi podejść.

**–No to dobrze. Sa tutaj, by ja chronic. Skinal glowa.**

**–Tak mi sie zdaje. Ostatniej nocy cos sie wydarzylo. Wiesz, co Bardzo wielka ksiega mowi o "innych"? Mysle, ze jeden z nich przybyl tu po nia w nocy, i wtedy pojawily sie te zwierzaki.**

**–Jestem pod wrazeniem. Mozna by sie spodziewac, ze bedziesz przerazony.**

**Charlie nie chcial jej mowic, ze wyczerpalo go przerazenie poprzedniego dnia, kiedy jego coreczka zabila staruszka slowem "kotek". Lily i tak za duzo wiedziala, a teraz stalo sie jasne, ze cokolwiek znajduje sie ponizej, jest niebezpieczne.**

**–Chyba powinienem byc, ale one nie zamierzaja jej skrzywdzic. Musze poszperac w bibliotece w Berkeley, sprawdzic, czy znajde cos na ich temat. I musze zabrac od nich Sophie.**

**Lily parsknela smiechem.**

**–Akurat. Sluchaj, dzisiaj mam prace i szkole, ale jutro poszukam dla ciebie jakichs materialow. Tymczasem sprobuj sie z nimi zaprzyjaznic.**

**–Nie chce sie z nimi zaprzyjaznic.**

**Lily popatrzyla na psy. Sophie tlukla jednego z nich swoja mala piastka i smiala sie radosnie. Potem odwrocila sie do Charliego.**

**–Owszem chcesz.**

**–Tak, chyba masz racje – przyznal. – Widzialas juz kiedys psa tej wielkosci?**

**–Nie ma takich psow.**

**–Wiec jak nazwiesz te tutaj?**

**–To nie sa zwykle psy, Asher, to piekielne ogary.**

**–Skad wiesz?**

**–Wiem, bo zanim zaczelam sie uczyc o przyprawach, kaloriach i tak dalej, w wolnym czasie czytalam o ciemnej stronie i czasem natrafialam na opisy tych zwierzakow.**

**–Skoro juz to wiemy, to jakich informacji zamierzasz szukac?**

**–Sprobuj sie dowiedziec, co je przyslalo. – Poklepala go po ramieniu. – Musze otworzyc sklep. A ty idz pogodzic sie z pietkami.**

**–Czym je karmic?**

**–Purina dla piekielnych ogarow.**

**–Produkują taka karmę?**

**–A jak myślisz?**

**–Dobra – powiedział Charlie.**

**Trwało to kilka godzin, ale gdy Sophie zaczęła pachnieć jak niespodzianka w pieluszcze, jeden z wielkich psów pchnął dziewczynkę nosem w kierunku Charliego, jakby chciał powiedzieć "wyczyszcza ją i przyniesie z powrotem". Charlie czuł, że psy na niego patrzą, gdy przewijał córkę, szczęśliwy, że jednorazowe pieluchy nie wymagają używania agrafek. Gdyby przypadkiem ukuł Sophie, jeden z piekielnych ogarów z pewnością odgryzłby mu głowę. Patrzyły uważnie, jak sadza ją przy kuchennym blacie, i siedziały po obu stronach jej wysokiego krzeselka, gdy dawał jej śniadanie. W ramach eksperymentu zrobił dodatkowy tost i rzucił go jednemu z ogarów. Pies złapał kasek w powietrzu, polknął i natychmiast się oblizal, po czym wbił wzrok w Charliego i bochenek chleba. A zatem Charlie upiekł jeszcze cztery kromki. Psy na przemian łapały je w powietrzu z taką szybkością, że zdawało się, iż pomiędzy ich zaciskającymi się szczękami leci para.**

**–Czyli jesteście piekielnymi bestiami z innego wymiaru i lubicie tosty. Dobra.**

**Potem Charlie włożył do tosterka cztery kolejne kromki, ale przerwał, czując się głupio.**

**–Właściwie wszystko wam jedno, czy są upieczone, czy nie, prawda? – Rzucił kromkę bliższemu psu, który złapał ją w powietrzu. – Dobra, tak będzie szybciej.**

**Nakarmił je resztą chleba. Kilka kromek posmarował warstwą masła orzechowego, co nie wywarło żadnego efektu, a kilka kolejnych cytrynowym zelem do zmywarek, który najwyraźniej nie miał na psy żadnego niekorzystnego wpływu, nie licząc faktu, że odbijało im się ładnymi banieczkami o barwie akwamaryny.**

**–Spacer, tata – powiedziała Sophie.**

**–Dzisiaj nie będzie spaceru, skarbie. Chyba zostaniemy w domu i spróbujemy poznać naszych nowych przyjaciół.**

**Wyjął Sophie z krzeselka, starł galaretkę z jej buzi i włosów, po czym usiadł z nią na kanapie, by przeczytać jej ogłoszenia z "Chronicle", z których często korzystał w swojej działalności biznesowej. Ale gdy zaczął czytać, zbliżył się jeden z ogarów piekielnych, chwycił pyskiem jego przedramię i zaciągnął do sypialni, mimo że Charlie protestował, klął i bił go po głowie mosięzną lampką biurkową. Pies puścił go, a potem stał, patrząc na kalendarz Charliego, jakby wysmarowano go miesnym sosem.**

**–Co? – spytał Charlie, ale potem to zobaczył. Z jakiegoś powodu w całej ekscytacji nie**

**zauwazył, że pojawiło się nowe nazwisko.**

**–Zobacz, trzydziści. Mam na to cały miesiąc. Zostaw mnie w spokoju. – Charlie dostrzegł też, że na wielkiej, srebrnej obrozy piekielnego ogara wygrawerowano imię ALVIN.**

**–Alvin? Najgłupsze imię, jakie w życiu slyszalem. Wrocil na kanape, lecz pies zaciagnal go z powrotem do sypialni, tym razem za noge. Gdy przechodzili przez drzwi, Charlie siegnal po swój miecz w lasce. A kiedy Alvin go puscil, zerwal sie na nogi i wyciagnal ostrze. Ogromny pies przewrocil sie na grzbiet i zaskamlal. W drzwiach pojawil sie jego towarzysz, ciezko dyszac. (Nazywal sie Mohammed, zgodnie z napisem na obrozy). Charlie zastanowil sie, jakie ma szanse. Zawsze czul, ze ten miecz budzi groze, i pragnal nawet uzyc go przeciwko harpiom z kanalow. Zdal sobie jednak sprawe, ze te bestie najwyrazniej wytarly podloge jednym z tych stworow ciemnosci, by pare godzin pozniej jak gdyby nigdy nic pochlonac bochenek piniacego sie tostowego pieczywa. Krotko mowiac, nie mial szans. Chcialy, zeby poszedl po naczynie duchowe, to pojdzie po naczynie duchowe. Ale nie zamierzal zostawic z nimi swojej kochanej coreczki.**

**–Alvin to i tak glupie imię – powiedzial, chowajac miecz. Gdy przyszła pani Korjev, Charlie polozyl juz coreczke do snu, a przy jej lozeczku drzemaly piekielne ogary, z glosnym chrapaniem wyrzucajac w powietrze opary pachnacego cytrynowa swiezoscia psiego oddechu. Najwyrazniej w Charliem budzila sie natura lotra, wpuscil bowiem pania Korjev do pokoju Sophie, uprzedzajac ja jedynie, ze mala ma nowe zwierzeta. Stlumil chichot, gdy potezna kozacka babcia cofnela sie z pomieszczenia, miotajac rosyjskie przeklenstwa.**

**–Tam jest duze psy.**

**–Zgadza sie.**

**–Ale nie jak normalne duze psy. To superduze czarne zwierzeta, jak...**

**–Jak niedzwiedz? – podsunal Charlie.**

**–Nie, nie chcialam powiedziec "niedzwiedz", panie madrala. Nie jak niedzwiedz. Jak wilcy, tylko wieksze, silniejsze...**

**–Jak niedzwiedz? – niesmialo sprobował Charlie.**

**–Zawstydzal pan swoja matke, kiedy pan zlosliwy, panie Asher.**

**–Nie jak niedzwiedz? – spytal.**

**–To niewazne. Ja sie dziwie. Vladlena to stara kobieta ze slabym sercem, ale pan idzie sie dobrze bawic, a ja siedze z Sophie i ogromnymi psami.**

**–Dziekuje, panie Korjev, wabia sie Alvin i Mohammed. Maja to napisane na obrozach.**



**–Ma pan dla nich jedzenie?**

**–W lodowce sa steki. Prosze dac im kilka i sie cofnac.**

**–Jakie lubia steki?**

**–Mrozone beda w sam raz, te psy zra jak...**

**Kobieta uniosla palec w gescie ostrzezenia. Utworzyl jedna linie z duzym pieprzykiem na jej nosie. Wygladalo to tak, jakby trzymala bron. – ...jak konie. Zra jak konie – dokonczyl.**

**Pani Ling nie zniosla pierwszego spotkania z Alvinem i Mohammedem tak spokojnie, jak jej rosyjska sasiadka.**

**–Aaaaaaaaaaaaaaaaa! Wielkie siksy sraaaaja! – krzyczala, biegnac korytarzem za Charliem. – Pan wraca! Wielkie siksy sraaaaja!**

**Charlie wrocil do mieszkania i na podlodze w salonie ujrzal wielkie, parujace kupy. Alvin i Mohammed siedzialy po bokach drzwi do pokoju Sophie niczym ogromne chinskie psy Fu przy bramie swiatynnej. Wydawaly sie nie tyle przerazajace, ile zawstydzone i skruszone.**

**–Niedobre psy – powiedzial Charlie. – Przestraszylyscie pania Ling. Niedobre psy. – Przez chwile rozwalal, czy nie wsadzić im w to za kare nosow, ale nie majac koparki, do ktorej moglby je przykuc, nie wiedzial, czy to sie uda. – Nie zartuje – dodal nadzwyczaj surowym tonem.**

**–Przepraszam, pani Ling – powiedzial do drobnej kobiety. – To sa Alvin i Mohammed. Powinienem wyrazic sie bardziej konkretnie, kiedy mowilem, ze Sophie ma nowe zwierzaki.**

**Tak naprawde celowo ograniczyl sie do ogolnikow, liczac na jakas histeryczna reakcje. Nie dlatego, zeby naprawde chcial przerazic staruske. Po prostu samce beta rzadko moga kogos fizycznie przestraszyc, wiec kiedy maja po temu okazje, czasem traca zdrowy rozsadek.**

**–W porzadku – powiedziala pani Ling, gapiac sie na piekielne ogary.**

**Wydawala sie czymś pochlonieta, glownie dlatego, ze w istocie byla. Otrzasnawszy sie z pierwszego szoku, dokonywala w glowie obliczen – blyskawiczne liczydlo jej umyslu dzielilo mase tych psow o rozmiarach kucow na gulasze, steki, zeberka i paczki mielonego.**

**–Nic pani nie bedzie? – spytal Charlie.**

**–Pan nie wraca pozno, dobrze? – powiedziala. – Dzisiaj ide do Searsa i ogladam duze zamrazarki. Pan ma pile elektryczna, ktora moge pozyczyc?**

**–Pile elektryczna? No nie, ale Ray na pewno ma. Wroce za pare godzin – oznajmil. – Ale najpierw to posprzatam. – Ruszyl do piwnicy, w nadziei ze znajdzie szufle do wegla, ktora**

**kiedys trzymał tam jego ojciec. Gdy się pożegnali, oboje – Charlie i pani Ling – liczyli na zdolności Sophie do usmiercania zwierząt, które mogłyby rozwiązać kwestie kupy i zupy. Ich nadzieje jednak nie miały się spełnić.**

**Gdy minęło kilka tygodni i piekielne ogary wciąż czuły się doskonale, Charlie pogodził się z możliwością, że to jedyne zwierzęta, które mogą przetrwać kontakt z Sophie. Wiele razy kusił go, by zadzwonić do Minty'ego Fresha i poprosić go o radę, ale powstrzymał się, jako że jego poprzedni telefon stanowił zapewne przyczynę pojawienia się ogarów.**

**Informacje, które znalazła Lily, nie przydały się na wiele więcej.**

**–Ciągłe o nich wspominają- oznajmiła, dzwoniąc przez komórkę z biblioteki w Berkeley. – Głównie o tym, że lubią gonić za bluesmanami, jest też niemiecka drużyna piłkarska o nazwie Piekielne Ogary, ale to chyba bez znaczenia. Jest coś, co pojawia się co rusz w różnych kulturach: że pilnują przejścia między światem żywych i umarłych.**

**–No, to by się zgadzało – stwierdził Charlie. – Chyba tak. Nie pisza, gdzie jest to przejście? Na której stacji metra?**

**–Nie, Asher. Ale znalazłam taką książkę zakonnicy, która ekskomunikowali pod koniec dziewiętnastego wieku. Ekstra, co? Ta biblioteka jest niesamowita. Maja tu dziesięć milionów książek.**

**–Tak, to świetnie, Lily, i co pisze ta eks-zakonnica?**

**–Znalazła różne wzmianki o piekielnych ogarach i wszystkie źródła zgadzają się w jednym: te psy służą bezpośrednio władcy Zaswiatów.**

**–Bedac katoliczka, nazywała to Zaswiatami?**

**–Wywalili ją z Kościoła za napisanie tej książki. Ale zgadza się, tak to właśnie nazywała.**

**–Nie podała numeru, pod który możemy zadzwonić, gdyby zaginęły?**

**–Przyszłam tu w wolny dzień, Asher, i próbuję ci pomóc. Zamierzasz zrobić sobie z tego wyglupy?**

**–Nie, przepraszam cie, Lily. Mów dalej.**

**–To tyle. Żadnych porad na temat opieki i karmienia. Generalnie, z tego wszystkiego wynika, że obecność piekielnych ogarów to nic dobrego.**

**–Jaki tytuł ma ta książka? Encyklopedia wszystkiego co oczywiste?**

**–Zapłacisz mi za to, wiesz? Za czas i koszty dojazdu.**

–Przepraszam. Tak. Czyli powinienem probowac sie ich pozbyc.

–One jedza ludzi, Asher. I kto sie teraz posmieje?

W obliczu takich wieści Charlie postanowil, ze musi podjac zdecydowane kroki w celu pozbycia sie potwornych psow. Mogl byc pewien tylko jednego: ze pojda wszedzie, gdzie wezmie Sophie. Zabrał je zatem na wycieczke do Ogrodu Zoologicznego w San Francisco, po czym zostawil je zamkniete w furgonetce z wlaczonym silnikiem i wezem, ktorym polaczyl rure wydechowa i male okienko. Po wycieczce, ktora uznal za bardzo udana, bo zadne zwierze nie kopnelo w kalendarz pod zachwyconym spojrzeniem jego coreczki, wrocil do samochodu, gdzie zastal mocno nacpane, ale poza tym nieuszkodzone ogary, ziejace zapachem spalonego plastiku po tym, jak zjadly pokrowce z siedzen.

Rozne eksperymenty dowiodly, ze Alvin i Mohammed nie tylko sa odporne na wiekszosc trucizn, ale tez lubia smak spreju na muchy. W dodatku zlizaly caly srodek owadobojczy z listew przypodlogowych po cokwartalnej wizycie specja od dezynsekcji. Z biegiem czasu Charlie zaczal rozmyslac, kladac na szali zagrozenie, wynikajace z obecności wielkich psow, oraz potencjalne szkody dla psychiki Sophie, jesli ona ujrzy ich smierc. Wyraznie coraz bardziej sie do nich przywiazywala, zaprzestal wiec bardziej bezposrednich atakow i zrezygnowal z rzucania kielbasek przed rozpedzony autobus pospieszny linii 90. (Te decyzje ulatwil fakt, ze urzad miasta San Francisco zagrozil pozwaniem Charliego, jesli jego psy zniszcza kolejny autobus). Bezposrednie ataki stanowily dla Charliego trudne zadanie (zwlaszcza ze u samcow beta jedyna prawdziwa sztuka walki opiera sie na uprzejmosci nieznanym), a zatem zwrocil przeciwko ogarom cala niezwykla moc kung-fu biernej agresji. Zaczal tradycyjnie. Zabrał je na przejazdke do East Bay, za pomoca zeberek wolowych zwabil na bagnisty teren, a potem szybko odjechal, by po powrocie zastac w mieszkaniu zarowno psy, jak i patyne schnacego blota na podlodze. Potem probowal jeszcze oryginalniejszego sposobu: zapakowal psy do skrzyni i wyslal samolotem do Korei, w nadziei ze trafia do jakichs przystawek, okazalo sie jednak, ze wrocily do sklepu, zanim zdazyl pozamiatac wszystkie klaki psiej sierści w mieszkaniu. Pomyslal, ze moze do przepedzenia czworonogow zdola wykorzystac ich wlasne naturalne instynkty, przeczytal bowiem w Internecie, ze wyciag z moczu pumy bywa rozpryskiwany na krzakach i kwiatkach, by nie sikaly na nie psy. Po dosc wyczerpujacych poszukiwaniach w ksiazce telefonicznej znalazl w koncu numer sklepu dla ogrodnikow w poludniowej czesci San Francisco, ktory byl certyfikowanym punktem sprzedazy siuszkow kuguara.

–Jasne, sprzedajemy mocz pum – potwierdzil facet ze sklepu. Glos brzmial tak, jakby jego wlasciciel nosil kurtke z jeleniego futra i dluga brode, ale moze Charlie tylko to sobie wyobrazil.

–I to odstrasza psy?

–Dziala jak zaklecie. Psy, sarny, kroliki. Ile pan potrzebuje?

**–Nie wiem, może ze czterdziestu litrów.**

**Nastąpiła chwila milczenia i Charlie był pewien, że słyszy, jak tamten wydłubuje sobie z brody zaschnięte strzepki mleka klepy – Sprzedajemy w butelkach po trzydziestu, sześćdziesiąt i sto pięćdziesiąt mililitrów.**

**–No, to nie załatwi sprawy – stwierdził Charlie. – Nie może mi pan załatwić opakowania hurtowego, najlepiej z pumy, która od paru miesięcy karmiono wyłącznie psim mięsem? Domyslałem się, że to siki udomowionych pum, prawda? Znaczący, nie chodzi pan do lasu, żeby zbierać je samemu.**

**–Nie, proszę pana, przypuszczam, że pozyskują je z ogrodów zoologicznych.**

**–Z dzikich pum byłyby pewnie lepsze, co? – spytał Charlie. – Jeśli mogłoby je pan zdobyć. To znaczący, nie pan osobiście. Nie sugeruje, że ma pan biegać z menzurką po gęstwinie za jakąś pumę. Chodziło mi o profesjonalną... halo?**

**Brodacz w kurtce z jeleniego futra odłożył słuchawkę. A zatem Charlie wysłał Raya w furgonetce do południowego San Francisco, nakazując mu kupić cały zapas siki pumy, jaki będą mieli w sklepie, ale skutek był tylko taki, że całe drugie piętro budynku Charliego cuchnęło niczym kocia kuweta. Gdy wyglądało na to, że nawet najbardziej biernie agresywne próby nic nie dają, Charlie uciekł się do ostatecznego ataku samców beta: tolerować obecność Alvina i Mohammeda, ale gardzić nimi ze wszystkich sił i rzucać kasliwe uwagi przy każdej nadarzającej się okazji. Karmienie piekielnych ogarów przypominało sypanie węgla w dwie przepastne lokomotywy. Co dwa dni przychodziła dostawa dwudziestu kilogramów karmy. Psy przerabiała ją na potężne, torpedowate kupy, które zostawiała na ulicach i w zaułkach wokół Komisji Ashera, jakby wypowiedziały całą okolicę prywatną wojnę błyskawiczną.**

**Ich obecność miała te zalety, że Charlie od miesiąca nie słyszał ze studzienek nawet pisnięcia, nie widywał też potwornych kruczonych cieni na ścianach, gdy szedł po naczynie duchowe. Dobrze mu służyły, gdy wykonywał swoje obowiązki śmierci. Po każdym pojawieniu się w kalendarzu nowego nazwiska, psy co rano ciągały go do sypialni, dopóki nie wrócił z danym przedmiotem, więc przez dwa lata ani razu się nie spóźnił i nie przegapił żadnego naczynia. Wielkie psy, ma się rozumieć, towarzyszyły Charliemu i Sophie podczas spacerów, na które znowu zaczęli wychodzić, gdy Charlie zyskał pewność, że córka opanowała swoje szczególne zdolności "językowe". Ogary, choć były największymi psami, jakie ktokolwiek widział, nie miały aż takich rozmiarów, by ich istnienie wydawało się niemożliwe, i dokadkolwiek poszli, Charliego zasypywano pytaniami, jaka to rasa. W końcu, zmęczony udzielaniem wyjaśnień, zaczął po prostu odpowiadać: "To piekielne ogary". A gdy go pytano, skąd je ma, mówił: "Pewnej nocy po prostu pojawiły się w pokoju mojej córki i nie chciały sobie pojsć". Po czym takim ludzie uważali go nie tylko za kłamcę, ale i za dupka. Zmienił więc odpowiedź na: "To piekielne ogary irlandzkie". Z jakiegoś powodu wszyscy od razu uznawali takie wyjaśnienie (z wyjątkiem jednego irlandzkiego kibica piłki nożnej w odległym zakątku North Beach, który stwierdził: "Jestem Irlandczykiem, a te bestie nie są Irlandczykami").**

**Charlie odparł wtedy: "To czarni Irlandczycy". Kibic skinal głową, jakby wiedział o tym od początku, po czym zwrócił się do kelnerki: "Dasz mi następna cholerna pinte browarka, mała, zanim tu wyschnie i odfrunie?").**

**Do pewnego stopnia Charliego cieszyła sława faceta z urocza dziewczynka i dwoma olbrzymimi psami. Kiedy człowiek ma sekretną tożsamość, siła rzeczy napawa się choćby odrobina publicznej uwagi. I Charlie się napawał, do pewnego dnia, gdy brodaty mężczyzna w długim bawelnianym kaftanie i w dzierganej czapce zatrzymał jego i Sophie w bocznej uliczce na Russian Hill. Sophie była już dość duża, by znaczną część drogi pokonywać na własnych nogach, lecz Charlie zawsze zabierał nosidelko, by ją nosić, kiedy się zmęczy (a częściej po prostu podtrzymywał ją, gdy jechała na grzbiecie Alvina lub Mohammeda).**

**Brodacz podszedł trochę za blisko do Sophie, więc Mohammed zawarczał i stanął między mężczyzną a małą.**

**–Mohammed, wracaj – powiedział Charlie. Okazało się, że piekielne ogary można było tresować, zwłaszcza jeśli nakazywało się im rzeczy, które i tak by zrobiły. ("Jedź, Alvin. Dobry piesek. Teraz zrób kupe. Brawo").**

**–Dlaczego wola pan na tego psa "Mohammed"? – spytał brodac.**

**–Bo tak się wabi.**

**–Nie powinien pan nadawać temu psu imienia Mohammed.**

**–Nie ja mu nadałem to imię – odparł Charlie. – Już się tak nazywał, kiedy do mnie przyszedł. Imię miał wygrawerowane na obroży.**

**–To bluźnierstwo, nazywać psa "Mohammed".**

**–Próbowałem wolać na niego inaczej, ale nie słucha. Pokażę panu. Steve, ugryź pana w nogę. Widzi pan? Nic. Spot, ugryź tego pana w nogę. Nic. Równie dobrze mogłbym mówić po persku. Rozumie pan, do czego zmierzam?**

**–No, a ja nazwałem swojego psa "Jezus". I co pan na to?**

**–W takim razie bardzo mi przykro. Nie wiedziałem, że zaginal panu pies.**

**–Wcale nie zaginal.**

**–Naprawdę? Widziałem w całym mieście ulotki z napisem "Czy odnalazłeś Jezusa?". Widocznie niejednemu psu Jezus. Ciekawe czy wyznaczyli nagrodę? Nagroda naprawdę pomaga. – Charlie zauważył, że coraz trudniej mu stłumić w sobie ochotę, by nabijać się z ludzi, zwłaszcza jeśli uparcie zachowywali się jak idioci.**

–Nie mam psa, który wabi się Jezus, a pana to nie obchodzi, bo jest pan niewiernym bezbożnikiem.

–Nie, no, serio, może pan nazwać psa, jak chce, i nie będzie mnie to obchodziło. Ale... tak. Jestem niewiernym bezbożnikiem. Przynajmniej tak głosowałem w ostatnich wyborach. – Charlie uśmiechnął się do niego.

–Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym! – zawołał brodacze w odpowiedzi na nieodparty urok Charliego.

Zatęczał w kółko, potrząsając pięścią przed twarzą Handlarza Śmierci, co przstraszyło Sophie, która zakryła oczy i zaczęła płakać.

–Proszę przestać, straszy mi pan córkę.

–Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym!

Mohammed i Alvin szybko znudziły się obserwacją tańca i usiadły, czekając, aż ktoś kaze im zejść tego faceta w koszuli nocnej.

–Mówię poważnie – oznajmił Charlie. – Radzę przestać.

Rozejrzał się, zawstydzony, ale na ulicy nie było nikogo więcej.

–Śmierć niewiernym, śmierć niewiernym – zawodził brodacze.

–Widział pan, jak duże są te psy, panie Mohammed?

–Śmierć... hej, skąd pan wie, że nazywam się Mohammed? Zresztą nieważne. Śmierć niewiernym, śmierć...

–No, no, odwagi to panu nie brakuje – przyznał Charlie – ale to jest mała dziewczynka, a pan ją straszy, więc naprawdę proszę przestać.

–Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym!

–Kotek! – powiedziała Sophie, odsłaniając oczy i wskazując mężczyznę.

–Oj, skarbie – jęknął Charlie. – Myślałem, że nie będziemy już tak robić.

Charlie powiesił sobie na ramionach nosidelko z Sophie i ruszył dalej, odciągając piekielne ogary od brodatego trupa, spoczywającego w pokoju na asfalcie. Jego dziergana czapkę włożył sobie do kieszeni. Świeciła na czerwono. O dziwo, nazwisko brodatego mężczyzny pojawiło się w kalendarzu dopiero następnego dnia.

–Widzisz, poczucie humoru to ważna rzecz – stwierdził Charlie, oglądając się przez ramię i

**robiac smieszna mine do corki.**

**–Tata glupi – powiedziala Sophie.**

**Pozniej Charlie mial wyrzuty sumienia, ze corka uzywa slowa "kotek" jako bron, i mial poczucie, ze porzadny ojciec powinien nadac temu doswiadczeniu odpowiednie znacznie – udzielic dziecku jakiej lekcji. Posadzil wiec Sophie z para pluszowych misiow, kilkoma miniaturowymi filizankami niewidzialnej herbaty, talerzem zmyslonych ciasteczek i dwoma ogromnymi psami z piekla rodem, po czym odbyl pierwsza, plynaca z serca rozmowe tata-corka.**

**–Kochanie, rozumiesz, dlaczego tata powiedzial, ze bys nigdy wiecej tego nie robila, prawda? Dlaczego ludzie nie moga wiedziec, ze to umiesz?**

**–Bo jestesmy inni? – spytala Sophie.**

**–Zgadza sie, kochanie, bo jestesmy inni – powiedzial do najmadrzejszej i najpiekniejszej dziewczynki pod sloncem. – I wiesz dlaczego, prawda?**

**–Bo jestesmy Chinczykami, a Bialym Diablom nie mozna ufac?**

**–Nie, nie dlatego.**

**–Bo jestesmy Rosjanami i w sercach mamy duzo smutku?**

**–Nie, nie mamy w sercach smutku.**

**–Bo jestesmy silni jak niedzwiedz?**

**–Tak, kochanie, wlasnie. Jestesmy silni, bo jestesmy silni jak niedzwiedz.**

**–Wiedzialam. Jeszcze herbatki, tatusiu?**

**–Tak, chetnie napije sie jeszcze herbatki, Sophie.**

**–No – powiedzial Cesarz – widze, ze doswiadczyles przeroznych przejawow, w jakie towarzystwo dobrych psow wzbogaca zycie czlowieka.**

**Charlie siedzial na schodkach z tylu sklepu, wyciagajac ze skrzynki mrozone kurczaki (w calosci) i rzucajac je na przemian Alwinowi i Mohammadowi. Kazdy kurczak byl pochlaniany z taka zaciekloscia, ze Cesarz, oraz Bummer i Lazarus, przykucnawszy po drugiej stronie zaułka i podejrzliwie zerkajac na piekielne ogary, wzdrygali sie, jakby ktos strzelal z pistoletu.**

**–Przerozne przejawy, w jakie wzbogaca – powtorzyl Charlie, rzucajac kolejnego kurczaka. – Sam bym tego lepiej nie okreslil.**

**–Dobry pies to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel –stwierdził Cesarz.**

**Charlie zamarł na chwile, wyciągnawszy ze skrzyni nie kurczaka, lecz przenosny mikser elektryczny.**

**–Faktycznie, przyjaciel – powiedział. – Faktycznie, przyjaciel. – Mohammad polknął mikser nawet nie gryzając. Z boku pyska wisiało mu pół metra kabla. – Tak naprawdę to nie są moje psy. Należą do Sophie.**

**–Dziecko potrzebuje zwierzątko – rzekł Cesarz. – Towarzysza, przy którym może dorastać. Chociaż te psiaki wyglądają, jakby już dorosły.**

**Charlie skinął głową, rzucając alternator z buicką rocznik 1983 w łakome szczęki Alvina. Rozległ się trzask i pies beknął, ale ogonem chłostał smietnik, prosząc o więcej.**

**–Są jej nieustannymi towarzyszami – powiedział Charlie. – Przynajmniej wytresowaliśmy je, żeby pilnowały każdego budynku, do którego wejdzie. Wcześniej nie odstępowały jej na krok. Kapiel to było prawdziwe wyzwanie.**

**–Zdaje się – odrzekł Cesarz – że to poeta Billy Collins napisał: "Nikt tu nie lubi mokrego psa".**

**–Tak, i pewnie nigdy nie musiał wyciągać z wanny wiercącego się dzieciaka i dwóch dwustukilowych psów.**

**–Ale mówiles, że zlagodniały?**

**–Nie miały wyjścia. Sophie zaczęła chodzić do przedszkola. Wychowawczynie krzywiły się na wielkie psy w sali.**

**Charlie rzucił automatyczną sekretarkę Alwinowi, który schrupał ją niczym psi herbatnik. Z jego pyska sypały się pokryte psia ślina strzepy plastiku.**

**–No i co zrobiłes?**

**–Zajęło to parę dni i wymagało długiego tłumaczenia, ale wycwiczyłem je, żeby po prostu siedziały przed wejściem.**

**–I przedszkole się zgodziło?**

**–Co rano spryskuje je farba, która udaje fakturę granitu, i kaze siedzieć zupełnie nieruchomo po obu stronach drzwi. Wygląda na to, że nikt ich nie zauważa.**

**–A one są posłuszne? Przez cały dzień?**

**–No, na razie to tylko pół dnia, Sophie chodzi do przedszkola, a nie do szkoły. I trzeba im**



**obiecac ciastko.**

**–Wszystko ma swoja cene. – Cesarz wyciagnal ze skrzynki zamrozonego kurczaka. – Moge?**

**–Prosze. – Charlie gestem pokazal mu, by sobie nie przeszkadzal.**

**Cesarz rzucil kurczaka Mohammedowi, ktory polknal go na jeden raz.**

**–A niech mnie, to prawdziwa frajda – stwierdzil Cesarz.**

**–To jeszcze nic – odparl Charlie. – Jesli rzucasz im male butle z propanem, to bekaja ogniem.**

## **15. ZEW SEKSU**

**Lalki do rznecia – rozległ się nagle głos Raya. Cwiczył na urządzeniu imitującym wchodzenie po schodach, obok Charliego. Obaj byli złani potem i patrzyli na rząd szesciu kształtnych damskich tyłków na maszynach przed nimi.**

**–Co to miało znaczyć? – spytał Charlie.**

**–Lalki do rznecia – powtórzył Ray. – Oto, czym są. Ray namówił Charliego na wspólne wyjście do klubu fitness, pod pretekstem, że zacznie go wprowadzać w tryb życia singla. Prawde mówiąc, Ray, jako były gliniarz, przyglądał się ludziom dokładniej, niż to było zdrowe. I ponieważ miał zbyt wiele wolnego czasu, a sam w zasadzie nie wychodził z domu, to prawdziwym powodem, dla którego zaprosił Charliego na wspólne ćwiczenia, był fakt, że chciał poznać szefa lepiej poza pracą. Zauważył, że po śmierci Rachel pojawiła się dziwna prawidłowość: Charlie przynosił do sklepu czyjąś własność wkrótce po tym, jak nekrolog danej osoby ukazał się w gazecie. Charlie był zamknięty w sobie i nie mówił, co robi po wyjściu ze sklepu, a w dodatku w jego mieszkaniu wiele zwierzątek zakończyło swój żywot, więc Ray podejrzewał, że szef może być seryjnym zbrojnicą. Postanowił się do niego zbliżyć i zyskać pewność.**

**–Mów ciszej, Ray – powiedział Charlie. – Jezu. Ponieważ Ray nie mógł odwrócić głowy, mówił prosto do damskich tyłków.**

**–Nie słysza mnie. Zobacz, wszystkie mają zestawy słuchawkowe. – Miał rację, kobiety, co do jednej, rozmawiały przez telefony komórkowe. – Jesteśmy dla nich niewidzialni.**

**Charlie, który naprawdę bywał niewidzialny, albo prawie, zareagował z opóźnieniem. Był późny poranek i w klubie ćwiczyło wiele odzianych w syntetyczne kostiumy kobiet po dwudziestce o nieproporcjonalnie wielkich piersiach, doskonałej cerze i kosztownych fryzurach. Wszystkie najwyraźniej posiadały umiejętność patrzenia przez ten wązki otwór, niczym ludzie, których spotykał, gdy zabierał naczynia kuchenne. Gdy tu przyszli, Charlie odruchowo rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pulsującego na czerwono przedmiotu, myśląc, że może tego ranka przegapił czyjeś nazwisko w kalendarzu.**

**–Po postrzale przez jakiś czas spotykałem się z fizjoterapeutką, która tu pracuje – oznajmił Ray. – Tak ją nazywała: "lalki do rznecia". Każda ma mieszkanie, za które płaci jakiś starszy menedżer, tak jak zapłacił za członkostwo w klubie fitness i sztuczne cycki. Dni spędzają u kosmetyczki i manicurzystki, a noce pod jakimś gościem w garniturze, tyle że bez garnituru.**

**Charlie czuł się nieswojo, słuchając litanii Raya, opowiadającego o kobietach, które znajdowały się tuż obok. Jak każdy samiec beta, który i tak czułby się nieswojo w obecności pięknych kobiet, ale to tylko pogarszało sprawę.**

**–Czyli to takie zonki na pokaz?**

**–Nieee, niedoszłe zonki na pokaz. Nie dostają faceta, domu ani nic. Mają być idealnymi dupami i tyle.**

**–Lalki do rzniecia? – spytał Charlie.**

**–Lalki do rzniecia – powtorzył Ray. – Ale zapomnijmy o nich. Nie dla nich tu przyszliśmy.**

**Ray miał racje, ma się rozumieć. Charlie nie przyszedł tu dla nich. Od śmierci Rachel minęło pięć lat i wszyscy mu powtarzali, że powinien wrócić do gry, ale nie z tego powodu zgodził się towarzyszyć byłemu gliniarzowi w wyprawie do klubu fitness. Zbyt wiele czasu spędzał sam, zwłaszcza od kiedy Sophie chodziła do przedszkola, a że miał ukrytą tożsamość i tajne zajęcia, zaczął podejrzewać, że mają je wszyscy. Ray był zamknięty w sobie, często mówił o tych mieszkancach okolicy, którzy zmarli, i najwyraźniej nie prowadził życia towarzyskiego, jeśli nie liczyć poznawanych w sieci kobiet z Filipin, więc Charlie podejrzewał, że były policjant może być seryjnym zbrojcem. Postanowił się do niego zbliżyć i zyskać pewność.**

**–Czyli to takie metresy? – spytał Charlie. – Jak w Europie?**

**–Chyba tak – potwierdził Charlie. – Ale czy kiedyś przyszło ci do głowy, że metresy tak ciężko pracują, żeby ładnie wyglądać? Myślę, że "lalka do rzniecia" to bardziej precyzyjne określenie, bo kiedy staną się za stare, by utrzymać zainteresowanie faceta, zostaną z niczym. Będą skończone, jak marionetki bez kogoś przy sznurkach.**

**–Jezu, Ray, to straszne.**

**Może Ray czai się na którąś z tych kobiet? – pomyślał Charlie.**

**Ray wzruszył ramionami.**

**Charlie obejrzał rząd idealnych pośladków, po czym poczuł ciężar lat spędzonych w samotności albo w towarzystwie dziecka i dwóch ogromnych psów, i powiedział:**

**–Chcę zerznąć lalkę.**

**Aha! – pomyślał Ray. Wybiera ofiarę.**

**–Ja też – odrzekł. – Ale tacy faceci jak my nie rzną lalek. One nas po prostu ignorują.**

**Aha! – pomyślał Charlie. Wylazi z niego zgorzkniały socjopata.**

**–Więc po to mnie tu sciagnałeś? Żebym swój brak formy pokazywał przed cudownymi kobietami, które mnie nie zauważają?**

**–Nie, na lalki do rzniecia fajnie popatrzeć, ale przychodzą tu i normalne kobiety.**

**Które też nie chcą ze mną gadać, dodał w myślach Ray.**

**–Które też nie chcą z tobą gadać – powiedział Charlie.**

**Bo widza, że jesteś psychopatycznym zabójcą.**

**–Po treningu zobaczymy przy barze z sokami – powiedział Ray.**

**Tam będę mógł siedzieć i patrzeć, jak wybierasz ofiary. Ty pojebie, pomysłeli obaj. Charlie obudził się i ujrzał nie jedno, ale trzy nowe nazwiska w swoim kalendarzu. W wypadku ostatniego, Madison McKerny, miał tylko trzy dni na znalezienie naczynia duchowego. Charlie trzymał w domu stertę gazet i nieraz przeglądał te z ostatniego miesiąca, szukając nekrologu nowego klienta. Czesciej, o ile piekielne ogary dały mu trochę spokoju, po prostu czekał, aż nazwisko pojawi się w dziale nekrologów – potem znalezienie naczynia było już prostsze, dzięki danym zalobników i możliwości podszywania się pod agenta nieruchomości. Tym razem jednak miał tylko trzy dni, a Madison McKerny nie było wśród nekrologów, co oznaczało, że zapewne jeszcze żyje, a nazwiska nie mógł znaleźć także w książce telefonicznej, więc musiał działać szybko. Pani Ling i pani Korjev lubiły w soboty chodzić na targ, więc zadzwonił do swojej siostry Jane i poprosił, by popilnowała Sophie.**

**–Chcę braciszka – oznajmiła Sophie swojej cioci.**

**–Oj, skarbie, przykro mi, nie możesz mieć braciszka, bo wtedy tata musiałby uprawiać seks, a to już nigdy nie nastąpi.**

**–Jane, nie mów do niej w ten sposób – powiedział Charlie. Robił dla nich kanapki i zastanawiał się, dlaczego zawsze dawał się zrobić w robienie kanapek. Do Sophie powiedział: – Kochanie, może pojdiesz do swojego pokoju i pobawisz się z AMnem i Mohammedem, tata musi pogadać z ciocią Jane.**

**–Dobra – zgodziła się Sophie i pognęła do swojego pokoju.**

**–I nie zmieniaj znowu ubrania, to jest w porządku – dodał. – To czwarty stroj, który ma dzisiaj na sobie – wyjaśniła Jane. – Zmienia ubrania tak, jak ty dziewczyny.**

**–Au. Bądź delikatny, Chuck, jestem wrażliwa i mogę ci skopać tyłek.**

**Wytrząsnął trochę majonezu na całą białą kromkę, by pokazać, że mówi poważnie.**

**–Jane, nie wiem, czy to dla niej zdrowe, że ma wokół siebie te wszystkie różne ciotki. Już strata matki była ciężkim przeżyciem, a teraz mieszkasz daleko... Nie powinna się za każdym razem przywiązywać do tych kobiet tylko po to, by wyrwano jej z jej życia. Potrzebuje stałego kobiecego wpływu.**

**–Po pierwsze, nie mieszkam daleko, tylko w tym samym mieście, i widuje ją równie często, jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w tym budynku. Po drugie, rzecz nie w tym, że jestem rozwiązła, tylko w tym, że źle sobie radzę w związkach. Po trzecie, Cassie i ja jesteśmy razem od trzech miesięcy, i na razie dobrze nam idzie, właśnie dlatego się przeprowadziłam. A po czwarte, Sophie nie straciła matki. Nigdy jej nie miała, miała ciebie, a jeśli chcesz być porządna istota**

ludzka, musisz sie z kims przespac.

–Wlasnie o to mi chodzi. Nie mozesz tak mowic w obecności Sophie.

–Charlie, to prawda! Nawet Sophie to widzi. Nie wie, co to jest, a i tak umie poznac, ze tego nie masz.

Charlie przerwal robienie kanapek i podszedl blizej.

–To nie seks, Jane. To kontakt miedzyludzki. Przedwczoraj poszedlem obciac wlosy. Piersi fryzjerki otarły sie o moje ramie i omal sie nie spuscilem. A potem omal nie krzyknalem.

–Dla mnie brzmi to jak seks, braciszku. Byles z kims po smierci Rachel?

–Wiesz, ze nie.

–To niedobrze. Rachel by tego dla ciebie nie chciala. Musisz to wiedziec. Znaczy zlitowala sie i zwiazala z toba, a to nie moglo byc dla niej latwe. Na pewno wiedziala, ze mogla trafic znacznie lepiej.

–Zlitowala sie?

–Tak uwazam. Byla urocza kobieta, a ty jestes duzo bardziej zalosny teraz niz wtedy. Miales wiecej wlosow, a nie miales dziecka ani dwoch psow wielkosci volvo. Do diabla, pewnie istnieja jakies zakonnice, ktore teraz by sie z toba bzyknely, w ramach czystego aktu milosierdzia. Albo pokuty.

–Przestan, Jane.

–Siostry Wieczystego Cierpienia Bez Seksu.

–Nie jestem taki zly.

–Zakon Swietego Wacka od Obciagania, patrona sieciowej pornografii i nieuleczalnych onanistow.

–Dobra, Jane, przepraszam, ze powiedzialem to wszystko o zmienianiu partnerek. Nie powinienem.

Jane odchylila sie na stolku barowym i skrzyzowala rece na piersi. Wygladala na zadowolona, ale pelna sceptycyzmu.

–Tyle ze problem pozostaje.

–Nic mi nie jest. Mam Sophie i mam firme, nie musze miec dziewczyny.

**–Dziewczyny? To by był nadmiar ambicji. Potrzebujesz tylko kogos', z kim moglbys' sie przespac.**

**–Wcale nie.**

**–Wlasnie, ze tak.**

**–Wlasnie, ze tak – powtorzyl Charlie, pokonany. – Ale musze juz isc. Mozesz zostac z Sophie?**

**–Jasne, zabiore ja do siebie. Mam nieznosnego sasiada, ktorego chcialabym przedstawic pieskom. Robia kupe na zawolanie?**

**–Tak, jesli Sophie im kaze.**

**–Doskonale. Do zobaczenia wieczorem. Obiecuj, ze sie z kims umowisz. A przynajmniej poszukasz kogos, z kim moglbys sie umowic.**

**–Obiecuje.**

**–Dobrze. Dales juz do poprawki ten garnitur w prazki?**

**–Nie zblizaj sie do mojej szafy.**

**–Chyba musisz juz isc?**

**Ray przypuszczal, ze wszystko zaczelo sie wtedy, gdy Charlie pozabijal wszystkie te male zwierzatka, ktore przynosil do domu dla coreczki. Moze zakup wielkich czarnych psow byl wolaniem o pomoc – gdyby takie zwierzeta zniknely, ktos by to na pewno zauwazyl. Wedlug tego, co pokazywano w filmach, wszyscy tak zaczynali: od zwierzat. Niebawem przerzucali sie na autostopowiczow i dziwki, a potem mumifikowali cale stado instruktorow z jakiegos obozu letniego, sadzajac ich szczatki wokol stolika do kart w swojej gorskiej kryjowce. Gorska kryjowka nie pasowala do profilu Charliego, ktory cierpial na rozne alergije, ale to moglo tylko wskazywac na jego diaboliczny geniusz. (Ray byl gliniarzem od patroli ulicznych, nie musial wiec uczyc sie kryminalistyki, a jego wlasne teorie byly dosc barwne -skutek uboczny wyobrazni samca beta oraz duzej kolekcji DVD). Ale kilka razy Charlie prosil Raya, by ten wykorzystal swoje kontakty w policji i Wydziale Komunikacji. Chodzilo o odnalezienie ludzi, ktorzy kilka tygodni pozniej umierali. Nie byly to jednak morderstwa. W ostatnich latach w sklepie pojawily sie liczne przedmioty nalezace do zmarlych (na niektórych z tych rzeczy Ray znalazl wyryte numery, majace zapobiec kradziezy, i zadzwonil do kumpla z policji, by ten pomogl mu zidentyfikowac wlascicieli), z ktorych takze zaden nie zostal zamordowany. Zdarzaly sie wypadki, ale na ogol chodzilo o zgony z przyczyn naturalnych. Albo Charlie byl nadzwyczaj przebiegly, albo Ray byl wariatem -nie wykluczal calkowicie tej mozliwosci, chocby dlatego, ze mial trzy byle zony, ktore by to poswiadczyly. A zatem wymyslil podstep z klubem fitness, by wyciagnac Charliego ze sklepu. Z drugiej strony, szef zawsze dobrze go traktowal, i**

gdyby sie okazało, że nie ma gorskiej kryjowki pełnej zmumifikowanych instruktorów, Ray wiedział, że miałby wyrzuty sumienia, że tak go wyrolował. A jeśli z Charliem wszystko było w porządku, z wyjątkiem faktu, że powinien się z kims przespac? Ray siedział na chacie z Eduardo, swoją nową dziewczyną z witryny Zdesperowana-Filipinka.com, gdy Charlie zszedł po tylnych schodach.

–Ray, chciałbym, żebyś kogoś dla mnie znalazł.

–Poczekaj chwilę, muszę się wylogować. Zobacz moja nowa łaska. – Otworzył na ekranie okno ze zdjęciem dobrze zbudowanej, ale atrakcyjnej Azjatki.

–Jest ładna, Ray. Ale teraz nie mogę ci dać wolnego, żebyś leciał na Filipiny. Najpierw musimy zatrudnić kogoś, kto przejmie dyżury Lily. – Charlie nachylił się do monitora. – Stary, ona nazywa się Eduardo.

–Wiem. To takie filipinskie imię, jak Edwina.

–Ma lekki zarost.

–Rasista z ciebie, i tyle. Niektóre rasy są bardziej owłosione od innych. Nie dbam o to, chce po prostu kogoś, kto jest szczery, czuły i atrakcyjny.

–Ma jabłko Adama.

Ray zmrużył oczy, patrząc w monitor, po czym szybko zamknął zdjęcie i obrócił się na stolku.

–No to kogo mam znaleźć?

–W porządku, Ray – powiedział Charlie. – Grdyka nie wyklucza, że dana osoba jest szczerą, czułą i atrakcyjną. Po prostu czyni tę możliwość mniej prawdopodobną.

–Tak. Myślę, że to była kwestia złego oświetlenia. Tak czy owak, kogo chcesz znaleźć?

–Mam tylko nazwisko, Madison McKerny. Wiem, że on lub ona mieszka w mieście, ale nic poza tym.

–To ona.

–Słucham?

–Madison. To imię striptizerki. Charlie pokręcił głową.

–Znasz te kobiety?

–Nie znam jej, chociaż nazwisko brzmi znajomo. Ale Madison to imię striptizerek młodego

**pokolenia. Jak Reagan i Morgan.**

**–Pogubilem sie, Ray.**

**–Spedzilem troche czasu w barach ze striptizem. Nie jestem z tego dumny, ale robisz takie rzeczy, bedac glina. I zaczynasz dostrzegac prawidlowosci w imionach striptizerek.**

**–Nie wiedzialem.**

**–Tak, i od lat piecdziesiatych trwa pewien postep: Bubbles, Boom Boom i Blaze zrodzily Bambi, Candy i Jewel, ktore zrodzily Sunshine, Brandy i Cinnamon, ktore zrodzily Amber, Brittany i Brie, ktore zrodzily Reagan, Morgan i Madison. Madison to imie striptizerki.**

**–W latach piecdziesiatych nie bylo cie nawet na swiecie.**

**–Fakt, w czterdziestych tez mnie nie bylo, ale wiem o drugiej wojnie swiatowej i big-bandach. Lubie historie.**

**–Racja. Czyli mam szukac striptizerki? To niewielka pomoc. Nawet nie wiem, od czego zaczac.**

**–Sprawdze w Wydziale Komunikacji i dokumentach podatkowych. Jesli jest w miescie, do popoludnia bedziemy mieli adres. Dlaczego musisz ja znalezc?**

**Nastapila chwila milczenia, podczas ktorej Charlie udal, ze zauwazyl smuge na gablotce stojacej na ladzie. Starl ja, po czym powiedzial:**

**–Ee, chodzi o to, ze w takim jednym domu, z ktorego ostatnio dostalismy troche towaru, bylo kilka rzeczy, ktore zostawiono wlasnie jej.**

**–Czy nie powinien sie tym zajac wykonawca testamentu albo jego prawnik?**

**–To drobiazgi i nie wymieniono ich w testamencie. Wykonawca poprosil, zebym sie tym zajal. Zarobisz na tym piecdziesiat dolcow.**

**Ray wyszczerzyl sie w usmiechu.**

**–W porzadku, i tak zamierzalem ci pomoc, ale jesli sie okaze, ze to striptizerka, pojde z toba, dobra?**

**–Umowa stoi.**

**Trzy godziny pozniej Ray podal adres Charliemu i patrzyl, jak szef wybiega ze sklepu i lapie taksowke. Po co taksowke? Czemu nie wzial furgonetki? Ray chcial jechac za nim, bardzo chcial, ale musialby znalezc kogos, kto zaopiekuje sie sklepem. Mogl to przewidziec, ale byl rozkojarzony. Byl rozkojarzony od chwili rozmowy z Charliem, nie tylko z powodu**



poszukiwania Madison McKerny, ale także dlatego, że zastanawiał się, jak w rozmowie z Eduardo wpleść od niechcena pytanie: "Czy masz penisa?". Po kilku uwodzicielskich mejlach nie mógł już tego znieść i napisał po prostu: "Eduardo, co prawda, to dla mnie żadna różnica, ale chce ci wysłać w prezencie seksowną bieliznę i nie wiem, czy masz jakieś specjalne życzenia w kwestii majtek".

A potem czekał. I czekał. Choć w Manili była piąta rano, Ray się zastanawiał. Czy był zbyt konkretny, czy też nie dość konkretny? A teraz musiał iść. Wiedział, dokąd pojechał Charlie, ale musiał tam dotrzeć przed nim, zanim coś się stanie. Zadzwoił na komórkę do Lily, z nadzieją, że nie przebywa akurat w drugiej pracy i wyświadczy mu przysługę.

– Mów, niewdzięczniku – odebrała Lily.

– Skąd wiedziałas, że to ja? – spytał Ray. – Ray?

– Tak, skąd wiedziałas, że to ja?

– Nie wiedziałam – odparła. – Czego chcesz?

– Mogłabyś przyjść i zastąpić mnie w sklepie przez parę godzin? – Potem, słysząc, że Lily bierze głęboki wdech, który miał zapewne poprzedzać werbalny atak, dodał: – Dostaniesz pięćdziesiąt dolarów ekstra.

Usłyszał odgłos wypuszczanego powietrza. Tak! Po ukończeniu Instytutu Kulinarnego Lily dostała pracę w bistro na North Beach, ale nie zarabiała jeszcze dosyć, by wyprowadzić się od matki. Dała się więc Charliemu namówić na zachowanie dyżurów w Komisji Ashera, przynajmniej do czasu, aż szef nie znajdzie kogoś nowego.

– Dobra, Ray, przyjdę, ale przed piątą muszę być w restauracji, więc wróc albo wcześniej zamknę, dobra?

– Dzięki, Lily.

Charlie miał szczerą nadzieję, że Ray nie jest seryjnym zbrojnicą, mimo że wiele na to wskazywało. W życiu nie znalazłby tej kobiety, gdyby nie kontakty Raya w policji. Co zrobi w przyszłości, jeśli będzie musiał kogoś znaleźć, a Ray pójdzie do więzienia? Z drugiej strony, dzięki doświadczeniu w policji Ray mógł wiedzieć, jak nie zostawiać dowodów. Ale w takim razie dlaczego wyszukiwał w Internecie filipińskie kobiety, skoro chciał zabić? A może to właśnie robił, kiedy latał na Filipiny? Może zabijał zdesperowane Filipinki? Może był turystą-seryjnym zbrojnicą. Później się tym zajmie, pomyślał Charlie. Na razie muszą odnaleźć naczynie duchowe. Charlie wysiadł z taksówki przed Fontana, apartamentowcem stojącym przecznice od Ghirardelli Square, gdzie nadbrzeżna fabryka czekolady zmieniono w centrum handlowe dla turystów. Fontana był to wielki, pełen krzywizn budynek z betonu i szkła, skąd rozciągał się widok na Alcatraz i most Golden Gate. Od lat szesćdziesiątych, kiedy to powstał, stanowił obiekt pogardy mieszkańców San Francisco. Rzecz nie w tym, że budynek był brzydki, choć

nikt nie spierałby się, że nie jest, ale przy wiktoriańskich i edwardiańskich budowlach dookoła wyglądał jak olbrzymi klimatyzator z kosmosu, atakujący dziewiętnastowieczne miasto. Mimo wszystko widoki z mieszkań roztaczały się wspaniale, w budynku był portier, podziemny parking i basen na dachu. Jeśli więc chciales chodzić z pięknym mieszkańca architektonicznego kosmaru, miejsce było znakomite.

Adres Madison, który Charlie dostał od Raya, wskazywał mieszkanie na dwudziestym drugim piętrze i tam też zapewne znajdowało się naczynie duchowe. Charlie nie wiedział, jaki dokładnie zasięg ma jego niezauważalność (bronił się przed słowem "niewidzialność", to nie było to), ale miał nadzieję, że sięga dwudziestego drugiego pietra. Musiał jakos minąć portiera i dostać się do windy, a wiedział, że numer z agentem nieruchomości na pewno nie przejdzie. Dobra, kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje. Jeśli go złapiesz, po prostu poszuka innego sposobu, żeby wejść do środka. Poczekał przy drzwiach, aż do budynku wejdzie młoda kobieta w garsonce, a potem ruszył za nią do holu. Portier nawet na niego nie spojrział.

Ray zobaczył, że Charlie wysiada z taksówki, i kazał swojemu taksówkarzowi zatrzymać się przecznice dalej, gdzie wyskoczył z samochodu, dał kierowcy piątkę, powiedział, że reszty nie trzeba, a potem zaczął szperać w kieszeniach w poszukiwaniu brakującej sumy. Tymczasem taksówkarz bebnął niespokojnie palcami w kierownicę i klął pod nosem w języku urdu.

–Przepraszam, dawno nie jechałem taksówką – wyjaśnił Ray.

Miał samochód, słiczna mała toyota, ale jedyne miejsce parkingowe, jakie udało mu się znaleźć, było oddalone o osiem przecznic od jego mieszkania, w hotelu, którym zarządzał jego przyjaciel. A kiedy masz miejsce parkingowe w San Francisco, to je trzymasz, więc Ray najczęściej korzystał z komunikacji miejskiej, a samochodem jeździł w dni wolne, i to tylko po to, by nie rozładował się akumulator. Wskoczył do taksówki przed sklepem Charliego i – budząc przerażenie japońskiej rodziny – krzyknął:

–Za tamtym samochodem! – A potem powiedział – Przepraszam. Konichiwa. Dawno nie jechałem taksówką. – Wsiadł i złapał taksówkę, która nie miała zapalonego koguta.

Teraz skradł się ulicą, od latarni do automatu z gazetami, a potem kiosku, chowając się za nimi. Nie osiągnął nic z wyjątkiem tego, że dzieciakowi, który czekał na autobus po drugiej stronie ulicy, wydal się zupełnie swirem. Dotarł do wejścia na parking pod apartamentowcem Fontana w chwili, gdy Charlie kierował się do drzwi. Ray przykucnął za czytnikiem magnetycznych kart wstępu. Nie miał pewności, co robi, jeśli Charlie wejdzie do budynku. Na szczęście zapamiętał numer telefonu Madison McKerny i mógł ją uprzedzić o przyjściu Charliego. Po drodze, w taksówce, przypomniał sobie, gdzie widział jej nazwisko: na liście w klubie fitness. Madison McKerny należała do poznoportorykańskich lalek do rżnięcia i Ray podejrzewał, że Charlie się na nią zaczął. Widział, jak Charlie rusza za młodą bizneswoman, która wchodziła do apartamentowca. A potem zniknął. Po prostu zniknął. Ray wyszedł na chodnik, by mieć lepszy widok. Kobieta ciągle tam była, pokonała ledwie kilka kroków, ale nie widział Charliego. Nie było żadnych roślin, ścian. Cały hol był ze szkła, więc gdzie on się, do

diabla, podział? Ray był pewien, że ani na chwilę nie odwrócił wzroku, chyba nawet nie mrugnął, i zobaczyłby każdy gwałtowny ruch Charliego. Zgodnie z właściwą samcom beta tendencją do obwiniania siebie samych, Ray zastanawiał się, czy nie miał jakiegoś małego ataku, który na chwilę pozbawił go przytomności. Tak czy owak, musiał ostrzec Madison McKerny. Siegnął do pasa i poczuł pusty pokrowiec na telefon komórkowy, a potem przypomniał sobie, że, gdy tego ranka przyszedł do pracy, położył telefon przy kasie.

Charlie znalazł właściwe mieszkanie i zadzwonił do drzwi. Jeśli skłoni Madison McKerny, by wyszła na korytarz, będzie mógł wśliznąć się za nią do środka i poszukać w mieszkaniu jej naczynia duchowego. Na końcu korytarza stał stolik z bukietem sztucznych kwiatów. Przewrócił go w nadziei, że kobieta okaże się na tyle nerwowa lub ciekawska, że wyjdzie z mieszkania, by zobaczyć, co się stało. A jeśli nie było jej w domu, to, co, będzie się musiał włamać. Istniała szansa, że skoro na dole był portier, w mieszkaniu nie ma systemu alarmowego. A co, jeśli ona go zobaczy? Niektórzy klienci go widzieli. Niezbyt często, ale się zdarzało, więc...

Otworzyła drzwi.

Charlie był oszłomiony, a ona była oszalamiająca. Przestał oddychać i gapił się na jej biust.

Rzecz nie w tym, że była młoda, przesliczna brunetka o idealnych włosach i cerze. Ani nie w tym, że miała na sobie cieniutką koszulę nocną z białego jedwabiu, która ledwo skrywała jej figurę modelki. Ani nie w tym, że miała nieproporcjonalnie duże, lecz jędrne piersi, napierające od wewnątrz na koszulę i wyglądające z nad linii dekolту, gdy wychyliła się za drzwi, choć to wszystko wystarczyłoby, żeby nieszczęsnemu samcowi beta zaparło dech w każdych okolicznościach.

Chodziło o to, że jej piersi świeciły na czerwono. Blask saczał się przez biały jedwab, pod dekoltem jasniali dwa wschodzące słońca, pulsujące niczym żarówki w cyckach tandetnej hawajskiej lampy w kształcie dziewczyny. Dusza Madison McKerny zamieszkała w jej implantach.

–Musze się do nich dobrać – powiedział Charlie, zapominając, że nie jest sam i nie mówi do siebie.

A potem Madison McKerny zauważyła obecność Charliego i zaczęła krzyczeć.

## **16. ZEW SEKSU II: REKWIEM DLA LALKI DO RZNIĘCIA**

Ray otworzył drzwi z taką siłą, że mały dzwoneczek oderwał się z zaczepu i zabrzeczał na podłodze. – O, rany – powiedział Ray. – Nie uwierzysz. Sam nie wierze.

Lily popatrzyła na Raya z nad okularów do czytania i odłożyła francuska książkę kucharską, którą przeglądała. Tak naprawdę nie potrzebowała okularów do czytania, ale spoglądanie z nad nich sugerowało poczucie wyższości i pogardę, dlatego jej imponowało.

**–Tez musze ci o czyms powiedziec – oznajmila.**

**–Nie – powiedzial Ray, rozgladajac sie, by sprawdzic, czy w sklepie na pewno nie ma klientow. – To, co mam ci do powiedzenia, jest bardzo wazne.**

**–W porzadku – odparla. – To moje nie jest dla mnie takie wazne. Ty pierwszy.**

**–Dobra. – Wzial gleboki wdech i wyrzucil z siebie: -Mysle, ze Charlie moze byc seryjnym zabojca o zdolnoscjach ninja.**

**–O, niezle – powiedziala Lily. – Dobra, moja kolej. Dzwonila do ciebie panna Ja-Taka-Napalona. Chciala ci powiedziec, ze ma dwadziescia centymetrow soczystego, meskiego mieska. – Podala mu komorke, ktora zostawil przy kasie.**

**–O, Boze, znowu! – Ray ukryl twarz w dloniach i osunal sie na lade.**

**–Powiedziala, ze chce sie nim z toba podzielic. – Lily ogladala swoje paznokcie. – Wiec Asher to ninja, tak?**

**Podniosl wzrok.**

**–Tak, i zaczail sie na lalke do rznecia z mojego klubu fitness.**

**–Jak myslisz, Ray, masz bogata wyobraznie?**

**–Zamknij sie, Lily, to katastrofa. Dzieki Charliemu mam prace i mieszkanie. Nie wspominajac o tym, ze on ma dziecko, a nowe swiatlo mojego zycia to facet.**

**–Wcale nie. – Zastanawiala sie, czemu tak szybko odpuszcza. Torturowanie Raya nie sprawialo jej takiej frajdy, jak kiedys.**

**–He? Co?**

**–Robie cie w konia, Ray. Nie dzwonila. Przeczytalam wszystkie twoje mejle i wiadomosci z komunikatora.**

**–To prywatna korespondencja.**

**–I dlatego trzymasz ja na sklepowym komputerze?**

**–Spedzam tutaj wiele godzin, a przy rozniczy czasu...**

**–Skoro o prywatnosci mowa, o co chodzi z tym Asherem? Jest ninja? Seryjnym zabojca? Znaczy jednym i drugim? W tym samym czasie?**

**Ray podszedl blizej i zaczal mowic do swojego kolnierzyka, jakby ujawnial wielki spisek.**

–Obserwowałem go. Charlie przynosi dużo rzeczy od zmarłych osób. Trwa to od lat. Zawsze jedzie gdzieś w pośpiechu, prosi mnie o zastępstwo i nigdy nie mówi, dokąd się wybiera. A niedługo potem w sklepie pojawiają się rzeczy któregoś ze zmarłych. Więc dzisiaj poszedłem za nim. Czaił się na kobiecie, która chodzi do mojego klubu. Być może widzieliśmy ją parę dni temu.

Lily cofnęła się i popatrzyła na Raya z niesmakiem, co nie było trudne po latach praktyki.

–Ray, nie przyszło ci do głowy, że Asher jeździ do domów różnych ludzi i że interesy idą znacznie lepiej, od kiedy zaczął do nich jeździć częściej? Ze jakość towarów bardzo się poprawiła? Zapewne dlatego, że dociera tam stosunkowo wcześniej?

–Wiem, ale to nie to. Ostatnio rzadziej tu bywasz. Ja byłem policjantem, zauważam takie rzeczy. Po pierwsze, wiedziałas, że detektyw z wydziału zabójstw miał Charliego pod obserwacją? Tak, tak. Dał mi swoją wizytówkę i kazał zadzwonić, gdyby zdarzyło się coś niezwykłego.

–Nie, Ray, nie zrobiłeś tego.

–Charlie zniknął, Lily. Patrzyłem na niego, a on po prostu rozplynął się w powietrzu, na oczach wszystkich. A kiedy go ostatnio widziałem, siedział do mieszkania tej lalki do rżnięcia.

Lily miała ochotę porwać z lady zszywacz i błyskawicznie wystrzelić jakies' sto zszywek prosto w łniące czoło Raya.

–Ty niewdzieczny pojebie! Wezwales gliny do Ashera? Faceta, który daje ci prace i dach nad głową od, czekaj, dziesięciu lat?

–Nie zadzwoniłem do mundurowych, tylko do inspektora Rivery. Znam go z czasów mojej pracy w policji. Nie będzie nagłasniał sprawy.

–Idź po książeczkę czekowa i samochód. Wpłacimy kaucję i go wyciągniemy.

–Pewnie nawet go jeszcze nie aresztowano – powiedział Ray.

–Ty złośny dupku. Idź. Zamknij sklep i poczekam na zewnątrz.

–Lily, nie wolno ci tak do mnie mówić. Nie muszę tego znosić.

Ray nie był w stanie odwrócić głowy, więc nie mógł się uchylić przed dwiema pierwszymi zszywkami, które wystrzeliła mu w czoło. W końcu stwierdził, że najlepiej iść po książeczkę czekowa i samochód, więc się wycofał.

–A w ogóle co to jest lalka do rżnięcia?! – krzyknęła za nim Lily, nieco zaskoczona swoją gwałtowną i rosnącą lojalnością wobec Charliego.

**Policjantka dziewięć razy próbowała pobrać od Charliego odciski palców, zanim podniosła wzrok na inspektora Alphonse'a Rivere i oznajmiła:**

**–Ten skurwiel nie ma linii papilarnych.**

**Rivera wziął dłoń Charliego i obrócił ją wnętrzem do góry, po czym popatrzył na jego palce.**

**–Wyraźnie je widzę. Ma zupełnie normalne linie papilarne.**

**–No to sam to zrobi – powiedziała kobieta. – Bo ja mam na kartce tylko gładkie odciski.**

**–No dobra – powiedział Rivera. – Chodźmy. Poprowadził Charliego do ściany, na której namalowano wielką linię, i kazał mu stanąć twarzą do aparatu fotograficznego.**

**–Jak moja fryzura? – spytał Charlie.**

**–Proszę się nie uśmiechać. Charlie zmarszczył brwi.**

**–Proszę nie robić min. Niech pan patrzy prosto i... Fryzura w porządku, chociaż teraz ma pan tusz na czole. To nie takie trudne, panie Asher, przestępcy ciągle to robią.**

**–Nie jestem przestępcą.**

**–Włamał się pan do strzeżonego budynku i nekował młodą kobietę, więc jest pan przestępcą.**

**–Nigdzie się nie włamałem i nikogo nie nekowałem.**

**–Zobaczymy. Panna McKerny powiedziała, że groził jej pan śmiercią. Z pewnością wniesie oskarżenie. Gdyby mnie ktoś pytał, oboje macie szczęście, że się akurat pojawiłem.**

**Charlie analizował wydarzenia: lalka do rznięcia zaczęła krzyczeć i cofnęła się do mieszkania, a on wszedł za nią. Próbował wszystko wyjaśnić, jakos sensownie to rozegrać, przy okazji dając nadmierną uwagę jej piersi.**

**–Nie groziłem jej.**

**–Powiedział pan, że ona umrze. Dzisiaj.**

**Tu go mieli. Faktycznie, wśród zamieszania i krzyków napomknął, że dziewczyna powinna pilnować piersi, bo dzisiaj umrze. Wspominając całe zdarzenie, pomyślał, że zapewne powinien był zachować te informacje dla siebie. Rivera poprowadził go po schodach na górę, do małego pomieszczenia, w którym stał stół i dwa krzesła. Charlie poszukał wzrokiem lustro weneckiego, jak w telewizji, ale ku swemu rozczarowaniu zobaczył tylko ściany z pustaków, pomalowane zmywalną zieloną farbą w odcieniu mchu. Rivera kazał mu usiąść, ale potem ruszył do drzwi.**

**–Zostawię pana na parę minut, dopóki panna McKerny nie zgłosi zarzutów. Przytulniej tu niż**

w celi. Chce sie pan czegos napic?

Charlie pokrecil glowa.

–Powiniennem zadzwonic do adwokata?

–To zalezy od pana, panie Asher. Ma pan do tego prawo, ale ja nie moze nic panu doradzić. Wroce za piec minut. Wtedy bedzie pan mogl zadzwonic, jesli zechce.

Rivera wyszedl z pomieszczenia i Charlie ujrzal jego partnera, lysego, poteznego faceta imieniem Cavuto, ktory czekal przed drzwiami. Ten gosc naprawde budzil w nim lek. Moze nie az taki, jak perspektywa wydobycia implantow z piersi Madison McKerny albo widmo wszystkiego, co mu grozilo, gdyby tego nie zrobil, ale zawsze.

–Wypusc go – powiedzial Cavuto.

–Co? Mam go wypuscic? Dopiero go przymknałem, ta McKerny...

–Nie zyje. Zastrzelil ja jej chlopak. Potem, kiedy nasi chlopcy przyjechali na wezwanie sasiadow, zastrzelil siebie.

–Co?

–Chlopak byl zonaty, McKerny chciala miec wieksze poczucie bezpieczenstwa i postanowila powiedziec zonie. Facetowi odbilo.

–I juz to wszystko wiesz?

–Sasiad powiedzial to mundurowym, kiedy tylko przyjechali. Chodz, to nasz rejon. Trzeba jechac. Wypusc tego faceta. Ray Macy i jakas mroczna laska w kucharskim stroju czekaja na niego na dole.

–Ray Macy to ten, ktory do mnie zadzwonil. Myslal, ze Asher chce ja zabic.

–Wiem. Zbrodnia sie zgadza, ale facet nie. Pusc go.

–Ciagle mozemy mu postawic zarzut posiadania ukrytej broni.

–Laski z mieczem w srodku? Chcesz stanac przed sadem i powiedziec, ze aresztowales faceta jako seryjnego zabojce, ale ostatecznie oskarzono go o to, ze jest pieprzonym dziwakiem?

–Dobra, puszcze go, ale mowie ci, Nick, ten gosc powiedzial McKerny, ze dzisiaj umrze. Tu sie dzieja dziwne rzeczy.

–A nie mamy i tak zbyt wielu dziwnych rzeczy na glowie?

**–Słuszna uwaga – stwierdził Rivera.**

**Madison McKerny wyglądała pięknie w bezowej, jedwabnej sukni. Jak zwykle miała doskonałą fryzurę i makijaz, a brylantowe kolczyki i platynowy naszyjnik z brylantem dobrze się komponowały ze srebrnymi uchwyty trumny z drewna orzechowego. Widok kogoś, kto nie oddychał, zapierał dech w piersiach, a zwłaszcza Charliemu, który dodatkowo widział w trumnie pulsujące na czerwono cycki.**

**Charlie był w życiu na niewielu pogrzebach, ale pogrzeb Madison McKerny wydawał się całkiem miły i przyciągnął zaskakująco wielu ludzi, jak na kogoś, kto miał ledwie dwadzieścia sześć lat. Okazało się, że Madison wychowała się w Mili Valley, tuż pod San Francisco, i miała licznych znajomych. Najwyraźniej większość obecnych, z wyjątkiem rodziny, dawno straciła z nią kontakt i była dość zaskoczona wieścią, że zastrzelił ją zony kochanek, który opłacał jej kosztowne mieszkanie w mieście.**

**–W szkolnej książce pamiątkowej nie zaznaczyłbyś tej historii jako "bardzo prawdopodobna" – powiedział Charlie, próbując nawiązać rozmowę z jednym z jej kolegów z klasy, obok którego stał przy pisuarze w męskiej toalecie.**

**–Jak poznales Madison? – spytał tamten protekcjonalnym tonem. Wyglądał na takiego, o którym pisano "bardzo prawdopodobnie będzie wkurzał wszystkich tym, że jest bogaty i ma ładne włosy".**

**–Kto? Ja? Jestem przyjacielem pana młodego – odparł Charlie. Zasunął rozporek i ruszył do umywalki, zanim tamten zdolał obmyślić kolejne pytanie.**

**Charlie był zaskoczony, że spotkał na pogrzebie paru ludzi, których znał, i za każdym razem, gdy uwolnił się od jednego, wpadał na innego.**

**Pierwszy był inspektor Rivera, który skłamał:**

**–Musiałem przyjść. To nasza sprawa. Musiałem trochę poznać rodzinę.**

**Potem Ray, który skłamał:**

**–Chodziła do mojego klubu fitness. Pomyślałem, że powinienem okazać szacunek.**

**Potem partner Rivery, Cavuto, który nie skłamał:**

**–Nadal uważam pana za zboka, tak samo jak pńskiego kumpla, tego byłego policjanta.**

**I Lily, która także była szczerą:**

**–Chciałam zobaczyć martwą lalke do rznienia.**

**–Kto jest w sklepie?**



**–Sklep zamknięty. Z powodu śmierci w rodzinie. Wiesz, że Ray nasłal na ciebie gliny?**

**Nie mieli okazji porozmawiać, od kiedy Charliego uwolniono.**

**–Powiniem się domyslić – stwierdził Charlie.**

**–Powiedział, że widział, jak wchodzisz do domu tej martwej laski i jak znikasz. Myśli, że masz zdolności ninja. To częśc, no wiesz, sprawy? – Uniosła porozumiewawczo brwi niczym Groucho Marx, choć wymowność tego gestu osłabił fakt, że brwi miały grubość kreski narysowanej ołówkiem, w dodatku w liliowym kolorze.**

**–Zgadza się. Ray nic nie wie o sprawie, prawda?**

**–Nie, cały czas ci kryłam. Ale nadal podejrzewa, że możesz być seryjnym zbrojnym.**

**–A ja myślałem, że to on może być seryjnym zbrojnym. Lily wzruszyła ramionami.**

**–Boże, powinniście się z kims przespaciać, panowie.**

**–Możliwe, ale teraz jestem tu w związku z sprawą.**

**–Jeszcze nie masz tej jej sprawy?**

**–Nawet nie wiem, jak się do tego zabrać. Sprawa jest ciągle w środku. – Skinal głową w kierunku trumny.**

**–Jestes pojebany – stwierdziła Lily.**

**–Muszę teraz usiąść – powiedział Charlie i zaprowadził ją do kaplicy, gdzie zaczynała się ceremonia.**

**Za nim Nick Cavuto, który stał o metr dalej, odwrócony do Charliego plecami, podszedł do swojego partnera i spytał:**

**–Nie możemy po prostu zastrzelić Ashera i później poszukać powodu? Na pewno skurwiel zrobił coś, żeby na to zasłużyć.**

**Charlie nie wiedział co zrobić, jak zdobyć duchowe implanty, ale naprawdę liczył, że coś mu pomoże. Że w ostatniej chwili ujawni się jakaś jego nadnaturalna zdolność. Myślał o tym przez całą ceremonię. Nadzieja powoli go opuszczała, gdy zalobnicy się rozchodzili i opuszczono trumny. A kiedy ekipa grabarzy zaczęła koparką zrzucać do grobu ziemię, musiał przyznać przed samym sobą, że nie ma żadnego pomysłu.**

**Istniało coś takiego, jak rabowanie grobów, ale to w zasadzie nie był pomysł, prawda? Mimo lat doświadczenia w zajmowaniu się śmiercią, Charlie raczej nie byłby w stanie włamać się na cmentarz i przez całą noc kopać, by dostać się do trumny, a następnie wyciąć implanty ze zwłok**

kobiety. To nie było to samo, co zabranie wazonu z parapetu. Czemu dusza Madison McKerny nie mogła być w wazonie na parapecie?

–Nie zdobyłeś tych rzeczy – rozległ się za nim czyjś głos. Charlie odwrócił się ujrzał tuż obok siebie inspektora Rivere. Nie widział go, od kiedy wyszli z domu pogrzebowego.

–Jakich rzeczy?

–Właśnie, jakich? – zapytał Rivera. – Nie pochowali jej z tymi brylantami, które pan widział, wie pan o tym, prawda?

–Szkoda by było – stwierdził Charlie.

–Wzięły je siostry – oznajmił inspektor. – Wie pan, niewielu ludzi zostaje, żeby patrzeć, jak zasypują grob.

–Naprawdę? – spytał. – Byłem po prostu ciekaw. Chciałem zobaczyć, czy używają łopat, czy czegoś innego. A pan?

–Ja? Obserwuję pana. Przeszło panu to dziwactwo ze studzienkami kanalizacyjnymi?

–A, to? Potrzebowałem tylko zmiany leku. – To zdanie Charlie podchwycił od Jane. Tak naprawdę nie brała leków, ale wymowka najwyraźniej zdawała egzamin.

–Niech się pan pilnuje. A ja będę pilnował pana. Adios. – Rivera odwrócił się i odszedł.

–Adios, inspektorze – powiedział Charlie. –ładny garnitur.

–Dzięki, kupiłem go w pańskim sklepie – odparł tamten, nie oglądając się.

Kiedy on był w moim sklepie? – pomyślał Charlie.

Przez kilka następnych tygodni Charlie czuł się tak, jakby ktoś przekreślił galke napięcia w jego systemie nerwowym ponad zalecany poziom, i aż drżał z niepokoju. Myślał, że może powinien zadzwonić do Minty'ego Fresha, uprzedzić go o swoim niepowodzeniu w odzyskaniu naczynia duchowego Madison McKerny, ale harpie nie wychodziły z kanałów, a telefon do innego Handlarza Śmierci mogłby je skłonić do pojawienia się na gorze. Zamiast więc dzwonić, trzymał Sophie w domu i pilnował, by nigdy nie znalazła się poza zasięgiem wzroku piekielnych ogarów. Przez większość czasu trzymał nawet psy zamknięte w jej pokoju. W przeciwnym razie ciągnęły go do kalendarza, w którym nie było żadnych nowych nazwisk, jedynie nieszczęsna Madison McKerny oraz dwie inne kobiety – Esther Johnson i Irena Posokovanovich – które pojawiły się tego samego dnia, ale miały jeszcze długi termin ważności, czy jak to tam nazwać. Znowu zaczął chodzić na spacer, nasłuchując, gdy mijal odpływy i studzienki, ale nie miał wrażenia, by ciemność się podnosiła. Czuł się nagi, chodząc ulicami bez miecza w lasce, który zatrzymał Rivera, więc postanowił poszukać jakiejś innej broni i w

rezultacie znalazł w miescie dwoch innych Handlarzy Smierci. Na pierwszego trafil w antykwariacie z ksiazkami w dzielnicy Mission. Tak naprawde nie byl to juz antykwariat z ksiazkami – wciaz stalo tam kilka wysokich regalow z ksiazkami, ale reszte powierzchni zajmowal zbior najrozniejszych rzeczy, od armatury po kaski futbolowe. Charlie doskonale rozumial, jak do tego doszlo. Zaczelo sie od ksiazek, potem nastapila jedna niewinna transakcja, na przyklad zestaw podstawek pod cenne egzemplarze, potem kolejna – szedles z pudelkiem na wyprzedaz garazowa po jedna, jedyna rzecz – i niebawem miales caly zestaw niepasujacych do siebie sztuccow i przestarzalych odbiornikow radiowych. Za nic w swiecie nie pamietales, skad masz pulapke na niedzwiedzie, a jednak lezala tam, obok zielonego kostiumu tancerki i pompki do penisa. Rzeczy z odzysku, ktore nie przynosily zysku. Z tylu sklepu, przy ladzie, stal regal, na którym wszystkie tomy pulsowaly czerwonym swiatlem.

Charlie potknal sie o spluwaczke i chwycil wieszak na ubrania z poroza losia, by sie nie przewrocic.

–Wszystko w porzadku? – spytal wlasciciel, podnoszac wzrok znad ksiazki, ktora wlasnie czytala.

Mial jakies szescdziesiat lat i plamy na skorze, wywolane nadmiarem slonca, ktorego jednak od jakiegos czasu nie ogladal, byl bowiem bardzo blady. Mial dlugie, przerzedzone, siwe wlosy i nosil duze okulary, ktore nadawaly mu wyglad wykształconego zolwia.

–Nic mi nie jest – odparl Charlie, odrywajac spojrzenie od ksiazek – naczyn duchowych.

–Wiem, ze troche tu zagracone – powiedzial zolwiowaty. – Mialem posprzatac, ale, prawde mowiac, zamierzam posprzatac od czterdziestu lat i jakos jeszcze nie dalem rady.

–W porzadku, podoba mi sie panski antykwariat -stwierdzil Charlie. – Swietny asortyment.

Wlasciciel popatrzyll na kosztowny garnitur i buty Charliego, po czym zmruzyll oczy. Bylo jasne, ze poznal sie na wartosci ubioru i zaklasyfikowal Charliego jako bogatego kolekcjonera albo lowce antykw.

–Szuka pan czegos szczegolnego? – spytal.

–Miecza w lasce – odparl Charlie. – Nie musi byc stary.

Chcial postawic facetowi kawe i podzielic sie opowiesciami o zabieraniu naczyn duchowych, o starciach z Zaswiatowcami, o dzialaniach Handlarza Smierci. Ten gosc byl jego bratnia dusza, a z rozmiarow kolekcji naczyn duchowych i ksiazek mozna bylo wnioskowac, ze zajmuje sie tym dluzej niz Minty Fresh.

Zolwiowaty pokrecil glowa.

–Nie widzialem takiego od lat. Jesli zechce mi pan zostawic wizytowke, zbadam dla pana

rynek.

–Dzięki – odparł Charlie. – Bede szukał dalej. Na tym polega frajda. – Zaczal sie cofac do drzwi, ale nie mogli wyjść, nie powiedziawszy jeszcze czegoś, nie uzyskawszy pewnych informacji. – Jak idą interesy w tej okolicy?

–Teraz lepiej niż kiedyś – stwierdził tamten. – Gangi trochę się uspokoiły i ta część Mission stała się modna, artystyczna, fafa-rafa. To dobre dla interesów. Pan z City?

–Tam się urodziłem i wychowałem – powiedział Charlie. – Tyle że rzadko bywałem tutaj. Więc przez ostatnie tygodnie na ulicy nie działo się nic dziwnego?

Zołwiowaty popatrzył teraz na Charliego, zdjął nawet swoje ogromne okulary.

–Z wyjątkiem włączających się systemów alarmowych, było cicho jak w kościele. Jak się pan nazywa?

–Charlie. Charlie Asher. Mieszkam na North Beach, okolice Chinatown.

–A ja jestem Anton Dubois. Miło było cie poznać.

–Dobra – powiedział Charlie. – Muszę już iść.

–Charlie. Przy Fillmore Street jest lombard. Rog Fultone i Fillmore, zdaje się. Właścicielka ma dużo broni białej. Może znajdziesz tam te laske.

–Dzięki – powiedział Charlie. – Uważaj na siebie, Anton. Dobra?

–Zawsze na siebie uważam – stwierdził Anton Dubois, po czym znow skupił wzrok na książce.

Charlie wyszedł ze sklepu jeszcze bardziej zaniepokojony, ale nie tak samotny, jak pięć minut wcześniej. Następnego dnia znalazł nowy miecz w lasce w lombardzie przy Fillmore, gdzie ujrzał także pudło ze sztućcami i przyborami kuchennymi, które pulsowało na czerwono. Właścicielka okazała się młodsza niż Anton Dubois, na oko była przed czterdziestką. Nosila rewolwer kaliber 9 milimetrów w kaburze zawieszony na ramieniu, co wstrzasnęło Charliem w mniejszym stopniu niż fakt, że była kobieta. Wyobraził sobie wszystkich Handlarzy Śmierci jako mężczyzn, choć oczywiście nie miał żadnego powodu, by tak myśleć. Nosila dzinsy i prosta lniana koszula, a przy tym była obwieszona niedopasowaną biżuterią – Charlie sądził, że to słabostka, która usprawiedliwiała pracę "w branży", tak samo jak on usprawiedliwiał swoje drogie garnitury. Była ładna, tak jak ładne są policjantki, miała ładny uśmiech, i zaczął się zastanawiać, czy jej gdzieś nie zaproś, ale potem usłyszał w swojej głowie wyraźny odgłos pekającej banki autodestrukcyjnej głupoty. Jasne, kolacja i kino, a potem niech Siły Ciemności opanują świat. Kapitalna pierwsza randka. Wszyscy mieli rację – naprawdę potrzebował seksu. Kupił laske z mieczem za gotówkę, bez targowania, i wyszedł ze sklepu, nie wdając się w

rozmowe z właścicielką. Wychodząc, wziął wizytówkę z lady. Nazywała się Carrie Lang. Nie powiedział jej, by uważała, nie ostrzegł, co może nadejść spod ziemi, ale zdawał sobie sprawę, że z każdą spędzoną tam sekundą zwiększa zagrożenie dla nich wszystkich.

–Uważaj na siebie, Carrie – szepnął pod nosem, oddalając się.

Wieczorem postanowił przejść do działania i zmniejszyć napięcie w swoim życiu. Zresztą decyzja zapadła za niego, gdy w mieszkaniu pojawiły się Jane i jej dziewczyna Cassandra, proponując, że zajmie się Sophie.

–Idź, znajdź sobie kobietę – powiedziała Jane. – Biorę małą.

–To tak nie działa – stwierdził Charlie. – Nie było mnie cały dzień, w ogóle nie spędziłem czasu ze swoją córką.

Jane i Cassandra – wysportowana, atrakcyjna, rudowłosa kobieta po trzydziestce, którą Charlie chętnie by dokądś zaprosił, gdyby nie mieszkał ze swoją córką – wypchnęły go za drzwi, zatrzęsły mu je przed nosem i przekreciły zasuwkę.

–Nie wracaj, dopóki kogoś nie poderwiesz! – krzyknęła Jane przez drzwi.

–Tobie to wychodzi?! – odkrzyknął. – Idziesz znaleźć kogoś, kto się z tobą przespi, jak sępa na łowach?

–Masz tu pięćset dolarów. To działa na każdego. Zwitek banknotów wyleciał przez szczelinę w drzwiach, a za nimi jego laska z mieczem, sportowy płaszcz i portfel.

–To ty musisz się z kims przespaciać! – zawołała Jane. – Idź. Nie wracaj, dopóki nie odtanczysz tanca dwugłębnej bestii.

–Mogłbym skłamać.

–Nie, nie możesz – odparła Cassie. Miała słodki głos, aż chciało jej się opowiedzieć bajkę do poduszki. – Byłoby widac desperację w twoich oczach. W miłym sensie, Charlie.

–Jasne, jak inaczej mogłbym to odebrać?

–Pa, tato – odezwała się Sophie z drugiej strony drzwi. – Baw się dobrze.

–Jane!

–Spokojnie, dopiero tu weszła. Idź.

A zatem Charlie, wyrzucony z własnego domu przez własną siostrę, pożegnał się z córką, którą uwielbiał, i wyruszył na poszukiwanie nieznajomej, by przeżyć z nią chwilę intymności.

**–Tylko masaż – powiedział Charlie.**

**–Okej – odparła dziewczyna, ustawiając na półce olejki i balsamy.**

**Była Azjatka, lecz Charlie nie umiał stwierdzić, z jakiej części Azji pochodzi, może z Tajlandii. Miała drobna budowę i czarne włosy, które sięgały jej do pasa. Nosila czerwone, jedwabne kimono z haftem w kształcie chryzantemy. W ogóle nie patrzyła mu w oczy.**

**–Naprawdę, jestem spięty, i tyle. Nie chce niczego poza w pełni etycznym i higienicznym masażem, tak jak na tabliczce przed wejściem. – Charlie stał w wąskiej kabinie, całkowicie ubrany. Po jednej stronie miał stół do masażu, a po drugiej masażystkę i jej półkę z olejkami.**

**–Okej – powiedziała dziewczyna.**

**Charlie tylko na nią patrzył, niepewny, co ma dalej robić.**

**–Ubranie zdejmie – nakazała.**

**Położyła czysty, biały ręcznik na stole do masażu obok Charliego, skinęła głową w jego stronę, po czym się odwróciła.**

**–Okej?**

**–Okej – odparł Charlie, czując, że skoro już tu jest, musi przez to przejść.**

**Wchodząc, zapłacił kobiecie pięćdziesiąt dolarów, po czym dała mu do podpisania oświadczenie, że płaci tylko za masaż, że napiwki są mile widziane, ale nie oznaczają żadnych dodatkowych usług oprócz masażu, i że jeśli liczy na coś więcej niż masaż, to będzie bardzo zawiedzionym Białym Diabłem. Kazała mu parafować tekst we wszystkich sześciu językach, w których go napisano, a potem pociła oczko – długie, powolne mrugnięcie, podkreślone przez przesadnie długie, sztuczne rzęsy – wykonując przy tym międzynarodowy gest, oznaczający obciąganie: otwierając usta i rytmicznie wypychając policzek językiem.**

**–Kwiat Lotosu zrobi dobry relaks, panie Macy. Charlie podpisał się nazwiskiem Raya. Nie chodziło o małą zemstę za nasłanie na niego policji, liczył po prostu, że dyrekcja rozpozna nazwisko i da Rayowi zniżkę. Został w bokserkach i wspiał się na stół, ale Kwiat Lotosu zsunęła je z wprawa magika wyciągającego szalik z rekawa. Ułożyła ręcznik na jego tyłku i zrzuciła kimono. Charlie zobaczył, że kimono opada, i zerknął w tył. Ujrzał drobna, polną kobietę, rozcierającą olejek w dłoniach, by go rozgrzać. Odwrócił wzrok i kilkakrotnie uderzył czołem w łóżko, czując, jak nizej jego wzwód walczy o wolność.**

**–Siostra kazała mi tu przyjść – oznajmił. – Ja nie chciałem.**

**–Okej – odparła.**

Wtarła mu olejek w ramiona. Pachniał migdałami i drzewem sandalowym. Musiał zawierać mentol, lawendę albo coś w tym rodzaju, bo Charlie poczuł lekkie mrowienie skóry. Każde miejsce, którego dotknęła, bolało. Jakby dzień wcześniej wykopał row do Ekwadoru albo przeciągnął na linie barke przez całą zatokę. Zdawało się, że kobieta w niezwykle sposób wyczuwa dokładnie te miejsca, w których nosił swój ból, i uwalniała go dotykiem. Jeknął.

–Bardzo napięty- powiedziała, wędrując palcami w stronę jego szyi.

–Od dwóch tygodni się nie wyspałem – oznajmił. – To miło. – Siegnęła głębiej, by wymasować mu klatkę piersiową, i poczuł na plecach jej małe piersi.

Wstrzymał na chwilę oddech, a ona zachichotała.

–Bardzo napięty – powtórzyła.

–Coś mi się przydarzyło w pracy. No, nie w pracy, ale obawiam się, że zrobiłem coś, co narazi na niebezpieczeństwo wszystkich, których znam. Nie umiem się zmusić i zrobić co należy, żeby to naprawić. Moga przez to zginąć ludzie.

–To miło – odparła Kwiat Lotosu, ugniatając mu bicepsy.

–Nie mówisz po angielsku, co?

–O. Trochę. Spokojnie. Chce szczęśliwy koniec? Charlie uśmiechnął się.

–Możesz po prostu masować?

–Nie chce szczęśliwy koniec? Okej. Dwadzieścia dolarów, piętnaście minut.

A zatem jej zapłacił i rozmawiał z nią, a ona masowała mu plecy, i zapłacił znowu, po czym powiedział jej wszystko, czym nie mógł się podzielić z innymi: o swoich zmartwieniach, lekach i żalach. Powiedział, jak tęskni za Rachel, a jednak czasami zapomina jak wyglądała i pedzi w środku nocy do komody, by popatrzeć na jej zdjęcie. Zapłacił za dwie godziny z góry i zasnął, czując jej dłonie na skórze. Śnił o Rachel i o seksie, a gdy się obudził, Kwiat Lotosu pocierała jego skronie, a łzy spływały mu do uszu. Powiedział jej, że wszystko przez ten mentol w olejku, ale to była wzbierająca w nim samotność, podobna do bólu w plecach – nie wiedział, że jest, dopóki ktoś go tam nie dotknął.

Masowała mu klatkę piersiową, sięgając ponad jego głowę i dotykając piersiami jego twarzy, a kiedy pod ręcznikiem znowu mu stanął, spytała:

–Chce teraz szczęśliwy koniec?

–Nie – odparł. – Szczęśliwe zakończenia są takie hollywoodzkie.

Potem złapał ją za nadgarstki, usiadł, pocałował jej dłonie i podziękował. Dał jej sto dolarów

**napiwku. Uśmiechnęła się, włożyła kimono i wyszła z kabiny.**

**Charlie ubrał się i opuścił Orientalny Salon Masazu, Relaksu i Szczęścia, obok którego przechodził tysiące razy, zawsze zastanawiając się, co znajduje się za czerwonymi drzwiami z szybą zaklejona brązowym papierem. Teraz już wiedział: żalostna kupa samotnej frustracji, czyli Charlie Asher, dla którego nie będzie szczęśliwego końca.**

**Dotarł na Broadway i ruszył pod górę, na North Beach. Znajdował się kilka przecznic od domu, gdy wyczuł za plecami czyjś obecność. Odwrócił się, ale ujrzał tylko faceta, który kilkadziesiąt metrów dalej kupował gazetę z automatu. Przeszedł jeszcze kawałek i zobaczył tłum ludzi zyciem ulicy przed sobą: turyści spacerowali i czekali na stoliki we włoskich restauracjach, naganiacze próbowali zaciągnąć ich do klubów ze striptizem, marynarze chodzili od baru do baru, młodzi gniewni palili papierosy przed księgarnią City Lights, wyglądając odlotowo i literacko przed kolejną poetycką dysputą w barze po drugiej stronie ulicy.**

**–Hej, żołnierzu! – rozległ się głos gdzieś z boku. Kobięcy, łagodny i seksowny.**

**Odwrócił się i spojrzał w zaułek, który właśnie mijal. Ujrzał kobietę, skrytą w cieniu i opierającą się o ścianę. Miała na sobie opalizujący trykot czy coś podobnego, a światło lampy rzeźbiarskiej z drugiej strony zaułka rysowało srebrzysty kontur jej sylwetki. Włosy zjeżyły mu się na karku, poczuł jednak dreszcz także w ledźwiach. To była jego dzielnica, a dziwki wołały do niego od kiedy miał dwanaście lat, ale pierwszy raz w życiu przystanął, nie ograniczając się do uśmiechu i pomachania ręką.**

**–Hej – powiedział.**

**Poczuł zawroty głowy, jakby był pijany albo naciągany -może wszystkie toksyny uwolniły się po długim masażu -i musiał podeprzeć się łaską, by nie stracić równowagi.**

**Odeszła od ściany i światło padło na nią, wylawiając niezwykle krągłości. Charlie zdał sobie sprawę, że zgrzyta zębami, a jego prawe kolano zaczęło drgać. To nie było przechodzące ciało punki. Może tancerka. Bogini.**

**–Czasami – odezwiała się, przeciągając "s" – ostre rżnięcie w ciemnym zaułku to najlepsze lekarstwo dla strudzonego wojownika.**

**Rozejrzał się: grupa ludzi na następnej ulicy, facet czytający gazetę pod latarnią dwie ulice z tyłu. W zaułku nie było nikogo, kto mógłby go napasać.**

**–Ile? – spytał.**

**Nie pamiętał nawet, jak wygląda seks, ale jedyne, o czym mógł teraz myśleć, to ulga, ostre rżnięcie w ciemnym zaułku z tą... z tą boginią. Nie widział jej twarzy, tylko kontur kości policzkowych, które wyglądały wspaniale.**



**–Twoje mile towarzystwo – odparła.**

**–Dlaczego ja? – spytał. Nie mógł się powstrzymać, tak kazała natura samca beta.**

**–Chodź, to się dowiesz – powiedziała. Zamknęła dłonie na swoich piersiach i osunęła się z powrotem na mur, opierając o niego jeden obcas. – Chodź.**

**Wszedł do zaułka i oparł łaskę o scianę, po czym jedną dłoń chwycił jej uniesione kolano, druga – pierś, i przyciągnął ją do pocałunku. W dotyku jej ubranie wydawało się aksamitem, usta były ciepłe i smakowały dziko, surowo, niczym dziczyzna albo wotrobka. Nawet nie wiedział, kiedy rozpięła mu dzinsy, poczuł tylko silną dłoń na swoim wzwiedzionym członku.**

**–A, mocne mięso – syknęła.**

**–Dziękuję, chodziłem do klubu fitness.**

**Ugryzła go w szyję, mocno, a on scisnął jej biust i zaczął się poruszać w jej dłoni. Uniesiona noga objęła go w pasie i przyciągnęła mocno do siebie. Poczuł, że coś ostrego bolesnie wbija mu się w krocze i chciał się cofnąć. Przytrzymała go noga. Była bardzo silna. Powiedziała:**

**–Nowe Mięso. Nie walcz ze mną, bo je urwę. Charlie poczuł pazur na jadrach i oddech uwiązł mu w gardle. Jej twarz znalazła się o centymetry od jego twarzy i poszukał wzrokiem jej oczu, ale ujrzał tylko obsydianową czern, odbijającą światło latarni.**

**Uniosła wolną dłoń przed jego twarz i widział, jak z czubków palców wyrastają pazury, w których światło polyskiwało jak w szczerzonym chromie, aż osiągnęły długość siedmiu centymetrów. Przysunęła mu je do oczu, a on sięgnął po swoją łaskę z ukrytym ostrzem. Odtrąciła ją i pazury natychmiast znowu znalazły się przy jego twarzy.**

**–O, nie, Mięso, nie tym razem. – Wsunęła mu pazur w nozdrze. – Mam ci go wbijać w mózg? Tak by było najszybciej, ale ja nie chcę szybko. Długo na to czekałam.**

**Przestała naciskać na jego jadra, a on, ku swojemu przerażeniu, zorientował się, że wciąż ma erekcję. Zaczęła pocierać jego członka, wpychając mu szpon głębiej do nosa, by się nie ruszał.**

**–Wiem! Wiem! Kiedy już dojdiesz, wsunę ci go do ucha i pociągnę. Raz w ten sposób oderwałam facetowi połowę głowy. Spodoba ci się. Masz szczęście, gdyby przysłano Nemain, już byś nie żył.**

**–Dziwka – zdolał powiedzieć Charlie.**

**Pocierała go coraz mocniej, a on przeklinał swoje ciało, które go zdradziło. Spróbował się wyrwać, a noga na plecach scisnęła go tak mocno, że zapało mu dech.**

**–Nie, najpierw dojdiesz, a potem cie zabije.**

**Wyciagnela pazur z jego nosa i przylozyla mu go do ucha.**

**–Nie chce odchodzic niezadowolona, Mieso – powiedziala, ale w tym momencie pazur zaczepil o bok jego glowy.**

**Z calej sily uderzyl ja w zebra obiema piesciami.**

**–Ozez, ty chuju! – wrzasnela.**

**Opuscila noge, pociagnela go w bok za penisa i odchylila sie, by chlasnac go szponami w glowe. Charlie probowal uniesc reke, by sie zaslonic, ale wtedy nastapila eksplozja i kawalek jej ramienia rozbryzal sie na scianie, obracajac ja dookola.**

**Poczul, ze puszcza jego penisa, i rzucil sie w przeciwny koniec zaulka. Odbila sie od sciany, celujac pazurami obu rak w jego twarz. Rozlegl sie kolejny wybuch i znowu odrzucilo ja w tyl. Tym razem podniosla sie odwrocona przodem do ulicy, ale zanim zdolala zebrac sie do skoku, dwa nastepne strzaly trafily ja w piers. Wrzasnela tak, jakby tysiac wscieklych krukow stanelo w ogniu.**

**Jeszcze piec szybkich strzalow, przy kazdym zataczala sie w tyl. Jednoczesnie zmieniala sie – jej rece stawaly sie szersze, a ramiona plaskie. Jeszcze dwa strzaly i kolejny wrzask w najmniejszym stopniu nie przypominal juz ludzkiego glosu, tylko krakanie ogromnego kruka. Wzbila sie ku nocnemu niebu, rozrzucajac piora i tryskajac ciecza, ktora wygladala jak krew, tyle ze byla czarna.**

**Charlie dzwignal sie na nogi i chwiejnym krokiem wyszedl z zaulka. Inspektor Alphonse Rivera wciaz trwal w pozycji do strzalu, mierzac w ciemne niebo z beretty kaliber 9 milimetrow.**

**–Czy w ogole chce wiedziec, co to, kurwa, bylo?**

**–Raczej nie – odparl Charlie.**

**–Niech pan zawiaze sobie plaszcz wokol pasa – poradzil gliniarz.**

**Charlie spojrzal w dol i zobaczyl, ze przod jego dzinsow wyglada jak pochlastany zyletka.**

**–Dzieki – powiedzial.**

**–Wie pan – odezwal sie znow Rivera – mozna bylo tego uniknac, gdyby zdecydowal sie pan na szczesliwy koniec, tak jak wszyscy.**

## **17. DOBRZE CI BYŁO?**

**Następnego ranka dziewczyna Jane, Cassie, usłyszała kroki w korytarzu i otworzyła drzwi. Stał za nimi Charlie, uwalany krwią, czarna breja i pachnący drewnem sandalowym oraz olejkiem migdałowym. Miał skaleczenie nad uchem, zakrzepła krew w nosie i spodnie w strzepach, a w dodatku był oblepiony czarnymi piorami.**

**–Ojej, Charlie – powiedziała, lekko zaskoczona. – Zdaje się, że cie nie doceniłam. Kiedy postanowisz zaszaleć, to się nie obcyndalasz.**

**–Prysznic – rzekł Charlie.**

**–Tata! – zawołała ze swojego pokoju Sophie. Przybiegła z szeroko rozłożonymi rękami, a za nią do pomieszczenia wpadły dwa ogromne psy i lesbijska ciotka w garniturze od Brooks Brothers. W połowie drogi dziewczynka ujrzała ojca i z piskiem zawróciła i uciekła z salonu.**

**Jane stanęła przy kanapie i wbiła w niego wzrok.**

**–Jezu, Chuck, co ty zrobił? Probowałeś wyruchac lamparta?**

**–Cos w tym rodzaju – odparł. Na chwiejnych nogach przeszedł obok niej i przez swoją sypialnię ruszył do łazienki.**

**Jane spojrzała na Cassandre, która próbowała powstrzymać wybuch śmiechu.**

**–Chciałaś, żeby częściej wychodził.**

**–Powiesz mu o mamie? – spytała Jane.**

**–Myślałam, że powinien to usłyszeć od ciebie.**

**Pistolety są do dupy, mówię wam – oznajmiła Babd, która jako ostatnia z trzech śmiertelnych laleczek pojawiła się na Powierzchni. – Jasne, z dołu wyglądają super, ale z bliska... głośne, bezosobowe... zdecydowanie wole topór albo nadziak.**

**–Nadziak? Lubie nadziewać – powiedziała Macha, która trzymała szpony we wnętrzu odciętej głowy Madison McKerny i poruszała jej ustami jak pacynka.**

**–To tylko twoja wina – ofuknęła ją Nemain. Trzymała jeden z silikonowych implantów Madison McKerny, wciąż uwalany krwią lalki do rżnięcia, i przyciskała go do ran Babd, by się zagoiły. Gdy czarne ciało regenerowało się, czerwony blask implantu przygaszał. – Tracimy ich moc. I to po latach czekania na następną duszę. Babd westchnęła.**

**–Z perspektywy czasu myślę, że z tym robieniem mu dobrze reka to nie był najlepszy pomysł.**

**–Z tym robieniem mu dobrze reka to nie był najlepszy pomysł – przedrzeźniała Babd pacynka Machy.**

–Robilam to na pobojuwiskach na Polnocy z dziesiec tysiecy razy – powiedziala Babd. – Ostatnie walenie konia umierajacemu wojownikowi, przynajmniej tyle moglam zrobic. Jestem w tym bardzo dobra, wiecie. Potrzeba szczegolnego dotyku, zeby zolnierzowi stanal, kiedy flaki wyplywaja mu miedzy rekami.

–Jest w tym dobra – potwierdzil Orcus. – Moge za to reczyc. – Rozparl sie na tronie, na dowod swojego entuzjazmu ukazujac metrowe, bycze, smiercionosne pracie.

–Nie teraz, dopiero nalozylam szminke – powiedziala Macha za pomoca glowy Madison McKerny, wypychajac szponami jej oczy do przodu, by wydawalo sie, ze martwa dziewczyna jest pod wrazeniem kolosalnej paly.

Wszyscy sie rozesmiali. Przez caly ranek zabawiala Orcusa i swoje siostry Morrigan tym lalkowym przedstawieniem, ukladajac implanty na polce i poruszajac nad nimi glowy Madison. "Pewnie, ze sa prawdziwe, w koncu za nie zaplacil, nie?".

Byli upojeni zwyciestwem, odkad wyciagneli naczynia duchowe z grobu lalki do rznecia. Sukces przycmil niepowodzenie Babd, ktora nie zdolala zabic Handlarza Smierci. Ale gdy swiatlo implantow zaczelo zanikac, spochmurnieli. Nemain cisnela bezuzytecznym implantem o przegrode statku. Pekl, obryzgujac pomieszczenie przejrzysta breja.

–Co za strata – warknela. – Zajmiemy Powierzchnie, a ja zjem mu watrobe na jego oczach.

–Co ty masz z tymi watrobami? – spytala Babd. – Nie cierpie watrobki.

–Cierpliwosci, ksiezniczki – powiedzial Orcus, wazac w lapie ocalaly implant. – Przez tysiac lat szykowalismy sie do tej bitwy. Jeszcze troche czasu na zebranie sil tylko oslodzi nam zwyciestwo. – Wzial glowy Madison i odgryzl kawalek, jakby to byla dojrzala sliwka. – Chociaz naprawde moglas sobie darowac to walenie konia – powiedzial, opluwajac Babd kawalkami mozgu.

–Zalatwilam nam lot do Phoenix na druga – oznajmila Jane. – Tam sie przesiadziemy do pociagu i przed kolacja bedziemy w Sedonie.

Charlie dopiero wyszedl spod prysznic i mial na sobie tylko czyste dzinsy. Wycieral wlosy bezowym recznikiem, zostawiajac na nim czerwone smugi, glowy bowiem wciaz mu krwawila. Usiadl na lozku.

–Zaraz, zaraz, zaraz. Od jak dawna wie?

–Zdiagnozowali ja pol roku temu. Sa juz przerzuty z okrecznicy na inne organy.

–I czekala az do dzis, zeby nam powiedziec?

–Nie powiedziala nam. Dzwonil facet o imieniu Buddy. Najwyrazniej mieszkaja razem.

**Powiedzial, ze nie chciala nas martwic. Zalamal sie podczas naszej rozmowy.**

**–Mama mieszka z facetem? – Charlie wbil spojrzenie w czerwone paski na reczniku. Nie spal cala noc, probujac wyjasnic inspektorowi, co sie wydarzylo w zaulku, nie mowiac mu przy tym niczego. Byl pokaleczony, poobijany, wyczerpany, a jego matka umierala. – Nie wierze. Dostala szalu, kiedy Rachel wprowadzila sie przed slubem – powiedzial.**

**–No tak, mozesz nakrzyczec na nia za hipokryzje, kiedy spotkacie sie wieczorem.**

**–Nie moge jechac, Jane. Mam sklep i Sophie. Jest za mala na cos takiego.**

**–Dzwonilam do Raya i Lily, zajma sie sklepem. Cassandra popilnuje malej przez noc, a panie z bloku komunistycznego zaopiekuja sie nia, dopoki Cassie nie wroci z pracy.**

**–Cassie nie jedzie z toba?**

**–Charlie, mama ciagle mowi o mnie jako o swojej chlopczycy.**

**–A, tak, wybacz. – Charlie westchnal. Tesknil za czasami, gdy to Jane uchodzila w rodzinie za dziwna, a on byl tym normalnym. – Sprobujesz ja z tym oswoic?**

**–Nie wiem. Tak naprawde nie mam zadnego planu. Nie mam nawet pojecia, czy wszystko kojarzy. Od kiedy sie dowiedzialam, lecialam na autopilocie. Czekalam, az wrocisz do domu, zebym sie mogla rozsypac.**

**Charlie wstal, podszedl do siostry i ja objal.**

**–Swietnie sie spisalas. Wrocilem. Czego ci potrzeba? Tez go objela, po czym otarla lzy.**

**–Musze isc do domu i sie spakowac. W poludnie przyjade taksowka i cie zabiore, dobra?**

**–Bede gotowy. – Pokrecil glowa. – Nie moge uwierzyc, ze mama mieszka z facetem.**

**–Z facetem o imieniu Buddy – dodala Jane.**

**–A to suka – powiedzial.**

**Parsknela smiechem i wlasnie o to mu chodzilo.**

**Lois Asher spala, gdy Charlie i Jane dotarli do jej domu w Sedonie. Wpuscil ich brzuchaty, opalony mezczyzna w bermudach i koszuli typu safari: Buddy. Usiadl z nimi przy kuchennym stole, po czym wyznal swoja milosc do ich matki, opowiedzial o swoim zyciu sprzed emerytury, gdy byl mechanikiem lotniczym w Illinois, a potem zdal im relacje z tego, co robili, od kiedy u Lois rozpoznano chorobe. Przeszla trzy cykle chemioterapii, a potem, chora i bezwlosa, poddala sie. Charlie i Jane popatrzyli po sobie z poczuciem winy, ze nie bylo ich przy niej.**

–Nie chciała zawracac wam glowy – stwierdzil Buddy. – Zachowywala sie tak, jakby smierc byla czyms, co moze zalatwic w wolnym czasie, miedzy wizytami u fryzjera.

Charlie nadstawil uszu. Kilka razy myslal o tym, gdy zbieral naczynia duchowe, widywal tez ludzi, ktorzy tak dalece szli w zaparte wobec tego, co sie z nimi dzialo, ze wciaz kupowali kalendarze na piec lat.

–Ech, kobiety. Co zrobic? – powiedzial Buddy, puszczajac oko do Jane.

Nagle Charliego ogarnela fala cieplych uczuc wobec tego lysego, opalonego faceta, z ktorym jego mama zyła na kocia lape.

–Dziekujemy, ze byles przy niej, Buddy.

–Tak. – Jane skinela glowa. Wciaz wydawala sie lekko oszolomiona.

–Bede tu, gdybyscie mnie potrzebowali w tym calym kramie.

–Dzieki – powtorzil Charlie. – Pewnie bedziemy. Sprawa byla ewidentna: Buddy bedzie sie trzymal tak dlugo, jak dlugo bedzie sie czul potrzebny.

–Buddy – uslyszeli cichy, kobiecy glos.

Charlie odwrocil sie i ujrzal odziana w kitel, potezna kobiete po trzydziestce. Kolejna pracownica hospicjum, kolejna z niesamowitych kobiet, ktore widywal w domach umierajacych. Pomagaly ludziom przeniesc sie na tamten swiat z takim spokojem, godnoscia, a nawet radoscia, na jakie tylko mogli sie zdobyc. Dobroduszne walkirie, akuszerki ostatniego swiatla. Obserwujac je, Charlie zauwazyl, ze zamiast podchodzic do swojego zajecia z dystansem lub bezdusznoscia, angazowaly sie w sprawy kazdego pacjenta i kazdej rodziny. Byly obecne. Widzial, jak przezywaja zalobe z setka innych rodzin, uczestnicza w intensywnych uczuciach, ktorych wiekszosc ludzi doswiadczala ledwie kilka razy w zyciu. Patrzac na nie przez lata, zaczal z wiekszym szacunkiem traktowac swoja role Handlarza Smierci. Moze i bylo to jego przeklenstwo, ale ostatecznie nie chodzilo o niego, lecz o sluzbe i transcendencje. Wlasnie pracownice hospicjow go tego nauczily.

Na plakietce przypietej do ubrania kobiety widnialo imie GRACE. Charlie usmiechnal sie.

–Buddy – powiedziala. – Obudzila sie i pyta o ciebie. Charlie wstal.

–Grace, jestem Charlie, syn Lois. To moja siostra Jane.

–O, ciagle o was mowi.

–Naprawde? – spytala z lekkim zdziwieniem Jane.

–Tak. Mowi, ze niezla byla z ciebie chlopczyca – odparla Grace. – A ty – zwrocila sie do

**Charliego – podobno byles mily, ale potem cos sie stalo.**

**–Nauczylem sie mowic – powiedzial.**

**–Wtedy przestalam go lubic – stwierdzila Jane.**

**Lois Asher siedziala oparta w gniezdzie z poduszek. Miala doskonale dopasowana siwa peruke, z takim uczesaniem, jakie zawsze nosila, srebrny naszyjnik z indyjskimi motywami oraz odpowiednio dobrane kolczyki i pierścionki, jasnofioletowa koszula nocna z jedwabiu, ktora tak doskonale pasowala do poludniowo-zachodniego wystroju pomieszczenia, jakby Lois chciala wtopic sie w tlo. I tak bylo, tyle ze miejsce, ktore przygotowala sobie w swiecie, bylo nieco za duze na jej aktualne potrzeby. Miedzy glowa a peruka Lois byla pusta przestrzen, nocna koszula zwieszala sie z ciala niemal pusta, a pierścionki pobrzekiwały na jej palcach. Charlie dobrze wiedzial, ze wcale nie spala, gdy przyjechali, tylko wyslala Buddy'ego z taka wymowka, by Grace zdazyla ja ubrac i przygotowac na spotkanie z dziecmi.**

**Charlie zauwazyl, ze indyjski naszyjnik swieci czerwonym blaskiem na tle koszuli nocnej matki, i poczul, jak w piersi wzbiera mu przeciagle, smutne westchnienie. Przytulil ja i wymacal kosci w jej plecach i ramionach, delikatne i kruche niczym kosci ptaka. Jane probowala stlumic szloch, gdy tylko ujrzala matke, w rezultacie wydajac dzwiek, ktory przypominal pelne bolu parskanie. Opadla na kolana przy lozku.**

**Charlie wiedzial, ze jest to zapewne najglupsze pytanie, jakie mozna zadac umierajacej, a jednak zapytal:**

**–Jak sie masz, mamu? Poklepala jego dlon.**

**–Przydalby mi sie koktajl z burbona. Buddy nie pozwala mi pic alkoholu, bo zawsze przesadzam. Poznaliscie Buddy'ego?**

**–Sprawia wrazenie milego faceta – stwierdzila Jane.**

**–O, jest mily. Byl dla mnie bardzo dobry. Wiecie, jestesmy tylko przyjaciolmi.**

**Charlie poslal spojrzzenie Jane, ktora uniosla brwi.**

**–W porzadku, wiemy, ze mieszkacie ze soba – powiedzial Charlie.**

**–Mieszkamy ze soba? Ja? Za kogo mnie uwazacie?**

**–Niewazne, mamu.**

**Kobieta machnela reka, jakby odganiała natretna muche.**

**–A jak ta twoja zydzowska dziewczynka, Charlie?**

–Sophie? Swietnie, mammo.

–Nie, to nie to.

–Co "nie to"?

–Nie nazywała sie Sophie, tylko jakos inaczej. Piekna dziewczyna, za dobra dla ciebie, prawde mowiac.

–Myslisz o Rachel, mammo. Zmarla piec lat temu, pamietasz?

–Trudno miec do niej pretensje, prawda? Byles takim uroczym chlopcem, nie wiem, co sie z toba stalo.

–Tak, mammo, bylem uroczy. Lois popatrzyła na corke.

–A ty, Jane? Znalazlas sobie porzadnego mezczyzne? Nie moze zniesc mysli, ze jestes sama.

–Ciagle szukam tego jedyngo – odparła Jane, czyniac w strone Charliego ruch glową, który oznaczal "musimy wyjsc i odbyc nadzwyczajna rozmowe". Wypraktykowala go w obecności matki juz w wieku osmiu lat.

–Mammo, Jane i ja zaraz wrocimy. Mozemy zadzwonic do Sophie i z nia pogadac?

–Kto to jest Sophie? – spytala Lois.

–To twoja wnuczka, mammo. Pamietasz mala, sliczna Sophie?

–Nie gadaj glupstw, Charles, nie jestem na tyle stara, zeby zostac babcia.

Po wyjściu z sypialni Jane zaczęła szperac w torebce i wyjęła paczkę papierosów, ale nie mogła sie zdecydowac, czy zapalic, czy nie.

–Slodki Jezu, co tam sie, kurwa, dzieje?!

–Jest pod wpływem morfiny. Czulas ten ostry zapach? To jej gruczoly potowe probuja sie pozbyc toksyn, ktore normalnie odfiltrowalyby nerki i watroba. Jej organy zaczynaja wysiadac, a to oznacza, ze wiele toksyn trafia do mozgu.

–Skad to wszystko wiesz?

–Czytalem o tym. Sluchaj, nigdy nie miala pelnego kontaktu z rzeczywistoscia. Nienawidzila sklepu i nienawidzila pracy taty, chociaz z niej sie utrzymywala. Nie znosila, kiedy zbieral towar, chociaz sama nie byla lepsza. A ten tekst, ze Buddy tu nie mieszka... Probuje pogodzic to, za kogo zawsze sie miala, z tym, kim jest naprawde.



**–To dlatego ciągle mam ochotę jej przyłożyć? – spytała Jane. – To nie w porządku, prawda?**

**–No, wydaje mi się...**

**–Jestem okropna. Moja matka umiera na raka, a ja chce jej przywalić.**

**Charlie położył rękę na ramieniu siostry i poprowadził ją w stronę drzwi, by mogła wyjść i zapalić.**

**–Nie bądź wobec siebie taka surowa – poprosił. – Robisz to samo. Probujesz pogodzić wszystkie mamy, jakimi nasza mama była – te, której chciałaś, te, która była, kiedy jej potrzebowałaś, a ona stała przy tobie, i te która cię nie rozumiała. Większość z nas nie przechodzi przez życie jako jedna, kompletna osoba, która stawia czoło światu, jesteśmy całym zbiorowiskiem postaci. Kiedy ktoś umiera, scala się w duszę, esencję tego, kim jesteśmy, niezależna od masek, jakie nosimy w życiu. Nienawidzisz tych postaci, których zawsze nienawidziłaś, a kochasz te, które zawsze kochałaś. Siła rzeczy coś takiego musi namieszać ci w głowie. Jane przystanęła, po czym się cofnęła.**

**–Więc czemu nie miesza tobie?**

**–Nie wiem. Może dlatego że przeszedłem przez to z Rachel.**

**–Czyli uważasz, że jeśli ktoś tak nagle umiera, następuje cała ta historia z godzeniem różnych postaci?**

**–Nie wiem. Nie sądzę, że to świadomy proces. Może bardziej dla ciebie niż dla mamy. Wiesz, co mam na myśli? Czujesz się tak, jakbys musiała wszystko poukładać, zanim odejdzie. To rodzi frustrację.**

**–A co się dzieje, jeśli przed śmiercią tego wszystkiego nie pogodzisz? Albo jeśli ja nie pogodzę?**

**–Myślę, że dostajesz drugą szansę.**

**–Naprawdę? Jakas reinkarnacja? A co z Jezusem i tak dalej?**

**–Sądzę, że istnieje wiele rzeczy, o których nie piszą w księgach. W żadnej z ksiąg.**

**–Skąd się to bierze? Nigdy nie miałam wrażenia, że jesteś uduchowiony. Nie chciałaś nawet chodzić ze mną na jogę.**

**–Nie chciałem chodzić na jogę, bo nie jestem gibki, a nie dlatego, że nie jestem uduchowiony.**

**Podeszli do drzwi, a kiedy Charlie je otworzył, wydały taki dźwięk, jak drzwi lodówki. Kiedy wyszli na ganek, zrozumiał dlaczego, od razu bowiem uderzył w nich czterdziestostopniowy skwar.**

–Rany, czy przypadkiem otworzyles wrota piekiel? – spytala Jane. – Az tak strasznie nie musze zapalic. Do srodka, do srodka, do srodka. – Wepchnela go do domu i zamknela drzwi. – To ohydne. Dlaczego ktos chce mieszkac w takim klimacie?

–Nie lapie – powiedzial Charlie. – Zaczelas znowu palic czy nie?

–Tak naprawde nie – odparla. – Zapale czasem jednego, kiedy jestem naprawde zestresowana. To jak granie smierci na nosie. Nigdy sie tak nie czules?

–Jeszcze jak – odparl Charlie.

Poniewaz Charlie i Jane byli na miejscu, odeslali pracownice hospicjum do domu i czuwali przy Lois, zmieniajac sie co cztery godziny. Charlie podal matce lek, otarl jej usta, nakarmil niewielkimi kesami, ktore byla w stanie zjesc, choc teraz glownie pila male lyczki wody albo soku jablkowego. Sluchal, jak narzekala na utrate urody, pamietala bowiem, ze byla wielka pieknoscia, krolowa balu na przyjeciach, zanim sie urodzil, obiektem pozadania – z pewnoscia kochala to bardziej niz role zony, matki czy kazda z dziesieciu innych masek, ktore w zyciu nosila. Czasami nawet zwracala uwage na swojego syna...

–Kochalam cie jako malego chlopca. Prowadzalam cie do kafejek na North Beach i wszyscy swiata poza toba nie widzieli. Byles taki uroczy. Piekny. Oboje tacy bylismy.

–Wiem.

–Pamietasz, jak wysypywalismy wszystkie platki z pudelek, zebys mogl wyjac swoja promocyjna nagrode? Mala lodz podwodna, zdaje sie? Pamietasz?

–Pamietam, mammo.

–Bylismy sobie bliscy.

–To prawda.

Charlie wzial ja za reke i przypomniał jej wszystkie wspaniale chwile, ktore razem przezyli. Przez dlugi czas korygowali fakty i wspomnienia.

Kiedy sie zmeczyla, pozwolil jej usnac i czytala przy migoczonej lampie obok jej lozka. Siedzial tam w srodku nocy i czytala powiesc kryminalna, gdy drzwi otwarly sie i do pokoju wszedl szczuply mezczyzna okolo piecdziesiatki, przystanal przy drzwiach i rozejrzal sie. Mial na sobie trampki i czarne dzinsy, a takze czarna bawelniana bluze z dlugim rekawem, i gdyby nie duze okulary w drucianych oprawkach, wygladalby jak komandos – brakowalo mu tylko granatu recznego i noza.

–Tylko badz cicho – powiedzial Charlie polglosem. – Ona spi.

**Niski mężczyzna skoczył na pol metra w powietrze, po czym przykucnął. Ciężko oddychał i Charlie bał się, że może zemdleć, jeśli się nie odpreży.**

**–W porządku. Jest w górnej szufladzie tamtej komody. To indyjski naszyjnik. Weź go.**

**Tamten skrył się za drzwiami, po czym wyjrzał zza ich krawędzi.**

**–Widzisz mnie?**

**–Tak. – Charlie odłożył książkę, podniósł się z krzesła i podszedł do komody.**

**–Oj, to źle. Bardzo, bardzo źle.**

**–Wcale nie tak źle – odparł Charlie. Niski mężczyzna potrząsnął głową.**

**–Nie, to źle. Odwróć się. Popatrz tam. Nie ma mnie. Nie ma mnie. Nie widzisz.**

**–Tu jest – oznajmił Charlie. Wyjął naszyjnik z aksamitnego pudełka w szufladzie i unosił go.**

**–Co?**

**–To, czego szukasz.**

**–Skąd wiesz?**

**–Bo robisz to, co ja. Jestem Handlarzem Śmierci.**

**–Co takiego?**

**Wtedy Charlie przypomniał sobie, że to Minty Fresh wymyślił to określenie, możliwe więc, że znali je tylko Handlarze Śmierci w San Francisco.**

**–Zbieram naczynia duchowe.**

**–Nieprawda. Nie widzisz mnie. Nie widzisz. Spij. Spij. – Mężczyzna machał rękami w górę i w dół, jakby rysował niewidzialną kurtynę albo sprzątał pajęczyny w pokoju.**

**–To nie są roboty, których szukacie – powiedział Charlie z uśmiechem.**

**–Co?**

**–Nie masz mocy Jedi, frajerze. Weź naszyjnik i już.**

**–Nie rozumiem.**

**–Chodź ze mną – powiedział Charlie. – I tak już pora, żeby posiedziała przy niej moja siostra. – Wyprowadził niskiego mężczyznę z pokoju matki do salonu. Stali przy oknie,**

**spoglądając na słońce, które wznosiło się na niebie i rzucało cienie polamanych zębów na otaczające ich góry z czerwonej skały. – Jak się nazywasz?**

**–Vern. Vern Glover.**

**–Ja jestem Charlie. Ile jej zostało, Vern?**

**–Co masz na myśli?**

**–Ile w twoim kalendarzu. Ile dni?**

**–Skąd o tym wiesz?**

**–Mówię. Robię to samo, co ty. Widzę cie. Widzę, że naszyjnik świeci na czerwono. Wiem, kim jesteś.**

**–Nie możesz. Bardzo wielka księga mówi, że jeśli ze mną porozmawiasz, przyjdą straszliwe Sily Ciemności.**

**–Widzisz to skaleczenie nad moim uchem, Vern? Vern skinął głową.**

**–Sily Ciemności. Pierdol je. Pierdol Sily Ciemności, Vern. Ile zostało mojej matce?**

**–To twoja matka? Przykro mi, Charlie. Ma jeszcze dwa dni.**

**–Dobra – powiedział Charlie i skinął głową. – W takim razie chodźmy zjeść paczkę.**

**–Słucham?**

**–Paczka! Paczka! Chyba lubisz paczki, nie?**

**–Tak, ale dlaczego?**

**–Bo ciągłość ludzkiego istnienia zależy od wspólnego jedzenia paczków.**

**–Naprawdę? – Oczy Verna zrobiły się większe.**

**–Nie, nie naprawdę. Robię sobie jaja. – Charlie położył mu rękę na ramieniu. – Ale i tak zjedźmy po paczkę. Obudź siostrę, teraz jej dyżur.**

**Charlie zadzwonił z komórki do domu, by się dowiedzieć, co u Sophie. Potem, zadowolony, że nic jej nie grozi, wrócił do budki Dunkin' Donuts, gdzie czekał na niego Vern z paczką. Vern zdjął czapkę i nad wielkimi okularami widniała teraz potargana, siwa czupryna, z którą wyglądał jak opalony, zły szalony naukowiec.**

**–Czyli była naprawdę seksowna?**

**–Nie uwierzyłbys. Mowie ci, boskie cialo. Pokryte bardzo drobnymi piorami, miakkimi jak puch.**

**Charlie instynktownie rozpoznał innego samca beta, tak jak wcześniej rozpoznał innego Handlarza Śmierci, więc nie mógł się powstrzymać i opowiedział swoją przygodę z atrakcyjną harpią z kanałów, wiedząc, że znalazł wdzięcznego słuchacza.**

**–Ale chciała wbici swój szpon w mózg, tak?**

**–Tak powiedziała, ale wiesz co, myślę, że była w tym jakaś chemia.**

**–A nie sędzisz, że po prostu trzymała wtedy twojego fiuta, bo wiesz, u facetów może to trochę przycmici ogląd rzeczywistości.**

**–Tak, to też, ale jednak weź pod uwagę, że ze wszystkich Handlarzy Śmierci we wszystkich miastach na Ziemi wybrała właśnie mnie do tego przedśmiertnego walenia konia. Myślę, że coś do mnie czuła.**

**–No, mieszkasz w Mieście Dwoch Mostów – powiedział Vern, scierając kawaleczek lukru z kącika ust. – Właśnie tam powinno się to zdarzyć.**

**–Gdzie i co powinno się zdarzyć? – Charliemu naprawdę podobała się rola starszego Handlarza Śmierci, z pozycji nestora traktującego Verna, który zaczął zbierać dusze raptem pół roku temu. Teraz jednak był w kropce.**

**–W Bardzo wielkiej księdze Śmierci napisali, że nie możemy rozmawiać o naszym zajęciu ani szukać się nawzajem, bo wtedy Sily Ciemności powstana w Mieście Dwoch Mostów, wybuchnie wielka bitwa i Zaswiaty zagarną całą Ziemię, jeśli przegramy. W San Francisco macie dwa mosty, prawda?**

**Charlie usiłował ukryć zaskoczenie. Vern miał najwyraźniej inną wersję Bardzo wielkiej księgi niż ta, którą dostawali Handlarze w San Francisco.**

**–No, dwa najważniejsze, tak. Wybacz, minęło wiele czasu, odkąd czytałem księgę. Przypomnij mi, czemu Dwa Mosty są takie ważne?**

**Vern spojrział na niego i wzruszył ramionami.**

**–Bo tam przejmie władzę nowy Luminatus, Wielka Śmierć.**

**–A, tak, jasne, Luminatus. – Charlie klepnął się w bok głowy. Nie miał pojęcia, o czym tamten mówi.**

**–Myślisz, że nie będzie nas już potrzebować, kiedy Wielka Śmierć przejmie władzę? – spytał Vern. – Znaczący, będzie zwolnienia? Bo Bardzo wielka księga mówi o tym tak, jakby przyjdzie**

**Luminatusa było dobre. Ale ja zarabiam kupe forsy, od kiedy dostalem te fuche.**

**Faktycznie, to bedzie nasz problem, zwolnienia, pomyslal Charlie.**

**–Mysle, ze nic nam nie grozi. Jak mowi ksiega, to brudna robota, ale ktos musi ja wykonywac.**

**–Racja, racja. Czyli ten gliniarz, ktory strzelal do tej bogini seksu, nic nie zrobil?**

**–Nie, nie do konca. Najpierw wsadzil mnie do swojego samochodu i chcial ze mnie wyciagnac, co sie wlasciwie dzialo, kiedy tam przyszedl, i co sie dzialo przez te pare lat, kiedy mnie sledzil.**

**–I co mu powiedziales?**

**–Ze dla mnie to taka sama tajemnica, jak dla niego. – I uwierzyl?**

**–Nie. Ale uwierzyl, ze jesli powiem mu wiecej, to bedzie gorzej, wiec wymyslilismy historyjke, ktora uzasadniala uzycie broni. Jakis facet strzelil z pistoletu do mnie, a potem do niego. Rysopis i w ogole. A kiedy wszystko mielismy ustalone, zabral mnie na komisariat i spisalismy moje zeznanie.**

**–I juz cie wypuscil?**

**–Nie, potem opowiadal mi historie o swojej karierze i dziwnych zjawiskach, na jakie sie natknal, i dodal, ze z tego powodu zamierza mnie wypuscic. Facet to przypadek kliniczny. Wierzy w wampiry, demony i olbrzymie sowy. Mowil, ze kiedys zajmowal sie wezwaniem w sprawie ataku niedzwiedzia polarnego w Santa Barbara.**

**–No, no – powiedzial Vern. – Wywinales sie.**

**–Zadzwonilem do niego przed wyjazdem z miasta. Ma obserwowac moj dom, dopoki nie wroce, sprawdzi, czy u mojej corki wszystko w porzadku. – Charlie nie powiedzial Vernowi o piekielnych ogarach.**

**–Pewnie strasznie sie o nia martwisz – stwierdzil Vern. – Tez mam corke, chodzi juz do szkoly sredniej. Mieszka z moja byla zona w Phoenix.**

**–Tak, no to wiesz, jak to jest – powiedzial Charlie. – Wiec nigdy nie widziales tych mrocznych istot? Nie slyszales glosow z kanalow? Nic takiego?**

**–Nie. Nie tak, jak o tym opowiadasz. W Sedonie nie ma odplywow kanalizacyjnych. Mamy pustynie, przez ktora plyna rzeki.**

**–Aha, ale czy zdarzylo sie kiedys, ze nie wziales naczyinia duchowego?**

**–Tak, na poczatku, kiedy dostalem Bardzo wielka ksiega, myslalem, ze to zart. Nie ruszyłem**

**trzech albo czterech naczyn. – 1 nic sie nie stalo?**

**–No, nie powiedzialbym. Budzilem sie wczesnie, patrzylem na gore nad swoim domem i widzialem cien. Wygladal jak wielka plama oleju.**

**–Co w tym dziwnego?**

**–To, ze znajdowal sie po niewlasciwej stronie gory. Po tej samej, co slonce. A w ciagu dnia przesuwal sie w dol zbocza. Jesli nie patrzylo sie prosto na niego, nie bylo go widac. Obnizal sie nad miasto, godzina po godzinie. Pojechalem tam, dokad zmierzal, i czekalem.**

**–I co?**

**–Bylo slychac krakanie. Czekalem, az cien sie oddali. Poruszal sie tak wolno, ze ledwie go bylo widac, ale stawal sie glosniejszy, niczym wielkie stado wron. Wystraszyłem sie jak nie wiem co. Pojechalem do domu, sprawdzilem nazwisko, ktore zapisalem w nocy. Mieszkali w tej samej dzielnicy, w ktorej wczesniej bylem. Cien schodzil z gory po naczynie duchowe.**

**–I co? Wzial je?**

**–Chyba tak. Ja nie wzialem.**

**–I nic sie nie stalo?**

**–A tak, cos sie stalo. Nastepnym razem cien poruszal sie szybciej, jak gnana wiatrem chmura. Ruszyłem za nim i oczywiscie okazalo sie, ze zmierzal prosto do domu kobiety, ktorej nazwisko znalazlo sie w moim kalendarzu. Wlasnie wtedy zrozumialem, ze Bardzo wielka ksiega to nie brednie.**

**–Ale ten cien nigdy przyszedl po ciebie?**

**–Za trzecim razem – odparl Vern.**

**–To byl i trzeci raz?**

**–Tak. A moze ty na poczatku nie myslales, ze to wszystko stek bzdur?**

**–Dobra, slusnie – przyznal Charlie. – Przepraszam. Mow dalej.**

**–Za trzecim razem cien znizal sie z gory po drugiej stronie miasta, w nocy, podczas pelni. Tym razem bylo widac latajace w nim wrony. To znaczy nie bylo ich tak wyraznie widac, to byly raczej cienie. Wtedy niektorzy je zauwazyli. Znow wsiadlem do samochodu, wzialem swojego psa Scot-tiego. Juz wiedzialem, dokad to cos zmierza. Zatrzymalem sie niedaleko domu tego faceta, zeby go ostrzec. Nie wiedzialem jeszcze, ze wedlug ksiegi inni nas nie widza, inaczej poszedlbym po prostu po to naczynie duchowe. Tak czy owak, stanalem przed drzwiami, a cien zblizal sie przez ulice. Jego krawedzie wygladaly jak kruki. Scottie zaczal**

szczekac jak szalony i rzucił się na to coś. Dzielną piesek. Ale kiedy cień go dotknął, Scottie zawył i padł martwy. Tymczasem jakaś kobieta otworzyła drzwi. Zajrzałem do środka i zobaczyłem statuetkę, jakiegoś podrobionego Remingtona z brązu, na stoliku w przedpokoju za nią. Wyraźnie świeciła na czerwono. Miałem tę kobietę i wziąłem statuetkę. Wtedy cień wyparował. Tak po prostu, zniknął. Wtedy ostatni raz spoznilem się po naczyniu duchowe.

–Współczuje z powodu psa – powiedział Charlie. – Co powiedziałeś tej kobiecie? – 1 to jest właśnie zabawne. Nic jej nie powiedziałem. Ona powiedziała coś do meza w pokoju obok, a on się nie odezwał, więc pobiegła sprawdzić, co mu się stało. Nawet na mnie nie spojrzała. Okazało się, że facet miał atak serca. Zabrałem statuetkę, wróciłem po ciało Scottiego i odjechałem.

–Musiało być ciężko.

–Przez jakiś czas myślałem, że jestem Śmiercią, wiesz, kims szczególnym. Bo facet wykitował przy mnie, ale okazało się, że to tylko zbieg okoliczności.

–Tak, mnie też się to przydarzyło – odparł Charlie. Cały czas jednak niepokoiła go sprawa "wielkiej bitwy". – Vern, mogłbym zerknąć na twój egzemplarz Bardzo wielkiej księgi?

–Raczej nie. Prawde mówiąc, myślę, że powinniśmy się już pożegnać. To znaczy, jeśli Bardzo wielka księga mówi prawdę, a nie mam powodu uważać, że jest inaczej, to nie powinniśmy nawet rozmawiać.

–Ale ja mam inną wersję.

–Nie sądzisz, że istnieje jakiś powód? – spytał Vern. Z oczami powiększonymi przez grube okulary wyglądał przez chwilę jak szaleniec.

–No dobra – powiedział Charlie. – Ale napisz do mnie mejla, dobra? To nie powinno zaszkodzić.

Vern spojrzał w zamyszeniu do swojego kubka z kawą, zupełnie jakby opowiadając historie sypiącego z góry cienia przestraszył sam siebie. W końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się.

–Wiesz, to by mi się podobało. Przyda mi się parę wskazówek. A jeśli zaczniesz się dziwić coś dziwnego, to przestaniemy.

–Zgoda – powiedział Charlie.

Odprowadził Verna do samochodu zaparkowanego za rogiem domu jego matki i tam się pożegnali.

Jane czekała na niego przy drzwiach.

–Gdzie się podziewałeś? Potrzebuje samochodu, żeby kupić jej nic.



**–Przyniosłem paczki – oznajmił Charlie, chyba z przesadna duma.**

**–Ale to nie to samo, prawda?**

**–Jaka nic?**

**–Dentystyczna. Uwierzysz? Sluchaj, jesli na lozu smierci bede jeszcze uzywala nici dentystycznej, mozesz mnie nia udusic. Masz moje pozwolenie. A nawet polecenie.**

**–Dobra – odparl. – A poza tym wszystko u niej w porzadku?**

**Jane poszperala w torebce, znalazla papierosy i zaczela szukac zapalniczki.**

**–Jakby choroba dziasel stanowila w tym momencie zagrozenie. Cholera jasna! Zabrali mi zapalniczke na lotnisku?**

**–Nadal nie palisz, Jane – powiedzial. Uniosla wzrok.**

**–O co ci chodzi?**

**–O nic. – Podal jej kluczyki do samochodu z wypożyczalni. – Mozesz mi przy okazji kupic paste do zebow?**

**Zaprzestala poszukiwan zapalniczki i wrzucila papierosy z powrotem do torebki.**

**–Skad w tej rodzinie obsesja na punkcie higieny jamy ustnej?**

**–Zapomnialem zabrac.**

**–Dobra. – Zlapala kluczyki i wsunela torebke pod pache. Przykucnela i uniosla lustrzane okulary przeciwloneczne, ktore wraz z krotkimi, platynowymi wlosami i czarnym, pasiastym garniturem Charliego nadawaly jej wyglad cyborga-zabojcy z przyszlosci, gotowego stawic czolo trujacej atmosferze planety Duran Duran. – Upal jak skurwysyn, co?**

**Pokiwal glowa i znow uniosl pudelko z paczkami.**

**–Lukier sie rozpuscil.**

**–A- powiedziala Jane, znowu unoszac okulary. – Dzwonila Cassandra. Po twoim porannym telefonie zauwazyla twój kalendarz na szafce nocnej. Wlasciwie powiedziala, ze to Alvin i Mohammed ja tam zaciagnely. Pomyslala, ze moze ten kalendarz jest ci potrzebny.**

**–Co z Sophie? Wszystko w porzadku?**

**–Nie, porwali ja kosmici, ale najpierw chcialam ci przekazac zla wiesc, ze zapomniales kalendarza.**

**–Wiesz, właśnie dlatego mama się za ciebie wstydzi. Rozesmiała się.**

**–Wiesz co? Wcale nie. – Nie?**

**–Nie. Dzisiaj rano powiedziała, że zawsze wiedziała, kim jestem, i że zawsze mnie kochała.**

**–Wylegitymowałaś ją? W łóżku mamy leży oszustka!**

**–Zamknij się, to było miłe. I ważne.**

**–Pewnie mówi tak tylko dlatego, że umiera.**

**–Chociaż powiedziała, że byłoby lepiej, gdybym nie nosiła ciągle męskich garniturów.**

**–Nie jest osamotniona w tej opinii – stwierdził Charlie. Jane znowu przełączyła się na tryb bojowy.**

**–Zaczynam operację "nic". Zadzwoń do Cassandry.**

**–Dobra – zgodził się.**

**–A Buddy chce paczkę. – Otworzyła drzwi na oścież i wybiegła w skwar, wrzeszcząc niczym wiking podczas natarcia.**

**Charlie zamknął za nią drzwi, by nie wypuszczać ochłodzonego klimatyzacją powietrza, i patrzył przez okno, jak siostra pędzi przez ogródek, jakby stała w płomieniach. Dalej ujrzał czerwone skalne wzgórza, wyrastające z pustyni. Najwyraźniej biegła przez nie szczelina, której wcześniej nie zauważył. Znowu spojrzął i stwierdził, że to wcale nie szczelina, tylko podłużny, ostry cień.**

**Wybiegł na podjazd i popatrzył na położenie słońca, a potem na cień. Padal po złej stronie wzgórza. Na tym zboczu nie mogło być cienia, bo oświetlały go słoneczne promienie. Oslonił oczy i obserwował cień, aż wydało mu się, że w tym upale zaraz usmaży mu się mózg. Cień poruszał się, wolno, ale jednak, i to nie w sposób, w jaki zwykle poruszają się cienie. Zmierzał w wyraźnie określonym kierunku, na przekór słońcu, do domu jego matki.**

**–Mój kalendarz – powiedział Charlie. – Cholera.**

## **18. A TWOJA MAMA NIE ŻYJE**

**Ostatniego dnia Lois Asher się ożywiła. Po tym, jak przez trzy tygodnie nie mogła podejść do stołu na śniadanie ani iść do salonu, żeby popoglądać telewizję, teraz wstała i tańczyła z Buddym do starej piosenki Ink Spots. Była wesola i rozesmiana, zartowała z dziećmi i je przytulała. Zjadła czekoladowo-słazowy deser lodowy, po czym umyła zęby i użyła nici dentystycznej. Włożyła ulubioną srebrną biżuterię, a gdy nie mogła znaleźć indyjskiego naszyjnika, wzruszyła**

ramionami, jakby chodziło o drobiazg – widocznie gdzieś się zawieruszył. No, trudno. Charlie wiedział, co się dzieje, bo spotkał się z tym już wcześniej, a Buddy'emu i Jane wyjaśniła to Grace, pielęgniarka z hospicjum.

–To się często zdarza. Widziałam ludzi, którzy wychodzili ze śpiączki i śpiewali ulubioną piosenkę, i jedyne, co mogę wam radzić, to się tym cieszyć. Ludzie widzą światło i pokładają w nim nadzieję. Nie jest to oznaka poprawy zdrowia, tylko okazja, by się pożegnać. To dar.

Charlie zaobserwował też, że radosna atmosfera udziela się wszystkim łatwiej, jeśli weźmie choć niewielką dawkę leków, więc zapytał z Jane pigułki przedśmierne, które przepisał jej terapeutę, a Buddy'emu wstrzyknął trochę morfiny o przedłużonym działaniu. Leki i przebaczenie mogły zapewnić wesołe chwile z umierającym. Zupełnie jakby wracali do dzieciństwa. A ponieważ przyszłość się nie liczy – nie trzeba ich przygotowywać na życie, udzielać lekcji, klasnąć w głowę przydatnych mądrości – to z tych ostatnich chwil można czerpać całą radość i zachować ją w sercu. Była to najlepsza i najcudowniejsza chwila, jaką Charlie kiedykolwiek przeżył ze swoją matką, i z siostrą, i z Buddym, który przez te wspólne emocje też stał się dla nich rodziną.

Lois Asher położyła się do łóżka o dziewiątej i zmarła o północ.

–Nie mogę zostać na pogrzebie – oznajmił Charlie siostrze następnego ranka.

–Jak to nie możesz zostać na pogrzebie?

Wyjrzał przez okno na wielki cien, który podążał w dół zbocza w stronę domu jego matki. Widział, że krawędzie wibrują, jakby to było stado ptaków czy roj owadów. Wierzchołek cienia znajdował się najwyżej osiemset metrów od niego.

–Mam coś do zrobienia w domu, Jane. Zapomniałem o tym i naprawdę nie mogę zostać.

–Nie bądź taki tajemniczy. Co, do cholery, musisz zrobić, że nie możesz iść na pogrzeb własnej matki?

Charlie wyteżal swoją wyobraźnię samca beta, próbując na poczekaniu wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę. I wtedy w jego głowie zapaliła się lampka.

–Pamiętasz tę noc, kiedy mnie wysłałaś, żebym się z kims przespalił?

–Tak?

–No, to była przygoda, bez dwóch zdań. Ale kiedy poszedłem na szycie głowy, zrobili mi też badanie. Dzisiaj rozmawiałem z doktorem i muszę się poddać leczeniu. Natychmiast.

–Ty kretynie, nie namawiałam cię na niebezpieczny seks. Co ci odbiło?

–To był bezpieczny seks. – Ta, jasne, dodał w myślach, omal nie parszając śmiechem. – Lekarzy niepokoją skaleczenia. Ale jeśli szybko weźmie te lekarstwa, istnieje spora szansa, że nic mi nie będzie.

–Dadzą ci jakąś miksturę? Tak prewencyjnie?

Jasne, no właśnie, miksturę! – pomyślał. Z powagą pokiwał głową.

–No dobra, w takim razie jedź.

–Może zdąży wrócić na pogrzeb – powiedział. Czy to możliwe? W parę dni musiał znaleźć dwa naczynia duchowe i liczyć, że w kalendarzu nie pojawiły się nowe nazwiska.

–Zrobimy to za tydzień – zaproponowała Jane, odwracając się do niego plecami i ocierając łzy. – Jedź do domu, wykuruj się i wracaj. Buddy i ja wszystko pozalutujemy.

–Przepraszam – powiedział i objął siostrę.

–Tylko ty też mi nie umrzyj, palancie – rzuciła.

–Nic mi nie będzie. Wróce, kiedy się tylko da.

–Przywiez te grafitowe marynarki od Armaniego, włożę je na pogrzeb. I weź czarne czolnoki z klamerką od Cassie, dobrze?

–Ty? W czarnych czolnokach?

–Mama by sobie tego życzyła – odparła Jane.

Kiedy Charlie wylądował w San Francisco, odsłuchiwał w komorce cztery alarmujące wiadomości od Cassandry. Zawsze wydawała się taka spokojna, poukładana – stanowiła stabilną przeciwwagę dla napadów fantazji jego siostry. Przez telefon wydawała się istnym wrakiem człowieka.

–Charlie, uwiezili go i chcą go zjeść, a ja nie wiem co robić. Nie chcę dzwonić na policję. Odezwij się, jak wylądujesz.

Charlie dzwonił z lotniskowego mikrobusu przez całą drogę do miasta, ale ciągle przelaczało go na pocztę głosową. Kiedy wysiadł z mikrobusu przed swoim sklepem, usłyszał syczenie ze studzienki na rogu.

–Szkoda, że nie skończyliśmy, kochanku – wysyczał głos.

–Nie mam czasu – odparł Charlie, przeskakując nad krawężnikiem i wbiegając do sklepu.

–Nawet nie zadzwoniłeś – wymruczała Morrigan. Ray siedział za ladą i klikał na jakieś

azjatyckie slicznotki na ekranie komputera, gdy Charlie wparował do środka.

–Lepiej idź na górę – poradził Ray. – Tam odchodzi jakieś szalenstwo.

–Nie mów – powiedział Charlie, nie zatrzymując się. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Usiłował wsunąć klucz do zamka, gdy Cassandra otworzyła drzwi na oścież i wciągnęła go do mieszkania.

–Nie chce go puścić. Boję się, że go zjedzą.

–Kto? Co? To samo nagralas mi na pocztę. Gdzie Sophie? Cassie pociągnęła go do pokoju Sophie, a tam w drzwiach powitał go warczący Mohammed.

–Tata! – krzyknęła mała. Przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona. Mocno go wyciskała i czule pocałowała w policzek, zostawiając na nim czekoladowy odcisk ust. – Postaw mnie – poprosiła. – Postaw, postaw.

Charlie postawił ją na podłodze i Sophie wbiegła z powrotem do swojego pokoju, ale Mohammed nie pozwolił Charliemu wejść tam za nią. Wepchnął nos w jego koszulę, zostawiając czekoladowy odcisk wielkiego psiego nosa. Najwyraźniej pod nieobecność Charliego odbyła się tu czekoladowa orgia.

–Jego matka ma go odebrać o pierwszej – powiedziała Cassandra. – Nie wiem co robić.

Charlie wychylił się i zobaczył Sophie trzymającą reke na obroży Alvina, który straszyl małego chłopca, skulonego w kacie. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, ale najwyraźniej nie spotkała go żadna krzywda, zresztą wcale nie wydawał się taki przerażony. Trzymał pudełko Chrupkich Serowych Jaszczurek. Zjadał jedną, a potem drugą dawał Alwinowi, który ociekał piekielną psią sliną na buty malca, czekając na kolejny kasek.

–Kocham go – powiedziała Sophie. Podeszła do chłopca i pocałowała go w policzek, zostawiając smugę czekolady. Zresztą nie pierwsza. Wyglądało na to, że małe dziecko już od dłuższego czasu znosi umizgi Sophie, był bowiem pokryty czekoladą i pomarańczowymi okruchami Serowych Jaszczurek. – Chce go zatrzymać.

Chłopiec się uśmiechnął.

–Przyszedł się pobawić. Pewnie ustaliłeś to przed wyjazdem – wyjaśniła Cassandra. – Myślałam, że wszystko będzie w porządku. Próbowałam go stamtąd zabrać, ale psy nie chciały mnie wpuścić. Kiedy powiemy jego matce?

–Chce go zatrzymać. – I głosny calus.

–Ma na imię Matthew – powiedziała Cassie.

**–Znam jego imie. Chodzi z Sophie do szkoły. Charlie ruszył do pokoju. Mohammed zablokował drzwi.**

**–Matty, wszystko gra? – spytał Charlie.**

**–Mhm – powiedział umazany czekolada, chrupkami i psia slina dzieciak.**

**–Chce, zeby zostal, tato – oznajmila Sophie. – Alvin i Mohammed tez tego chca.**

**Pomyslal, ze moze nie byl dosc konsekwentny w wyznaczaniu granic swojej corce. Po tym, jak stracila matke, nie mial serca, by mowic jej "nie". A teraz brala zakladnikow.**

**–Kochanie, Matty'ego trzeba umyc. Niedlugo przyjdzie po niego mama, zeby mogl sie stresowac we wlasnym domu.**

**–Nie! Jest moj.**

**–Skarbie, powiedz Mohammedowi, zeby mnie wpuscil. Jesli nie umyjemy Matty'ego, nie bedzie mogl wrocic.**

**–Moze spac w twoim pokoju – odparla Sophie. – Zaopiekuje sie nim.**

**–Nie, mloda damo, powiedz Mohammedowi, zeby...**

**–Musze zrobic siusiu – powiedzial Matthew. Wstal i przemaszerowal obok Alvina, który ruszył za nim, później przeszedł pod Mohammedem i, minawszy Charliego i Cassandre, zniknął w łazience. – Czesc – rzucil po drodze. Zamknal drzwi i uslyszeli dzwoneczek.**

**Alvin i Mohammed przepchnely sie przez drzwi i czekaly pod lazienka.**

**Sophie usiadla ciezko, rozrzucajac nogi, z dolna warga wysunieta na podobienstwo plugu w lokomotywie. Jej ramiona zaczely drzec, potem Charlie uslyszal pociagniecie nosem, jakby oszczedzala oddech. Po chwili rozlegl sie szloch i poplynely lzy. Charlie podszedl do niej i wzial ja na rece.**

**–Ja... ja... ja... ja... on... on... on... on...**

**–W porzadku, kochanie. W porzadku.**

**–Ale ja go kocham.**

**–Wiem, skarbie. Wszystko bedzie dobrze. Pojdzie do swojego domu, a ty go mozesz dalej kochac.**

**–Nieeeeeeeeeeeeeeeeeee...**

**Wcisnela buzie w jego marynarkę. Choc krajalo mu sie serce, myslal tez o tym, ile Trojpalczasty Wu zazyczy sobie za usuniecie z marynarki plam z czekolady.**

**–Pozwolily mu isc siusiu – powiedziala Cassandra, wlepiajac wzrok w piekielne ogary. – Tak po prostu. Myslam, ze go zjedza. Nie pozwalaly mi do niego podejsc.**

**–W porzadku – odparl Charlie. – Nie wiedzialas.**

**–Czego nie wiedzialam?**

**–Ze uwielbiaja Chrupkie Serowe Jaszczurki.**

**–Zartujesz?**

**–Przepraszam. Sluchaj, Cassie, mozesz sie tym zajac, umyc Sophie i Matty'ego? Mam pewne pilne sprawy do zalatwienia.**

**–Jasne, ale...**

**–Sophie da sobie rade. Prawda, skarbie?**

**Sophie pokiwala ze smutkiem glowka i wytarla oczy w jego plaszcz.**

**–Tesknilam za toba, tato.**

**–Ja za toba tez, moja slodka. Wieczorem wroce do domu. Pocalowal ja, wzial kalendarz z sypialni i zaczal biegac po mieszkaniu, szukajac kluczykow, laski i torby.**

**–Dzieki, Cassie. Nie masz pojecia, jaki ci jestem wdzieczny.**

**–Przykro mi z powodu twojej matki – powiedziala Cassandra, gdy przechodzil.**

**–Tak, dzieki – odparl, w biegu sprawdzajac ostrze miecza w lasce. – Dobra, musze tez pozyczyc twoje czarne czolenka z klamerkami – oznajmil, zmierzajac ku drzwiom.**

**–Chyba wyrazilam sie jasno! – zawolala za nim Cassie.**

**Ray zatrzymal Charliego u stop schodow.**

**–Masz minutke, szefie?**

**–Nie bardzo, Ray. Spiesze sie.**

**–Chcialem tylko przeprosic.**

**–Za co?**

**–No, teraz wydaje się to głupie, ale tak jakby podejrzewałem cię, że jesteś seryjnym zbrojnicą.**

**Charlie pokiwał głową, jakby rozmyślał o poważnych konsekwencjach tego wyznania, podczas gdy w istocie próbował sobie przypomnieć, czy zatankował samochód.**

**–Dobra, Ray, przyjmuje przeprosiny i przykro mi, że wywołałem w tobie takie wrażenie.**

**–Chyba przez te wszystkie lata w policji stałem się podejrzliwy, ale przyszedł inspektor Rivera i trochę mi wytłumaczył.**

**–Naprawdę? A co dokładnie powiedział?**

**–Ze badasz dla niego pewne sprawy, chodzisz do miejsc, gdzie on nie mógłby wejść bez nakazu, i tak dalej. Ze obaj macie spore kłopoty, gdyby ktoś się dowiedział, ale ze dzięki temu przymykacie przestępców. Powiedział, że dlatego jesteś taki tajemniczy.**

**–Tak – odparł z powagą Charlie. – W wolnym czasie walczę z przestępczością, Ray. Przykro mi, że nie mogłem ci powiedzieć.**

**–Rozumiem – powiedział Ray, cofając się od schodów. – Jeszcze raz przepraszam. Czuję się jak zdrajca.**

**–W porządku, Ray. Ale naprawdę muszę już iść. Wiesz, walczyć z Siłami Ciemności i w ogóle. – Unosił łaskę, jakby to był miecz i jakby ruszał z nim do boju, co o dziwo odpowiadało prawdzie.**

**Charlie miał sześć dni na odnalezienie trzech naczyń duchowych, jeśli chciał zdążyć przed powrotem do Arizony na pogrzeb matki. Z dwoma z nich – nazwiskami, które pojawiły się w kalendarzu wraz z Madison McKerny – miał już duże opóźnienie. Ostatnie zaś pojawiło się zaledwie kilka dni temu, kiedy przebywał w Arizonie – a jednak było to wyraźnie jego własne, odreczne pismo. Zawsze sadył, że w jakiś sposób pisze przez sen, ale to, co teraz zobaczył, zupełnie zmieniałoby postać rzeczy. Postanowił, że wpadnie z tego powodu w przerażenie, gdy tylko będzie miał trochę czasu. Tymczasem przez niemal śmiertelnie niebezpieczną masturbację i całą sprawę ze śmiercią mamy, nie dokonał nawet wstępnych poszukiwań dwóch pierwszych osób, które nazywały się Esther Johnson i Irena Posokovanovich. W obu przypadkach data zabrania naczynia już minęła, w jednym aż trzy dni temu. Co będzie, jeśli harpie z kanałów dotarły tam przed nim? Stały się już bardzo silne i wolał nawet nie myśleć, do czego będą zdolne, jeśli dorwa kolejną duszę. Zastanawiał się nad telefonem do Rivery, by go osłaniał, kiedy Charlie wejdzie do domu. Ale co miał mu powiedzieć? Ten gliniarz o ostrych rysach wiedział, że dzieje się coś nadnaturalnego, i uwierzył Charliemu na słowo, że stoi po stronie dobra (nie było mu trudno uwierzyć, skoro widział, jak harpia z kanałów wtyka mu w nozdrze siedmiocentymetrowy pazur, a potem przeżywa trzy postrzały w korpus nabojami kalibru 9 milimetrów i odlatuje w swoją dal).**



**Charlie jechał bez konkretnego celu, kierując się ku Pacific Heights tylko dlatego, że w tę stronę panował mniejszy ruch. Podjechał do krawężnika i zadzwonił do biura numerów.**

**–Potrzebuje numeru i adresu niejakiej Esther Johnson.**

**–Nie mam Esther Johnson, proszę pana, ale trzy razy powtarza się E. Johnson.**

**–Może mi pani podać adres?**

**Podala mu dane dwóch osób, które miały adresy. Głos z taśmy zaproponował wykrecić za niego numer za dodatkową opłatą w wysokości pięćdziesięciu centów.**

**–Tak, a ile czasu się tam jedzie? – spytał Charlie komputerowego głosu. Potem zadzwonił do osoby bez adresu.**

**–Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Esther Johnson? – spytał pogodnym tonem.**

**–Nie ma tu żadnej Esther Johnson – odparł męski głos. – Obawiam się, że ma pan zły numer.**

**–Chwileczkę. Czy do niedawna, powiedzmy trzy dni temu, mieszkała tam Esther Johnson? – spytał Charlie. – Znalazłem w książce telefonicznej nazwisko E. Johnson.**

**–To ja – wyjaśnił mężczyzna. – Nazywam się Ed Johnson.**

**–Przepraszam, panie Johnson. Rozłączył się i wybrał kolejny numer.**

**–Halo – rozległ się kobiecy głos.**

**–Dzień dobry, czy mogłbym rozmawiać z Esther Johnson?**

**Głęboki wdech.**

**–A kto mówi?**

**Posłuchał się fortelem, który już wiele razy zdał egzamin.**

**–Mówi Charlie Asher z Komisu Ashera. Trafiło do nas trochę rzeczy sygnowanych nazwiskiem Esther Johnson i chcemy się upewnić, czy nie są kradzione.**

**–Przykro mi, ale ciotka zmarła trzy dni temu.**

**–Bingo! – wykrzyknął Charlie.**

**–Słucham?**

**–Przepraszam – odparł. – Mój wspólnik gra w loterie zdrażki i właśnie wygrał dziesięć**

tysięcy dolarów.

–Panie Asher, to nie jest odpowiedni moment. Czy te rzeczy, które do pana trafiły, są wartościowe?

–Nie, to tylko trochę starych ubran.

–To może innym razem, co? – W głosie kobiety było słychać nie tyle smutek, ile udreke. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

–Nie, moje kondolencje – odparł.

Rozłączył się, sprawdził adres i ruszył w stronę Golden Gate Park i dzielnicy Haight.

Haight: mekka ruchu wolnej miłości w latach szesćdziesiątych, gdzie generacja beatników kształtowała dzieci-kwiaty, gdzie przyjeżdżały dzieciaki z całego kraju, by przeżywać odloty, wloty i upadki. Przyjeżdżały dalej, choć dzielnica na przemian podupadła i była odnawiana. Jadać przez Haight Street, między sklepami zielarskimi, wegetarianskimi restauracjami, hipisowskimi butikami, sklepami muzycznymi i kawiarniami, widział hipisów w różnym wieku, od piętnastu do siedemdziesięciu lat. Starzy, zebrzacy i rozdający ulotki, oraz młodzi – biali, nastoletni rastafarianie z dreadami, w zwiewnych spodnicach albo lnianych spodniach na sznurek, ze lśniącymi kolczykami w nosach i z wywołanym marihuana wyrazem zachwytu w nieobecnych oczach. Mijał epunów o brązowych zębach, szcękających na samochody, nieliczne kolczaste niedobitki ruchu punk, starych facetów w beretach i przechodniów, którzy wyglądali, jakby wyszli z klubu jazzowego w 1953 roku. Nie wyglądało to tak, jakby czas się tam zatrzymał. Raczej tak, jakby zegar w rozpaczli podniósł wskazówki i oznajmił: "Wszystko jedno! Zmywam się stąd!".

Dom Esther Johnson znajdował się tylko parę ulic od Haight. Charlie miał dość szczęścia, by znaleźć miejsce parkingowe w odległości dwudziestu minut piechotą. (Gdyby kiedyś miał okazję rozmawiać z odpowiedzialną za to osobą, zaproponowałby przyznanie Handlarzom Śmierci specjalnych przywilejów w zakresie parkowania; bo choć niewidzialność podczas zbierania naczyń duchowych wydawała się całkiem fajna, to jakieś odjazdowe tablice rejestracyjne ze Śmiercią albo "czarne" miejsca parkingowe byłyby jeszcze lepsze). Dom okazał się niewielkim bungalowem, niezwykle w tej okolicy, gdzie niemal wszystkie budynki miały trzy piętra i kolor, który najbardziej kontrastował z barwą sąsiednich domów. Właśnie tutaj Charlie nauczył Sophie kolorów, używając wielkich wiktoriańskich budynków w charakterze barwnych plansz.

–Pomarańczowy, tato, pomarańczowy.

–Tak, skarbie, ten pan wymiotował na pomarańczowo. Spójrz na dom, Sophie, jest fioletowy.

W okolicy nie brakowało robotników sezonowych, więc wiedział, że drzwi do domu pani

Johnson beda zamkniecie. Zadzwonil i probowac wsliznac sie do srodka czy czekac? Nie mogli sobie pozwolic na czekanie – harpie z kanalow syczaly do niego ze studzienki, gdy zblizal sie do domu. Zadzwonil i odsunal sie na bok.

Ladna brunetka okolo trzydziestki, w dzinsach i prostej bluzie, otworzyla drzwi, rozejrzala sie i powiedziala:

–Dzien dobry, moze w czyms pomoc?

Charlie omal nie wlecial przez okno do wnetrza. Obejrzal sie za siebie, po czym znow zwrocil wzrok na kobiete. Patrzyla prosto na niego.

–To pan dzwonil?

–Kto, ja? Tak – odparl. – Ja, eee... mowi pani do mnie, tak?

Kobieta cofnela sie od drzwi.

–Czym moze sluzyc? – spytala z nieco surowa mina.

–Przepraszam... Charlie Asher... Mam komis na North Beach, rozmawialismy przez telefon, zdaje sie.

–Tak. Ale mowilam panu, ze to nieistotne.

–Tak, tak, tak. Mowila pani, ale bylem w okolicy i pomyslam, no, ze zajrze.

–Mialam wrazenie, ze dzwoni pan ze sklepu. W piec minut przejechal pan przez cale miasto?

–No, tego, moja furgonetka jest jak sklep na kolkach.

–Czyli jest z panem ten czlowiek, ktory wygral na loterii?

–Tak, nie, zrezygnowal z pracy. Musialem go wykopac z samochodu. Wie pani, jacy sa ci nowobogaccy. Puszył sie jak paw. Kupi sobie pewnie kokaine i sprosi kilka prostytutek, a po weekendzie bedzie splukany. Dobrze, ze mam go z glowy, szczerze mowiac.

Kobieta cofnela sie jeszcze o krok i czesciowo przymknela drzwi.

–Dobrze, jesli ma pan te ubrania ze soba, chyba moze rzucic na nie okiem.

–Ubrania?

Wciaz nie mogl uwierzyc, ze brunetka go widzi. Wpadl jak sliwka w kompot. Nie zdobedzie naczynia duchowego, a potem – coz, nie chcial myslec, co potem.

–Ubrania, o których pan mowil, ze byc moze nalezaly do mojej ciotki. Moglabym je obejrzec.

–A, nie mam ich przy sobie.

Teraz przymknela drzwi na tyle, ze widzial tylko jedno niebieskie oko, koronke wokol dekoltu bluzki, guzik dzinsow i dwa palce u nogi (byla bosa).

–Moze lepiej niech pan przyjdzie innym razem. Probuje poukladac rzeczy ciotki, a robie to sama, wiec nie jest latwo. Mieszкала w tym domu przez czterdziesti trzy lata. Przerasta mnie to.

–Dlatego tu jestem – powiedzial Charlie, myslac: co ja, do cholery, wygaduje? – Robie to od lat, panno...

–Pani, scisle rzecz biorac. Pani Sarkoff.

–Coz, pani Sarkoff, czesto robie takie rzeczy. Czasami ciezko jest ulozyc rzeczy kochanej osoby, zwlaszcza jesli ta osoba dlugo mieszкала w jednym miejscu, tak jak pani ciotka. Przydaje sie pomoc kogos, kto nie ma do tych przedmiotow stosunku emocjonalnego. Poza tym potrafie stwierdzic, co jest cenne, a co nie.

Mial ochote przybic piatke sam ze soba, za to, ze wymyslil cos takiego na poczekaniu.

–Pobiera pan oplata za taka usluge?

–Nie, nie, nie, ale moge zaproponowac odkupienie rzeczy, ktorych chce sie pani pozbyc. Albo moze pani wstawic je do mojego sklepu w komis, jesli pani woli.

Elizabeth Sarkoff westchnela ciezko i zwiesila glowe.

–Jest pan pewien? Nie chce naduzywac panskiej uprzejmosci.

–Bedzie mi bardzo milo – odparl. Pani Sarkoff otworzyla drzwi na osciez.

–Dzieki Bogu, ze sie pan pojawil, panie Asher. Wlasnie przez godzine zastanawialam sie, ktore zestawy solniczek w ksztalcie slonikow wyrzucic, a ktore zachowac. Miala ich dziesiec! Dziesiec! Prosze wejsc.

Charlie, bardzo dumny z siebie, przeszedl przez drzwi. Szesc godzin pozniej, gdy brodzil po pas w porcelanowych figurkach krow, wciaz nie znalazlszy naczynia duchowego, cale zadowolenie mu minelo.

–Czula sie szczegolnie zwiazana z krowami?! – zawolal do pani Sarkoff, ktora stala w szafie wnekowej w sasiednim pomieszczeniu i sortowala kolejna sterte bibelotow.

–Nie sadze. Cale zycie mieszкала tutaj. Nie mam pewnosci, czy kiedykolwiek widziala krowe,

**nie liczac tych gadajacych, ktore reklamuja ser w telewizji.**

**–Super – mruknal Charlie.**

**Przeszukal kazdy centymetr mieszkania z wyjatkiem szafy, w ktorej pracowala Elizabeth Sarkoff. Kilka razy zagladal do srodka, omiatajac wzrokiem zawartosc szafy, ale nie zobaczyl nic, co swieciloby na czerwono. Zaczynal podejrzewac, ze albo sie spoznil, albo Zaswiatowcy dorwali naczynie, albo pochowano je razem z Esther Johnson.**

**Ruszyl na dol, do piwnicy, gdy zadzwonila jego komorka.**

**–Telefon Charliego Ashera – powiedzial.**

**–Charlie, mowi Cassie. Sophie chce wiedziec, czy zdazysz wrocic, zeby opowiedziec jej bajke na dobranoc i polozyc ja do lozka. Dalam jej kolacje i ja wykapalam.**

**Wbiegl po schodach i wyjrzal za okno. Zrobilo sie ciemno, a on nawet tego nie zauwazyl.**

**–Cholera, Cassie, przepraszam. Nie wiedzialem, ze juz tak pozno. Jestem u klientki. Powiedz Sophie, ze wroce, zeby polozyc ja do lozka.**

**–Dobrze, powiem – odparla Cassandra ze zmeczeniem w glosie. – Sluchaj, i moze posprzataj podloge w lazience. Musisz cos zrobic z tymi psami, pchaja sie z nia do wanny. W calym mieszkaniu sa slady mydlin z plynu do kapieli Mr Bubble.**

**–Lubia sie kapac.**

**–To milo, Charlie. Gdybym nie kochala twojej siostry, wynajelabym kogos, zeby polamal ci nogi.**

**–Moja mama dopiero co umarla, Cassie.**

**–Wykorzystujesz smierc swojej mamy? Teraz? Charlie Asher, ty...**

**–Musze konczyc – powiedzial. – Niedlugo wroce.**

**Cztery razy nacisnal klawisz rozlaczajacy rozmowe, a potem jeszcze raz, tak dla pewnosc. Cassandra jeszcze dwa dni temu byla taka urocza kobieta. Co sie dzialo z tymi ludzmi?**

**Wpadl do sypialni.**

**–Pani Sarkoff?**

**–Tak, wciaz tu jestem – dobiegl glos z szafy.**

**–Musze juz isc. Corka mnie potrzebuje.**

**–Mam nadzieje, ze wszystko w porzadku.**

**–Nic zlego sie nie stalo, po prostu nie bylo mnie przez pare dni. Jesli jeszcze potrzebuje pani pomocy...**

**–Nie, nie mialabym smialosci. Lepiej niech da mi pan kilka dni. Posortuje te rzeczy i przyniose czesc do panskiego sklepu.**

**–Oczywiscie. – Czul sie glupio, mowiac do szafy.**

**–Skontaktuje sie z panem, obiecuje.**

**Nie mial zadnego pomyslu, jak to dalej ciagnac. I musial isc do domu.**

**–No dobrze. To ja juz pojde.**

**–Dziekuje, panie Asher. Zycie mi pan uratowal.**

**–Nie ma za co. Do widzenia.**

**. Wyszedl, a drzwi frontowe zamknely sie za nim z trzaskiem. Wracajac do zaparkowanej furgonetki, uslyszal jakis ruch w dole ulicy – szelest pior, odlegle krakanie. A gdy dotarl do celu, okazalo sie oczywiscie, ze jego samochod odholowano.**

**Uslyszawszy szczek zamka, Audrey wrocila do szafy i odsunela wielkie kartonowe pudlo, odslanjajac stara kobiete, ktora spokojnie siedziala na skladanym krzeselku ogrodowym i robila na drutach.**

**–Juz poszedl, Esther. Mozesz wyjsc.**

**–Pomoz mi, moja droga, nie bardzo moge sie ruszyc.**

**–Przepraszam – powiedziala Audrey. – Nie mialam pojecia, ze zostanie tak dlugo.**

**–Nie rozumiem, czemu go w ogole wpuscilas – odparla Esther. Glos miala chrapliwy, ale juz wstala.**

**–Zeby mogl zaspokoic ciekawosc. Zobaczyc na wlasne oczy.**

**–A skad wzielas to nazwisko? Elizabeth Sarkoff?**

**–Moja nauczycielka z drugiej klasy. Pierwsze, co przyszlo mi do glowy.**

**–No, zdaje sie, ze dal sie nabrac. Nie wiem, jak ci dziekowac.**

**–Wroci. Wiesz o tym, prawda? – spytala Audrey.**

**–Mam nadzieje, ze niepredko – odparla Esther. – Naprawde musze isc przypudrowac nos.**

**–Gdzie to jest, kochanku? – wysyczaly siostry Morrigan ze studzienki przy Haight Street, obok miejsca, gdzie Charlie probowal zlapac taksowke. – Pograzasz sie, Mieso – dodal piekielny chor.**

**Charlie rozejrzal sie, by sprawdzic, czy nikt inny tego nie slyszal, ale przechodnie wydawali sie pochlonieci rozmowami, a ci, ktorzy szli samotnie, wpatrywali sie uwaznie w punkt na chodniku polozony o trzy metry przed soba. Obie strategie mialy na celu unikniecie kontaktu wzrokowego z zebrakami i szalencami, ustawionymi rzedem przy chodniku. Nawet szalency najwyrazniej nic nie slyszeli.**

**–Odpierdolcie sie – odparl Charlie wscieklym szeptem w strone kraweznika. – Jebane harpie.**

**–O, kochanku, jak slodko nas kusisz. Krew malej tez bedzie slodka!**

**Mlody bezdomny facet, siedzacy tuz obok na krawezniku, uniosl glowe i spojrzal na Charliego.**

**–Stary, popros w klinice, zeby podniesli ci dawke litu. Wtedy sobie pojda. Na mnie to podzialalo.**

**Charlie skinal glowa i dal tamtemu dolara.**

**–Dzieki. Sprobuje.**

**Rano bedzie musial zadzwonic do Jane, do Arizony, i dowiedziec sie, jaka droge pokonal cien w dol zbocza, o ile w ogole sie ruszyl. Dlaczego cos, co robil w San Francisco, mialoby wplywac na bieg zdarzen w Sedonie? Caly czas probowal sobie wmowic, ze tu nie chodzi o niego, a teraz wygladalo na to, ze jednak chodzi. "Luminatus powstanie w Miescie Dwoch Mostow" – powiedzial Vern. A czy w ogole mozna wierzyc przepowiedni kogos, kto ma na imie Vern? (Zapraszamy do Taniej Wyroczni Verna, Nostradamusa, ktory gwarantuje wam niska cene). To byl jakis absurd. Charlie musial podazac naprzod, robic co do niego nalezy i ze wszystkich sil starac sie zebrac naczynia duchowe. Gdyby tego nie robil, coz, Sily Ciemnosci powstalyby i zawladnely swiatem. I co z tego. Smialo, dziwki z kanalow! Wielka mi rzecz. Ale oto przemowil jego wewnetrzny samiec beta, gen, dzieki ktoremu tacy jak on przetrwali trzy miliony lat. "Sily Ciemnosci rzadzace swiatem? Kiepsko by bylo" – powiedzial gen.**

**–Tak uwielbiala zapach Pine-Sol – powiedziala trzecia tego dnia kobieta, ktora twierdzila, ze byla najlepsza przyjaciolka matki Charliego.**

**Na pogrzebie nie bylo tak zle, ale teraz trwalo spotkanie w budynku klubowym na pobliskim osiedlu seniora, gdzie mieszkal Buddy, zanim wprowadzil sie do matki. Oboje czesto tam wracali, by grac w karty i utrzymywac kontakt z dawna paczka Buddy'ego.**

–Przyniosles kanapki z mielonym miesem? – spytala najlepsza przyjaciolka numer trzy. Pomimo trzydziesto-pieciostopniowego upalu miala na sobie rozowy sweterek, ozdobiony krysztalowymi pudelkami. Wszedzie nosila tez na rekach nerwowego, czarnego pudla. Gdy rozmawiala z Charliem, pies, wykorzystujac jej niewage, lizal salatke ziemniaczana, ktora przyniosla. – Nie wiem, czy twoja matka kiedykolwiek jadla te kanapki. Zawsze widzialam ja tylko z koktajlem z burbona. Bardzo lubila te swoje drinki.

–To prawda – przytaknal Charlie. – Tez chyba zrobie sobie drinka.

Przylecial do Sedony tego ranka. Wczesniej spedzil noc w San Francisco, probujac znalezc dwa zalegle naczynia duchowe. Choc nie natrafil na nekrolog Esther Johnson, ladna brunetka w jej domu powiedziala mu, ze zmarla pochowano dzien po jego pierwszej wizycie w Haight. Zalozył wiec, ze naczynie duchowe znowu pogrzebano razem z nia. (Czy ta brunetka miala na imie Elizabeth? Oczywiscie, ze Elizabeth, sam siebie oszukiwal, udajac, ze zapomniał. Samce beta nie zapominaja imion pieknych kobiet. Charlie pamietal imie dziewczyny z rozkladowki pierwszego "Playboya", ktorego zwedzil z polki w sklepie taty. Pamietal nawet, ze najbardziej nie lubila brzydkiego oddechu, zlosliwych ludzi i ludobojstwa, i postanowila nigdy nie miec, nie byc ani nie popelnic zadnego z powyzzszych. Pamietal te rzeczy na wypadek, gdyby kiedyś przypadkiem ja spotkal, kiedy bedzie niedbale opalala biust na masce samochodu). Nie natrafil na zaden slad drugiej kobiety, Ireny Posokovanovich, ktora powinna byla umrzec juz wiele dni temu. Nie bylo nekrologu, nie bylo informacji w szpitalach, nikt nie mieszkal w jej domu. Zupelnie jakby wyparowala i zabrala naczynie duchowe ze soba. Zostal mu jeszcze pare tygodni, by dotrzec do trzeciej osoby z jego kalendarza, nie mial jednak pewnosci, przez co bedzie musial w tym celu przejsc. Ciemnosc narastala.

–Niewinne pogaduszki wcale nie staja sie bardziej niewinne, kiedy straci sie ukochana osobe, co? – powiedzial ktos obok niego.

Charlie odwrocil sie w kierunku glosu i ze zdziwieniem ujrzal Verna Glovera, niskiego Handlarza Smierci, ktory przezuwal surowke i fasolke.

–Dzieki, ze przyszedles – powiedzial odruchowo Charlie. Vern zamachal plastikowym widelcem.

–Widziales cien?

Charlie skinal glowa. Kiedy tego ranka dotarl do domu matki, cien ze wzgorza dotarl do ogrodka przed jej domem, a krzyki padlinozernych ptakow, ktore uwijaly sie na krawedzi cienia, staly sie ogluszajace.

–Nie mowiles, ze nikt inny go nie widzi. Dzwonilem do siostry z San Francisco, zeby spytac, czy sie przesunal. Ale ona nic nie zobaczyla.

–Przepraszam. Nie widza, przynajmniej na ile moglem to stwierdzic. Nie bylo go przez piec dni. Wrocil dzis rano.



**–Kiedy ja wrocilem?**

**–Chyba tak. To przez nas? Paczki, kawa i juz koniec swiata?**

**–Przegapilem dwie dusze tam u siebie – oznajmil Charlie, usmiechajac sie do pana w bordowym golfie, ktory, mijajac ich, polozyl reke na sercu w gescie wspolczucia.**

**–Przegapiles? Czy wzily je te... jak ty je nazywasz... harpie z kanalow?**

**–Mozliwe – odparl Charlie. – Ale cokolwiek sie dzieje, najwyrazniej podaza za mna.**

**–Przykro mi – powiedzial Vern. – Ale ciesze sie, ze pogadalismy. Nie czuje sie taki samotny.**

**–Ja tez – odrzekl Charlie.**

**–I wspolczuje z powodu matki – dodal szybko Vern. – Trzymasz sie?**

**–Jeszcze to do mnie nie dotarlo – powiedzial Charlie. – Chyba zostalem sierota.**

**–Sprawdze osobe, ktora przejmie naszyjnik – obiecal Vern. – Bede ostrozny.**

**–Dzieki – odparl Charlie. – Myslisz, ze mamy jakis wplyw na to, kto bierze dusze? Znaczy, naprawde. W Bardzo wielkiej ksiedze pisza, ze dusze trafiaja tam gdzie powinny.**

**–Chyba tak – powiedzial Vern. – Za kazdym razem, kiedy sprzedawalem naczynie, blask natychmiast znikal. Gdyby to nie byla wlasciwa osoba, to by tak nie bylo, prawda?**

**–Tak, chyba masz racje – stwierdzil Charlie. – Czyli jest w tym jakis porzadek.**

**–To ty jestes ekspertem – odparl Vern i nagle upuscil widelec. – Kto to jest? Ale laska.**

**–To moja siostra – wyjasnil Charlie.**

**W ich strone szla Jane. Miala na sobie dwurzedowa grafitowa marynarkę od Armaniego i czarne czolenska z klamerkami. Platynowe wlosy ulozyla za pomoca lakieru w fale w stylu lat trzydziestych. Wyplywaly spod czarnej czapeczki z woalka, zakrywajaca jej twarz do wysokosci ust, ktore lsnily niczym czerwone ferrari. Zdaniem Charliego wygladala jak zwykle, niczym skrzyzowanie robo-ta-zabojcy z postacią z ksiazki Seussa. Gdy jednak probowal zapomniec o tym, ze jest jego siostra, i lesbijka, i jeszcze jego siostra, ostatecznie byl w stanie przyznac, ze jej wlosy, usta i sam wzrost ktos moglby uznac za atrakcyjne. Zwlaszcza ktos taki jak Vern, ktory potrzebowalby sprzetu wspinaczkowego i maski tlenowej, by wejsc na kobiete o rozmiarach Jane.**

**–Vern, poznaj moja bardzo seksowna siostre, Jane. Jane, to jest Vern.**

**–Czesc, Vern. – Jane podala mu reke i Vern skrzywil sie pod jej usciskiem.**

**–Moje kondolencje – powiedział.**

**–Dziękuję – odparła Jane. – Znales naszą matkę? – Vern znalazł ją bardzo dobrze – powiedział Charlie. – Mama nawet wyraziła przed śmiercią życzenie, żeby Vern mógł ci kupić paczkę. Prawda, Vern?**

**Tamten pokiwał głową tak gwałtownie, że Charlie niemal słyszał trzask kręgów szyjnych.**

**–Przed śmiercią – potwierdził. Jane nie poruszyła się ani nie odezwała. Miała zasłonięte oczy, więc Charlie nie widział wyrazu jej twarzy, ale domyślał się, że próbuje wypalic mu dziury w aorticie swoim laserowym wzrokiem.**

**–Wiesz, Vern, byłoby cudownie, ale możemy odłożyć to na później? Dopiero pochowaliśmy moją matkę i muszę wyjaśnić parę rzeczy z bratem.**

**–W porządku – odparł Vern. – 1 to nie musi być paczek, jeśli dbasz o linię. Wiesz, sałatka, kawa, cokolwiek.**

**–Jasne – powiedziała Jane. – Skoro tego życzyła sobie mama. Zadzwoń. Charlie powiedział ci, że jestem lesbijka, prawda?**

**–O, Boże – jęknął Vern. Omal nie podskoczył z podniecenia, ale przypomniał sobie, że to stypa, a on otwarcie myśli o trojkacie z córką zmarłej.**

**–Przepraszam – pisnął.**

**–Na razie, Vern – powiedział Charlie, gdy siostra popchnęła go w stronę małej, klubowej kuchni. – Napisze do ciebie mejla w tej drugiej sprawie.**

**Gdy tylko znaleźli się w kuchni, Jane uderzyła Charliego w splot słoneczny, aż stracił dech.**

**–Co ci strzeliło do głowy? – syknęła. Odchyliła welon, by widział, jak jest wkurzona. Na wypadek, gdyby cios w bebech nie okazał się wystarczająco klarowny.**

**Charlie dyszał i śmiał się jednocześnie.**

**–Mama by sobie tego życzyła.**

**–Moja mama właśnie umarła, Charlie.**

**–Tak – przyznał Charlie. – Ale nie masz pojęcia, co przed chwilą zrobiłaś dla tego faceta.**

**–Naprawdę? – Jane uniosła brew.**

**–Na zawsze zapamięta ten dzień – powiedział Charlie. – Już nigdy nie będzie miał seksualnej fantazji, w której nie wystąpisz ty, zapewne w pożyczonych butach.**

**–I nie uważasz, że to straszne?**

**–No tak, jesteś moja siostra, ale dla Verna to ważny moment.**

**Skinela głowa.**

**–Dobry z ciebie chłopak, skoro tak dbasz o nieznajomego.**

**–Tak, no wiesz...**

**–Jak na ostatniego dupka! – dokoczyła Jane, ponownie zatapiając piasek w jego splocie słonecznym.**

**O dziwo, Charlie, z trudem łapiąc oddech, poczuł, że matka, niezależnie od tego, gdzie teraz przebywa, jest z niego zadowolona. Pa, mamó, pomyślał.**

## **CZESC TRZECIA**

### **POLE BITWY**

**Jutro się spotkamy, Śmierć i ja – I ona wbije swój miecz W tego, kto nie spi.**

**Dag Hammarskjöld**

### **19. WSZYSTKO GRA, DOPOKI NIE ZROBI SIĘ DZIWNIE**

#### **ALVIN I MOHAMMED**

Kiedy Charlie wrócił do domu z pogrzebu matki, w drzwiach powitały go dwa wielkie, pełne entuzjazmu psy. Nie musiały pilnować zakładnika Sophie, więc mogły okazać powracającemu panu całą pełnię swojego afektu i radości. Panuje powszechna opinia, odzwierciedlona także w regulaminie Amerykańskiego Towarzystwa Kynologicznego, że nie możesz się uważać za wydymanego przez psa, dopóki nie wydymają cię dwa blisko dwu-stukilowe ogary z piekła rodem (Artykuł 5, paragraf 7: Standardy dymania i ciągnięcia za dupę). Mimo że rano, przed wyjazdem z Sedony, Charlie użył supermocnego antyperspirantu, to z powodu powtarzających się dzgnięć dwóch wilgotnych psich członków nie czuł się już tak świeżo.

–Sophie, zabierz je. Zabierz je.

–Pieski tancza z tata! – Dziewczynka zachichotała. – Tancz, tatusiu!

Pani Ling zasłoniła jej oczy, by uchronić matkę przed ohydny widokiem ojca, wbrew woli oddającego się zoofilii.

–Idźcie myje rece, Sophie. Coś je, a tata robi brzydkie rzeczy z siksami.

Pani Ling mimowolnie oszacowała wartość sliskich, czerwonych psich członków, okładających oksfordzką koszulę właściciela budynku niczym gigantyczne, napędzane tłokami szminki. Zielaż z Chinatown zapłaciłby majątek za proszek pozyskany z zasuszonych penisów Alvina i Mohammeda. (Mężczyźni z jej ojczyzny byli zdolni do wszystkiego, by zwiększyć swoją potencję, włącznie z mieleniem zagrożonych gatunków i wsypywaniem ich do herbaty, podobnie jak niektórzy mieszkańcy Ameryki, wierzący, że najlepsza erekcja ma się po zasypaniu bombami paru tysięcy cudzoziemców). Wyglądało jednak na to, że może tylko pomarzyć o zdobyciu fortuny za zasuszone psie ptaszki. Pani Ling już dawno odpuściła sobie próby zdobycia kawałków ciała piekielnych ogarów po tym, jak próbowała załatwić Alvina mocnym i dzwecznym ciosem żelaznej patelni w czaszkę. Pies odgryzł patelnię od uchwytu, schrupał ją, rozsiewając kropelki psiej sliny i kawałki metalu, po czym usiadł i zaczął skamleć o dokładce.

–Proszę oblać je wodą! – wrzasnął Charlie. – Siad, pieski. Dobre pieski. O, fuj.

Rozpaczliwy krzyk mężczyzny skłonił panią Ling do działania. Poczekała na odpowiednią chwilę, po czym przemknęła obok wirującej piramidy ludzkich i psich mięśni, wybiegła na korytarz i pognęła po schodach na dół.

## LILY

Lily weszła po schodach i zatrzymała się na dywanie w korytarzu, widząc psy dosiadające Charliego.

–Oj, Asher, ty popaprancu!

–Na pomoc – jeknął Charlie.

Lily zdjela ze sciany gasnice, przyciagnela ja do drzwi, wyjela zawleczkę i zaczela obryzgiwac jej zawartoscia podskakujace trio. Dwie minuty pozniej Charlie lezal bez ruchu w lodowatej brei na progu, a Alvin i Mohammed zostaly zamkniete w jego sypialni, gdzie radosnie zuly wyczerpana gasnice. Lily zwabila je tam, gdy probowaly ugryzc strumien dwutlenku wegla. Najwyrazniej ta mrozna nowinka podobala im sie bardziej niz bzykanie Charliego na powitanie.

–W porzadku? – spytala Lily. Miala na sobie jeden ze swoich kucharskich fartuchow, a pod nim spodnice z czerwonej skory i wysokie do kolan buty na plaskiej podeszwie.

–To byl ciezki tydzien – powiedzial Charlie. Pomogla mu wstac, starajac sie nie dotykac wilgotnych plam na jego koszuli. Charlie wykonal kontrolowany upadek w kierunku kanapy. Podparla go przy ladowaniu, przez co znalazla sie w dosc niewygodnej pozycji, z jedna reka pod jego plecami.

–Dzieki – powiedzial Charlie. We wlosach i na rzesach wciaz mial szron po tym, jak go potraktowala gasnica.

–Asher – powiedziala Lily, starajac sie nie patrzec mu w oczy. – Nie czuje sie z tym dobrze, ale w zaistnialej sytuacji powinienam cos powiedziec.

–Dobrze, Lily. Chcesz kawy?

–Nie. Zamknij sie, prosze. Dziekuje. – Urwala i wziela gleboki wdech, ale nie wyciagnela reki spod plecow Charliego. – Przez lata byles dla mnie dobry i chociaz przed nikim bym sie do tego nie przyznala, pewnie nie skonczylabym szkoly ani nie wyszla na ludzi, gdyby nie ty.

Charlie wciaz probowal cos zobaczyc, mrugajac, by zrzucic z powiek krysztalki lodu, i dochodzac do wniosku, ze prawdopodobnie zamarzly mu galki oczne.

–To nic takiego – odparl.

–Prosze, prosze, zamknij sie – powiedziala. Kolejny gleboki wdech. – Zawsze porzadnie mnie traktowales, pomimo moich, nazwijmy to, kurewskich akcji i pomimo faktu, ze jestes jakimś mrocznym sluga smierci, i na pewno miales inne sprawy na glowie. Wspolczuje z powodu mamy.

–Dzieki – powiedzial Charlie.

–Biorac pod uwage, co slyszalam o twojej nocy przed smiercia mamy i w ogole, no i to, co tu dzisiaj widzialam, mysle... ze to jedyne sluszne wyjscie... zebym poszla z toba do lozka.

–Ze mna?

–Tak – odparla. – W imie wyzszezo dobra, chociaz jestes takim mlotkiem.

Charlie przekrecil sie na kanapie. Patrzyl na nia przez chwile, probujac sie zorientowac, czy

**nie robi go w konia, a potem, stwierdziwszy, że nie, powiedział:**

**–To bardzo miło z twojej strony i...**

**–Zadnych dziwactw, Asher. Musisz zrozumieć, że robię to tylko ze względu na ludzka przyzwoitość i współczucie. Możesz iść na dziwki na Broadway, jeśli chcesz poswirować.**

**–Lily, nie wiem, co...**

**–I nie w tylek – dodała.**

**Za kanapą rozległ się piskliwy, dziewczęcy chichot.**

**–Cześć, tato – powiedziała Sophie, wylaniając się zza oparcia. – Teskniałam za tobą.**

**Charlie unosił córkę ponad oparciem kanapy i dał jej głośnego całusa.**

**–Też za tobą tesknilem, skarbie. Sophie odepchnęła go.**

**–Dlaczego masz lukier na włosach?**

**–A, to... Lily musiała opryskać Alvina i Mohammeda lodem, żeby je uspokoić, i trochę poleciało na mnie.**

**–One też za tobą tesknily.**

**–Zauważyłem – odparł. – Kochanie, mogłabyś chwilę pobawić się w swoim pokoju? Muszę porozmawiać z Lily o ważnych sprawach.**

**–Gdzie pieski? – spytała dziewczynka.**

**–Mają kare w pokoju tatusia. Możesz iść się pobawić, a później zjemy trochę Serowych Jaszczurek?**

**–Dobrze – powiedziała Sophie, osuwając się na podłogę. – Pa, Lily. – Pomachała dziewczynie.**

**–Pa, Sophie – odparła Lily, która wydawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.**

**Sophie wyszła z pokoju w rytmie swojej nowej przyspiewki:**

**–I nie w tylek, i nie w tylek, i nie w tylek. Charlie odwrócił się do Lily.**

**–Ta piosenka na pewno ożywi pierwszą klasę panny Magnussen.**

**–Jasne, teraz wyszło trochę głupio – odparła Lily, zupełnie nieporuszona – ale kiedyś miała mi podziękować.**

**Charlie usiłował patrzeć na guziki swojej koszuli, jakby pograził się w myślach, ale zachichotał, spróbował się powstrzymać, co skończyło się krótkim parsknięciem.**

**–Jezu, Lily, jesteś dla mnie jak młodsza siostra. Nigdy bym nie mógł...**

**–Świetnie. Chce ci dać prezent, z czystego serca, a ty...**

**–Kawy, Lily – powiedział z westchnieniem. – Czy mogłabys mi zrobić kawę, zamiast iść ze mną do łóżka? A potem usiąść i pogadać ze mną, kiedy będę ja pił? Ty jedna wiesz, co się dzieje z Sophie i ze mną, a ja muszę to jakos poukładać.**

**–No, to pewnie potrwa dłużej niż pojscie z tobą do łóżka – odrzekła Lily, spoglądając na zegarek. – Zadzwoń do sklepu i powiem Rayowi, że przyjdzie trochę później.**

**–Doskonale – stwierdził Charlie.**

**–I tak chciałam się z tobą bzyknąć tylko w zamian za informacje o twojej robocie Handlarza Śmierci – przyznała, biorąc telefon z blatu.**

**Charlie znowu westchnął.**

**–Właśnie to muszę poukładać.**

**–Tak czy owak – powiedziała Lily – w kwestii tyłka jestem nieugięta.**

**Próbował z powagą pokiwać głową, ale znowu zaczął chichotać. Lily rzuciła w niego książką telefoniczną San Francisco.**

## **SIOSTRY MORRIGAN**

**–Ta dusza pachnie jak szynka – stwierdziła Nemain, marszcząc nos nad kawałem mięsa, który nabiła sobie na długi pazur.**

**–Chce trochę – oznajmiła Babd. – Dawaj. Chłasnęła mięso szponami, odcinając kawałek wielkości pieści.**

**Cała trojka siedziała w zapomnianej, głębokiej piwnicy pod Chinatown. Przycupnęły na kłodach drewna, które poczerniały w wielkim pożarze w 1906 roku. Macha, u której zaczęło się pojawiać perłowe przybranie głowy, jakie nosiła w kobiecej postaci, oglądała przy świetle świecy czaszkę jakiegoś małego zwierzęcia. Świecę zrobiła z tłuszczu zmarłych dzieci. (Macha zawsze była złota raczka, a dwie pozostałe zazdrościly jej zdolności).**

**–Nie rozumiem, dlaczego dusza jest w mięsie, ale nie w człowieku.**

**–I smakuje jak szynka, zdaje się – stwierdziła Nemain, plując dookoła świecącymi,**

**czerwonymi kawaleczkami duszy. – Macha, pamiętasz szynke? Lubimy ja?**

**Babd zjadła swój kawałek mięsa i wytarła szpony w pióra na piersi.**

**–Chyba szynka to nowosc – powiedziała. – Jak telefony komorkowe.**

**–Szynka to nie nowosc – odparła Macha. – To wiedzona wieprzowina.**

**–Nie – jeknęła z przerażeniem Babd.**

**–Tak – powiedziała Macha.**

**–To nie jest ludzkie mięso? Wiec jakim cudem jest w nim dusza?**

**–Dziękuję – odrzekła Macha. – Własnie to próbuje powiedzieć.**

**–Postanowiłam, że lubimy szynke – oznajmiła Nemain.**

**–Cos tu nie gra – powiedziała Macha. – To nie powinno być takie proste.**

**–Proste? – powtórzyła Babd. – Proste? Poswieciliśmy setki... nie, tysiące lat, żeby to osiągnąć. Ile tysięcy lat, Nemain? – Zerknęła na jadłowita siostrę.**

**–Wiele – odparła tamta.**

**–Wiele – powiedziała Babd. – Wiele tysięcy lat. To nie jest proste.**

**–Dusze przychodzą do nas bez ciała, bez złodziei dusz, to się wydaje zbyt proste.**

**–Mnie się podoba – stwierdziła Nemain.**

**Przez chwilę milczały. Nemain skubała świecąca dusze, Babd się stroszyła, a Macha oglądała zwierzęcą czaszkę, obracając ją w pazurach.**

**–Myśle, że to świstak – odezwała się Macha.**

**–Umiesz odróżnić szynke od świstaka? – spytała Nemain.**

**–Nie wiem – odparła Macha.**

**–Nie pamiętam świstaka – powiedziała Nemain. Babd westchnęła ciężko.**

**–Za dobrze nam idzie. Czy wy dwie kiedykolwiek myślicie o tym, jak już będziemy cały czas na Powierzchni i Ciemności wszystkim zapanować, no, wiecie, co wtedy?**

**–Jak to "co wtedy"? – zdziwiła się Macha. – Będziemy mieć kontrolę nad wszystkimi duszami, odwiedzać śmierć, kiedy zechcemy, aż zużyjemy całe światło ludzkości.**



**–Tak, wiem – powiedziała Babd – ale co wtedy? To znaczy, wiecie, kontrola i w ogole, wszystko fajnie, ale czy Orcus zawsze bedzie nam parskal i warczal nad uchem?**

**Macha odlozyla czaszke i usiadla na nadpalonej belce.**

**–O co chodzi?**

**Nemain usmiechnela sie, odslanjajac idealnie rowne zeby i nieco przydlugie kly.**

**–Teskni za tym chudym zlodziejem dusz z mieczem.**

**–Za Nowym Miesem? – Macha nie wierzyla wlasnym uszom, ktore staly sie widoczne dopiero kilka dni temu, gdy pierwsza darowana dusza trafila w ich szpony, wiec od jakiegos czasu ich nie testowala. – Lubisz Nowe Mieso?**

**–Ze lubie, to troche za mocno powiedziane – odparla Babd. – Mysle, ze jest interesujacy.**

**–Interesujacy w tym sensie, ze chcialabys ulozyc jego flaki w ciekawe wzorki na piasku?**

**–No, nie. Nie mam do tego takiej smykalki, jak ty. Macha popatrzyła na Nemain, ktora sie usmiechnela i wzruszyla ramionami.**

**–Mozemy chyba sprobowac zabic Orcusa, kiedy juz nastanie Ciemnosc – powiedziala.**

**–Mam troche dosyc tych jego kazan. I stanie sie nieznosny, jesli nie pojawi sie Luminatus. – Macha wzruszyla ramionami na znak, ze sie poddaje. – Pewnie, czemu nie.**

## **CESARZ**

**Cesarz San Francisco byl w kropce. Wyczuwal, ze w miescie dzieje sie cos bardzo zlego, ale nie mial pojecia co robic. Nie chcial niepotrzebnie niepokoic ludzi, ale nie chcial tez, by nie byli przygotowani na ewentualne niebezpieczenstwo. Uwazal, ze sprawiedliwy i dobry wladca nie powinien posluziwac sie strachem, by manipulowac ludem, wiec dopoki nie zyska dowodu, ze zagrozenie jest realne, kazde dzialanie byloby przestepstwem.**

**–Czasami – rzekl do Lazarusa, dostojnego golden retrievera – czlowiek musi zebrac w sobie cala odwage, by po prostu siedziec w miejscu. Jak bardzo ludzkosci zaszкодzilo mylenie ruchu z postepem, przyjacielu? Jak bardzo?**

**Widyl wazne dziwne rzeczy. Pewnego poznego wieczoru w Chinatown ujrzal smoka z mgly, sunacego przez ulice. Potem, ktoregos ranka, przy Boudin Bakery na Ghirardelli Square widzial, jak ze studzienki kanalizacyjnej wypelzlo cos podobnego do nagiej kobiety, umazanej olejem silnikowym, zlapalo na wpol opozniony kubek kawy z mlekiem ze smietnika, po czym znow zanurkowalo w kanale, dokladnie w chwili, gdy zza rogu wyjechal policjant na rowerze. Wiedzial, ze widzi te rzeczy, bo jest wzrażliwszy od innych ludzi i mieszka na ulicy, wiec**

wyczuwa najlżejsze zachodzące tam zmiany. A w dużej mierze także dlatego, że jest kompletnym, wyjącem do księżyca swirem. Żadna z tych rzeczy jednak nie zwalniała go od odpowiedzialności wobec poddanych ani nie uwalniała jego myśli od niepokojących zjawisk, które obserwował.

Wiewiorka w krynolinie działała Cesarzowi na nerwy, choć nie umiał właściwie powiedzieć, dlaczego. Lubił wiewiorki – często nawet brał żołnierzy do Golden Gate Parku, żeby za nimi gonili – ale wiewiorka chodząca w pozycji wyprostowanej i przeszukująca śmieci za ciastkarnią Empanada Emporium, w dodatku ubrana w różową suknię balową z osiemnastego wieku – no, to już było odrażające. Był pewien, że Bummer, zwinięty w kłębek i spiący w ogromnej kieszeni jego płaszcza, przyznałby mu rację. (Bummer, w głębi serca pies do polowania na szczury, miał niezbyt oświecony pogląd na współistnienie z każdym gryzoniem, a szczególnie żywcem zabranym z dworu Ludwika XVI).

–Nie chce krytykować – powiedział Cesarz – ale buty byłyby dobrym uzupełnieniem tego stroju, nie sądzisz, Lazarusie?

Lazarus, zazwyczaj tolerancyjny wobec wszelkich niebędących ciastkami stworzeń, dużych i małych, zawarczał na wiewiorkę, która miała najwyraźniej krótkie nogi, wystające spod sukni, co wydawało się, no wiecie, dość dziwne.

Zbudzony warczeniem Bummer wyłonił się z wełnianej sypialni niczym Grendel ze swojej kryjówki. Natychmiast zaniósł się apoplektycznym szczeniem, jakby chciał powiedzieć: "Ej, chłopaki, może nie zauważyliście, ale tam wiewiorka w sukni balowej grzebie w śmieciach, a wy tu sobie siedzicie, jak dwa betonowe lwy przed biblioteką!". Wyszczekawszy to zdanie, wystartował, jak porosnieta sierscia rakietą antywiewiorkowa, zdecydowana unicestwić wszystko, co przypomina gryzonia.

–Bummer! – zawołał Cesarz. – Czekaj.

Za późno. Wiewiorka próbowała uciec po ścianie ceglano-budynku, ale zaczepiła suknię o rynnę i spadła z powrotem do zaułka, dokładnie w chwili, gdy Bummer rozwinął pełną prędkość. Po chwili złapała niewielką deskę z polamanej palety i zamachnęła się nią na przesładowcę, który odskoczył w samą porę, by nie oberwać gwoździem w jedno ze swoich owadzych oczu. Rozległo się warczenie. W tym momencie Cesarz zauważył, że wiewiorka ma gadzkie łapy i pazury pomalowane na różowo, by pasowały do stroju.

–Czegoś takiego nie widuje się co dzień – stwierdził. Lazarus zaszczekał, potwierdzając jego słowa.

Wiewiorka upuściła deseczkę i ruszyła w stronę ulicy, poruszając się bardzo sprawnie na krótkich nogach i trzymając suknię w gadzich łapach. Bummer otrząsał się z szoku wywołanego widokiem uzbrojonej wiewiorki (coś podobnego napotkał tylko w psich koszmarach sennych, po tym, jak zjadł pizzę z chorizo, którą podarował im późnym wieczorem

hojny facet z pizzerii Dominos) i ruszył w pościg. Tuz za nim biegł Cesarz z Lazarusem.

–Nie, Bummer! – wolał Cesarz. – To nie jest zwykła wiewiorka.

Lazarus, jako że nie za bardzo umiał powiedzieć "no i dobra", zatrzymał się nagle i popatrzył na Cesarza. Wiewiorka wypadła z zaulka i pomknęła wzdłuż rynsztoka, poruszając się teraz na czterech łapach. Dotarłszy do rogu ulicy, Cesarz ujrzał malenka, różowa suknie, znikająca w studzińce kanalizacyjnej, podobnie jak nieustraszony Bummer. Słyszał dobiegające z odpływu echo szczekania, które coraz bardziej cichło, gdy terier gwał za swoją ofiarą w ciemność.

## RIVERA

Nick Cavuto usiadł naprzeciwko Rivery, stawiając przed sobą gulasz z bizona na talerzu o rozmiarach mniej więcej pokrywy pojemnika na śmieci. Poszli na lunch do Lokalu Tommy'ego, staromodnej jadalni przy Van Ness, gdzie codziennie serwowano potrawy w domowym stylu, na przykład mielone, pieczonego, faszerowanego indyka czy gulasz z bizona, a na telewizorze nad barem pokazywano drużyny z San Francisco, jeśli tylko rozgrywały jakiś mecz.

–Co? – spytał rosły gliniarz, gdy jego partner wywrócił oczyma. – Co, kurwa?

–Kiedys bizona prawie wyginęły – powiedział Rivera. – Miałes przodków na prerii?

–Specjalne policyjne porcje. Służba, ochrona i tak dalej wymagają białka.

–Ale żeby całego bizona?

–A czy ja krytykuje twoje hobby?

Rivera spojrzał na swoją połowę kanapki z indykiem i miseczkę zupy fasolowej, potem na gulasz Cavuto, potem na swoją niedźnią kanapkę, potem na kolosalny gulasz partnera.

–Mój lunch jest zakłopotany – powiedział.

–Dobrze ci tak. Zemsta za włoskie garnitury. Uwielbiam to, po każdym wezwaniu ludzie myślą, że to ja jestem ofiarą.

–Mogłbyś sobie kupić szybkowar albo ja mogłbym poprosić mojego znajomego, żeby znalazł ci ładne ubranie.

–Twojego znajomego seryjnego zbrojcy, właściciela komisur? Nie, dziękuję.

–Nie jest seryjnym zbrojcą. W jego życiu dzieją się dziwne rzeczy, ale nie jest zbrojcą.

–Tylko tego nam potrzeba, kolejnych dziwnych rzeczy. Co on tak naprawdę robił, kiedy była

**ta strzelanina?**

**–Tak jak mowilem, przechodzilem obok i zobaczyłem, że uzbrojony koles chce go obrobic. Wyciagnalem bron i kazalem mu przestac, on wycelowal we mnie, a ja strzelilem.**

**–Pieprzysz. W zyciu nie wystrzeliles jedenastu naboji, zeby dziewiecioma nie trafic w srodek tarczy. Co sie, kurwa, wydarzylo?**

**Rivera popatrzył na dlugi stol i upewnł sie, że trzech faceci siedzacy przy drugim koncu sa zajeci ogladaniem teleturnieju w telewizorze nad barem.**

**–Trafilem ja kazdym strzałem.**

**–Ja? To byla kobieta?**

**–Tego nie powiedzialem. Cavuto upuscil lyzke.**

**–Partnerze? Nie mow, że zastrzeliles te ruda? Myslalem, że juz po sprawie.**

**–Nie. To bylo cos nowego, jak... Nick, znasz mnie, nie strzelam bez potrzeby.**

**–Powiedz, co sie stalo. Przeciez cie kryje.**

**–To bylo jak kobieta-ptak albo cos takiego. Cala czarna. Znaczy sie, czarna, kurwa, jak smola. Miala szpony, ktore wygladaly jak, no nie wiem, jak kilkucentymetrowe srebrne oskardy czy cos. Moje naboje oderwaly od niej jakies kawalki, piora, czarna breje, to bylo wszedzie. Dostala dziewiec razy w tors i odleciala.**

**–Odleciala?**

**Rivera popijal kawe, obserwujac reakcje partnera znad krawedzi kubka. Podczas wspolnej pracy przezyli troche niezwyklych rzeczy, ale nie byl pewien, czy sam uwierzylby w te historie, gdyby odwrocic sytuacje.**

**–Tak, odleciala. Cavuto pokiwal glowa.**

**–Dobra, rozumiem, czemu nie chciales napisac o tym w raporcie.**

**–Wlasnie.**

**–Wiec ta kobieta-ptak – powiedzial Cavuto, jakby to mieli juz ustalone, uwierzyl i co dalej? – obrabiala tego Ashera z komisu?**

**–Walila mu konia.**

**Cavuto pokiwal glowa, podniosl lyzke, zagarnal spora ilosc gulaszu i ryzu. Zujac, wciaz kiwal**

głowa. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem szybko wziął kolejny kęs, chyba po to, żeby się powstrzymać. Najwyraźniej skupił się na teleturnieju i bez słowa dokonał lunch. Rivera także w milczeniu zjadł zupę i kanapkę. Gdy wychodzili, Cavuto wyjął dwie wykalaczki z pojemnika przy kasie i podał jedną partnerowi. Wyszli w światło pięknego dnia.

–Wiec śledziles Ashera?

–Chcialem go mieć na oku. Na wszelki wypadek.

–I strzelales do niej za to, że walila facetowi konia? – spytał w końcu Cavuto.

–Na to wygląda – odparł Rivera.

–Wiesz, Alphonse, właśnie dlatego nie spędzam z toba wolnego czasu. Masz pojebany system wartości.

–To nie był człowiek, Nick.

–Wszystko jedno. Walenie konia? I za to zabić? No, nie wiem...

–Nie zabiłem jej.

–Dziewiec kulek w piers?

–Widziałem ją... to... wczoraj w nocy. Na swojej ulicy. Obserwowała mnie ze studzienki kanalizacyjnej.

–Przyszło ci do głowy, żeby spytać Ashera, skąd zna latajaca, kuloodporna kobieta-ptaka?

–Tak, przyszło, ale nie mogę ci powiedzieć, co od niego usłyszałem. To zbyt pokręcone.

Cavuto wyrzucił ręce w górę.

–Ślodki Jezu z odświeżacza na błękitnej wodzie w sedesie! Bo się jeszcze zrobi, kurwa, pokręcone, a tego byśmy nie chcieli, co?

## LILY

Pili po drugim kubku kawy i Charlie zdążył powiedzieć Lily o dwóch nieznanym naczyniach duchowych, o spotkaniu z harpią z kanałów, o cieniu zsuwającym się ze wzgórza w Sedonie i o innej wersji Bardzo wielkiej księgi Śmierci, a także o swoim strasznym problemie z coreczką, która potrafiła zabijać słowem "kotek", a oprócz tego nie odstępowały jej na krok dwa olbrzymie psy. Według Charliego, Lily zareagowała nie na tę część opowieści, co trzeba.

–Spiknales się z demonem z Zaswiatów, a ja nie jestem dla ciebie dość dobra?

**–To nie są zawody, Lily. Możemy o tym nie rozmawiać? Wiedziałem, że nie powinienem ci o tym mówić. Martwia mnie inne sprawy.**

**–Chcę szczegółów, Asher.**

**–Lily, dżentelmeni nie dzielą się szczegółami swoich przygód miłosnych.**

**Lily zaplotła ręce na piersi i przybrała pozę zniesmaczonego niedowierzania, wyjątkowo wymowną pozę, zanim bowiem się odezwała, Charlie już wiedział, co usłyszy.**

**–A gówno. Ten glina wywalil w nią cały magazynek, a ty chcesz bronić jej honoru?**

**Charlie uśmiechnął się tesknie.**

**–Wiesz, przeżyliśmy chwilę...**

**–O, Boże, ty dziwkarzu jeden!**

**–Lily, niemożliwe, żeby dotknęła cię moja... moja reakcja na twoją hojną i, powiem szczerze, bardzo kuszącą propozycję. Ojejku.**

**–To dlatego że jestem zbyt zwawa, tak? Nie dość mroczna dla ciebie? W końcu jesteś panem Śmierci i w ogóle.**

**–Lily, ten cień w Sedonie szedł po mnie. Kiedy wyjechałem z miasta, zniknął. Harpia z kanałów przyszła po mnie. Ten drugi Handlarz Śmierci powiedział, że jestem inny. Pozostałym nigdy nie zdarzały się przypadki śmierci wynikające z ich obecności, tak jak mnie.**

**–Czy właśnie powiedziałeś do mnie "ojekku"? A co ja, mam dziewięć lat? Jestem kobieta...**

**–Myślę, że mogę być Luminatusem, Lily. W końcu się zamknęła.**

**Uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć "nie". Charlie pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć "tak".**

**–Wielka Śmierć?**

**–Przez duże S.**

**–Zupełnie nie masz kwalifikacji – stwierdziła Lily.**

**–Dzięki, teraz mi lepiej.**

## **MINTY FRESH**

**Minty zawsze czuł się niepewnie pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią morza, zwłaszcza**

jesli cala noc pil sake i sluchal jazzu, a tak wlasnie bylo. Siedzial w ostatnim wagonie ostatniego pociagu metra wyjezdajacego z Oakland i mial caly wagon dla siebie, niczym prywatna lodz podwodna plynaca pod zatoka – dzwiek saksofonu tenorowego pobrzmiwal mu w uszach niczym sonar, a pol tuzina przesiaknietych sake, pikantnych rolek z tunczykiem, lezalo w jego zoladku jak bomby glebinowe. Spedzil wieczor przy Embarcadero, w Satos, japonskiej restauracji i klubie jazzowym. Sushi i jazz, dziwna para, ozeniona za sprawa przypadku i ucisku. Zaczelo sie w Fillmore, ktore przed II wojna swiatowa bylo dzielnica japonska. Kiedy Japonczykow wyslano do obozow internowania, a ich domy i majatki sprzedano, czarni, ktorzy przyjechali do pracy w stoczniach przy budowie pancernikow i niszczycieli, zamieszkali w opuszczonych budynkach. Wraz z nimi przyszedl jazz. Przez lata Fillmore stanowilo centrum sceny jazzowej w San Francisco, a Bop City przy Post Street byl najwazniejszym klubem jazzowym. Gdy wojna dobiegla konca i Japonczycy wrocili, wieczorami czesto mozna bylo ujrzec japonskie dzieci stojace pod oknami Bop City i sluchajace takich slaw, jak Billie Holiday, Oscar Peterson czy Charles Mingus. Byly swiadkami, jak sztuka powstaje i rozplywa sie po ulicach San Francisco. Sato byl jednym z tych dzieci. Nie chodzilo tylko o historyczny zbieg okolicznosci, jak tlumaczyl Minty'emu Sato pewnego poznego wieczoru, gdy muzyka sie skonczyla, a sake dodawala mu elokwencji. Chodzilo o postawe filozoficzna. Jazz to sztuka zen, lapiesz? Kontrolowana spontanicznosc. Jak malarstwo tuszem sumie, jak haiku, jak lucznictwo, jak kendo – jazz nie byl czymś, co sie planowalo, lecz czymś, co sie robilo. Cwiczyles, odgrywales gamy, uczyles sie akordow, a potem wkladales cala swoja wiedze i wszystkie uwarunkowania w dana chwile.

–A w jazzie kazda chwila jest jak kryzys – Sato zacytowal Wyntona Marsalisa – i wykorzystujesz wszystkie swoje umiejetnosci, by zniesc ten kryzys. Jak szermierz, lucznik, poeta i malarz. Wszystko jest na miejscu, bez przyszlosci, bez przeszlosci, tylko dana chwila i to, jak sobie z nia radzisz. Tak rodzi sie sztuka.

A Minty, ogarniety potrzeba ucieczki od swojego zycia Smierci, wsiadl do metra do Oakland, by znalezc chwile, w ktorej moglby sie ukryc, nie zalujac przeszlosci i nie bojac sie przyszlosci, tylko czyste "tu i teraz" w dzwieku saksofonu tenorowego. Ale sake, zbyt duzy ciezar nadciagajacej przyszlosci i zbyt duzo wody nad glowa sprowadzily melancholie, chwila minela, i Minty czul niepokoje. Sprawy przybraly zly obrot. Nie zdolal odnalezc dwoch ostatnich naczyn duchowych, pierwszy raz w karierze, i zaczynal widziec czy slyszec efekty. Glosy z kanalow, donosniejsze i liczniejsze niz kiedykolwiek, szydzily z niego. Jakis ruch w srod cieni, ledwo dostrzegalny katem oka, poruszajace sie, szeleszczace ciemne obiekty, ktore znikaly, jesli spojrzalo sie prosto na nie. Sprzedal nawet trzy plyty z regalu z naczyniami duchowymi tej samej osobie, co tez nigdy mu sie nie zdarzylo. Z poczatku nie zauwazyl, ze to ta sama kobieta, ale gdy wszystko zaczelo sie sypac, twarze pojawily sie w jego pamieci i zdal sobie z tego sprawe. Za pierwszym razem byla mniszka, jakiegos rodzaju buddyjska mniszka, odziana w zloto-bordowe szaty, z krociutkimi wlosami, jakby ogolono jej glowe, a teraz wlosy odrastaly. Zapamietal, ze oczy miala blekitne jak krysztal, rzecz niezwykla u kogos o tak ciemnej karnacji. A w glebi tych oczu czail sie usmiech, ktory wywoływal wrazenie, ze dusza znalazla swoje miejsce, dobry dom na wyzszym poziomie. Drugi raz zobaczyl ja pol roku pozniej. Miala

na sobie dzinsy i skorzana kurtke, a także nieco bezładna fryzura. Wziła płytę CD z regalu z napisem "po jednej sztuce na klienta", album Sarah McLachlan, który sam by dla niej wybrał, gdyby go poprosiła, i ledwie zauważył jej jasne, błękitne oczy, myślał raczej o tym, że gdzieś już widział ten uśmiech. Później, w zeszłym tygodniu, znowu przyszła, z włosami do ramion, w długiej spodnicy i spiętej pasek, muslinowej koszuli w poetyckim stylu – niczym uciekinierka z festiwalu renesansowego, co nie byłoby niczym niezwykłym w Haight, ale w Castro raczej stanowiło rzadkość. Tak czy owak, zupełnie nie zwrócił na to uwagi, do chwili gdy podeszła, by zapłacić, i zerknęła znad okularów przeciwsłonecznych, odliczając pieniądze z portfela. Znowu te błękitne oczy, elektryczne i niezupełnie tym razem uśmiechnięte. Nie wiedział co robić. Nie miał dowodu, że była mniszka i laska w skorzanej kurtce, ale wiedział, że to ona. Zebrał wszystkie swoje umiejętności, by poradzić sobie z tą sytuacją i nawalil.

–Wiec lubi pani Mozarta? – spytał.

–To dla przyjaciółki – powiedziała tylko tyle.

Z powodu tego prostego stwierdzenia postanowił nie stawiać jej czoła. Naczynie duchowe miało trafić do prawowitego właściciela, prawda? Nigdzie nie napisano, że miał mu je sprzedać bezpośrednio. To było tydzień temu i od tamtej pory glosy, szelesty i cienie, ogólnie biorąc groźna atmosfera – wszystko to trwało niemal bez ustanku. Minty Fresh większą część swego dorosłego życia spędził samotnie, ale nigdy wcześniej nie odczuwał tej samotności aż tak dogłębnie. Dziesięć razy przez kilka ostatnich tygodni kusilo go, by zadzwonić do innych Handlarzy Śmierci pod pretekstem ostrzeżenia ich o swoim niepowodzeniu, ale głównie po to, by po prostu pogadać z kims, kto miał jakieś takie pojęcie o tym, jak wygląda jego życie.

Wyciągnął długie nogi przez trzy siedzenia wagonu, aż do przejścia, po czym zamknął oczy i oparł głowę o okno, czując w ogolonej potylicy rytmiczny stukot wagonu. O, nie, to się nie mogło udać. Za dużo sake, poczuł zawroty głowy. Gwałtownie unosił głowę i otworzył oczy, a potem przez drzwi na końcu wagonu zauważył, że dwa wagony dalej w pociągu zapadł mrok. Wyprostował się i patrzył, jak światła gasną w kolejnym wagonie – nie, to nie światła gasły. Ciemność wypełniała wagon niczym gaz, odbierając całą energię światła.

–O, cholera – powiedział Minty do pustego wagonu.

Nie mógł nawet wstać w metrze, ale wstał, trochę przygarbiony, z głową w suficie, zwrócony ku nadciągającej ciemności. Drzwi na końcu wagonu otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Kobieta. No, niezupełnie kobieta. Raczej cien kobiety.

–Ej, kochanku – powiedziała niskim, jakby przydymionym głosem.

Słyszał już kiedyś ten głos. Albo podobny. Ciemność otoczyła dwie lampy podłogowe w odległym krancu wagonu, pozostawiając tylko jasniejącą sylwetkę kobiety, metalowy refleks na tle czystej czerni. Minty nie pamiętał, by odczuwał strach kiedykolwiek od czasu, gdy został Handlarzem Śmierci. Ale teraz się bał.



**–Nie jestem twoim kochankiem – powiedział Minty głosem tak spokojnym, jak saksofon basowy, nie okazując nawet cienia leku. Każda chwila to kryzys, pomyślał.**

**–Kto raz miał czarnego, już nie chce innego – powiedziała, robiąc krok w jego kierunku. Nie było widać nic poza jej niebiesko-czarnym konturem.**

**Wiedział, że parę metrów za nim znajdują się drzwi, zamknięte potężnym mechanizmem hydraulicznym, i że prowadzi do ciemnego tunelu pięćdziesiąt metrów pod zatoką, że śmiercionośna elektryczna szyna – ale z jakiegoś powodu perspektywa wydawała się teraz całkiem zachęcająca.**

**–Miałem czarnych – stwierdził Minty.**

**–Nie miałes, kochanku. Miales różne odcienie brązu, ciemna czekolada, może kawę, ale, słowo daje, czarnego nie. Bo po czarnym już nigdy nie będziesz miał nic innego.**

**Patrzył, jak się do niego zbliża – płynie – a z jej palców wyrastają długie, srebrne szpony, polyskujące w słabym blasku lamp ewakuacyjnych, ociekające czymś, co parowało w zetknięciu z podłogą. Po obu jego stronach rozległo się szuranie, coś szybko poruszało się w ciemnościach.**

**–Dobrze powiedziane – rzekł Minty.**

## **20. ATAK KROKODYLOWATEGO**

**W mieszkaniu nastąpiła brutalnie gorąca noc i wszyscy pootwierali okna. Z dachu po drugiej stronie zaułka szpieg widział małą dziewczynkę, chlapiącą radosnie wodą w wypełnionej pianą wannie. Dwa wielkie psy siedziały przy samej wannie, zlizując szampon z jej rąk, bekając bankami mydłanymi i wywołując piski radości.**

**–Sophie, nie karm piesków mydłem, dobrze? – dobiegł z innego pomieszczenia głos właściciela sklepu.**

**–Dobrze, tato. Nie będę. Nie jestem dzieckiem, wiesz – powiedziała, wylewając sobie na dłoń więcej szamponu o zapachu truskawek i kiwi, i podsuwając go jednemu z psów do zlizania.**

**Obłok pachnących baniek wyleciał z pyska bestii i między kratami w oknach unosił się w nieruchomym powietrzu nad zaułkiem. Ogary stanowiły problem, ale jeśli szpieg zdola wszystko zgrać w czasie, poradzi sobie z nimi i bez przeszkód przedostanie się do dziecka.**

**W przeszłości był zbrojnym, ochroniarzem, kick bokserem, a ostatnio certyfikowanym instalatorem izolacji z włókna szklanego – te umiejętności mogły mu się bardzo przydać w obecnej misji. Miał pysk krokodyla – sześćdziesiąt osiem ostrych zębów i oczy, które błyszczały jak czarne szklane paciorki. Jego rece były łapami drapieżcy, zbrojnymi w zakrzywione pazury pokryte skorupą zakrzepniętej krwi. Miał na sobie czarny jedwabny smoking, nie nosił jednak butów – palce jego nóg były połączone błoną jak u wodnego ptaka i**

mialy pazury do wygrzebywania zdobyczy z blota. Zrolowal duzy perski dywan przy krawedzi dachu i czekal. Potem, dokladnie zgodnie z planem, uslyszal:

–Skarbie, ide wyniesc smieci, zaraz wroce.

–Dobrze, tato.

Zabawne, jak zludzenie bezpieczenstwa powoduje lekkomyslnosc, pomyslal szpieg. Nikt nie zostawilby malej dziewczynki w wannie bez opieki, ale towarzystwo dwoch psich ochroniarzy sprawialo, ze nie byla bez opieki, prawda? Czekal, az wlasciciel sklepu wyloni sie zza stalowych drzwi na dole z dwoma workami smieci. Przez chwile wydawal sie zaskoczony faktem, ze smietnik, zazwyczaj znajdujacy sie tuz za drzwiami, zostal przesuniety o pare metrow w dol zaulka, ale wzruszyl ramionami, kopniakiem otworzyl drzwi na osciez, a gdy pneumatyczny cylinder powoli, z sykiem zaczal zamykac je z powrotem, mezczyzna ruszyl do smietnika. W tej wlasnie chwili szpieg zrzucil dywan z dachu. Dywan rozwinal sie, spadajac cztery pietra w dol. Uderzyl wlasciciela sklepu z donosnym loskotem i obalil na ziemie. W lazience dwa wielkie psy ozywily sie. Jeden zaszczekal ostrzegawczo. Szpieg mial juz w kuszy pierwszy belt. Teraz wypuscil go – syknela nylonowa linka i pocisk uderzyl z halasem w dywan, przebil go na wylot i wbil sie w lydke mezczyzny, skutecznie przyszpilajac go do dywanu, a zapewne takze do ziemi. Wlasciciel sklepu krzyknal. Wielkie psy wypadly z lazienki. Szpieg zaladowal kolejny belt, przymocowany do drugiego konca nylonowej linki, przyczepionej do pierwszego, po czym przestrelil nim inna czesc dywanu ponizej. Mezczyzna krzyczal dalej, ale przykryty wielkim dywanem nie mogl sie ruszyc. Gdy szpieg ladowal trzeci pocisk, ogary wybiegly przez drzwi do zaulka. Trzeci belt nie byl przymocowany do linki, lecz mial dziwna, szpiczasta koncowke z tytanu. Szpieg wycelowal w pneumatyczny cylinder przy drzwiach i te zamknely sie z trzaskiem, chwytajac ogary w pulapke w zaulku. Cwiczyl to w glowie setki razy i wszystko szlo teraz zgodnie z planem. Drzwi wejsciowe do sklepu i budynku mieszkalnego zostaly posmarowane superklejem, zanim wszedl na dach – nie bylo latwo zrobic to niezauwazenie. Czwartym strzałem wbil belt w rame nad oknem korytarza. Kraty w oknie lazienki byly zbyt waskie, wiedzial jednak, ze wlasciciel na pewno zostawil otwarte drzwi do mieszkania. Przyczepil karabinczyk do nylonowej linki i bezglosnie zjechal po niej na parapet okna. Odpial sie od linki, a potem przecisnal miedzy pretami i opadl na podloge w korytarzu. Trzymal sie blisko scian, stawiajac ostrozne, przesadnie dlugie kroki, by pazurami nie drapac wykladziny. Wyczuwal zapach gotowanej cebuli, dochodzacy z mieszkania obok, i slyszal dziecięcy glos, ktory dobiegal zza drzwi w dole korytarza, wyraznie lekko uchylonych.

–Tato, moge juz wyjsc! Tato, moge juz wyjsc!

Przystanal przy drzwiach i zajrzal do srodka. Wiedzial, ze dziecko zacznie krzyczec na jego widok – ostre zeby, pazury, zimne, czarne oczy. Postara sie, by te krzyki trwaly bardzo krotko, ale nikt nie mogl zachowac spokoju w obliczu jego przerazajacego wygladu. Oczywiscie, ow przerazajacy efekt byl czesciowo oslabiony faktem, ze mial tylko trzydziesci piec centymetrow wzrostu. Popchnal drzwi, ale gdy wszedl do mieszkania, cos chwycilo go od tylu i poderwalo w gore. Pomimo szkolenia i umiejetnosci skradania sie, krzyknal niczym plonaca, drewniana

kaczka. Ktos zalal superklejem zamek w tylnych drzwiach i Charlie zlamal klucz, probujac go otworzyc. Z nogi sterczala mu jakas strzala na lince. Bolalo jak diabli, w bucie zbierala sie krew. Nie wiedzial, co sie stalo, ale wiedzial, ze nie jest dobrze, zwlaszcza ze piekielne ogary podskakiwaly i skamlaly.

Zaczal tluc w drzwi piesciami.

–Otworz te cholerne drzwi, Ray! Ray otworzyl.

–Co?

Psy zwalily ich obu z nog, przeciskajac sie przez drzwi. Charlie zerwal sie i pokustykal za nimi po schodach. Ray poszedl w jego slady.

–Charlie, krew ci leci.

–Wiem.

–Czekaj, ciagniesz za soba jakas linke. Odetne ja.

–Ray, musze isc...

Zanim Charlie zdolal skonczyc zdanie, Ray wyciagnal scyzoryk z tylnej kieszeni, otworzyl go i przecial nylonowa linke.

–Nosilem go w pracy do przecinania pasow bezpieczenstwa i tym podobne.

Charlie skinal glowa i ruszyl po schodach. Sophie stala w kuchni, owinieta zielonym recznikiem kapielowym, z nasmarowanymi szamponem wlosami wciaz sterczacymi na glowie. Wygladala jak pomniejszona, namydlona wersja Statuy Wolnosci.

–Tato, gdzie byles? Chcialam wyjsc.

–Wszystko w porzadku, kochanie? – Ukleknal przed nia i wygladzil recznik.

–Potrzebowalam pomocy przy splukiwaniu. To twoje zadanie, tato.

–Wiem, kochanie. Okropny ze mnie ojciec.

–W porzadku – powiedziala Sophie. – Czesc, Ray. Ray docieral wlasnie do szczytu schodow, trzymajac zakrwawiona strzale na koncu linki.

–Charlie, miales to w nodze.

Charlie odwrocil sie i pierwszy raz spojrzal na swoja lydke, po czym usiadl na podlodze, przekonany, ze zaraz zemdleje.

**–Moge ja sobie wziac? – spytala Sophie, podnoszac strzale.**

**Ray wzial z blatu scierke do naczyn i przycisnal do rany szefa.**

**–Przytrzymaj. Zadzwonie pod dziewiecset jedenascie.**

**–Nie, nic mi nie jest – odparl Charlie, teraz niemal pewien, ze zacznie wymiotowac.**

**–Co tam sie stalo? – spytal Ray.**

**–Nie wiem, bylem...**

**Ktos w budynku zaczal krzyczec, jakby smazono go w oleju. Ray otworzyl szerzej oczy.**

**–Pomoz mi wstac – poprosil Charlie.**

**Przebiegli przez mieszkanie i wypadli na korytarz – krzyki dobiegaly z klatki schodowej.**

**–Dasz rade? – spytal Ray.**

**–Idz. Idz. Jestem obok. – Charlie oparl sie o jego ramie i skakal za nim po schodach.**

**Ostre wrzaski dochodzace z mieszkania pani Ling przerodzily sie w blagania po angielsku, okraszone mandaryn-skimi przeklenstwami.**

**–Nie! Siksy! Ratunku! Precz! Ratunku!**

**Charlie i Ray zastali drobniutka, chinska matrone oparta o kuchenke. Wymachiwala tasakiem w kierunku Alvina i Mohammeda, starajac sie nie dopuscic ich blizej, podczas gdy psy szczekaly, wypuszczajac przy tym salwy baniek o zapachu truskawek i kiwi.**

**–Ratunku! Siksy chca zabrac kolacje – powiedziala pani Ling.**

**Charlie ujrzal na kuchence parujacy garnek, z ktorego wystawala para kaczych pletw.**

**–Pani Ling, czy ta kaczkma ma spodnie?**

**Szybko zerknela na garnek, po czym odwrocila sie z powrotem i zamachnela tasakiem na piekielne ogary.**

**–Mozliwe – odparla.**

**–Spokoj, Alvin. Spokoj, Mohammed – nakazal Charlie, a ogary zupełnie go zignorowaly. Odwrocil sie do Raya. – Ray, moglbys isc po Sophie?**

**Byly gliniarz, ktory uwazal sie za pana kazdej chaotycznej sytuacji, powiedzial: -He?**

–Nie odpuszcza, dopoki Sophie im nie kaze. Idz po nia, dobrze? – Charlie zwrocil sie do pani Ling: – Sophie je zaraz zawola. Przepraszam.

Pani Ling patrzyła na swoja kolacje. Tasakiem probowala wepchnac kacze pletwy do rosolu, ale bez skutku.

–To stary chinski przepis. Nie mowimy o nim Bialym Diablom, bo wy go popsuja. Pan slyszy o kurczaku zawijanym w papier? Ta kaczką zawijana w spodnie.

Piekielne ogary zawarczaly.

–Na pewno jest pyszna – powiedzial Charlie, opierajac sie o lodowke, by nie runac na podloge.

–Pan krwawi, panie Asher.

–Zgadza sie – odparl.

Przyszedl Ray, niosac Sophie zawijana w recznik. Postawil ja na podlodzie.

–Dzien dobry, pani Ling – powiedziala Sophie, po czym wyswobodzila sie z recznika, podeszla do ogarow i zlapala je za obroze. – Nie oplukalyscie sie – powiedziala.

A potem, golusienka, z rogami z wlosow sterczacymi z glowy wyprowadzila psy z mieszkania pani Ling.

–Eee, ktos cie postrzelil, szefie – stwierdzil Ray.

–Zgadza sie – przyznal Charlie.

–Powinien zbadac cie lekarz.

–Zgadza sie – odparl Charlie. Oczy uciekly mu w glab glowy i osunal sie po lodowce pani Ling.

Noc spedzil na ostrym dyzurze w szpitalu St. Francis Memorial, czekajac, az go opatrza. Ray Macy byl przy nim caly czas. Gdy Charlie sluchal krzykow i jekow innych czekajacych pacjentow, po jakims czasie odrazajaca i natretna won wymiotow zaczela na niego dzialac. Kiedy zrobil sie zielony, Ray sprobował wykorzystac swoj status bylego gliniarza, by dogadac sie z przelozona pielegniarek, ktora znal w poprzednim zyciu.

–Mocno oberwal. Nie mozesz go gdzieś wcisnac? To porzadny facet, Betsy.

Siostra Betsy usmiechnela sie (stosowala te mine, zamiast mowic ludziom, zeby sie odpieprzyli) i rozejrzala sie po poczekalni, by zyskac pewnosc, ze nikt nie zwraca na nich szczegolnej uwagi.

**–Mozesz podprowadzić go do okna?**

**–Jasne – odparł Ray. Pomógł Charliemu wstac z krzesla i zaciagnal go pod male, kuloodporne okno. – To jest Charlie Asher – wyjasnil Ray. – Moj przyjaciel.**

**Charlie popatrzył na niego.**

**–Znaczy, moj szef – poprawil sie szybko Ray.**

**–Panie Asher, umrze mi pan tutaj?**

**–Mam nadzieje, ze nie – odparl Charlie. – Ale lepiej spytac kogos, kto dysponuje wieksza wiedza medyczna.**

**Siostra Betsy usmiechnela sie.**

**–Postrzelono go – wyjasnil Ray, jakby byl jego adwokatem.**

**–Nie widzialem, kto strzelal – dodal Charlie. – Tajemnicza sprawa.**

**Pielegniarka oparla sie o okno.**

**–Wie pan, ze musimy zgłaszac wladzom kazdy postrzal z broni palnej. Na pewno nie woli pan porwac jakiegos weterynarza, zeby pana pozszywal?**

**–Podejrzewam, ze moje ubezpieczenie tego nie pokrywa – powiedzial Charlie.**

**–Poza tym to nie byl postrzal z broni palnej – uzupełnil Ray. – To byla strzala.**

**Siostra Betsy pokiwała glowa.**

**–Moge zobaczyc?**

**Charlie zaczął podwijac nogawke spodni i postawil noge na parapecie niskiego okienka, ale pielegniarka ja zepchnela.**

**–Na litosc boska, niech inni nie widza, ze patrze.**

**–Au, przepraszam.**

**–Jeszcze krwawi?**

**–Nie, chyba nie.**

**–Boli?**

**–Jak skurwysyn.**

**–Duży skurwysyn czy mały skurwysyn?**

**–Rozmiar XL – odparł Charlie.**

**–Ma pan uczulenie na jakies srodki przeciwbolowe? – Nie.**

**–Na antybiotyki? – Nie.**

**Siostra Betsy siegnela do kieszeni kitla i wyciagnela garosc pigulek, wybrala dwie okragle i jedna podluzna, po czym podala je przez okienko.**

**–Moca darowana mi przez swietego Franciszka z Asyzu oglaszam, ze od tej chwili nic pana nie boli. Te okragle to percocet, a ta podluzna to ciprio. Wpisze to do panskiej karty. – Zerknela na Raya. – Wypelnij za niego papiery. Za pare minut bedzie zbyt zakrecony, zeby to zrobic.**

**–Dzieki, Betsy.**

**–Jesli do tego sklepu, w ktorym pracujesz, przyjda jakies torebki od Gucciego albo od Prady, sa moje.**

**–Nie ma sprawy – zapewnil Ray. – Charlie jest wlascicielem tego sklepu.**

**–Powaznie?**

**Charlie pokiwal glowa.**

**–Premia – powiedziala. Polozyla na polce jeszcze jedna pigulke. – Dla ciebie, Ray.**

**–Nic mnie nie boli.**

**–Poczekacie sobie tu troche. Wszystko sie moze zdarzyc. – Usmiechnela sie, zamiast mowic mu, by sie odpieprzyl.**

**Godzine pozniej papierkowa robota byla juz zalatwiona, a Charlie siedzial w krzesle z wlokna szklanego w pozycji, ktora wydawala sie mozliwa tylko pod warunkiem, ze jego kosci zmienily sie w gabke.**

**–Tutaj zabili Rachel – powiedzial.**

**–Tak, wiem – odparl Ray. – Przykro mi.**

**–Ciagle za nia tesknie.**

**–Tak, wiem – powiedzial Ray. – Jak noga?**

**–Ale dali mi Sophie – ciagnal Charlie, ignorujac pytanie. – Wiec, wiesz, to bylo dobre.**

**–Tak, wiem – powtorzyl Ray. – Jak sie teraz czujesz? – Troche sie martwie, ze przez dzieciństwo bez matki Sophie nie bedzie dosc wrażliwa.**

**–Swietnie sobie z nia radzisz. Ale jak sie czujesz fizycznie?**

**–Na przyklad to, ze zabija ludzi, po prostu na nich patrzac. To nie moze byc dobre dla dziewczynki. Moja wina, to wszystko moja wina.**

**–Charlie, czy boli cie noga? – Ray postanowil nie brac tabletki przeciwbolowej, ktora dala mu Betsy, i teraz tego zalowal.**

**–A ta sprawa z piekielnymi ogarami. Ktore dziecko musi zyc z czymś takim? To nie moze byc zdrowe.**

**–Charlie, jak sie czujesz?**

**–Troche chce mi sie spac – odparl Charlie.**

**–Straciles sporo krwi.**

**–Ale jestem odprezony. Wiesz, uplyw krwi odpreza. Myslisz, ze dlatego w sredniowieczu przystawiali pijawki? Moze uzywali ich zamiast lekow uspokajajacych? "Tak, Bob, zaraz przyjde na spotkanie, tylko czekaj, przystawie sobie pijawke, jestem dzis troche nerwowy".**

**–Fajnie to wymysliles. Chcesz troche wody?**

**–Dobry z ciebie facet, Ray. Mowilem ci to kiedys? Nawet jesli na wakacjach seryjnie mordujesz zdesperowane Filipinki.**

**–Co?**

**Siostra Betsy podeszla do okienka.**

**–Asher! – zawolala.**

**Ray popatrzyl na nia blagalnie i kilka sekund pozniej wyszla przez drzwi z wozkiem.**

**–Jak tam nasz pacjent, ktory nie czuje bolu?**

**–Boze, jest strasznie denerwujacy – odparl Ray.**

**–Nie wziales swojego lekarstwa, prawda?**

**–Nie lubie prochow.**



**–Kto tu jest pielegniarka, Ray? To jest krag lekow, nie tylko pacjent, ale i wszyscy wokol niego. Nie ogladales "Krola Lwa"?**

**–Tego nie bylo w "Krolu Lwie". Tam byl krag zycia.**

**–Serio? Czyli caly czas zle spiewalam te piosenke? Ha! Chyba ten film jednak mi sie nie podoba. Pomoz mi wsadzic pana, ktorego nic nie boli, na wozek. Przed sniadaniem bedzie w domu.**

**–Dotarliśmy tu w porze kolacji – przypomniał Ray.**

**–No i widzisz, jaki jesteś bez leków?**

**Charlie wrócił ze szpitala z piankowym gipsem i kulami. Pigulki przestały działać i znowu odczuwał ból. Głowa mu pulsowała, jakby lada chwila miała z niej wyskoczyć para małych Obcych. Pani Korjev wyszła z jego mieszkania i przyparła go do ściany w korytarzu.**

**–Charlie Asher, musimy pogadać. Poprzedniej nocy widzę moja mała Sophie. Biegnie obok mojego mieszkania mokra i namydlona jak niedziedz, ciągnie dwa wielkie czarne psy i śpiewa "nie w tylek". W starym kraju mamy na to dobre słowo. To słowo brzmi "paskudne". Mam jeszcze numer do obrońców praw dziecka z czasów, kiedy moi chłopcy byli chłopcami.**

**–Namydlona jak niedziedz?**

**–Niech pan nie zmienia tematu. To paskudne.**

**–Tak, ma pani rację. Przepraszam. To się już nie powtórzy. Zostałem postrzelony i nie myślałem jasno.**

**–Pan jest postrzelony?**

**–W nogę. To powierzchowna rana. – Charlie całe życie czekał, by wypowiedzieć te słowa, i czuł się teraz bardzo meski. – Nie wiem, kto do mnie strzelił. Tajemnicza sprawa. Zrzucili też na mnie dywan.**

**Dywan w pewnym sensie ujmował całej historii część męskiego aspektu. Charlie postanowił od tej pory o tym nie wspominać.**

**–Pan wchodzi. Zje śniadanie. Sophie nie chce jeść tostów, które robi Vladlena. Mówi, że surowe i mają zarazki.**

**–Moja krew – powiedział Charlie.**

**Gdy tylko Charlie stanął w drzwiach, chcąc ratować córkę przed tostowymi patogenami, Mohammed chwycił w zęby koniec jednej z jego kul i zaciągnął podskakującego mężczyznę do sypialni.**

–Czesc, tato – powiedziala Sophie, gdy ojciec ja mijal. – W domu nie wolno skakac – dodala.

Mohammed popchnal glowa nieszczesnego samca beta w kierunku kalendarza. Pod dzisiejsza data widnialy dwa nazwiska, co nie bylo szczegolnie niezwykle. Niezwykly byl fakt, ze te nazwiska pojawily sie juz wczesniej: Esther Johnson i Irena Posokovanovich – dwa naczynia duchowe, ktorych nie zdolal zabrac.

Usiadl na lozku i zaczal sobie masowac skronie, probujac wepchnac zadajacych bol Obcych z powrotem. Jak sie do tego zabrac? Czy te nazwiska beda sie pojawiały dopoty, dopoki nie zdobedzie naczyn duchowych? Z lalka do rzniecia nic takiego nie nastapilo. Czemu teraz bylo inaczej? Bez watpienia robilo sie coraz gorzej – teraz do niego strzelano. Charlie wziął telefon i wybral numer Raya Macy'ego. Ray potrzebował czterech dni, by wrocic do Charliego z raportem. Informacje zdobył w trzy dni, ale chcial miec calkowita pewnosc, ze srodki przeciwbolowe zupełnie przestaly dzialac i Charlie nie bedzie sie juz zachowywal jak szaleniec, nawijajac przez cala noc, ze jest wielka smiercia "przez duze S". Ray miał tez poczucie winy, ukrywal bowiem przed szefem lamanie pewnych przepisow w sklepie. Spotkali sie na zapleczu w srode rano, przed otwarciem sklepu. Charlie zrobil kawe i usiadl przy biurku, by moc na nim oprzec nogi. Ray z kolei przycupnal na pudlach z ksiazkami.

–No dobra, wal – powiedzial Charlie.

–Po pierwsze, znalazlem jeszcze trzy belty z kuszy. Dwa mialy zabkowane stalowe groty, tak jak ten, ktorym dostales w noge, a jeden mial tytanowy szpic. Ten ostatni tkwil w pneumatycznym spowalniaczu do drzwi na zaplecze.

–Nie obchodzi mnie to, Ray. Co z tymi dwiema kobietami?

–Charlie, ktos strzelil do ciebie ze smiertelnie groznej broni. A ciebie to nie obchodzi?

–Zgadza sie. Nie obchodzi. Tajemnicza sprawa. Wiesz, co lubie w tajemnicach? Ze sa tajemnicze.

Ray miał na glowie czapke druzyny Giants i odwrocil ja tyl na przod dla podkreslenia swoich slow. Gdyby nosil okulary, toby je zdjal, ale nie nosil, wiec tylko zmruzył oczy.

–Przykro mi, Charlie, ale ktos chcial jednoczesnie wygonic z domu ciebie i psy. Zrzucili na ciebie ten dywan z dachu po drugiej stronie. A potem, kiedy byles unieruchomiony, a psy wybiegly na dwor, strzelili do spowalniacza w drzwiach, zeby sie zatrzasnely. Uszkodzili zamek w tylnych drzwiach, a przednie przykleili do oscieznicy, pewnie jeszcze zanim zaczeli akcje z dywanem. Potem zjechali po linie do okna w korytarzu, przecisneli sie przez kraty i... no, dalej nie bardzo wiadomo.

Charlie westchnal.

–Nie powiesz mi o kobietach, dopoki nie skonczysz, prawda?

**–Doskonała organizacja. To nie był atak na chybil trafil.**

**–Na oknie w korytarzu sa kraty, Ray. Nikt nie wejdzie. I nikt nie wszedl.**

**–No, tutaj historia robi sie troche zwariowana. Widzisz, wydaje mi sie, ze intruz nie byl czlowiekiem.**

**–Tak? – Teraz Charlie sie skoncentrowal.**

**–Zeby przejsc miedzy tymi pretami, musial miec ponizej pol metra wzrostu i wazyc mniej niz, powiedzmy, pietnascie kilo. Mysle o malpie.**

**Charlie odstawil kawe tak gwałtownie, ze z kubka wystrzelil gejzer, plamiac papiery na biurku.**

**–Myslisz, ze strzelila do mnie doskonale zorganizowana malpa?**

**–Nie badz taki...**

**–Ktora potem zjechala po linie, wlamala sie do domu, i co? Ukradla owoce?**

**–Gdybys slyszal glupoty, ktore wygadywales tamtej nocy w szpitalu. I co, wysmiewalem sie z ciebie?**

**–Bylem na prochach, Ray.**

**–Nie ma innego wytлумaczenia.**

**Dla wyobrazni samca beta, ktora poslugiwal sie Ray, wyjasnienie z malpa wydawalo sie zupełnie rozsadne, z wyjatkiem braku motywu. Ale wiadomo, jakie sa malpy, potrafia rzucic w ciebie odchodami dla zabawy, wiec kto wie...**

**–Wytłumaczenie jest takie, ze to tajemnica – odparl Charlie. – Milo, ze chcesz, zeby te... wlochata lajze dosiegnela sprawiedliwosc, ale musisz mi powiedziec o tych dwoch kobietach.**

**Zrezygowany Ray pokiwal glowa. Powinien siedziec cicho, dopoki sie nie dowie, dlaczego ktos chcial wpuscic malpe do mieszkania Charliego.**

**–Wiesz, malpy mozna tresowac. Masz w mieszkaniu jakas cenna bizuterie?**

**–Wiesz – odparl Charlie, drapiac sie po podbrodku i patrzac w sufit, jakby cos sobie przypominal. – Przez caly dzien naprzeciwko sklepu stal zaparkowany maly samochod. A kiedy zajrzalem do niego nastepnego dnia, lezala tam sterta skorek od bananow, jakby ktos prowadzil obserwacje. Ktos, kto jadal banany.**

**–Co to byl za samochod? – Ray juz mial notes w pogotowiu.**

–Nie jestem pewien, ale czerwony i bez dwóch zdan w malpim rozmiarze.

Ray podniósł wzrok znad notatek.

–Naprawde?

Charlie milczał przez chwile, jakby myślał nad odpowiedzią.

–Tak – odpowiedział, bardzo szczerze. – W malpim rozmiarze.

Ray przewrócił parę stron w notesie, wracając do wcześniejszych zapisków.

–Nie musisz się tak zachowywać. Próbuje ci tylko pomóc.

–Mógł być trochę większy – ciągnął Charlie z namysłem. – Jak malpia terenowka. Samochod, który byś wybrał do przewiezienia... bo ja wiem... beczki malp.

Ray skrzywił się, po czym spojrział w notes.

–Poszedłem do domu tej Johnson. Nikt tam nie mieszka, ale domu nie wystawiono na sprzedaż. Nie widziałem siostrzenicy, o której mówiłeś. Co ciekawe, sąsiedzi wiedzieli, że chorowała, ale żaden nie słyszał, by umarła. Właściwie jeden facet powiedział, że w zeszłym tygodniu chyba widział, jak wsiadła do ciężarówki z firmy od przeprowadzek z paroma tragarzami.

–W zeszłym tygodniu? Siostrzenica mówiła, że ta kobieta zmarła dwa tygodnie temu.

–Nie miała siostrzenicy. – Co?

–Esther Johnson nie miała siostrzenicy. Była jedynaczka. Nie miała braci ani siostr, ze strony jej świętej pamięci męża też nie było żadnej siostrzenicy.

–Czyli żyje?

–Na to wygląda. – Ray podał Charliemu fotografie. – Jej ostatnie zdjęcie z prawa jazdy. To wszystko zmienia. Teraz szukasz osoby zaginionej, która będzie zostawiała ślady. Ale z tą drugą, Irena, jest jeszcze lepszy numer. – Podał mu drugie zdjęcie.

–Ona też żyje?

–O, trzy tygodnie temu w gazecie ukazał się nekrolog, ale coś ją zdradziło. Jej wszystkie rachunki są ciągle opłacane czekami osobistymi. Na czekach jest podpis. – Ray z uśmiechem odchylił się na stolku, czując słuszną oburzenie z powodu teorii z malpa i nieco mniejsze już poczucie winy, że nie powiedział Charliemu o specjalnych transakcjach.

–No? – spytał w końcu Charlie.

–Jest w domu swojej siostry na Sunset. Tu masz adres. – Wyrwał kartkę z notesu i dal Charliemu.

## 21. ZWYKŁA UPRZEJMOSC

Charlie był wewnątrznie rozdarty. Bardzo chciał zabrac swój miecz w lasce, ale nie mógł go niesc, chodzac o kulach. Zastanawiał się nad przymocowaniem go do jednej z kul tasma klejaca, ale stwierdził, że to mogłoby zwracac uwage.

–Chcesz, zebym z toba poszedl? – spytał Ray. – To znaczy, mozesz prowadzic, z ta noga i w ogole?

–Dam sobie rade – odparł Charlie. – Ktos musi pilnowac sklepu.

–Sluchaj, zanim pojedziesz, moze ci o cos zapytac? – Jasne. – Nie pytaj, nie pytaj, nie pytaj, pomyslal.

–Dlaczego poprosiles, zebym znalazl te dwie kobiety? Ty dupku z szyja robota, musiales zapytac.

–Mowilem ci, chodzi o odkupienie rzeczy. – Wzruszył ramionami. Proszę się rozejść, nie ma tu nic do ogladania.

–Tak, wiem, że mi to mowiles, i zwykle cos takiego mialoby sens, ale sporo się dowiedzialem o tych dwoch, kiedy ich szukalem. W zadnej z tych rodzin nikt ostatnio nie umarl.

–Zabawne – powiedzial Charlie, ktory, stojac przy drzwiach, zonglowal kluczykami, laska, kalendarzem i kulami. – Oba zgloszenia pochodzily od osob niespokrewnionych. Od starych przyjaciolek.

Nic dziwnego, że kobiety cie nie lubia, po prostu nie umiesz odpuscic.

–Mhm – mruknal Ray bez przekonania. – Wiesz, kiedy ktos posuwa się do tego, że pozoruje własna smierc, to zwykle przed czymś ucieka. Czy ty jesteś tym czymś, Charlie?

–Posluchaj siebie, Ray. Znowu te pomysly z seryjnym zabojca? Myslalem, że Rivera ci to wyjasnil.

–Wiec to dla Rivery?

–Powiedzmy, że jest zainteresowany.

–Czemu od razu nie powiedziales? Charlie westchnal.

–Ray, nie wolno mi mowic o tych sprawach, dobrze o tym wiesz. Czwarta poprawka i tak

**dalej. Przyszedłem do ciebie, bo jesteś dobry i masz kontakty. Polegam na tobie i ci ufam. Chyba wiesz, że też możesz na mnie polegać i mi ufać, prawda? To znaczy, przez wszystkie te lata nigdy nie naraziłem twojej renty inwalidzkiej, niedbale traktując warunki naszej umowy, mam rację?**

**Była to subtelna groźba i Charlie miał wyrzuty sumienia, ale nie mógł pozwolić, by Ray ciągnął temat, zwłaszcza że sam stapał po nieznanym gruncie – nie wiedział nawet, jaki blef próbuje kryć.**

**–Czyli pani Johnson nie straci życia, jeśli ja dla ciebie znajdę?**

**–Nie zrobię żadnej krzywdy ani pani Johnson, ani pani Pojo... pani Pokojo... ani tej drugiej. Masz moje słowo. – Unosił reke, jakby przysięgał na Biblię, i upuścił jedną z kul.**

**–Dlaczego po prostu nie wezmiesz łaski?**

**–Słusznie – przyznał Charlie.**

**Oparł kule o drzwi i spróbował się podeprzeć nogą w gipsie i łaski. Lekarze naprawdę powiedzieli, że to powierzchowna rana. Ściegna nie były uszkodzone, tylko miesien, ale bolało jak diabli, gdy opierał na tej nodze jakikolwiek ciężar. Stwierdził, że łaska zda egzamin.**

**–Powiniennem wrócić przed piątą, żeby cię zmienić. Utykając, wyszedł ze sklepu.**

**Ray nie lubił, gdy go oklamywano. Zbyt często czyniły to zdesperowane Filipinki i stał się przewrażliwiony na punkcie robienia z niego głupka. Kogo Charlie Asher chciał oszukać? Kiedy tylko skończy sprzątać sklep, zadzwoni do Rivery i sam sprawdzi. Wszedł do sklepu i przez chwilę scierał kurz, a potem zbliżył się do "specjalnego" regalu, gdzie Charlie trzymał różne przedmioty, wokół których robił takie halo. Wolno je było sprzedawać po jednym na klienta, ale Ray przez ostatnie dwa tygodnie sprzedawał piec tej samej kobiecie. Wiedział, że powinien coś powiedzieć Charliemu... chociaż właściwie, dlaczego? Najwyraźniej Charlie nie rozmawiał z nim otwarcie na żaden temat.**

**Poza tym klientka, która kupiła te rzeczy, była miła i uśmiechała się do Raya. Miała ładne włosy, zgrabną figurę i naprawdę oszalamiające, błękitne oczy. Poza tym coś było w jej głosie. Wydawała się taka... jaka? Spokojna? Jakby wiedziała, że wszystko będzie dobrze i nie ma się czym przejmować. Może ponosiła go wyobraźnia? No i nie miała jabłka Adama, co ostatnio stanowiło dla Raya duży plus. Próbował się dowiedzieć, jak się nazywa, zobaczyć coś w jej portfelu, ale płaciła gotówką i ukrywała karty z ostrożnością pokerzysty. Jeśli przyjechała samochodem, zaparkowała za daleko, by zobaczyć auto ze sklepu, więc nie mógł jej wytropić po numerze rejestracyjnym. Postanowił, że jeśli kobieta pojawi się dzisiaj, spyta ją o imię. A powinna się pojawić. Przychodziła tylko wtedy, gdy był w sklepie sam. Raz widział, jak zajrzała przez okno, gdy pracował z Lily. Weszła dopiero później, gdy Lily już nie było. Miał szczerą nadzieję, że przyjdzie. Próbował się uspokoić przed telefonem do Rivery. Nie chciał wyjść na prostaka przed gościem, który wciąż pełnił służbę. Zadzwonił ze swojej komórki, by inspektor**

wiedział, że to właśnie on. Charlie wolał nie zostawić Sophie na tak długo, biorąc pod uwagę wydarzenia sprzed paru dni, ale z drugiej strony to, co jej groziło, było bez wątpienia spowodowane brakiem dwóch naczyń duchowych. Im szybciej rozwiąże ten problem, tym szybciej zniknie zagrożenie. Zreszta, piekielne ogary stanowiły jej najlepszą obronę, a wydał pani Ling wyraźne instrukcje, by z żadnego powodu, nawet na chwilę nie oddzielać malej od psów. Pojechał przez Presidio Boulevard i Golden Gate Park do Sunset, przypominając sobie, że musi zabrać Sophie do japońskiego ogrodu, by mogła nakarmić rybki koi, jako że jej zły wpływ na zwierzęta najwyraźniej już minal. Dzielnica Sunset leżała na południe od Golden Gate Park. Od zachodu ograniczały ją autostrada i plaża, a od wschodu Twin Peaks i tereny uniwersytetu. Kiedyś były tu peryferia, ale miasto rozrosło się i je wchłonęło. Dominowały tu skromne, jednopiętrowe domy, wznoszone masowo w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Przypominały mozaiki z małych pudełek, jakich w okresie powojennym pojawiło się wiele w całym kraju, ale w San Francisco, gdzie bardzo wiele budowano po trzęsieniu ziemi i pożarze w 1906 roku, a także podczas gospodarczego boomu końca dwudziestego wieku, wyglądały anachronicznie, i to zarówno z perspektywy poprzedniej, jak i następnej epoki. Charlie czuł się tak, jakby się przeniósł do epoki Eisenhowera, przynajmniej do chwili, gdy minal młodą matkę z ogoloną głową, ozdobioną plemiennymi tatużami, która pchała przed sobą bliźniątka w podwojnym wózku. Siostra Ireny Posokovanovich mieszkała w małym, jednopiętrowym, prostokątnym domu z niewielkim gankiem. Na trejżach po obu stronach rosły jaskierowe pnacze, rozsiewające w powietrzu won przypominająca zapach włosów o poranku po upojonej nocy. Pozostała część małego podwórka była starannie utrzymana, od żywopłotu przy chodniku po czerwone pelargonie, rosnące wzdłuż betonowej ścieżki do domu. Charlie zaparkował przecznice dalej i podszedł pod dom. Po drodze omal nie wpadły na niego dwie kobiety uprawiające jogging, z których jedna była młodą matką, pchającą przed sobą sportowy wózek. Nie widziały go – był na tropie. Może by tak wejść do środka? I co dalej? Jeśli był Lumi-natusem, to sama jego obecność powinna załatwić sprawę. Obszedł dom, by sprawdzić, czy w garażu jest samochód, ale we wszystkich oknach zaciągnięto zasłony. W końcu zdecydował się na frontalny atak i zadzwonił do drzwi. Kilka chwil później otworzyła je niska kobieta po siedemdziesiątce, w różowym szlafroku.

–Tak? – powiedziała, patrząc z pewną podejrzliwością na gips Charliego. – Mogę w czymś pomóc?

Była to kobieta ze zdjęcia.

–Tak, proszę pani. Szukam Ireny Posokovanovich.

–Nie ma tutaj takiej – odparła Irena Posokovanovich. – Widocznie pomylił pan domy. – Zaczęła zamykać drzwi.

–Czy kilka tygodni temu w gazecie nie było nekrologu? – spytał. Budząca dotąd podziw obecność Luminatusa nie zrobiła na niej większego wrażenia.

–No, tak, zdaje się, że był – powiedziała kobieta i otworzyła drzwi nieco szerzej. – To taka

tragedia. Wszyscy bardzo kochaliśmy Irene. Była taka serdeczna, miła, atrakcyjna... no, wie pan, jak na jej wiek... czytana...

–I ewidentnie nie wiedziała, że zwykła uprzejmość nakazuje, by ten, kto opublikował swój nekrolog, naprawdę umarł! – Wyciągnął przed siebie powiększone zdjęcie z prawa jazdy. Przez chwilę chciał dorzucić jeszcze "ha!", ale stwierdził, że to lekkie przegięcie.

Irena Posokovanovich trzasnęła drzwiami.

–Nie wiem, kim pan jest, ale pomylił pan domy – powiedziała przez drzwi.

–Wie pani, kim jestem – odparł Charlie. Właściwie to pewnie nie miała pojęcia. – A ja wiem, kim jest pani. I powinna pani umrzeć trzy tygodnie temu.

–Myli się pan. A teraz proszę iść, bo zadzwonię na policję i powiem, że dobija się do mnie gwałcieł.

Oburzony Charlie zakrztusił się sliną.

–Nie jestem gwałciełem, pani Poso... Posokev... jestem Śmiercią, pani Ireno – powiedział po chwili. – Ot co. A pani czas minal. Musi pani umrzeć, w miarę możliwości natychmiast. Nie ma się czego bać. To jest jak pojscie spać, tyle że, no...

–Nie jestem gotowa – jęknęła. – Gdybym była, nie wyjechałabym z domu. Ale nie jestem gotowa.

–Przykro mi, proszę pani, ale muszę nalegać.

–Na pewno się pan pomylił. Może to inna Posokovanovich.

–Nie, jest tutaj, w kalendarzu, z pani adresem. To pani. – Przyłożył kalendarz, otwarty na stronie z jej nazwiskiem, do małego okienka w drzwiach.

–Mówi pan, że to jest kalendarz Śmierci?

–Zgadza się, proszę pani. Proszę spojrzeć na datę. A to już drugie zawiadomienie.

–A pan jest Śmiercią?

–Zgadza się.

–Nie, przecież to głupie.

–Nie jestem głupi, proszę pani. Jestem Śmiercią.

–A nie powinien pan mieć kosy i długiej czarnej szaty?



**–Nie, juz tego nie stosujemy. Proszę mi uwierzyc na slowo, jestem Smiercia. – Staral sie, by zabrzmialo to naprawde zlowieszczco.**

**–Smierc na obrazkach zawsze byla wysoka. – Kobieta stala na palcach, poznawal po sposobie, w jaki jej twarz kolysala sie za szybka, gdy probowala na niego popatrzec. – Nie wydaje sie pan dosc wysoki.**

**–Nie ma ograniczen w zakresie wzrostu.**

**–Wiec moze zobaczyc panska wizytowke?**

**–Jasne. – Wyciagnal wizytowke i przycisnal ja do szyby.**

**–Tu jest napisane: "Dostawca wysokiej jakosci uzywanych ubran i drobiazgow".**

**–Tak! Wlasnie! – Juz wiedzial, ze powinien byl sobie zamowic drugi zestaw wizytowek. – A jak pani myśli, skad biore te rzeczy? Od zmarlych. Widzi pani?**

**–Panie Asher, musze poprosic, zeby pan sobie poszedl.**

**–Nie, prosze pani, bede nalegal, zeby pani zmarla, i to zaraz. Pani czas minal.**

**–Proszę stad isc! Jest pan szarlatanem i chyba potrzebuje pan pomocy psychiatrycznej.**

**–Jestem Smiercia! Igrasz ze Smiercia! Przez duze S, suko! – No, to nie bylo potrzebne. Pozalowal swoich slow w momencie, gdy je wypowiedzial. – Przepraszam – mruknal do drzwi.**

**–Dzwonie na policje.**

**–Smialo, pani... eee, Ireno. Wie pani, co powiedza. Ze pani nie zyje! To bylo w "Chronicie". Ta gazeta prawie nigdy nie klamie.**

**–Proszę sobie isc. Dluho cwiczylam, zeby zyc dluzej, to nie fair.**

**–Co?**

**–Proszę sobie isc.**

**–To slyszalem. Chodzi mi o te cwiczenia.**

**–Niewazne. Niech pan idzie po kogos innego.**

**Wlasciwie nie mial pojecia, co by zrobil, gdyby go wpuscila. Moze musial jej dotknac, zeby zadzialaly jego zdolnosci Smierci. Pamietal, ze w dzieciinstwie ogladal stary odcinek "Strefy Mroku", w ktorym Robert Redford gral Smierc, a ta staruszka nie chciala go wpuscic. Udal wiec, ze jest ranny, a kiedy wyszla, by mu pomoc... BACH! Zachrypiala, a on spokojnie zabral**

ja do krainy wiecznego snu, gdzie pomagala mu produkowac niezalezne filmy. Moze ten numer zda egzamin. W koncu gips i laska przemawialy na jego korzys'c. Rozejrzal sie po ulicy, upewniajac sie, ze nikt go nie widzi, po czym polozyl sie, czes'ciowo na ganku, a czesciowo na betonowych schodach. Rzucil laska w drzwi, by jak najglosniej zagrzechotala na betonie, a potem wydal z siebie bardzo przekonujacy (jak sadzil) jek.

–Aaaaaaaa, zlamalem noge.

Uslyszal kroki w srodku i ujrzal w malym okienku siwe wlosy, ktore lekko podskakiwaly, gdy kobieta usilowala cos zobaczyc.

–Oj, boli – stekal Charlie. – Na pomoc.

Znowu kroki. Zaslona w oknie po prawej stronie drzwi odsunela sie i zobaczyl oko. Wykrzywil sie w udawanym grymasie bolu.

–Co sie panu stalo?

–Potrzebuje pomocy. Wczesniej mialem kontuzje nogi, a teraz posliznalem sie na pani schodach. Chyba cos zlamalam. Widze krew i wystaje kawalek kosci.

–Masz ci los – powiedziala. – Chwileczke.

–Na pomoc. Prosze. Bol. Taki... bol. – Charlie zakaszlal tak, jak kaszla kowboje, gdy umieraja w pyle, a wszystko pograza sie w mroku.

Uslyszal szczech odsuwanego rygla.

–Naprawde zle z panem – powiedziala.

–Prosze. – Wyciagnal reke w jej strone. – Niech mi pani pomoze.

Odemknela drzwi. Charlie zmusil sie, by stlumic usmiech.

–O, dziekuje – jeknal.

Otworzyla drzwi na osciez i trysnela mu prosto w twarz strumieniem gazu pieprzowego.

–Widzialam "Strefe Mroku", ty sukinsynu!

Drzwi zatrzasnely sie. Szczeknal rygiel. Charlie mial wrazenie, ze jego twarz stoi w plomieniach. Kiedy w koncu zaczal widziec na tyle dobrze, by moc sie poruszac, pokustyl z powrotem do samochodu i uslyszal kobiecy glos:

–Ja bym cie wpuscila, kochanku.

**Ze studzienki dobiegl chor budzacych lek, dziewczecych chichotow. Cofnal sie do furgonetki, gotow wyciagnac ostrze z laski, ale potem uslyszal w kanale cos, co brzmialo jak chichot malego psa.**

**–Skad on sie wzial? – spytala jedna z harpii.**

**–Ugryzl mnie! Maly skurwiel.**

**–Lapac go!**

**–Nie cierpie psow. Kiedy przejmemy wladze, zero psow.**

**Szczekanie oddalilo sie, a wraz z nim glosy harpii. Charlie wzial gleboki wdech i zamrugal, probujac odegnac bol. Musial dokonac przegrupowania, ale potem pokona te staruszke i pal licho gaz pieprzowy. Zajelo mu to niemal godzine, ale gdy byl gotowy, odlozyl pustak, otworzyl komorke i wybral numer, ktory dostal w biurze numerow. Odebrala kobieta.**

**–Halo.**

**–Dzien dobry, dzwonie z gazowni – powiedzial Charlie swoim najlepszym glosem pracownika gazowni. – Urzadzenia wskazuja spadek cisnienia w pani domu. Zaraz wyslemy ekipe, ale prosze natychmiast wyprowadzic wszystkich z domu.**

**–W tej chwili jestem sama. Przykro mi, ale w ogole nie czuje gazu.**

**–Moze sie zbierac pod domem – odparl Charlie, dumny ze swojej przytomnosci umyslu. – Czy w domu jest ktos jeszcze?**

**–Nie, tylko ja i moja kotka Samantha.**

**–Prosze zabrac kotke i wyjsc na ulice. Nasz samochod zaraz tam podjedzie. Prosze wyjsc jak najszybciej, dobrze?**

**–No... dobrze.**

**–Dziekuje pani. – Charlie sie rozlaczył.**

**Wyczul ruch wewnatrz domu. Podeszedl do prawej krawedzi dachu nad gankiem i uniosl pustak nad glowe. Bedzie wygladalo jak wypadek, pomyslal. Jakby pustak spadl z dachu nad gankiem. Cieszył sie, ze nikt go nie widzi. Spocil sie podczas wspinaczki. Mial mokre plamy pod pachami i pogniecione spodnie.**

**Rozlegl sie odglos otwieranych drzwi. Byl gotow rzucic pustakiem, gdy tylko cel wyloni sie spod dachu.**

**–Dzien dobry pani – dobiegl z ulicy meski glos.**

**Charlie spojrzal w dol i zobaczyl inspektora Rivere, ktory wlasnie wysiadl z nieoznakowanego samochodu. Co on tu, do diabla, robi?**

**–Pan z gazowni?**

**–Nie, prosze pani, z policji. – Mignal odznaka.**

**–Powiedzieli, ze gaz sie ulatnia – wyjasnila.**

**–Juz sie tym zajelismy. Moze pani wrocic do srodka, a ja za minutke do pani zajrze, dobrze?**

**–No... dobrze.**

**Charlie uslyszal, ze drzwi znowu sie otwieraja i zamykaja. Rece mu drzaly od trzymania pustaka nad glowa. Staral sie oddychac jak najciszej, obawiajac sie, ze jego sapanie zwroci uwage Rivery, ze przez to stanie sie widzialny.**

**–Panie Asher, co pan tam robi na gorze?**

**Niewiele brakowalo, by Charlie stracil rownowage i runal w dol.**

**–Widzi mnie pan?**

**–Tak, oczywiscie, ze widze. Widze tez ten pustak, ktory trzyma pan nad glowa.**

**–A, to badziewie...**

**–Co zamierzal pan z tym zrobic?**

**–Remont? – zaryzykowal Charlie.**

**Jakim cudem Rivera go widzial, skoro Charlie byl teraz w trybie odnajdywania naczyn duchowych?**

**–Przepraszam, ale nie wierze panu. Musi pan zrzucic ten pustak.**

**–Wolalbym nie. Porzadnie sie napracowalem, zeby go tu wtargac.**

**–Moze i tak, ale nalegam, zeby go pan zrzucil.**

**–Mialem taki zamiar, ale potem pojawil sie pan.**

**–Prosze. Niech mnie pan poslucha. Caly sie pan spocil. Prosze zejsc i bedzie mogl pan usiasc ze mna w klimatyzowanym wozie. Pogadamy... o wloskich garniturach, o druzynie Giants... nie wiem... moze o tym, dlaczego chcial pan rozlupac tej staruszce czaszke kawalem betonu. Klimatyzacja, panie Asher... nie byloby milo?**

**Charlie opuscil pustak i oparl go na udzie, czujac, ze spodnie beda juz nie do naprawienia.**

**–Taka sobie zacheta. Co ja jestem, jakis prosty tubylec z Amazonii? Bywalem juz w klimatyzowanych autach. Nawet w swojej furgonetce mam klimatyzacje.**

**–Tak, przyznaje, ze nie jest to weekend w Paryżu, ale druga opcja byla taka, ze pana zastrzele, a potem wsadza pana w worek. Tam by dopiero bylo goraco w taki upalny dzien.**

**–A, no tak – powiedzial Charlie. – W tej sytuacji klimatyzacja brzmi znacznie bardziej zachecajaco. Dziekuje. Najpierw zrzuce te cegle, dobrze?**

**–Byloby swietnie, panie Asher.**

**Rozczarowany zdesperowanymi Filipinkami Ray przeszukiwal zbior nauczycielek nauczania poczatkowego z wyszym wykształceniem na stronie [www.KochajaceUkrainskiePanienki.com](http://www.KochajaceUkrainskiePanienki.com), kiedy do sklepu weszla ona. Uslyszal dzwonek i dostrzegl ja katem oka. Zapominajac, ze ma unieruchomione kregi szyjne, naprezyl lewa czesc twarzy, by ja zobaczyc. Zauwazyla, ze patrzy, i usmiechnela sie. Ray odpowiedzial usmiechem, a potem kacikiem oka ujrzal monitor ze zdjeciem nauczycielki nauczania poczatkowego, trzymajacej sie za piersi, wiec naprezyl prawa czesc twarzy, by zdazyc z wylaczeniem komputera, zanim kobieta minie lade.**

**–Tak tylko sie rozgladam – powiedziala milosc jego zycia. – Jak sie pan miewa?**

**–Dzien dobry – powiedzial Ray. Kiedy trenowal te scene w myslach, zaczynal od "dzien dobry" i teraz wymysknelo mu sie to, zanim sie zorientowal, ze zlamal tok rozmowy. – Znaczy, dobrze. Przepraszam. Pracowalem.**

**–Widze. – Znowu ten usmiech.**

**Byla tolerancyjna, wyrozumiala i mila – to bylo widac w oczach. W glebi serca wiedzial, ze dla tej kobiety wysiedzialby nawet na ckliwym filmie. Obejrzalby "Pokoj z widokiem" i jeszcze "Angielskiego pacjenta", od poczatku do konca, tylko po to, by zjesc z nia pizze. A w polowie drugiego filmu powstrzymalaby go, gdyby chcial wlozyc sobie w usta sluzbowy rewolwer, bo taka wlasnie byla: pelna wspolczucia. Odstawila spektakl z rozgladaniem sie po sklepie, ale nie minely dwie minuty i juz podeszla do specjalnego regalu Charliego. Wisial tam napis: TOWAR SPECJALNY – JEDNA SZTUKA NA KLIENTA, nie wynikalo z niego jednak, czy jedna sztuka dziennie, czy tez jedna przez cale zycie. Jesli sie nad tym zastanowic, Charlie tego nie doprecyzowal. Jasne, Lily plotla cos, ze to bardzo wazna zasada, ale w koncu to byla Lily – moze i troche podrosla, ale jej zaburzenia pozostaly. Po krotkim czasie bostwo wybralo budzik elektryczny i podeszlo z nim do lady. To bylo to. To bylo to. Ray uslyszal, ze otwieraja sie drzwi na zaplecze.**

**–To wszystko? – spytal.**

**–Tak – odparla przyszla pani Ray Macy. – Wlasnie takiego szukalam.**

–Mhm, nie ma to jak sunbeam – powiedział Ray. – Dwa szeszedziesiąt razem z podatkiem. A, co tam, niech beda dwa i juz.

–Bardzo miło z paskiej strony – odrzekła, grzebiąc w torebce z kolorowej, gwatemalskiej włóczki.

–Czesc, Ray – powiedziała Lily, stając nagle obok niego niczym jakies złowieszcze widmo, które pojawiło się znikąd, by wyssac każdą radosną chwilę z jego życia.

–Czesc, Lily – powiedział.

Dziewczyna wcisnęła kilka klawiszy w komputerze. Napięte mięśnie twarzy spowalniały jego ruchy, więc nie zdołał się odwrócić, nim wcisnęła włącznik monitora.

–Co to jest? – spytała.

Wolna reka uderzył ją pod ładą w biodro.

–Au! Swirus!

–To na pewno beda miłe pobudki – powiedział Ray, podając budzik kobiecie, która zostanie jego królową.

–Dziękuję bardzo – odparła słiczna, ciemnowłosa bogini wszystkich rzeczy związanych z Rayem.

–A przy okazji – powiedział, by kontynuować rozmowę – była tu pani już kilka razy, i zastanawiałem się, wie pani, tak z ciekawości, jak pani ma na imię?

–Audrey.

–Czesc, Audrey. Jestem Ray.

–Miło cie poznać, Ray. Muszę już isc. Pa. – Odwrócona do niego plecami pomachała mu reka nad ramieniem i ruszyła do drzwi.

Ray i Lily patrzyli, jak odchodzi.

–Ladny tylek – stwierdziła Lily.

–Zwróciła się do mnie po imieniu – powiedział Ray.

–Jest dla ciebie trochę, bo ja wiem, za mało wirtualna. Odwrócił się do swojej nemezis, Lily.

–Popilnuj sklepu. Muszę isc.

–Po co?

–Musze ja sledzic, dowiedziec sie, kto to taki. – Zaczal zbierac swoje rzeczy: telefon, kluczyki, czapke.

–A tak, to bardzo zdrowe, Ray.

–Powiedz Charliemu, ze ja... Nie mow Charliemu.

–Dobra. Czyli moge wylaczyc te KUPe?

–O czym ty mowisz?

Lily cofnela sie od monitora i wskazala palcem litery, ktore nastepnie odczytala:

–Kochane Ukrainskie Panienki: KUPa. – Usmiechnela sie, zadowolona z siebie, niczym to dziecko, ktore wygralo w trzeciej klasie konkurs czytania. Nienawidziliscie tego dziecka, prawda? Ray nie mogl w to uwierzyc. Juz nawet przestali subtelnie krazyc wokol tematu.

–Nie moge gadac – oznajmil. – Musze leciec. Wybiegl ze sklepu i pognal przez Mason Street za piekna i wyrozumiala Audrey.

Rivera podjechal do restauracji Cliff House z widokiem na Seal Rocks i zmusil Charliego, by postawil mu drinka. Patrzyli na surferow przy plazy. Rivera nie byl milosnikiem makabry, wiedzial jednak, ze jesli bedzie przychodzil tu wystarczajaco czesto, w koncu zobaczy atak zarlacza bialego na ktoregos surfera. Prawde mowiac, mial szczerą nadzieje, ze tak sie stanie, bo inaczej swiat nie mialby sensu, nie istnialaby sprawiedliwosc, a zycie okazaloby sie jedynie splatanym klebkiem chaosu. Tysiace uchatek w wodzie i na skalach – podstawa diety zarlaczy bialych – plus setki surferow, ubranych jak uchatki. To sie musialo stac, jesli w swiecie panowal jakis porzadek.

–Nigdy panu nie wierzylem, panie Asher, gdy mowil pan, ze jest Smiercia. Nie umialem jednak wyjasnic, czym bylo to cos w zauлку, wiec nie chcialem wnukac, a wlasciwie odpuscilem.

–Doceniam to – powiedzial Charlie, ktoremu kajdanki troche utrudnialy picie wina z kieliszka. Twarz mial czerwona jak slodkie jablko od gazu pieprzowego. – Czy to normalna procedura podczas przesluchan?

–Nie – odparl Rivera. – Normalnie powinno placic miasto, ale poprosze sedziego, zeby odjal panu drinki od wyroku.

–Swietnie. Dzieki – powiedzial Charlie. – Moze mi pan mowic "Charlie".

–Dobra, a ty mozesz mi mowic "inspektorze Rivera". Zatem chciales starsuszce rozlupac pustakiem czaszke. Co ci wlasciwie strzelilo do glowy?

–Potrzebuje prawnika?

–Oczywiscie, ze nie, wszystko gra, w tym barze jest tlum swiadkow.

Kiedys Rivera scisle przestrzegal procedur. To bylo przed demonami, ogromnymi sowami, bankructwem, niedzwiedziami polarnymi, wampirami, rozwodem, kobieta o sztyletowatych szponach, ktora zmienila sie w ptaka. Teraz nie przestrzegal ich juz tak scisle.

–W takim razie... myslalem, ze nikt mnie nie widzi – powiedzial Charlie.

–Bo byles niewidzialny?

–Niezupełnie. Raczej jakby niedostrzegalny.

–No dobrze, kupuje to. Ale to jeszcze nie powod, zeby rozwalac glowe babci.

–Nie ma pan na to dowodu – odparl Charlie.

–Pewnie, ze mam – odparl inspektor, unoszac szklaneczke, by dac kelnerce sygnal, ze potrzebuje nastepnego glenfiddicha z lodem. – Widzialem zdjecia jej wnukow. Pokazala mi, kiedy poszedlem do jej domu.

–Nie o tym mowie. Nie ma pan dowodu, ze chcialem rozwalic jej glowe.

–Rozumiem – powiedzial Rivera, ktory wcale nie rozumial. – Jak poznales pania Posokovanovich?

–Nie poznalem. Jej nazwisko pojawilo sie w moim kalendarzu, tak jak panu pokazywalem.

–No, tak. No, tak. Ale to jeszcze nie daje licencji na zabijanie, prawda?

–W tym sek, powinna nie zyc od trzech tygodni. Byl nawet nekrolog w gazecie. Chcialem tylko, zeby wszystko sie zgadzalo.

–Wiec zamiast poprosic "Chronicie" o zamieszczenie sprostowania, postanowiles rozlupac babci czaszke.

–Moglem zrobic to albo kazac coreczce, zeby powiedziala do niej "kotek". A nie chce w ten sposob wykorzystywac dziecka.

–Wiesz, podziwiam cie, ze w tej kwestii jestes nieugiety – powiedzial Rivera, myslac: kogo musze zastrzelic, zeby dostac drinka? – Ale powiedzmy, ze na ulamek sekundy ci uwierze i ze ta staruszka powinna umrzec, ale nie umarla, dlatego ze oberwales z kuszy i pojawilo sie to cos w zaułku. Powiedzmy, ze wierze w to wszystko. Co mam z tym zrobic?

–Musi pan uwazac – odparl Charlie. – Moze zmienia sie pan w jednego z nas.



–Slucham?

–Tak bylo ze mna. Kiedy zmarla moja zona, w szpitalu zobaczylem faceta, ktory przyszedl po jej naczynie duchowe. I bam! zostalem Handlarzem Smierci. Widzial mnie pan dzisiaj, kiedy nie widzial mnie nikt inny, i widzial pan wtedy te harpie z kanalow. Na ogol tylko ja je widze.

Rivera naprawde bardzo chcial przekazac tego faceta psychiatrze w szpitalu i nigdy wiecej go nie ogladac. Kłopot w tym, ze faktycznie widzial to cos wtedy w zauлку i jeszcze innym razem na własnej ulicy, czytając teź raporty o dziwnych wydarzeniach w mieście z ostatnich dwóch tygodni. I nie były to typowe dziwne wydarzenia, jakich wiele następuje w San Francisco, tylko naprawde dziwne. Stado krukow, atakujacych turystę w Coit Tower, czy facet, ktory wjechal samochodem w sklep w Chinatown, mowiac, ze skrecil, by ominac smoka, a także ludzie z dzielnicy Mission, ktorzy twierdzili, ze w ich smieciach grzebal legwan przebrany za muszkietera, z malenka szpada i tak dalej.

–Moge to udowodnic – powiedzial Charlie. – Proszę mnie tylko zawiezć do sklepu muzycznego w Castro.

Rivera popatrzył na smutne, nagie kostki lodu w swojej szklance i zapytał:

–Mowil ci ktos kiedys, ze ciezko nadazyc za twoim tokiem myslenia?

–Musi pan porozmawiac z Mintym Freshem.

–Aha, to wszystko wyjasnia. Przy okazji zamienie teź slowo z paczkami Krispy Kreme.

–On teź jest Handlarzem Smierci. Powie panu, ze to, co mowie, jest prawda i moze mnie pan wypuscic.

–Wstan. – Inspektor wstal.

–Nie skonczylem wina.

–Zostaw pieniadze za drinki i wstan, prosze. – Rivera zaczepil zakrzywionym palcem o kajdanki Charliego i pociagnal do gory. – Jedziemy do Castro.

–Chyba nie dam rady podpierac sie laska z tym na rekach – stwierdzil Charlie.

Rivera westchnal i popatrzył na surferow. Wydawalo mu sie, ze za jednym z nich widzi cos duzego, ale gdy serce juz podskoczilo mu z radosci, z wody wylonil sie wasaty pysk uchatki i inspektor znow stracil nadzieje. Rzucil Charlieemu kluczyki do kajdanek.

–Spotkamy sie przy samochodzie, musze sie odlac.

–Moglbym uciec.

–Zrob to, Charlie, ale najpierw zaplac.

## 22. ROZWAZANIA NAD PRACA NA RYNKU WTORNYM

Anton Dubois, właściciel antykwariatu w Mission, był Handlarzem Śmierci dłużej niż ktokolwiek inny w San Francisco. Oczywiście, z początku nie nazywał siebie Handlarzem Śmierci, ale od kiedy Minty Fresh, ten który otworzył sklep płytowy w Castro, ukul ow termin, nie przychodziło mu już do głowy inne określenie. Miał szesćdziesiąt pięć lat i nie najlepsze zdrowie, ciała bowiem rzadko używał do czegokolwiek poza noszeniem na nim głowy, w której też głównie toczyło się jego życie. W czasach, gdy dużo czytał, zdobył encyklopedyczną wiedzę o nauce i mitologii, dotyczących śmierci. A zatem we wtorkowy wieczor, tuż po zachodzie słońca, gdy za oknami sklepu zapadła ciemność, jakby nagle wyszło całe światło wszechświata, i gdy trzy żeńskie postacie ruszyły ku niemu przez sklep – siedział właśnie przy niewielkiej lampce na ladzie, przypominającej żółta wysepke wśród czerni – był pierwszym człowiekiem od półtora tysiąca lat, który dokładnie wiedział, kim – czym – te postacie są.

–Morrigan – powiedział bez choćby nutki leku w głosie. Odłożył książkę, ale nie zaznaczył strony. Zdjął okulary i wytarł je flanelową koszulą, a potem włożył z powrotem, by nie umknął mu żaden szczegół. W tej chwili wyglądały tylko jak niebiesko-czarne, poruszające się kontury, ale je widział. Zatrzymały się, gdy przemówił. Jedna syknęła – nie tak, jak syczy kot, lecz długim, jednostajnym dźwiękiem, przypominającym odgłos powietrza uciekającego z pontonu, który oddziela cie od pełnego rekinów morza. Syk życia, które powoli uchodzi.

–Tak myślałem, że chyba coś się dzieje – stwierdził Anton z lekkim niepokojem. – Wszystkie te znaki i przepowiednia o Luminatusie... Wiedziałem, ale nie sądziłem, że coś się dzieje, ale nie sądziłem, że to wy, we własnej osobie, że tak powiem. Co za emocje.

–Wielbiciel? – odezwała się Nemain.

–Fan – powiedziała Babd.

–Ofiara – poprawiła Macha.

Chodziły wokół niego, tuż za granicą kregu światła.

–Przeniosłem naczynia duchowe – oznajmił Anton. – Domysliłem się, że coś się stało innym.

–O, jesteś rozczarowany, że nie jesteś pierwszy? – spytała Babd.

–Będzie jak za pierwszym razem, paczusiu – powiedziała Nemain. – Przynajmniej dla ciebie.

–Zachichotała.

Anton sięgnął pod ladę i nacisnął guzik. Stalowe rolety zaczęły osuwać się na drzwi i okna sklepu.

**–Boisz sie, ze uciekniemy, zolwiku – powiedziala Macha. – Nie uwazacie, ze wyglada jak zolw?**

**–O, wiem, ze rolety nie zatrzymaja was w srodku, ale nie temu sluzą. W ksiazkach pisza, ze jestecie niesmiertelne, ale podejrzewam, ze to nie do konca prawda. Zbyt wiele krazy opowiesci o wojownikach, ktorzy ranili was na polu bitwy, a potem patrzyli, jak leczycie swoje rany.**

**–Bedziemy tu dziesiec tysiecy lat po twojej smierci, czyli, pozwole sobie dodac, liczac od zaraz – powiedziala Nemain. – Dusze, zolwiku. Gdzie sa?**

**Wysunela pazury, tak by odbilo sie od nich swiatlo lampki. Z ich koniuszkow skapywaly krople jadu, z sykiem upadajac na podloge.**

**–Wiec ty jestes Nemain – stwierdzil Anton. Morrigan usmiechnela sie; widzial jej zeby w ciemnosci. Anton poczul, ze ogarnia go dziwny spokoj. Przez trzydziesti lat w ten czy inny sposob przygotowywal sie na te chwile. Co mowili buddysci? "Tylko przygotowujac sie na smierc, mozesz prawdziwie zyc". A jesli na smierc nie przygotowywalo cie zbieranie dusz i ogladanie umierajacych ludzi przez trzydziesti lat, to co? Pod lada ostroznie odkrecil stalowa nakretke, skrywajaca czerwony przycisk.**

**–Zainstalowalem te cztery glosniki na zapleczu pare miesiecy temu. Na pewno je widzicie, nawet jesli ja nie widze – powiedzial Anton.**

**–Dusze! – warknela Macha. – Gdzie?**

**–Oczywiscie nie wiedzialem, ze to bedziecie wy. Myslalem, ze przyjda te male zwierzatka, ktore widzialem w okolicy. Jednakze muzyka powinna wam sie spodobac.**

**Morrigan popatrzyly po sobie. Macha zawarczala.**

**–"Jednakze"? Kto tak mowi?**

**–Bredzi – powiedziala Babd. – Poddajmy go torturom. Wyjmij mu oczy, Nemain.**

**–Pamietacie, jak wyglada claymore? – spytal Anton.**

**–Wielki, dwureczny miecz – odparla Nemain. – Dobry do scinania glow.**

**–Wiedzialam, wiedzialam – powiedziala Babd. – Ona sie tylko popisuje.**

**–Wiecie, dzisiaj claymore oznacza cos innego – oznajmil. – Pracujac przez dwie dekady w sklepie z rzeczami z drugiej reki, mozna zdobyc bardzo ciekawe rzeczy.**

**Zamknal oczy i nacisnal guzik. Mial nadzieje, ze jego dusza znajdzie sie w ksiazce, najlepiej w pierwszym wydaniu Ulicy nadbrzeznej – egzemplarz czekal w bezpiecznym miejscu. Miny**

przeciwpiechotne claymore, które zainstalował w skrzynkach głośników na zapleczu, eksplodowały, siejąc salwą osmiuset kulek od łożysk, które teraz leciały w stronę stalowych rolet tuż poniżej prędkości dźwięku, rozrywając na strzępy Antona i wszystko inne na swojej drodze. Ray podał za swą miłość przez Mason Street. Po chwili wskoczyła do tramwaju linowego, którym pokonała resztę drogi pod górę do Chinatown. Kłopot w tym, że choć nie trudno było odgadnąć, dokąd zjeżdżają tramwaje, jeździły one co dziesięć minut, Ray nie mógł więc zaczekać na następny, wskoczyć i krzyknąć: "Za tamtym starswieckim, lecz oryginalnym środkiem transportu! I gaz do dechy!". A w zasięgu wzroku nie było taksówki.

Okazało się, że bieg pod strome wzgórze w gorący dzień, w codziennym ubraniu, różni się od biegania po elektrycznej ścieżce w klimatyzowanej sali, za rzedem prezacych się lalek do rżnięcia. Gdy dotarł do California Street, ociekał potem i nienawidził miasta San Francisco i wszystkich jego mieszkańców, a także był gotów rzucić Audrey i powrócić do stosunkowo desperackiego oglądania na odległość Kochających Ukraińskich Panienek. Zatrzymał się koło przystanku przy Powell Street, gdzie tramwaje jada do Chinatown, i zdołał wsiąść do wagonu za Audrey, by kontynuować zapierający dech w piersiach pościg z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę przez dziesięć kolejnych przecznic, do Market Street. Audrey wyskoczyła z pojazdu i ruszyła prosto na wysepkę na Market Street, gdzie wsiadła do jednego ze starych tramwajów, który odjechał, zanim Ray dotarł do wysepki. To jakas diaboliczna tramwajowa superwiedza, pomyślał Ray. Zdawało się, że tramwaje są akurat tam, gdzie ich potrzebuje, i odjeżdżają, gdy tylko wsiadzie. Była mistrzynią jakiejś czarnej tramwajowej magii, bez wątpliwości. (W sprawach sercowych wyobraźnia samca beta może szybko zmienić cie w miotającego się adoratora, a Ray zaczął już tracić tę odrobinę pewności siebie, którą w sobie zgromadził). Była to jednak Market Street, najruchliwsza ulica w mieście, więc Ray dość szybko złapał taksówkę i jechał za Audrey całą drogę do dzielnicy Mission. Potem przejechał taksówką jeszcze kilka przecznic, które ona pokonała już pieszo.

Ray trzymał się pięćdziesiąt metrów z tyłu, podążając za Audrey w stronę dużego wiktoriańskiego budynku przy Siedemnastej Ulicy. Na kolumnie przy ganku widniała niewielka tabliczka z napisem OSRODEK BUDDYJSKI TRZY KLEJNOTY. Ray odzyskał oddech i opanowanie, mógł więc bez przeszkód obserwować zza latarni po drugiej stronie ulicy, jak Audrey wspina się na schody osrodka. Gdy dotarła na górę, drzwi ze szkła ołowiowego otworzyły się i na zewnątrz wypadły dwie starsze panie – były rozgorączkowane i wyraźnie chciały jej jak najszybciej o czymś opowiedzieć. Starszuszki wyglądały znajomo. Ray wstrzymał oddech i pogrzebał w kieszeni dzinsów. Wyjął fotokopie zdjęć kobiet, które miał znaleźć dla Charliego. To były one. Esther Johnson i Irena Posokovanovich stały z przyszłą panią Macy. Potem, gdy Ray bezskutecznie próbował odwrócić głowę, drzwi osrodka buddyjskiego otworzyły się ponownie i na zewnątrz wypadło coś, co wyglądało jak wydra w minisukienice z cekinami i butach striptizerki, atakując nogi Audrey za pomocą nożyczek.

Charlie i inspektor Rivera stali przed sklepem MUZYKA u FRESHA w Castro, próbując zobaczyć coś przez okna z kartonowymi sylwetkami muzyków i ogromnymi okładkami płyt. Zgodnie z informacją na drzwiach, sklep powinien być czynny, ale drzwi były zamknięte, a w środku panowała ciemność. Z tego, co Charlie widział, sklep wyglądał dokładnie tak samo, jak

pare lat temu, gdy przyszedł do Fresha, tyle że z jedną, wyraźną różnicą: zniknęła polka pełna świeżych naczyń duchowych. Obok znajdował się sklepik z mrożonymi jogurtami. Rivera wprowadził Charliego do środka, gdzie pogadał z właścicielem, facetem, który wydawał się zbyt wysportowany jak na kogoś, kto sprzedaje słodycze.

–Nie otwierał od pięciu dni – powiedział sklepikarz. – Nikogo z nas nie uprzedził. Nic mu się nie stało?

–Na pewno wszystko u niego w najlepszym porządku – odparł Rivera.

Trzy minuty później inspektor posłużył się policyjnym radiem, by uzyskać numery telefonów i adres domowy Minty'ego Fresha. Gdy pod wszystkimi numerami zgłosiła się poczta głosowa, pojechali do mieszkania Fresha w Twin Peaks, gdzie przed drzwiami ujrzeli sterte gazet.

Rivera odwrócił się do Charliego.

–Znasz jeszcze kogoś, kto potwierdzi to, co mi mówiłeś?

–Chodzi o innych Handlarzy Śmierci? – spytał Charlie. – Nie znam ich, chociaż o nich wiem. Pewnie nie będą chcieli z panem rozmawiać.

–Właściciel antykwariatu z książkami w Haight i sprzedawca starzyzny przy dolnej Czwartej Ulicy, tak?

–Nie – odparł Charlie. – Nie znam nikogo takiego. Czemu pan pyta?

–Bo obaj zaginęli – wyjaśnił Rivera. – U tego drugiego było na ścianach pełno krwi. A w antykwariacie w Haight leżało na podłodze ludzkie ucho.

Charlie oparł się plecami o ścianę.

–Nie pisali o tym w gazetach.

–Nie ujawniamy takich informacji. Obaj mieszkali sami, nikt nic nie widział, nawet nie wiemy, czy popełniono przestępstwo. Ale teraz, skoro ten Fresh zaginął...

–Myśli pan, że tamci byli Handlarzami Śmierci?

–Nie mówię, że w to wierzę, może to tylko zbieg okoliczności. Ale kiedy Ray Macy zadzwonił dziś do mnie w twojej sprawie, właśnie dlatego pojechałem cię szukać. Chciałem zapytać, czy ich znasz.

–Ray mnie sypnął?

–Odpusc. Może uratował ci życie.

Po raz setny tego wieczoru Charlie pomyslał o Sophie, zmartwiony, że nie może z nią być.

–Mogę zadzwonić do córki?

–Jasne – odparł Rivera. – Ale właściwie...

–Antykwariat w Mission – powiedział Charlie, wyciągając telefon z kieszeni marynarki. –

Najwyżej dziesięć minut stąd. Myślę, że właściciel jest jednym z nas.

Sophie czuła się dobrze i razem z panią Korjev karmiła piekielne ogary Serowymi Jaszczurkami. Spytała Charliego, czy czegoś mu nie potrzeba, a on się rozkleił i musiał zapanować nad swoim głosem, zanim odpowiedział.

Siedem minut później zaparkowali w połowie długości Valencia Street i przez chwilę patrzyli, jak strugi wody z wozów strażackich leca na drugie piętro budynku, w którym znajdował się antykwariat. Wysiedli z samochodu i Rivera pokazał odznakę policjantowi, który pierwszy dotarł na miejsce.

–Jednostki straży pożarnej nie mogą wejść do środka – oznajmił gliniarz. – Z tyłu są ciężkie, stalowe drzwi przeciwpożarowe, a te rolety to pół centymetra stali, albo i lepiej.

Na wygiętych na zewnątrz roletach widniały tysiące małych guzów.

–Co się stało? – spytał Rivera.

–Jeszcze nie wiemy – odparł policjant. – Sąsiedzi zgłosili wybuch, i to jest wszystko, co na razie wiemy. Na gorze nikt nie mieszkał. Ewakuowaliśmy sąsiednie budynki.

–Dzięki – powiedział inspektor. Zerknął na Charliego i uniosł brwi.

–Fillmore – powiedział Charlie. – Lombard na rogu Fulton i Fillmore.

–Jedziemy – odparł Rivera, biorąc go pod rękę, by pomóc mu szybko pokustykac do samochodu.

–Wiec nie jestem już podejrzanym? – spytał Charlie.

–Zobaczmy, jeśli przeżyjesz – powiedział Rivera, otwierając drzwi samochodu.

Gdy wsiedli do wozu, Charlie zadzwonił do siostry.

–Jane, proszę, weź Sophie i psy. Zabierz je do siebie.

–Jasne, Charlie, ale właśnie wyczyszciliśmy dywany. A-vin i...

–Nie oddzielaj Sophie od ogarów ani na sekundę, rozumiesz?

–Kurde, Charlie. Pewnie.

–Mowie powaznie. Moze jej grozic niebezpieczenstwo, a one ja ochronia.

–Co sie dzieje? Mam zadzwonic na policje?

–Policja jest ze mna, Jane. Prosze, idz natychmiast po Sophie.

–Juz jade. A jak mam je zapakowac do swojego subaru?

–Cos wymydlisz. Jesli bedzie trzeba, przywiaz Alvina i Mohammeda do zderzaka, a potem jedz powoli.

–To okropne, Charlie.

–Wcale nie. Nic im nie bedzie.

–Nie, chodzi o to, ze oderwaly mi zderzak, kiedy poprzednio tego probowalam. Naprawa kosztowala szescset dolcow.

–Jedz po nia. Zadzwonie za godzine. – Charlie sie rozlaczyl.

Claymore sa do dupy, tyle wam powiem – stwierdzila Babd. – Kiedys lubilam te duze miecze, ale teraz... teraz robia takie wybuchowe i pelne... jak to sie nazywa, Nemain?

–Szrapnele.

–Wlasnie, pelne szrapneli – powiedziala Babd. – Zaczynam sie juz czuc jak dawniej...

–Zamknij sie! – warknela Macha.

–Ale to boli – odparla Babd.

Plynely kanalem burzowym pod Szesnasta Ulica w Mission. Znowu staly sie ledwie dwuwymiarowe i wygladaly jak postrzepione czarne sztandary bitewne, przetarte cienie, zostawiajace za soba slad czarnej brei. Jedna noga Nemain zostala calkowicie odcieta. Nemain trzymala ja pod pacha, gdy siostry holowaly ja przez kanal.

–Mozesz latac? – spytala ja Babd. – Robisz sie ciezska.

–Nie tu na dole, a na gore nie wroce.

–Musimy wrocic na Powierzchnie – stwierdzila Macha. – Jesli chcesz wyzdrowiec, zanim minie milenium.

Gdy trzy smiercionosne slicznotki dotarly do szerokiego rozgalezienia kanalow pod Market

**Street, usłyszały plusk w rurze przed sobą.**

**–Co to było? – spytała Babd.**

**Zatrzymały się. Coś bebnilo w rurę, do której się zbliżały.**

**–Co to było? Co to było? – pytała Nemain, której siostry zasłaniały widok.**

**–Wyglądało jak wiewiorka w sukni balowej – stwierdziła Babd. – Ale jestem osłabiona i mogę mieć zwidy.**

**–I możesz być idiotka – dodała Macha. – To była darowana dusza. Bierz ją! Możemy nią wyleczyć nogę Nemain.**

**Macha i Babd upuściły okaleczoną siostrę, po czym rzuciły się naprzód w stronę rozgalezienia, gdy nagle droge zastąpił im boston terier.**

**Wycofującym się kanałem Morrigan towarzyszył odgłos przywódcy na myśl rozdieranie pazurami koronki.**

**–Uuu, uuu, uuu – zawyla Macha, skrobiąc resztkami szponów rurę.**

**Bummer wyszczał ostrą groźbę, po czym pomknął rura za siostrami Morrigan.**

**–Nowy plan, nowy plan, nowy plan – powiedziała Babd.**

**–Nie cierpie psów – stwierdziła Macha. Złapały siostrę, gdy ją mijaly.**

**–My, boginie śmierci, które wkrótce będą władać wszystkim pod ciemnym niebem, uciekamy przed małym pieskiem – powiedziała Nemain.**

**–I co z tego, kretynko?**

**Tymczasem w dzielnicy Fillmore Carrie Lang zamknęła lombard na noc i czekała, aż ultradźwiękowa czyszczarka skończy czyścić biżuterię, która Carrie przyjęła tego dnia. Chciała mieć to już za sobą, wyjść, wrócić do domu na kolację, a potem może jeszcze gdzieś wyjść na parę godzin. Miała trzydziści sześć lat i była samotna, czuła więc, że ma obowiązek wychodzić, bo istniała niska szansa, że pozna milego faceta, chociaż, prawdę mówiąc, wolałaby siedzieć w domu i oglądać paradokumentalne kryminaly w telewizji. Była dumna z siebie, że nie stała się cyniczna. Właścicielka lombardu, zupełnie jak poręczyciel, często widzi ludzi od najgorszej strony, a jednak każdego dnia odrzucała myśl, że ostatni porządny facet został perkusista albo cpunem. Ostatnio nie chciała wychodzić z domu z powodu dziwnych rzeczy, które widziała i słyszała na ulicy – jakies stworzy, przemykające w cieniu, szeptę ze studzienek kanalizacyjnych. Siedzenie w domu stawało się coraz lepszym rozwiązaniem. Zaczęła nawet zabierać do pracy swojego pięcioletniego basseta, Cheerfula. Nie zapewniał może szczególnej**



ochrony, chyba że napastnik siegalby jej najwyżej do kolan, ale umiał bardzo głośno szczekać i istniała spora szansa, że zaszczeka akurat na złoczyncę, o ile ten nie będzie miał psich ciasteczek. Jak się okazało, stworzenia, które tego wieczoru dokonały inwazji na jej lombard, faktycznie nie siegały jej nawet do kolan.

Carrie była Handlarką Śmierci od dziewięciu lat. Kiedy już się otrząsnęła z początkowego szoku, wywołanego całym zjawiskiem wedrowki dusz (co trwało raptem około czterech lat), zaczęła to traktować po prostu jako część swojej pracy. W Bardzo wielkiej księdze Śmierci wyczytała jednak, że coś się szykuje, i bała się jak diabli. Gdy podeszła do wystawy, by zasunąć rolety antywłamaniowe, usłyszała, że w ciemności za nią coś się porusza, nisko, obok gitar. Musnęło strunę E i rozległ się wibrujący dźwięk, niczym ostrzeżenie. Zostawiła rolety i sprawdziła, czy ma ze sobą klucze, na wypadek gdyby musiała uciekać frontowymi drzwiami. Rozpięła kaburę z rewolwerem, a potem pomyślała: a, co tam, nie jestem glina. Wyciągnęła broń i wymierzyła we wciąż grającą gitarę. Policjant, z którym spotykała się przed laty, namówił ją, by podczas pracy miała przy sobie rewolwer Smith Wesson, i chociaż jeszcze nigdy nie musiała go wyciągać, wiedziała, że to dobry straszak na złodziei.

–Cheerful?! – zawołała.

Odpowiedziało jej szuranie na zapleczu. Dlaczego zgasła prawie wszystkie światła? Włączniki znajdowały się na zapleczu. Poruszała się teraz przy lampkach w gablotach, prawie wcale nieoświetlających podłogi, spod której dochodził hałas.

–Mam broń i wiem jak jej użyć – powiedziała, czując się głupio już w chwili, gdy wypowiedziała te słowa.

Tym razem odpowiedziało jej stłumione skomlenie.

–Cheerful!

Zanurkowała pod unoszoną część lady i pognęła na zaplecze, wymachując lufą pistoletu, tak jak robili policjanci w telewizji. Kolejne skomlenie. Zauważyła sylwetkę Cheer-fula, który leżał w swoim ulubionym miejscu przy tylnych drzwiach. Dostrzegła też coś na jego lapach i pysku. Tasma klejąca. Wyciągnęła rękę, by zapalić światło, i coś uderzyło ją pod kolanami. Próbowала się obrócić, lecz coś walnęło ją w klatkę piersiową i zwałiło z nog. Gdy upadła, ostre pazury przejechały po jej nadgarstkach i w tym momencie wypuściła broń z ręki. Uderzyła głową o klamkę. W jej głowie zajaśniało światło stroboskopowe, a potem coś mocno walnęło ją w kark i wszystko stało się czarne. Było wciąż ciemno, gdy odzyskała przytomność. Nie umiała powiedzieć, jak długo leżała zamroczona, i nie mogła się ruszyć, by spojrzeć na zegarek. O, Boże, złamały mi kark, pomyślała. Widziała przesuwające się obok przedmioty, świecące na czerwono, wylawiające z mroku sylwetki istot, które je niosły- ujrzała małe twarzyczki kociotrupów, kły, szpony i martwe, puste oczodoly. Naczynia duchowe wyglądały, jakby płynęły nad podłogą pod eskortą trupich marionetek. Potem poczuła pazury i ciała stworzeń, dotykające jej, poruszające się pod nią. Próbowала krzyczeć, ale usta miała zaklejone tasma.

Poczula, ze ja podnosi, potem dostrzegla kontur otwierajacych sie tylnych drzwi – przeniesiono ja przez nie na wysokosci okolo trzydziestu centymetrow nad podloga. Potem postawiono niemal do pionu i poczula, ze opada w mroczna otchlan. Gdy dotarli na miejsce, zastali otwarte tylne drzwi lombardu i owiniętego tasma basseta w kacie. Rivera omiotl wzrokiem sklep, trzymajac bron i latarke, po czym, nie zobaczywszy nikogo, zawolal Charliego do srodka.

Charlie wszedl i zapalil swiatlo.

–O, rany – powiedzial.

–Co? – spytal Rivera.

Charlie wskazal gablote wystawowa z wybita szyba.

–Tutaj wystawiala naczynia duchowe. Gablota byla niemal pelna, kiedy tu bylem, a teraz...

Inspektor popatrzył na pusta wystawe.

–Niczego nie dotykaj. Cokolwiek sie tu zdarzylo, to raczej nie byl ten sam sprawca, ktory zalatwil pozostalych.

–Dlaczego? – Charlie popatrzył na basseta na zapleczu.

–Dlatego – odparl Rivera, wskazujac psa. – Nie wiazesz psa, jesli zamierzasz urzadzic rzez i zostawic wszedzie krew i czesci ciala. To nie ta sama mentalnosc.

–Moze go wiazala, kiedy ja zaskoczyli – powiedzial Charlie. – Wygladala troche jak policjantka.

–Tak, a wszyscy policjanci maja swira na punkcie wiazania psow, to chcesz powiedziec?

–Nie. Przepraszam. Ale miala rewolwer.

–Musiala byc tutaj – stwierdzil Rivera. Inaczej wlaczylyby sie alarmy. Co tam jest na klamce? – Przecinal tasma na lapach basseta, uwazajac, by go nie skaleczyc. Skinal glowa w strone drzwi na zaplecze.

–Krew – stwierdzil Charlie. – I troche wlosow. Rivera pokiwal glowa.

–Tam na podlodze tez jest krew? Nie dotykaj. Charlie popatrzył na kilkucentymetrowa kaluze po lewej stronie drzwi.

–Tak mi sie wydaje.

Inspektor uwolnil lapy psa i kleczal nad nim, trzymajac o nieruchomo i sciagajac mu tasma z

pyska.

–Te ślady w kaluży, nie rozmaz ich. Co to, częściowe odciski butów?

–Wyglądają jak ślady ptasich nog. Może kurzych?

–Nie.

Rivera puscil psa, który natychmiast próbował wskoczyć na jego włoskie spodnie i polizac go po twarzy. Inspektor przytrzymał basseta za obroże i podszedł do miejsca, gdzie Charlie oglądał ślady.

–Faktycznie, wyglądają jak ślady kurzych łap – stwierdził.

–Tak – przyznał Charlie. – A pan ma psia slinę na marynarce.

–Muszę to zgłosić.

–Wiec psia slina decyduje o wezwaniu wsparcia?

–Zapomnij o slinie. Slina nie ma znaczenia. Muszę to zgłosić i wezwać swojego partnera. Wkurzy się, że tak długo zwlekalem. Zabiore cię do domu.

–Jeśli nie usunie pan plamy z garnituru za tysiąc dolarów, uzna pan, że to jednak ma znaczenie.

–Skup się, Charlie. Kiedy tylko sprowadzę tu oddział, odsyłam cię do domu. Masz mój numer na komórkę. Daj znać, gdyby coś się działo. Cokolwiek.

Inspektor zadzwonił do centrali i polecił przysłać oddział mundurowych i techników kryminalnych, gdy tylko będą dostępni. Gdy zamknął telefon, Charlie zapytał:

–Wiec nie jestem już aresztowany?

–Nie. Bądźmy w kontakcie. I uważaj na siebie, dobra? Może zechcesz nawet spędzić parę dni poza miastem.

–Nie mogę. Jestem Luminatusem. Mam swoje obowiązki.

–Ale nie wiesz, co to za obowiązki...

–To nie oznacza, że ich nie mam – stwierdził Charlie, może trochę za bardzo przechodząc do defensywy.

–I na pewno nie wiesz, ilu Handlarzy Śmierci jest w San Francisco ani gdzie ich szukać?

–Minty Fresh mowil, ze przynajmniej tuzin, tylko tyle wiem. Ta kobieta i facet z Mission byli jedynymi, ktorzych zauwazylem podczas spacerow.

Uslyszeli, ze w zaulku zatrzymuje sie samochod i Rivera poszedl do tylnych drzwi, by pokazac sie funkcjonariuszom, po czym wrocil do Charliego.

–Idz do domu i przespj sie, jesli zdolasz. Bedziemy w kontakcie.

Charlie pozwolil, by mundurowy policjant zaprowadzil go do radiowozu i pomogl usiasc z tyłu, po czym pomachal inspektorowi i bassetowi, gdy samochod wyjezdziel na wsteczny z zaulka.

## 23. POPIEPRZONY DZIEN

Byl to popieprzony dzien w miescie nad zatoka. O swicie stada sepow przysiadly na mostach Golden Gate i Bay, i patrzyly w dol na udajacych sie do pracy mieszkancow, jakby bezczelnoscia z ich strony bylo to, ze jeszcze zyja i jezdzia samochodami. Smiglowce skierowane do sfotografowania padlinozernych ptakow zajely sie w koncu spiralna chmara nietoperzy, ktore przez dziesiec minut okrazaly piramide Transamerica, po czym najwyrazniej wyparowaly, zmieniajac sie w czarna mgle, ktora odleciala znad zatoki. Utonelo trzech plywakow, rywalizujacych w zawodach triathlonowych, a kamera ze smiglowca zarejestrowala ciemny ksztalt pod woda, zblizajacy sie do jednego z nich i wciagajacy go pod powierzchnie. Liczne powtorki wykazaly, ze nie byla to smukla sylwetka rekina. Stworzenie bylo bardzo szerokie i miało wyrazne rogi na glowie, w przeciwnieństwie do wszystkich plaszczek i mant, jakie dotad widziano. Kaczki z Golden Gate Park zerwaly sie nagle do lotu i odfrunely w sina dal, zniknely tez setki uchatek, zwykle wylegujacych sie na sloncu przy molo 39. Nawet golebie najwyrazniej zwinely sie z miasta. Naburmuszony reporter, ktory szykowal material z nocnych dzialan policji, zauwazyl zwiazek miedzy siedmioma doniesieniami o aktach przemocy i zaginiaciach w miejscowych sklepach z rzeczami uzywanymi. Wczesnym wieczorem wspominaly juz o tym telewizje, pokazujac efektowne zdjecia plonacego antykwariatu w Mission. Byly tez setki pojedynczych wydarzen, spotykajacych rozne osoby: jakies stwory poruszajace sie w ciemnosciach, glosy i krzyki z kanalow, zsiadajace sie mleko, koty drapiace wlasciocieli, wyjace psy i tysiace osob, ktore po przebudzeniu stwierdzily, ze nie cieszy ich juz smak czekolady. Popieprzony dzien. Reszte nocy Charlie spedzil na bieganiu w kolko i sprawdzaniu zamkow, potem ponownym ich sprawdzaniu, potem na poszukiwaniu w Internecie informacji o Zaswiatowcach, na wypadek gdyby ktos umiescil tam nowiutki starozytny dokument od czasu, gdy Charlie poprzednio sprawdzal. Napisal testament i kilka listow, po czym wyszedl i wrzucil je do skrzynki, zamiast polozyc wraz z poczta dd wyslania na ladzie. O swicie byl juz zupełnie wyczerpany, choc jego wyobraznia samca beta pedzila z predkoscia tysiac kilometrow na godzinie. Wzial dwa proszki nasenne, ktore dala mu Jane, i przespjal popieprzony dzien, po czym rankiem obudzil go telefon od kochanej coreczki. – Halo.

–Ciocia Cassie jest antysemitka – powiedziala Sophie.

–Kochanie, jest szosta rano. Mozemy troche pozniej porozmawiac o pogladach politycznych

**cioci Cassie?**

**–Nie, jest szosta wieczorem. Pora na kąpiel, a ciocia Cassie nie pozwala mi zabrać Alvina i Mohammeda do łazienki, bo jest antysemitka.**

**Charlie zerknął na zegarek. W jakimś sensie cieszył się, że jest szosta wieczorem i że rozmawia ze swoją córką. Nie zmieniło tego nic, co się działo, gdy spał.**

**–Cassie nie jest antysemitka. – Po drugiej stronie rozległ się głos Jane.**

**–Właśnie, że jest – odparła Sophie. – Uwważaj, tato, ciocia Jane sympatyzuje z antysemitami.**

**–Nieprawda – zaproponowała Jane.**

**–Słyszysz, jaka mam mądra córkę? – powiedział Charlie. – Ja w jej wieku nie znalazłem takich słów jak "antysemita" czy "sympatyzować", a ty?**

**–Gojów nie można ufać, tato – oznajmiła Sophie. Zniżyła głos: – Nie cierpią kąpiele, ci goje.**

**–Tata to też goj, skarbie.**

**–O, Boże, oni są wszędzie, jak kosmici! – Usłyszał, że córka rzuca telefon i krzyczy, a potem rozległo się trzaskanie drzwi.**

**–Sophie, natychmiast otwórz te drzwi – powiedziała Cassie w tle.**

**–Charlie, skąd ona to wszystko bierze? Uczysz ją tego? – spytała Jane.**

**–To pani Korjev. Pochodzi od Kozaków i ma pewne poczucie winy za to, co jej przodkowie robili Żydom.**

**–A – powiedziała Jane, tracąc zainteresowanie tematem, skoro nie mogła obwinie Charliego. – Nie powinieneś wpuszczać z nią psów do łazienki. Jedzą mydło, a czasami wchodzi do wanny i wtedy...**

**–Pozwól im z nią wejść, Jane – przerwał Charlie. – Być może tylko one mogą ją ochronić.**

**–Dobra, ale pozwól im tylko jeść tanie mydła. Nie te francuskie.**

**–Krajowe mydło w zupełności wystarczy. Słuchaj, w nocy przygotowałem holograficzny testament. Gdyby coś mi się stało, chce, żebyś wychowała Sophie. O tym też tam jest.**

**Nie odpowiedziała. Po drugiej stronie nie słyszał nawet jej oddechu.**

**–Jane?**

–Jasne, jasne. Ma sie rozumiec. Cholera, co sie z wami dzieje? Jakie to wielkie niebezpieczenstwo grozi Sophie? Dlaczego mowisz takie straszne rzeczy? I dlaczego nie zadzwoniles wczesniej, skurwielu?

–Cala noc nie spalem i robilem rozne rzeczy. Potem wzialem dwa proszki nasenne, ktore mi dalas. I nagle minelo dwanaszcie godzin.

–Wziales dwa? Nigdy nie bierz dwoch.

–Tak, dzieki – odparl. – Tak czy owak, na pewno nic mi sie nie stanie, ale gdyby z jakiegos powodu sie stalo, musisz zabrac Sophie i na jakis czas wyjechac z miasta. Na przyklad, w gory Sierra. Wyslalem ci tez list, w ktorym wszystko wyjasniam, przynajmniej tyle, ile wiem. Otworz go tylko pod warunkiem, ze cos sie stanie, dobra?

–Lepiej, zeby nic sie nie dzialo, ty fiucie. Dopiero stracilam mame i... dlaczego, do diabla, tak mowisz, Charlie? W jakie klopoty sie wpakowales?

–Nie moge ci powiedziec. Musisz mi uwierzyc, ze nie mialem wyboru.

–Jak moge ci pomoc?

–Robiac dokladnie to, co robisz. Opiekuj sie Sophie, dbaj o jej bezpieczenstwo i zawsze trzymaj przy niej ogary.

–Dobra, ale lepiej, zeby nic ci sie nie stalo. Cassie i ja bierzemy slub i chce, zebyś mnie poprowadzil. I chce pozyczyc twój smoking. To Armani, tak?

–Nie, Jane.

–Nie zaprowadzisz mnie?

–Nie, nie o to chodzi, zaplacilbym jej, zeby cie zabrala, nie w tym rzecz.

–Czyli uwazasz, ze osoby homoseksualne nie powinny miec prawa do slubow, mam racje? Nareszcie wyszlo szydlo z worka. Wiedzialam, w koncu...

–Po prostu nie uwazam, ze osoby homoseksualne powinny brac slub w moim smokingu.

–Aha – powiedziala Jane.

–Ty wlozysz moj smoking od Armaniego, a ja bede musial wypożyczyc jakis szajs albo kupic cos nowego i taniego. A potem do konca swiata bede wygladal na tych slubnych zdjeciach jak dupek. Wiem, jak wy lubicie pokazywac slubne zdjecia. To jakas choroba.

–"Wy", czyli lesbijki? – spytala Jane glosem, ktory bardzo kojarzyl sie z prokuratorem.

**–Tak, lesbijki, idiotko – odparł Charlie głosem, który bardzo kojarzył się z wrogo nastawionym świadkiem.**

**–No dobra – powiedziała. – To moj slub, wiec chyba moge sobie kupic smoking.**

**–Byloby miło – odparł Charlie.**

**–I tak ostatnio musze przerabiac spodnie, zeby byly luzniejsze w tylku – dodala.**

**–Dobra dziewczynka.**

**–Wiec bedziesz bezpieczny i mozesz mnie zaprowadzic.**

**–Na pewno sprobuje. Myslisz, ze Cassandra pozwoli mi przyprowadzic zydowska dziewczynke?**

**Jane parsknela smiechem.**

**–Dzwon co godzine – powiedziala.**

**–Nic z tego.**

**–To dzwon, kiedy bedziesz mogl:**

**–Tak – odparł Charlie. – Pa.**

**Usmiechnal sie do siebie i sturlal z lozka, zastanawiajac sie, czy przypadkiem nie jest to jego ostatni usmiech. Wzial prysznic, zjadal kanapke z maslem orzechowym i dzemem, po czym wlozyl garnitur za tysiac dolarow, za ktory zaplacic czterdziesci. Przez kilka chwil kustykal po sypialni, by w koncu stwierdzic, ze noga ma sie calkiem niezle i ze da sobie rade bez gipsu, wiec zostawil go na podlodze przy lozku. Zaparzynl kawe i zadzwonil do inspektora Rivery.**

**–To byl popieprzony dzien – stwierdzil Rivera. – Charlie, musisz zabrac corke i wyjechac z miasta.**

**–Nie moge. Tu chodzi o mnie. Bedzie mnie pan informowal na biezaco, prawda?**

**–Obiecujesz, ze nie zrobisz nic glupiego ani bohaterskiego?**

**–Nie mam tego w genach, inspektorze. Zadzwonie, jesli cos sie pojawi.**

**Charlie rozlaczyl sie, nie majac pojecia co ma robic, ale czul, ze cos zrobic musi. Zatelefonowal do domu Jane, zeby powiedziec Sophie "dobranoc".**

**–Chcialem ci tylko powiedziec, ze cie bardzo kocham, skarbie.**

**–Ja ciebie tez, tato. Czemu zadzwoniles?**

**–A co, macie jakies spotkanie?**

**–Jemy lody.**

**–Fajnie. Sluchaj, Sophie, tata musi zalatwic pare spraw. Chce, zebys zostala u cioci Jane przez pare dni, dobrze?**

**–Dobrze. Potrzebujesz jakiejs pomocy? Jestem wolna.**

**–Nie, skarbie, ale dziekuje.**

**–Dobrze, tato. Alvin patrzy na mojego loda. Jest chyba glodny jak niedzwiedz. Musze konczyc.**

**–Kocham cie, skarbie.**

**–Kocham cie, tato.**

**–Przepros ciocie Case, ze nazwalas ja antysernitka.**

**–Dobra. – Trzask.**

**Rozlaczyła sie. Jego oczko w glowie, swiatlo jego zycia, jego duma i radosc rozlaczyła sie. Westchnal, ale poczul sie lepiej. Rozczarowanie to srodowisko naturalne samca beta.**

**Poszedl do kuchni i przez kilka minut ostrzyl klingę swojego miecza w lasce o elektryczny otwieracz do konserw, ktory dostali z Rachel w prezencie slubnym. Potem wrocil do sklepu.**

**Kiedy otworzyl drzwna tylne schody, uslyszal dobiegajace ze sklepu dziwne, wierzece odglosy. Zdawalo sie, ze dochodza z zaplecza. Swiatla nie byly zapalone, ze sklepu jednak sacyl sie blask. Co to bylo? Kwestia, co ma teraz robic, zostala w pewnym sensie rozwiazana.**

**Wyciagnal miecz z lad i zaczal sie skradac po schodach na dol, w przysiadzie, b stopnie za bardzo nie skrzypialy. W polowie schodow zoaczyl zrodlo zwierzezych dzwiekow, wzdrygnal sie i poskoczyl o pare stopni w gore.**

**–Na milosc boska!**

**–Trzeba to bylo zrobic – powiedziala Lily.**

**Siedziala okrakiem na Rayu Macym. Jej plisowana spodnica przykrywala na szczescie te fragmenty Raya, na widok ktorych Charlie musialby wydrapac sobie oczy. Zreszta i tak rozwazal ten pomysl.**



**–To prawda – przyznał bez tchu Ray.**

**Charlie niesmiało zajrzał na zaplecze – ciągle to robili, Lily ujeżdżała Raya jak mechanicznego byka. Naga piers, uwolniona z kucharskiego fartucha, rytmicznie podskakiwała.**

**–Był przybity – powiedziała. – Zastalam go, jak robił sobie dobrze sklepowym odkurzaczem. W imię wyższego dobra, Charlie.**

**–Przestancie – powiedział Charlie.**

**–Nie, nie, nie, nie, nie – odparł Ray.**

**–Dobry uczynek – dodała Lily.**

**–Wiesz, Lily – powiedział Charlie, zakrywając oczy – mogłabys spełniać dobre uczynki w inny sposób. Mikołaj z Armii Zbawienia czy coś.**

**–Nie chce się z nimi bzykac. Większość z tych gości to alkoholicy i śmierdzą. Ray jest przynajmniej czysty.**

**–Nie zerznąć Mikołaja, tylko nim być. Dzwonic dzwonkiem przy czerwonym czajniku. Jezu.**

**–Jestem czysty – powiedział Ray.**

**–Zamknij się – odparł Charlie. – Mogłaby być twoja córka.**

**–Miał myśli samobójcze – wtraciła Lily. – Być może ratuje mu życie.**

**–Ratuje – potwierdził Ray.**

**–Zamknij się, Ray – przerwał mu Charlie. – To żaloszny, desperacki seks z litosci i tyle.**

**–Wie o tym – stwierdziła Lily.**

**–Nie przeszkadza mi to – powiedział Ray.**

**–Robię to też dla sprawy – dodała dziewczyna. – Ray coś przed tobą ukrywał.**

**–Naprawdę? – spytał Ray.**

**–Jak to? – powiedział Charlie.**

**–Znalazł kobietę, która kupowała wszystkie naczynia duchowe. Mieszkała z klientkami, których nie znalazł gdzieś w Mission. Nie chciał ci o tym powiedzieć.**

**–Nie wiem, o czym mówisz – powiedział Ray. A potem dodał: – Szybciej, proszę.**

**–Podaj mu adres – polecila Lily.**

**–Lily – wtracil Charlie. – To nie jest konieczne.**

**–Nie – odparl Ray.**

**Rozleglo sie donosne klasniecie. Charlie otworzyl oczy. Tamci wciaz to robili, ale prawy policzek Raya nabral jaskrawo czerwonej barwy, a Lily zamierzala sie do kolejnego cios.**

**–Powiedz mu!**

**–Przy Guerrero Street, miedzy Osiemnasta a Dziewietnasta, nie pamietam numeru, ale to duzy, zielony, wiktorski dom. Nie przegapisz. Osrodek Buddyjski Trzy Klejnoty.**

**PLASK!**

**–Au, powiedzialem mu – jeknal Ray.**

**–Za to, ze nie zapisales adresu, sukinsynu! – odpai dziewczyna. Potem zwrocila sie do Charliego: – Prosze bardzo, Asher. Chce dostac wazne stanowisko, kiedy juz obejmiesz Zaswiaty!**

**Charlie pomyslal, ze gdy juz to nastapi, zacznie od uzupelnienia Bardzo wielkiej ksiegi Smierci o wskazowki, jak postepowac w podobnych sytuacjach. Ale zamiast tego powiedzial:**

**–Zalatwione, Lily. Bedziesz odpowiadac za stroje i tortury.**

**–Pieknie – stwierdzila. – Wybacz, Asher, musze to skonczyc. – I do Raya: – Slyszales? Koniec z flanelowymi koszulami, lachudro.**

**PLASK!**

**Sapanie Raya stalo sie szybsze i donosniejsze.**

**–Jasne – rzekl Charlie. – Wyjde drugimi drzwiami.**

**–Na razie – powiedzial Ray.**

**–Juz nigdy nie spojrze wam w oczy, dobra?**

**–Brzmi niezle, Asher – odparla Lily. – Uwazaj na siebie.**

**Charlie wspial sie z powrotem po schodach, wyszedl przez glowne drzwi swojego mieszkania i zjechal winda do wyjscia na ulice, po drodze caly czas powstrzymujac odruch wymiotny. Na ulicy zlupal taksowke i pojechal do Mission, starajac sie odegnac obraz swoich bzykajacych sie pracownikow. Siostry Morrigan gonily za darowanymi duszami, ktore uciekly przez studzienki, az do opuszczonej ulicy w Mission. Teraz czekaly, obserwujac zielony, wiktorski budynek spod kratek odpływowych po obu krancach uliczki. Byly juz ostrozniesze. Wygladalo na to, ze solidne lanie poprzedniego wieczoru nieco zlagodzilo ich drapiezna nature. Nazywaly je darowanymi duszami, bo dziwaczne, male zwierzeta przyniosly je prosto do kanalow – dary pojawily sie w chwili największej slabosci siostr. Po tym, jak przeklety boston terier scigal je przez cale kilometry rur i zostawil dopiero na wysokiej polce przy rozgalezieniu kanalow, do srodka wmaszerowalo okolo dwudziestu kochanych, koszmarnych stworkow w kosztownych strojach, niosac to, czego Morrigan potrzebowaly, by wyleczyc rany i nabrac sil: ludzkie dusze. Wtedy mogly juz przepedzic tego uprzykrzonego psa. Siostry Morrigan wrocily, choc nie tak silne, jak przed eksplozja, moze nawet niezdolne do lotu. Bez watpienia jednak mogly znowu zapuscic sie na Powierzchnie, zwlaszcza gdy czekalo tyle dusz. Tej nocy na ulicach nie bylo nikogo z wyjatkiem cpunow, dziwek i wloczegow. Po popieprzonym dniu niemal wszyscy stwierdzili, ze lepiej i bezpieczniejsze bedzie zostac w domu. Dla siostr Morrigan (o ile w ogole je to obchodzilo) byli tam bezpieczni tak, jak tunczyk jest bezpieczny w puszcze, ale jeszcze nikt o tym nie wiedzial. Nikt nie wiedzial, przed czym sie ukrywa – oprócz Charliego Ashera, ktory na oczach siostr wysiadl z taksowki.**

**–Nowe Mieso – stwierdzila Macha.**

**–Powinnysmy nadac mu nowe imie – zaproponowala Babd. – Znaczy, wlasciwie to juz nie jest taki nowy.**

**–Ciii – syknela Macha.**

**–Ej, kochanku! – zawolala Babd ze studzienki. – Teskniles za mna?**

**Charlie zaplacicl za taksowke i stanal posrodku ulicy, patrzac na wielki, wiktorski budynek o barwie nefrytu.**

**W wiezyczce na gorze i w jednym z okien na dole palily sie swiatla. Ledwie widzial tabliczke z napisem OSRODEK BUDDYJSKI TRZY KLEJNOTY. Ruszyl w strone budynku i nagle w**

**kratce pod gankiem dostrzegł ruch – blysk oczu. Moze to byl kot? Zadzwonila jego komorka, wiec ja otworzyl.**

**–Charlie, mowi Rivera. Mam dobre wieści. Znalezlismy Carrie Lang, kobiete z lombardu. Zyje. Lezala zwiazana w smietniku przecznice od swojego sklepu.**

**–To swietnie – odparl Charlie.**

**Wcale jednak nie czul sie swietnie. Stworzenia, ktore poruszaly sie pod gankiem, zaczely teraz wychodzic. Wspinaly sie po schodach, stawaly rzedem i patrzyly na niego. Bylo ich dwadziescia albo trzydziesci, mialy nieco ponad trzydziesci centymetrow wzrostu i nosily ozdobne, historyczne kostiumy. Kazdy mial trupi pysk martwego zwierzecia, kota, lisa, borsuka – i zwierzat, ktorych Charlie nie umial rozpoznać. W kazdym razie byly to tylko czaszki o pustych, czarnych oczodolach. A jednak patrzyly.**

**–Nie uwierzysz, co, wedlug jej zeznan, wrzucilo ja do smietnika. Male zwierzeta, male potwory, tak powiedziala.**

**–Mniej wiecej trzydziestocentymetrowe – dodal Charlie.**

**–Tak, skad wiesz?**

**–Mnstwo zebow i pazurow, jakby kawalki zwierzat pozlepiane razem? I wszystkie poubierane jak na bal przebierancow?**

**–Co chcesz mi powiedziec? Co wiesz?**

**–Tylko zgaduje – odparl Charlie. Zwolnil bloкаде na mieczu w lasce.**

**–Ej, kochanku – rozlegl sie za nim zenski glos. – Teskniles za mna?**

**Odwrocil sie. Wypelzala z kanalu niemal dokladnie za nim.**

**–Zle wieści – powiedzial Rivera – sa takie, ze znalezlismy tego handlarza starzyzna i tego antykwariusza. W kawalkach.**

**–To faktycznie zle wieści – przyznal Charlie. Ruszyl ulica, oddalajac sie od harpii i ganku pelnego satanicznych pacynek.**

**–Nowe Mieso – rozlegl sie glos przed nim.**

**Podniosl wzrok na kolejna harpie, ktora wypelzala z kanalu, z oczami polyskujacymi na czarno w swietle latarni. Za soba uslyszal klekot malych, zwierzecych zabkow.**

**–Charlie, nadal uwazam, ze powinienes na jakis czas wyjechac, ale jesli nie wyjedziesz, i jesli nikomu nie powiesz, ze uslyzales to ode mnie, powinienes sprawic sobie bron, moze nawet**

**kilka sztuk.**

**–To genialna myśl – stwierdził Charlie.**

**Dwie harpie z kanałów podchodziły do niego powoli, niezdarnie, jakby w ich układzie nerwowym nastąpiło zwarcie. Ta, która była bliżej, ta z zaulka na North Beach, oblizywała wargi. Wyglądała trochę niechlujnie w porównaniu z tamtą nocą, gdy go uwiodła. Odszedł w górę ulicy, byle dalej od nich.**

**–Obrzyna, to nie będziesz musiał uczyć się strzelac. Nie mogę ci takiego dać, ale...**

**–Inspektorze, oddzwonie później.**

**–Mówię poważnie, Charlie, czymkolwiek one są, na pewno ścigają takich jak ty.**

**–Nie ma pan pojęcia, jak dobrze to rozumiem.**

**–To ten, który do mnie strzelał? – spytała bliższa z harpii. – Powiedz, że wysze mu galki oczne i wsadzę do uszu.**

**–Słyszał pan, inspektorze?**

**–To ona?**

**–One – poprawił Charlie.**

**–Tedy, Mieso – powiedziała trzecia harpia, wychodząc ze studzienki w odległym końcu ulicy. Wstała, wysunęła pazury i bryzgnęła jadem na bok zaparkowanego samochodu. Tam, gdzie trafił jad, lakier zasyczał i spłynął z karoserii.**

**–Gdzie jesteś, Charlie? Gdzie jesteś?**

**–W Mission. Blisko Mission Street – odparł. Zwierzątka schodziły ze stopni na chodnik, a potem na jezdnię.**

**–Zobaczcie – powiedziała jedna z harpii. – Przyniosł prezenty.**

**–Charlie, gdzie dokładnie jesteś? – spytał Rivera.**

**–Muszę kończyć, inspektorze. – Charlie zamknął telefon i wrzucił go do kieszeni płaszcza. Potem wysunął miecz z laski i obrócił się do harpii z zaulka. – To dla ciebie – oznajmił, wywijając broń w powietrzu.**

**–Jak miło – odrzekła. – Zawsze myślisz o moich potrzebach.**

**Cadillac eldorado brougham, rocznik 1957, był jedna z najbardziej szpanerskich maszyn**

smierci. Skladal sie z niemal trzech ton stali, ukszaltowanej w potezna bestie o wysokim ogonie i wykonczonej taka iloscia chromu, ze mozna by zrobic Terminatora i jeszcze by zostalo, w wiekszosci w formie dlugich, ostrych pasow, ktore odrywaly sie przy zderzeniu i zmienialy w smiercionosne kosy do ciecia przechodniow. Pod czterema reflektorami pysznily sie dwa chromowe, wystajace guzy na zderzaku, ktore wygladaly jak nieodpalone torpedy albo smiercionosne cycki Madonny w rozmiarze potrojne G. Mial sztywne kolumny kierownicy, ktora wbijala sie w kierowce przy kazdym powazniejszym wypadku, elektryczne szyby, zdolne obciac glowe dziecku, zero pasow bezpieczenstwa i silnik V8 o mocy 325 koni mechanicznych i tak ogromnym spalaniu, ze doslownie bylo slychac, jak probuje wyssac z podziemi zmienione w rope dinozaury. Osiagal sto osiemdziesiat kilometrow na godzine i mial miekkie zawieszenie, ktore w zaden sposob nie stabilizowalo jazdy z taka predkoscia, a takze zbyt male hamulce, niezdolne go zatrzymac. Pletwy, sterzace z tylu, byly tak wysokie i ostre, ze samochod stanowil smiertelne zagrozenie dla pieszych nawet wtedy, gdy byl zaparkowany, calosc zas opierala sie na wysokich oponach z bialymi bokami, ktore wygladaly – a takze dzialaly – jak ogromne, posypane pudrem precle. W Detroit nie uzyskaliby bardziej smiercionosnej, pletwiastej ostentacji, nawet gdyby wziali orke i pokryli ja krysztalami gorskimi. To bylo arcydzielo. A dlaczego musicie to wszystko wiedziec? Bo oprócz wymeczonych bojem siostr Morrigan i swietnie ubranych chimer, do Charliego w szybkim tempie zblizal sie wlasnie Cadillac Eldorado, rocznik '57. Eldorado o barwie krwistej czerwieni pokonal zakret. Opony piszczaly niczym plonace pawie, kolpaki toczyly sie w strone kraweznika, a silnik wyl, ziejac niebieskim dymem na podobienstwo wzdetego smoka. Pierwsza z siostr Morrigan obrocila sie i zderzakowy pocisk wbil sie w jej udo, nim zostala wciagnieta pod podwozie i wyrzucona z tylu w postaci bezladnej, czarnej sterty. Reflektory zaplonely i Cadillac skrecil w strone harpii, ktora stala najblizej Charliego. Cudaczne zwierzeta pomknely z powrotem na chodnik, a Charlie wskoczyl na maske zaparkowanej obok hondy. Tymczasem Eldorado z piskiem hamulcow uderzyl w druga z siostr. Przeleciala nad maske jak szmaciana lalka i spadla dwadziescia metrow dalej. Cadillac przyspieszyl i trafil ja znowu, tym razem przejezdajac po niej z seria loskotow. Potoczyla sie po asfalcie, odpadaly jej kawalki ciala. Samochod pomknal w strone ostatniej Morrigan. Ta miala kilka sekund przewagi nad siostrami. Zaczela biec ulica i zmieniac ksztalt. Rece zmienialy sie w skrzydla, wyrastaly jej tez piora na ogonie, widac bylo jednak, ze nie zdazy dokonac transformacji i odfrunac. Eldorado przejechal ja, potem zahamowal, ruszyl w tyl i palac gumy przetoczyl sie po jej plecach. Charlie uciekl na dach hondy, gotow odskoczyc od jezdni, ale samochod sie zatrzymal, a przyciemniana, elektryczna szyba zjechala w dol.

–Wsiadaj, kurwa, do wozu – powiedzial Minty Fresh.

Minty Fresh jeszcze raz przejechal ostatnia Morrigan i pomknal naprzod. Dwa razy z piskiem opon skrecil w lewo, po czym stanal przy krawezniku, wyskoczyl i pobiegl przed maske.

–Niech to szlag – powiedzial (bolesnie, z naciskiem na "szlag"). – Niech to szlag, maska i grill rozjebane. Niech to szlag. Moge zrozumiec, ze ciemnosc chce pokryc swiat, ale nie wolno psuc mojej fury.

**Wsiadł z powrotem, wrzucił bieg i z piskiem minal następny zakret.**

**–Dokad jedziesz?**

**–Jeszcze raz przejadę te dziwki. Nie wolno psuc mojej fury.**

**–A myślałeś, że co się stanie, kiedy w nie wjeżdżałeś?**

**–Nie to. Nigdy wcześniej nikogo nie przejechałem. Nie udawaj, że cie to dziwi.**

**Charlie popatrzył na łuski wewnątrz samochodu, na siedzenia z czerwonej skóry, na deske wykonaną orzechowym fornirem i na złożone klamki.**

**–To świetny wóz. Moj listonosz byłby zachwycony.**

**–Twój listonosz?**

**–Kolekcjonuje stare, alfonsowate ciuchy.**

**–Co próbujesz mi powiedzieć? – Nic.**

**Byli już na Guerrero Street i Minty wcisnął gaz do dechy, gdy zbliżali się do celu. Pierwsza harpia, którą przejechał, właśnie się podnosiła, gdy uderzył ją znowu. Odbiła się od dwóch zaparkowanych samochodów i od ściany opuszczonego budynku. Druga odwróciła się, by stawic im czoło, i obnażyła szpony, które podrapały maskę, gdy przejechał ją przy wtorze serii łomotów. Potem przejechał po nogach trzeciej, która pelzła z powrotem w stronę studzienki kanalizacyjnej.**

**–Jezu – powiedział Charlie, odwracając się i wyglądając przez tylną szybę.**

**Teraz Minty Fresh najwyraźniej skupił całą uwagę na bezpiecznym stylu jazdy.**

**–Czym one, do diabła, są?**

**–Nazywam je harpiami z kanałów. To one wołają do nas ze studzienek. Są teraz znacznie silniejsze niż kiedyś.**

**–Są przerażające, ot co – odparł Minty.**

**–No, nie wiem – powiedział Charlie. – Dobrze się im przyjrzałeś? Znaczą się, ten-tegęs z tyłu i git-malina z przodu, wiesz o czym mówię, ziom? Piąteczka-piasteczka z fa-fa-rafa? – Unosił piasek, by przybić piątkę z Mintym, ale, niestety, ziomal go olał.**

**–Prześlan – powiedział Fresh.**

**–Przepraszam – odparł Charlie.**

–"Nawijka luzaka w dziesięc dni", wydanie StoneThug? – spytał Minty.

Charlie skinal głową.

–Pare miesięcy temu płyta pojawiła się w sklepie. Ćwicze w furgonetce. Jak mi idzie?

–Nawijasz jak czarnuch, można się pomylić. Musiałem sprawdzać, czy ciągle jesteś biały.

–Dzięki – powiedział Charlie, po czym dodał, jakby w głowie zapaliła mu się jakaś lampka: – Ej, szukałem cie. Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

–Ukrywałem się. Jedna z nich przyszła do mnie w metrze, kiedy wracałem z Oakland.

–Jak uciekłeś?

–Te małe zwierzatka zaatakowały ją w ciemności. Cała chmara. Słyszałem, jak na nie wrzeszczy i rozdziera je na strzepy, ale powstrzymały ją na tyle długo, że pociąg wjechał na pełną ludzi stację. Zwiąła z powrotem do tunelu. W wagonie wszędzie wały się kawałki tych stworzeń. Minty skreślił w Van Ness i teraz jechał w stronę dzielnicy Charliego.

–Czyli ci pomogły? Nie są częścią Zaswiatów, które chcą zawładnąć światem?

–Wygląda na to, że nie. Uratowały mi tylek.

–Wiesz, że niektórzy Handlarze Śmierci zostali zabici?

–Nie wiedziałem. Nie pisali w gazetach. Wczoraj wieczorem widziałem spalony sklep Antona. Nie wyszedł z tego?

–Znaleźli go w kawałkach – odparł Charlie.

–Charlie, myślę, że to moja sprawa. – Minty Fresh odwrócił się i tak naprawdę pierwszy raz spojrzal na Charliego z zalem w złotych oczach. – Nie udało mi się odnaleźć dwóch ostatnich naczyń duchowych, i wtedy się zaczęło.

–Myślałem, że to przeze mnie – odparł Charlie. – Też umknęły mi dwa. Ale nie sądzę, że to my. Dwie moje klientki żyją i myślę, że są w tym domu, do którego szedłem, kiedy mnie uratowałeś. Do Ośrodka Buddyjskiego Trzy Klejnoty. Jest tam też kobieta, która wykupywała naczynia duchowe.

–Ladna brunetka? – spytał Minty.

–Nie wiem. Czemu pytasz?

–Ode mnie też pare kupiła. Próbowала się kamuflować, ale to była ona.



**–Jest w tamtym domu. Musze tam isc.**

**–Nie chce miec do czynienia z tymi szponiastymi dziwkami – stwierdzil Minty.**

**–Racja, ziom – powiedzial Charlie. – Mialem z jedna mala akcje.**

**–Nie.**

**–Tak, male bara-bara i w ogole. Musialem spuscic sztunie na bambus.**

**–Przestan.**

**–Przepraszam. Tak czy siak, musze tam wrocic.**

**–Na pewno? Chyba nie zginely. Zdaje sie, ze nie mozna ich zabic.**

**–Moglbys przejechac po nich jeszcze raz. Przy okazji, skad wiedziales, gdzie mnie szukac?**

**–Kiedy uslyszalem, ze spalil sie sklep Antona, probowalem do niego zadzwonic, ale uslyszalem tylko, ze abonent jest niedostepny. Pogadalem z ta dziewczyna, ktora dla ciebie pracuje. Powiedziala, dokad poszedles. Gadalem z nia jakies dziesiec minut. Wie o mnie... to znaczy o nas? O Handlarzach Smierci?**

**–Tak, powiedzialem jej dawno temu. A nie byla, eee, zajeta, kiedy tam dotarles? Z facetem, znaczy sie.**

**–Nie. Spotyka sie z kims?**

**–Myslalem, ze jestes gejem?**

**–Nigdy tego nie powiedzialem.**

**–No tak, ale tez za bardzo nie starales sie zaprzeczyc.**

**–Charlie, prowadze sklep muzyczny w Castro, wiec mam lepsze obroty jako homoseksualny Handlarz Smierci niz jako zwykly sprzedawca hetero.**

**–Sluszna uwaga. Nie pomyslalem o tym.**

**–Jakos mnie to nie dziwi. To jak, spotyka sie z kims?**

**–Ma o polowe mniej lat niz ty i chyba jest lekko zakrecona, znaczy, w sensie seksualnym.**

**–To spotyka sie z kims?**

**–Jest dla mnie jak mlodsza siostra. Nie masz takich pracownikow?**

–Nigdy nie rozmawiales z pracownikiem sklepu płytowego? Nigdzie na świecie nie spotkasz większych pokładów nieuzasadnionej arogancji. Wytrulbym swoich pracowników, gdybym wiedział, że znajdzie zastępstwo.

–Nie sadzę, żeby się z kims spotykała, ale skoro Sily Ciemności mają zająć światem, może ci zabraknąć czasu na randki.

–Sam nie wiem. Wygląda, jakby pociągaly ją Sily Ciemności. Lubie ją, jest zabawna w pewien makabryczny sposób, i lubi Milesa.

–Lily lubi Milesa Davisa?

–Nie wiesz tego o swojej młodszej siostrze? Charlie wyrzucił ręce w górę.

–Weź ją, wykorzystaj i wyrzuc, nie obchodzi mnie to, nie pracuje na pełny etat. Możesz się też umówić z moją córką. Niedługo skończy szesć lat i, o ile wiem, uwielbia Coltrane'a.

–Uspokój się, przesadzasz.

–Po prostu zawróć i zawiąż mnie z powrotem do tego ośrodka buddyjskiego. Muszę to przerwać. Wszystko zależy ode mnie, Fresh. Jestem Luminatusem.

–Wcale nie.

–Jestem – odparł Charlie.

–Jesteś Wielką Śmiercią przez duże S? Ty? Masz pewność, że to prawda?

–Tak – powiedział Charlie.

–Wiedziałem, że jest w tobie coś innego, ale myślałem, że Luminatus będzie, no, nie wiem... wyższy.

–Nie zaczynaj, dobra?

Minty skreślił z Van Ness, by zawrócić na hotelowym podjeździe.

–Dokąd jedziesz? – spytał Charlie.

–Jeszcze raz przejechać parę harpii z kanałów.

–Z powrotem do ośrodka buddyjskiego?

–Mhm. Masz jakąś broń oprócz tego głupiego miecza?

–Znajomy glina powiedział, że powinienem sobie sprawić pistolet.

**Minty Fresh siegnal do zielonej marynarki i wylowil z niej najwiekszy pistolet, jaki Charlie w zyciu widzial. Polozyl go na siedzeniu.**

**–Wez. Desert eagle, piecdziesiatka. Powstrzymalby niedzwiedzia.**

**Charlie wzial chromowana bron. Wazyla ze dwa kilo, a lufa wygladala tak, jakby dalo sie do srodka wsadzic kciuk.**

**–Ale wielki.**

**–Jestem duzym facetem. Sluchaj, masz osiem strzalow. W komorze jest naboje. Musisz zarepetowac i zwolnic blokade, zanim strzelisz. Tu i tu. – Wskazal blokade i kurek. – Trzymaj mocno przy strzale. Przewrocisz sie na dupe, jesli nie bedziesz gotowy.**

**–A co z toba?**

**Minty poklepal marynarkę z drugiej strony.**

**–Mam jeszcze jeden.**

**Charlie obrocil pistolet w rekach i patrzyl, jak swiatlo latarn gra na chromowanej powierzchni. (Samce beta, w glebi duszy czujac, ze przegrywaja konkurencje, sa bardzo lase na wszelkie cacka, ktore wyrownuja szanse).**

**–Masz pan wiele tajemnic, panie Fresh. Nie jestes tylko zwyczajnym, dwumetrowym Handlarzem Smierci w pastelowozielonym garniturze.**

**–Dziekuje za mile slowa, panie Asher.**

**–Cala przyjemnosc po mojej stronie. Zadzwonila komorka Charliego, wiec ja otworzyl.**

**–Asher, gdzie, do diabla, jestes? – odezwal sie Rivera. – Jezdzilem po Mission i nie ma tam nic oprócz mnostwa czarnych pior latajacych w powietrzu.**

**–W porzadku. Nic mi nie jest, inspektorze. Znalazlem Minty'ego Fresha, tego od sklepu muzycznego. Jade z nim samochodem.**

**–Wiec jestes bezpieczny?**

**–Stosunkowo.**

**–To dobrze. Nie szalej. Zadzwonie do ciebie, dobra? Jutro chce pogadac z twoim kolega.**

**–Zalatwione, inspektorze. Dziekuje, ze przyjechal pan na pomoc.**

**–Badz ostrozny, Asher.**

**–Dobra. Nie szaleje. Do widzenia.**

**Zamknal telefon i odwrocil sie do Minty'ego Fresha.**

**–Gotowy?**

**–Jak najbardziej – odparl tamten.**

**Ulica byla pusta, gdy zatrzymali sie przed Osrodkiem Buddyjskim Trzy Klejnoty.**

**–Podjade od tylu – powiedzial Minty.**

**Samochody sa do dupy, tyle moze wam powiedziec – odezwala sie Babd, probujac sie nie rozsypac, gdy siostry Morrigan kustykaly z powrotem do wielkiego statku. – Przez piec tysiecy lat konie nikomu nie przeszkadzaly, az tu nagle mamy chodniki i samochody. Nie rozumiem, co to za frajda.**

**–Nie jestem nawet pewna, czy musimy powstac i zaprowadzic rzady Ciemnosci – powiedziala Nemain. – Najwyrazniej Ciemnosc nie ma jeszcze kwalifikacji. Mowie jako narzedzie Ciemnosci i uwazam, ze musi miec wiecej czasu. – Zostala zmiazdzona w na poly kobiecej, na poly kruczej postaci i gubila piora, gdy utykajac szly przez kanal.**

**–Zupelnie jakby nad Nowym Miesem ktos czuwal -zauwazyla Macha. – Nastepnym razem moze sie nim zajac Orcus.**

**–Tak, poslijmy za nim Orcusa – podchwycila Babd. – Zobaczymy, co sadzi o samochodach.**

## **24. AUDREY I WIEWIORKOLUDZIE**

**Charlie slyszal szuranie pod gankiem, gdy zmierzal do frontowych drzwi osrodka buddyjskiego, ale waga ogromnego pistoletu, ktory wcisnal sobie za pas na plecach, dodawala mu otuchy, nawet jesli troche ipadaly mu spodnie. Drzwi mialy trzy i pol metra wysokosci, czerwony kolor i wieksza ich czesc stanowila chropowata szyba. Po obu stronach widnialy wzory, przedstawiajace barwne tybetanskie kola modlitewne. Charlie wiedzial co o takiego, kiedys bowiem w jego sklepie zjawil sie zlodziej, ctory probowal mu sprzedac trefny towar ze swiatyni. Wiedzial, ze powinien kopnac drzwi, ale z drugiej strony, to byly naprawde wielkie drzwi i chociaz ogladal wiele programow i filmow o policjantach, gdzie kopano w drzwi, sam nie mial w tym wzgledzie doswiadczenia. Inna mozliwoscia bylo wyciagniecie pistoletu i przestrzelenie zamka, ale o tym wcale nie wiedzial wiecej niz o kopaniu, postanowil wiec zadzwonic. Szuranie nasililo sie i uslyszal w srodku ciezkie kroki. Drzwi otworzyly sie i stanela w nich ladna brunetka, ktora znal jako Elizabeth Sarkoff – falszywa siostrzenice Esther Johnson.**

**–O, pan Asher, jaka mila niespodzianka.**

**Juz niedlugo, siostrze, powiedzial ukryty w jego wnetrzu twardziel.**

**–Pani Sarkoff, miło pania widziec. Co pani tu robi?**

**–Jestem recepcjonistka. Proszę wejść, proszę. Wszedł do holu, skąd wiodły schody na górę, a po obu ich stronach widniały podwójne, przesuwne drzwi. Widział, że dokładnie za holem znajduje się jadalnia z długim stołem, a jeszcze dalej kuchnia. Dom był ładnie odnowiony i nie miał wyglądu budynku publicznego.**

**Wewnętrzny twardziel powiedział:**

**"Nie graj ze mną w te swoje gierki, zdiro. Jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety, ale jeśli szybko nie zaczniesz gadać do rzeczy, to chętnie spróbuję".**

**Charlie powiedział:**

**–Nie miałem pojęcia, że jest pani buddystka. To fascynujące. A przy okazji, jak pani ciotka Esther? – Tu ja miał, nawet nie musiał bic.**

**–Nadal nie żyje. Ale dziękuję, że pan pyta. Co mogę dla pana zrobić?**

**Drzwi po lewej rozsunęły się na dwa centymetry i głos młodego mężczyzny powiedział:**

**–Mistrzu, potrzebujemy cie.**

**–Zaraz przyjde – odparła rzekoma pani Sarkoff.**

**–Mistrzu? – Charlie unosił brwi.**

**–W tradycji buddyjskiej recepcjonisci cieszą się ogromnym szacunkiem. – Uśmiechnęła się szeroko i głupkowato, jakby nawet sama sobie nie wierzyła.**

**Charlie był do głębi oczarowany tym uśmiechem i otwarta kapitulacja w jej oczach. Było w nich zaufanie, bez żadnego powodu.**

**–Dobry Boże, marnie pani kłamie – powiedział.**

**–Od razu mnie pan przejrzał, co? – Szeroki uśmiech. – Wiec jest pani...**

**–Czcigodna Amitaba Audrey Rinpocze. – Ukłoniła się. – Albo po prostu Audrey, jeśli się panu spieszy. – Uscisnęła i potrząsnęła dwoma palcami Charliego.**

**–Charlie Asher – powiedział Charlie. – Czyli nie jest pani siostrzenica pani Johnson.**

**–A pan nie handluje używanymi ubraniami?**

–No, właściwie...

Tylko tyle zdążył powiedzieć. Z przodu rozległ się brzek tłuczonego szkła i trzask drewna. Zobaczył, że stół w następnym pomieszczeniu się przewraca.

–Stac! Nie ruszać się! – krzyknął Minty Fresh.

Potem przeskoczył nad stołem i ruszył w ich stronę, najwyraźniej nie zwracając uwagi na fakt, że ma dwa metry dziesięć wzrostu, a drzwi – pochodzące z 1908 roku – niecałe dwa metry wysokości.

–Stój! – zawołał Charlie jakies pół sekundy za późno.

Minty Fresh walnął czołem w ładnie wykonaną, debową framugę, z loskotem, który zatrzęsł całym domem. Jego nogi szły naprzód, a ciało zostało z tyłu. W pewnej chwili znalazł się w pozycji równoległej do podłogi, około metra osiemdziesięciu nad nią, i wtedy grawitacja postanowiła, że da o sobie znać. Chromowany desert eagle przeleciał z grzechotem przez cały hol i uderzył w drzwi frontowe. Minty Fresh wylądował jak długi, bez przytomności, na podłodze pomiędzy Charliem a Audrey.

–A to mój przyjaciel Minty Fresh – oznajmił Charlie. – Nieczęsto robi coś podobnego.

–Jejku, tego nie widuje się codziennie – stwierdziła Audrey, spoglądając w dół na spiacego olbrzyma.

–Fakt – zgodził się Charlie. – Nie wiem, gdzie on kupił surowy jedwab w kolorze takiej zieleni.

–To nie len? – spytała Audrey.

–Nie, jedwab.

–Hmm, taki pomięty. Myślałam, że to len albo jakas mieszanka.

–No, może miał tyle ruchu, że...

–Tak, pewnie tak. – Audrey skinęła głową, po czym spojrzała na Charliego. – No to...

–Panie Asher – rozległ się kobiecy głos po prawej stronie.

Drzwi rozsunęły się i stanęła w nich starsza pani. Irena Posokovanovich. Kiedy widział ją ostatni raz, siedział w samochodzie Rivery, w kajdankach.

–Pani Posokov... Posokovano... pani Ireno! Jak się pani miewa?

–Wczoraj tak się pan tym nie przejmował.

–Przejmowalem sie. Naprawde. Przepraszam za tamto. – Charlie usmiechnal sie, myslac, ze to jego najbardziej uroczy usmiech. – Mam nadzieje, ze nie ma pani tego gazu.

–Nie mam – odparla. Charlie popatrzył na Audrey.

–Doszlo do drobnego nieporozumienia...

–Mam to – dodala pani Irena, wyciagajac zza plecow paralizator, przystawiajac go Charlieemu do piersi i posylajac przez jego cialo sto dwadziescia piec tysiecy woltow.

Wijac sie w konwulsjach na podlodze, ujrzał zwierzeta, czy tez stworzenia podobne do zwierzat, ubrane w stroje historyczne i zmierzajace w jego strone.

–Zwiazcie ich obu – powiedziala Audrey. – Zrobie herbate.

–Herbaty? – spytala Audrey.

Drugi raz w zyciu Charlie Asher byl przywiazany do krzesla i czestowany cieplym napojem. Audrey nachylila sie nad nim z filizanka i mimo ze sytuacja byla niezreczna i grozna, Charlie gapil sie na przod jej koszuli.

–Jaka to herbata? – spytal, chcac zyskac na czasie. Zauwazyl rzadek malenkich, jedwabnych rozyczek przycupnietych radosnie na jej staniku.

–Herbate lubie taka, jakich lubie mezczyzn – odparla Audrey z usmiechem. – Slaba i zielona.

Teraz Charlie popatrzył jej w oczy, ktore tez sie usmiechaly.

–Reke masz wolna – powiedziala. – Ale musielismy ci zabrac pistolet i miecz, bo tutaj krzywimy sie na takie rzeczy.

–Jest pani najmilsza osoba, jaka mnie kiedykolwiek uwiezila – powiedzial Charlie, biorac od niej filizanke.

–Co sugerujesz? – spytal Minty Fresh.

Charlie spojrzal w prawo, na przywiazanego do krzesla Minty'ego Fresha. Wygladal, jakby wzieto go na zakladnika podczas przyjecia dla przedszkolakow – kolana mial pod broda, a jeden z nadgarstkow przyczepiony tasma do krzesla tuz nad podloga. Ktos polozyl mu na glowie spora torebke lodu, ktora wygladala troche jak beret.

–Nic – odparl Charlie. – Tez byles swietnym opravca, nie zrozum mnie zle.

–Herbaty, panie Fresh? – spytala Audrey.

–A ma pani kawe?

**–Zaraz wroce – powiedziała Audrey i wyszła. Przeniesli ich do jednego z pomieszczeń z boku holu, Charlie nie wiedział do którego. Swego czasu musiał to być salonik, służący rozrywkom, teraz jednak przerobiono go na połączenie biura i recepcji: metalowe biurka, komputer, szafka na akta i zestaw starych drewnianych krzeseł dla pracujących i czekających.**

**–Ona mnie chyba lubi – powiedział Charlie.**

**–Przywiązała cię do krzesła – zauważył Minty Fresh, wolną ręką ciągnąc za taśmę, która miała owinięta wokół nóg. Torebka lodu zsunęła mu się z głowy i z donośnym loskotem spadła na podłogę.**

**–Kiedy widzieliśmy się wcześniej, nie zauważyłem, że jest taka atrakcyjna.**

**–Pomożesz mi się uwolnić? – spytał Minty.**

**–Nie mogę – odparł Charlie. – Herbata. – Unosił filiżankę.**

**Przy drzwiach rozległo się jakieś chrobotanie. Unieśli głowy i ujrzeli cztery małe dwunożne stworzenia wchodzące do pokoju. Jedno, które miało pyszczek legwana, łapy szopa i stroj muskietera – wielki kapelusz z piórem i tak dalej – wyciągnęło miecz i dzgnęło Fresha w rękę, która ciągnęła za taśmę klejącą.**

**–Au, niech cię szlag, ty...**

**–Chyba nie chce, żebyś próbował się uwolnić – stwierdził Charlie.**

**Legwan zsalutował mu szpada i pokazał koniuszek swojego pyszczka, jakby chciał powiedzieć: "Masz nosa, ioles".**

**–No – powiedziała Audrey, która weszła do pomieszczenia, niosąc tacę z kawą dla Minty'ego – Widzę, że poznaliście wiewiórkoludzi.**

**Małenka dama z kaczym dziobem i gadzimi łapami w fioletowej, satynowej sukni wieczorowej dygnęła przed Charliem, który w odpowiedzi skinął jej głową.**

**–Tak je nazywamy – wyjaśniła Audrey. – Pierwsi, których zrobiłam, mieli pyszczki i łapki wiewiórek, ale potem skończyły mi się wiewiórcze części, więc stali się bardziej barokowi.**

**–To nie są istoty z Zaskwiatów? – spytał Charlie. – Pani je zrobiła?**

**–Tak jakby – odparła. – Smietanki i cukru, panie Fresh?**

**–Poproszę – powiedział Minty. – Pani robi te potwory? Wszystkie cztery zwierzątka odwróciły się jednocześnie ku niemu i odchyliły, jakby chciały powiedzieć: "Ej, koles, kogo nazywasz potworami?".**



**–To nie potwory, panie Fresh. Wiewiorkoludzie sa ludzmi w rownym stopniu, jak pan.**

**–Tak, tyle ze maja lepsze wyczucie w kwestii ubioru – dodal Charlie.**

**–Nie zawsze bede przywiazany do tego krzesla, Asher -ostrzegl Minty. – Kobieto, kim albo czym jestes, do diabla?**

**–Badz mily – poradzil Charlie.**

**–Chyba powinnam to wyjasnic – stwierdzila Audrey.**

**–Tak pani mysli? – spytal Minty.**

**Usiadla na podlodze ze skrzyzowanymi nogami, a wiewiorkoludzie zgromadzili sie wokol niej i sluchali.**

**–To troche krepujace, ale chyba zaczelo sie, kiedy bylam mala.**

**–Znaczy, lubila pani dotykac martwych stworzen? – spytal Minty Fresh. – Rozbierac sie przy nich?**

**–Pozwol pani mowic – upomniat go Charlie.**

**–Ta suka jest pokrecona – odparl Minty. Audrey usmiechnela sie.**

**–No, tak. Jestem, panie Fresh, a pan jest zwiazany w mojej jadalni, zdany na laske wszystkich pokreconych pomyslow, jakie moga mi przyjsc do glowy. – Srebrna lyzeczka, ktora mieszala herbate, postukala sie po przednich zebach i wywrocila oczyma, jakby wyobrazala sobie cos smakowitego.**

**–Prosze mowic dalej – powiedzial Minty Fresh, wzruszajac ramionami. – Przepraszam, ze przerwalem.**

**–To nie bylo zadne zboczenie – wyjasnila, zerkajac na Minty'ego. – Po prostu mialam bardzo silnie rozwiniete poczucie empatii wobec umierajacych, glownie zwierzat, chociaz kiedy odeszla moja babcia, czulam to z odleglosci wielu kilometrow. Tak czy owak, nie przytlaczalo mnie to ani nic, ale kiedy szlam na studia, chcialam sprawdzic, czy moge nad tym zapanowac, i postanowilam studiowac filozofie Wschodu... a, tak, i projektowanie mody.**

**–Moim zdaniem to wazne, by dobrze wygladac, jesli chce sie pracowac ze zmarlymi – stwierdzil Charlie.**

**–No, ee, dobrze – powiedziala Audrey. – Bylam dobra krawcowa. Naprawde lubilam szyc kostiumy. Tak czy owak, poznalam faceta i zakochalam sie.**

**–Martwego faceta? – spytal Minty.**

–Wkrotce juz tak, panie Fresh. Wkrotce byl martwy. – Wbila wzrok w dywan.

–Widzisz, gruboskorny skurwielu – powiedzial Charlie. – Zraniles ja.

–Halo! Jesteśmy przywiązani do krzeseł – przypomniał Minty. – Otoczeni przez male potwory, Asher. To nie ja tu jestem gruboskorny.

–Przepraszam – powiedzial Charlie.

–W porzadku – odparla Audrey. – Nazywal sie William... Billy. Bylismy razem przez dwa lata, zanim zachorowal. Od miesiaca bylismy zareczeni, kiedy wykryli u niego guza mozgu, ktorego nie dalo sie operowac. Dawali mu kilka miesiecy zycia. Rzucilam szkole i bylam przy nim przez caly czas. Jedna z pielegniarek z hospicjum wiedziala o moich studiach i poradzila, zebysmy porozmawiali z Dordzem Rinpocze, mnichem z Osrodka Buddyzmu Tybetanskiego w Berkeley. Opowiedzial nam o Badro thodrol, czyli tym, co znacie jako tybetanska Ksiege umarlych. Pomagal Billy'emu przygotowac sie na przeniesienie swiadomosci do nastepnego swiata, nastepnego zycia. Dzieki temu odwrocilismy uwage od ciemnosci, a smierc stala sie czymś naturalnym, niosacym nadzieje. Bylam przy Billym, gdy umieral, i czulam, jak jego swiadomosc podaza dalej, naprawde czulam. Dordze Rinpocze powiedzial, ze mam szczegolny talent. Uwazal, ze powinnam studiowac pod kierunkiem wysokiego lamy.

–Zostalas mniszka? – spytal Charlie.

–Myslalem, ze lama to taka duza owca – powiedzial Minty Fresh.

Audrey zignorowala go.

–Bylam zalamana i potrzebowalam wskazowki, wiec wjechalam do Tybetu, a tam przyjezo mnie do klasztoru, gdzie przez dwanasce lat studiowalam Bardo thodrol. Kierowal mna lama Karmapa Rinpocze, siedemnaste wcielenie bodisatwy, ktory tysiac lat temu zalozil nasza szkole buddyzmu. Nauczyl mnie sztuki phowa, przenoszenia swiadomosci w chwili smierci.

–Czyli moglas robic to, co tamten mnich zrobil dla twojego narzeczonego?

–Tak. Praktykowalam phowe dla wielu mieszkancow gorskich wiosok. Byla to jakby moja specjalnosc, podobnie ak szycie szat dla wszystkich w klasztorze. Lama Karmapa powiedzial, ze czuje we mnie bardzo stara dusze, inkarnacje bardzo oswieczonej istoty sprzed wielu pokolen. Pomyslalam, ze moze tylko poddaje mnie probie, zebym ulegla swojemu ego, ale kiedy zblizala sie jego wlasna smierc, wezwal mnie, zebym dokonala dla niego phowe, i wtedy zrozumialam, ze to dopiero jest proba i ze powierza przeniesienie iwojej duszy wlasnie mnie.

–Zebysmy mieli jasnosc – powiedzial Minty Fresh. – Ja nie powierzylbym pani nawet kluczykow do samochodu.

Muskieter o pysku legwana dzgnal Minty'ego szpada w lydke i olbrzymi mezczyzna

**zaskowyczal.**

**–Widzisz – powiedział Charlie. – Kiedy jesteś niegrzeczny, potem to do ciebie wraca. Jak karma.**

**Audrey usmiechnęła się do niego, odstawiła swoją herbatę na podłogę i skrzyżowała nogi, siadając w pozycji lotosu.**

**–Kiedy lama odszedł, zobaczyłam, jak świadomość opuszcza jego ciało. Potem poczułam, że moja świadomość też opuszcza moje ciało, i ruszyłam za lama w góry, gdzie pokazał mi niewielką grocie, zagrzebaną głęboko pod śniegiem. W tej grocie znajdowała się kamienna skrzynia, zapieczętowana woskiem i sznurkiem. Powiedział, że muszę odnaleźć tę skrzynię, a potem zniknął, wstąpił wyżej, podczas gdy ja znalazłam się z powrotem w swoim ciele.**

**–Byłaś wtedy oświecona? – spytał Charlie.**

**–Nawet nie wiem, co to znaczy – odparła. – W tej kwestii lama się mylił, ale coś się we mnie zmieniło, kiedy wykonywałam dla niego phowe. Kiedy wyszłam z pomieszczenia z jego ciałem, zobaczyłam w ludziach świecący, czerwony punkt, dokładnie na wysokości czakry serca. Była to ta sama rzecz, za którą podążyłam w góry, niesmiertelna świadomość. Widziałam ludzkie dusze. Ale co było dla mnie bardziej niepokojące, u niektórych nie było tego blasku, albo ja go nie widziałam, podobnie jak w sobie. Nie wiedziałam dlaczego, ale wiedziałam, że muszę znaleźć tę kamienną skrzynię. Ruszyłam w góry dokładnie tym szlakiem, który pokazał mi lama, i ja znalazłam. Wewnątrz znajdował się zwoj, którego istnienie większość buddystów uważała, i nadal uważa, za mit: zaginiony rozdział tybetańskiej Księgi Umarłych... Omawiał dwie dawno zapomniane sztuki: phowe wymuszonej projekcji i druga, o której nawet nie słyszałam, phowe nieumierania. Pierwsza pozwala zmusić duszę do przejścia z jednego bytu do innego, a druga nieskonczoność przedłużać okres przejściowy, czyli bardo między życiem a śmiercią.**

**–To znaczy, że umie pani sprawić, by ludzie żyli wiecznie?**

**–W pewnym sensie. Raczej: by po prostu przestali umierać. Miesiącami medytowałam nad niezwykłym darem, który otrzymałam, bojąc się dokonywać rytuałów. Ale pewnego dnia, gdy byłam obecna przy bardo starego mężczyzny, umierającego na bolesnego raka żołądka, nie mogłam i patrzeć na cierpienie i spróbowałam phowy wymuszonej projekcji. Wprowadziłam jego duszę w ciało jego nowo narodzonego wnuka, który nie miał światła w czakrze serca. Widziałam, jak światło przepływa przez pomieszczenie i dusza wnika w dziecko. Staruszek zmarł spokojnie kilka sekund później. Po paru tygodniach wezwano mnie do bardo młodego chłopca, który zachorował i wszystko wskazywało na to, że wkrótce umrze. Nie mogłam tego znieść, wiedziałam, że coś mogę zrobić, więc dokonałam phowy nieumierania, a on rzeczywiście nie zmarł. Jego stan się poprawił. Z tego powodu poddałam się swojemu ego i zaczęłam dokonywać rytuałów na innych mieszkańcach wioski, zamiast pomagać im w przejściu do następnego życia, robiłam to pięć razy w ciągu pięciu miesięcy, pojawił się jednak problem.**

**Wezwali mnie rodzice chłopca. Okazało się, że nie rośnie. Nie rosły mu nawet włosy ani paznokcie, zatrzymał się na etapie dziewięcioletka. Ale wtedy wszyscy wiesniacy przychodzili już do mnie, gdy ktoś umierał, wieść rozniosła się po gorach do innych wiosek. Stawiali kolejki przed klasztorem, domagając się, bym do nich wyszła. Odmówiłam jednak przeprowadzania rytuału, bo rozumiałam, że wcale im nie pomagam, tylko zatrzymuje ich w rozwoju duchowym, a poza tym, no wiecie, budzę w nich lek.**

**–To zrozumiałe – wtracił Charlie.**

**–Nie umiałam wytłumaczyć innym mnichom, co się dzieje. Wiec w nocy uciekłam. Zgłosiłam się do ośrodka buddyjskiego w Berkeley, gdzie przyjęto mnie na mniszke. Właśnie wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłam ludzka dusze w przedmiocie nieożywionym, w sklepie muzycznym w Castro. To był pański sklep, panie Fresh.**

**–Wiedziałem, że to pani – oznajmił Minty. – Mówiłem o pani Asherowi.**

**–To prawda – potwierdził Charlie. – Mówił, że jest pani bardzo ładna.**

**–Wcale nie – zaprotestował Minty.**

**–Mówił. "Ładne oczy", powiedział – dodał Charlie. – I co dalej?**

**–Nie miałam wątpliwości. Blask z tej płyty... to było dokładnie to samo, co wyczuwałam w ludziach, którzy mieli dusze. Nie trzeba wspominać, że się przestraszyłam.**

**–Nie trzeba wspominać – wtracił Charlie – że przeżyłem coś podobnego.**

**Audrey skinęła głową.**

**–Chciałam omówić to wszystko ze swoim mistrzem w ośrodku, wiecie, wyjaśnić to, czego nauczyłam się w Tybecie, oddać zwoje komus, kto być może rozumiał, co się dzieje z duszami w przedmiotach, ale załedwie po kilku miesiącach z Tybetu nadeszła wieść, że wyjechałam w tajemniczych okolicznościach. Nie wiem, jakie szczegóły podali, ale poproszono mnie o opuszczenie ośrodka.**

**–Wiec stworzyła pani oddział zwierzęcych upiórków i przeniosła się do Mission – stwierdził Minty Fresh. – To miło. Może mnie już pani odwiązać od krzesła. Ja sobie już pojde.**

**–Fresh, pozwól pani Audrey skończyć opowieść. Na pewno istnieje jakiś zupełnie niewinny powód, dla którego otoczyła się oddziałem zwierzęcych upiórków.**

**–Znalazłam prace przy szyciu kostiumów dla miejscowej grupy teatralnej – ciągnęła Audrey. – Przebywanie wśród ludzi teatru, na ogół urodzonych szpanerów, może wiele zmienić w życiu człowieka. Próbowałam zapomnieć o tym, co robiłam w Tybecie, i skupiłam się na pracy, dając się ponieść swojej kreatywności. Nie było mnie stac na szycie pełnowymiarowych kostiumów,**

wiec zaczęłam robić ich pomniejszone wersje. W sklepie ze starzyzną w Mission kupiłam kolekcje wypchanych wiewierek i użyłam ich jako swoich pierwszych modeli. Później zaczęłam używać innych wypchanych części zwierząt, mieszając je i łącząc ze sobą, ale już wtedy zaczęłam je nazywać wiewiorkoludźmi. Wiele z nich miało ptasie nogi, kurcze i kaczki, bo można je było kupić w Chinatown, podobnie jak na przykład żółwie głowy i... no, w Chinatown można kupić wiele części różnych zwierząt.

–Wiem coś o tym – wtracił Charlie. – Mieszkam przecznice od sklepu z częściami rekinów. Chociaż nigdy nie próbowałem poskładać z nich rekina. Pewnie byłaby fajna zabawa.

–Jestecie pokrewni – stwierdził Minty. – Oboje. Wiecie o tym, prawda? Zabawa martwymi istotami i w ogóle...

Charlie i Audrey uniesli brwi. Stworzenie w niebieskim kimonie, z psia czaszka zamiast głowy, posłało Minty'emu krytyczne spojrzenie pustych oczodołów i też uniosłoby brwi, gdyby je tylko miało.

–Dobrze, proszę mówić – powiedział Minty, machając wolną ręką do Audrey. – Dotarło.

Westchnęła.

–Zaczęłam więc odwiedzać wszystkie sklepy z używanymi rzeczami. W przynajmniej osmiu znalazłam przedmioty z duszami, zawsze umieszczone obok siebie. Zorientowałam się, że nie tylko ja widzę ich czerwone światło. Ktoś wieził te dusze w przedmiotach. W ten sposób dowiedziałam się o was, panowie, kimkolwiek jesteście. Musiałam zabrać wam te rzeczy, więc je kupowałam. Chciałam, żeby dusze przechodziły do kolejnego wcielenia, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. Myślałam o zastosowaniu phowy wymuszonej projekcji i kierowaniu dusz w ciała tych, którzy dusz nie mieli, ale ten proces wymaga czasu. Co miałam zrobić? Związać ich? I nawet nie wiedziałam, czy to się uda. W końcu procedura służyła przeniesieniu duszy z jednego ciała do innego, a nie z nieożywionego przedmiotu.

–Wiec spróbowała pani tej całej wymuszonej projekcji z jednym z wiewiorkoludzi? – wtracił Charlie.

–Tak, i podziałało. Nie liczyłam jednak na to, że będą się ruszać. A ta wiewiorka zaczęła chodzić i wykonywać różne czynności... inteligentne czynności, dodajmy. I w ten sposób wiewiorkoludzie stali się tymi małymi stworzeniami, które dziś widzieliście. Jeszcze herbaty, panie Asher? – Audrey uśmiechnęła się i podała Charliemu imbryk.

–Te dziwadła mają ludzkie dusze? – spytał Charlie. – To ohydne.

–No tak, lepiej mieć dusze uwięziona w parze trampek w pańskim sklepie. Te dusze będą w wiewiorkoludziach tylko do czasu, gdy się zorientuje, jak przenieść je w zwykłych ludzi. Chciałam je chronić przed wami i takimi jak wy.

**–Nie jesteśmy zli. Powiedz jej, Fresh, że nie jesteśmy zli.**

**–Nie jesteśmy zli – powiedział Minty. – Dostane jeszcze kawy?**

**–Jesteśmy Handlarzami Śmierci – oznajmił Charlie, wypadło to jednak znacznie mniej radośnie, niżby chciał. Bardzo mu zależało, by Audrey nie uważała go za złego faceta. Jak większość samców beta, nie zdawał sobie sprawy, że dobry facet niekoniecznie jest atrakcyjny dla kobiet.**

**–O tym właśnie mówię – powiedziała Audrey. – Nie mogłam wam pozwolić handlować duszami jak jakimś badziewiem z drugiej ręki.**

**–W ten sposób odnajdują następne wcielenie – powiedział Minty.**

**–Co? – Audrey spojrzała na Charliego, szukając w jego oczach potwierdzenia.**

**Charlie pokiwał głową.**

**–Ma rację. Dostajemy dusze, kiedy ktoś umiera, a potem ktoś inny ją kupuje i zyskuje nowe życie. Widziałem, jak to się odbywa.**

**–Niemożliwe – powiedziała Audrey, rozlewając kawę Minty'ego.**

**–Owszem – odparł Charlie. – Widzimy czerwony blask, ale nie w ludzkich ciałach, jak pani. Tylko w przedmiotach. Kiedy osoba, która potrzebuje duszy, bierze przedmiot, światło znika. Dusza przenosi się do ciała.**

**–Myślałam, że przetrzymujecie dusze między wcieleniami. Te dusze to nie wasi więźniowie?**

**–Nie.**

**–To jednak nie my – zwrócił się Minty Fresh do Charliego. – Ona to wszystko rozpetala.**

**–Co rozpetala? Co? – pytała Audrey.**

**–Istnieją Siły Ciemności... Nie wiemy czym są – odparł Charlie. – Widzieliśmy wielkie kruki i te demoniczne kobiety, które nazywamy harpiami z kanałów, bo wychodzą z kanałów burzowych. Nabierają siły, gdy wpadnie im w ręce naczynie duchowe... a teraz stają się z dnia na dzień coraz silniejsze. Przepowiednia głosi, że powstana w San Francisco i ciemności przykryją świat.**

**–Są w kanałach? – spytała.**

**Obaj Handlarze Śmierci pokiwali głowami.**

**–O, nie, to tamteży wiewiorkoludzie przemieszczają się niezauważeni po mieście. Wysyłam**

ich do różnych sklepów po dusze. Pewnie prosto w łapy tych stworów. Wielu nie wróciło, myślałam, że może zabłądzili albo laza w kółko.

Czasem tak robia. Dysponują potencjałem ludzkiej świadomości, ale poza ciałem ta świadomość z czasem coś traci. Nieraz bywają nieco przygłupi.

–Poważnie? – spytał Charlie. – To pewnie dlatego ten podobny do legwana gryzie kabel od lampy?

–Ignarius, zejdź stamtąd! Jeśli porazi cię prąd, będę mogła umieścić twoją duszę tylko w tej kurze kornwalijskiej z supermarketu Safeway. Jest jeszcze zamrożona i nie mam żadnych spodni, które by na nią pasowały. – Odwróciła się do Charliego z pełnym zakłopotaniem uśmiechem. – Czasami człowiek mówi takie rzeczy, że...

–Ech, te dzieci, co zrobić – powiedział Charlie, starając się, by zabrzmiało to niedbale. – Wie pani, jeden z wiewiórkoludzi postrzelił mnie z kuszy.

Teraz wydawała się przerażona. Charlie pragnął ją pocieszyć. Przytulić. Pocałować w głowę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Może nawet skłonić ją, by go rozwiązała.

–Naprawdę? Kusza, a to pewnie pan Shelly. W poprzednim życiu był szpiegiem czy kims podobnym. Miał zwyczaj wypuszczania się z własnymi, drobnymi misjami. Miał pana obserwować i składać raporty, żeby wiedziała, co pan robi. Nikogo nie miała spotkać krzywda. Nie wrócił do domu. Bardzo mi przykro.

–Sklądać raporty? – zdziwił się Charlie. – To one umieją mówić?

–No, nie mówią- odparła. – Ale niektóre potrafią czytać i pisać. Pan Shelly potrafił pisać na klawiaturze. Pracowałam nad tym. Muszę je wyposażyć w działający aparat mowy. Probowalam z takim z gadającej lalki. Skutek był taki, że fretka w stroju samuraja ciągle płakała i pytała, czy może pobawić się w piaskownicy, szalu można było dostać. To dziwny proces. O ile używa się części organicznych, które kiedyś żyły, elementy łączą się i działają. Mięśnie i ścięgna rozwijają własne połączenia. Do robienia korpusów używałam szynki, bo to dodaje im masy mięśniowej, a w dodatku do zakończenia mają ładniejszy zapach. Taki wędzony, wiecie. Ale niektóre kwestie pozostają tajemnicą. Struny głosowe im nie wyrastają.

–Oczywiście najwyraźniej też nie – dodał Charlie, filizanka wskazując stworzenie o bezokiej, kociej czaszce. – Jak one widzą?

–Tu mnie pan ma – przyznała Audrey. – Tego nie było w księdze.

–Znam to uczucie – odezwał się Minty Fresh. – Wiec eksperymentuje z aparatem mowy zrobionym z katgutem i ości. Zobaczymy, czy ten, który go ma, nauczy się mówić.

–Dlaczego nie umieści pani dusz z powrotem w ciałach ludzi? – spytał Minty. – To znaczy,

**moze pani, prawda?**

**–Chyba tak – odparła. – Szczerze mowiac, nie mialam w domu zadnych ludzkich zwlok. Ale musi w nich byc jakas czastka czlowieka, dowiedzialam sie tego w drodze eksperymentu. Paliczek, troche krwi, cokolwiek. W sklepie ze starzyzna w Haight kupilam okazyjnie kregoslup i uzywam po jednym kregu na kazdego.**

**–Czyli jest pani jakas potworna wskrzesicielka – stwierdzil Charlie. Po czym szybko dodal: – W milym sensie, ma sie rozumiec.**

**–Dziekuje, panie Handlarzu Smierci. – Odpowiedziala usmiechem i podeszla do biurka po nozyczki. – Ale zdaje sie, ze musze was uwolnic i posluchac, w jaki sposob trafiliscie do takiej pracy. Panie Greenstreet, moglby mi pan przyniesc jeszcze troche herbaty i kawy?**

**Stworzenie z czaszka bobra zamiast glowy, w fezie i smokingu z czerwonej satyny, uklonilo sie i przemknelo obok Charliego, zmiierzajac do kuchni.**

**–Ladny smoking – powiedzial Charlie. Bobrowaty pokazal mu uniesiony kciuk. Gadzi kciuk.**

## **25. ZGUBIONO, ZNALEZIONO**

**Cesarz obozowal w krzakach przy rurze sciekowej, uchodzacej do Lobos Creek w Presidio, przy moscie Golden Gate od strony San Francisco, gdzie od czasow hiszpanskich staly forty, ale od niedawna rozciagal sie park. Cesarz od wielu dni wedrowal po miescie, wolajac do studzienek, podazajac za odglosem szczekania swojego zolnierza. Wierny retriever Lazarus przyprowadzil go tutaj, do jednego z nielicznych wylotow kanalow sciekowych, ktorym boston terier moglby wyjsc, by nie zmylo go do zatoki. Obozowali pod maskujacym poncho i czekali. Na szczescie nie padalo od kiedy Bummer pogonil za wiewiorka do kanalu, ale ciemne chmury zbieraly sie nad miastem juz od dwoch dni i niezaleznie od tego, czy mialy przyniesc deszcz, czy tez nie, wywoływaly w Cesarzu lek o los San Francisco.**

**–Ach, Lazarusie – powiedzial Cesarz, drapiac podwladnego za uchem – gdybysmy mieli choc polowe odwagi twojego mniejszego towarzysza, poszlibysmy do tego kanalu i go znalezli. Ale czymze jestesmy bez niego, czym jest nasza odwaga, nasza dzielnosc? Mozesmy stateczni i prawi, przyjacielu, ale nie majac odwagi, by narazic zycie dla brata, jestesmy tylko jak ci politycy, puszcace sie dziwki retoryki.**

**Lazarus zawarczal nisko i na powrot zanurkowal pod poncho. Slonce dopiero zaszlo, ale Cesarz widzial ruch w rurze odpływowej. Gdy wstal, dwumetrowy wylot kanalu przeslonil stwor, ktory nastepnie wypelzl i doslownie rozwinal sie w strumieniu – wielka, byczoglowa istota, o swiecacych na zielono oczach i skrzydlach rozkladajacych sie niczym skorzaste parasole. Na ich oczach stwor zrobil trzy kroki i wyskoczyl ku ciemniejacemu niebu. Jego skrzydla lopotaly jak zagle na okrecie smierci. Cesarz zadrzal. Przez chwile rozwazal przeniesienie obozowiska do centrum miasta, moze nocleg na Market Street, przy korowodzie**



**przechodniow i policjantow, ale potem z glebi kanalu dobieglo go slabe echo szczekania.**

**Audrey oprowadzala ich po osrodku buddyjskim, ktory z wyjatkiem biura od zewnatrz i salonu, ktory zmieniono w pokoj do medytacji, wygladal w zasadzie jak kazdy inny duzy wiktoriański dom. Owszem, skromny i orientalny, moze jeszcze przesiakniety zapachem kadzidel, ale mimo wszystko byl to po prostu duzy, stary dom.**

**–Tak naprawde to po prostu duzy, stary dom – powiedziala, prowadzac ich do kuchni.**

**Przy Mintym Freshu Audrey czula sie troche nieswojo. Ciagle odrywal kawaleczki tasmy, ktore przyczepily mu sie do rekawa zielonej marynarki, i posylal kobiecie takie spojrzzenie, jakby mowil: "Lepiej, zeby sie okazalo, ze to pralnia chemiczna, albo masz przechlapanie".**

**Sam jego wzrost budzil groze, ale teraz jeszcze z czola sterczal mu rzad duzych guzow, tam, gdzie uderzyl sie o framuge. Troche przypominal klingonskiego wojownika, jesli nie liczyc jasnozielonego garnituru, ma sie rozumiec. Moze to klingonski agent?**

**–No – powiedzial. – Jesli wiewiorkoludzie mysleli, ze jestem zly, dlaczego w zeszlym tygodniu uratowali mnie przed ta harpia w metrze? Zaatakowali ja i dali mi czas na uciezke.**

**Audrey wzruszyla ramionami.**

**–Nie wiem. Mieli pana tylko obserwowac i zdac raport. Widocznie zobaczyli, ze to, co pana sciga, jest znacznie gorsze od pana. W glebi serca to ludzie, wie pan.**

**Przystanela przed spizarnia i odwrocila sie w ich strone. Nie widziala starcia na ulicy, ale Esther wygladala przez okno i opowiedziala jej o tym, co sie dzialo – o kobietokształtnych stworach, ktore zaatakowaly Charliego. Najwyrazniej ci dziwni mezczyzni byli swego rodzaju sprzymierzencami, parajacymi sie tym, co sama uznala za swoje swiete zajecie: pomagali duszom przeniesc sie do nastepnego wcielenia. Ale te metody? Czy mogla im ufac?**

**–Wiec z tego, co mowicie, tysiace ludzi zyje sobie bez duszy?**

**–Miliony, zapewne – odparl Charlie.**

**–Moze to wyjasnia wynik ostatnich wyborow – powiedziala, chcac zyskac na czasie.**

**–Mowila pani, ze widzi, czy ludzie maja dusze – wtracil Minty Fresh.**

**Mial racje, ale choc widywala osoby bez duszy, nigdy nie zastanawiala sie nad ich liczba ani skutkiem niedopasowania zmarlego i narodziłego. Pokrecila glowa.**

**–Czyli wedrowka dusz zalezy od zakupow dobr materialnych? To takie, no nie wiem, obskurne.**

**–Prosze mi wierzyc – powiedzial Charlie – mechanika tego procesu zdumiewa nas tak samo,**

**jak pania. A my jesteśmy jego narzędziami.**

**Popatrzyła na niego, naprawdę popatrzyła. Mówił prawdę. Przybył tu, by zrobić to co trzeba. Otworzyła na oścież drzwi spizarni i omiotł ich czerwony blask. Spizarnia miała wielkość niemal nowoczesnej sypialni, a każda polka od podłogi do sufitu, podobnie jak większość wolnej przestrzeni, zajmowały świecące naczynia duchowe.**

**–Rety – powiedział Charlie.**

**–Zdobyłam ich tyle, ile mogłam. A raczej nie ja, tylko wiewiorkoludzie.**

**Minty Fresh zanurkował do spizarni i stanął przed polką pełną płyt kompaktowych i winylowych. Zaczął je przeglądać, by po chwili odwrócić się do niej z wachlarzem kilku okładek płyt CD.**

**–To z mojego sklepu.**

**–Tak. Mamy wszystkie.**

**–Włamałście się do mojego sklepu.**

**–Dzięki temu nie wzięli ich ci zli, Minty – przypomniał Charlie, wchodząc do spizarni. – Pewnie je uratowała. Może nawet uratowała nas.**

**–Bzdura, stary, nic by się nie wydarzyło, gdyby nie ona.**

**–Nie, to się miało stać. Widziałem w tej drugiej Bardzo wielkiej ksiedze Śmierci, w Arizonie.**

**–Próbowałam im tylko pomóc – powiedziała kobieta. Charlie patrzył na płyty w ręce Minty'ego. Wyglądał, jakby wpadł w trans. Wyciągnął rękę i wziął kompakt, powoli, jakby poruszał się w jakiejś gęstej cieczy, a potem odłożył wszystkie, z wyjątkiem jednego, na który się po prostu gapił. Potem odwrócił płytę, by obejrzeć ją z tyłu. Usiadł ciężko na podłodze i Audrey musiała złapać jego głowę, by nie uderzył w polkę za sobą.**

**–Charlie – powiedziała. – Nic ci nie jest?**

**Minty Fresh sięgnął po płytę, ale Charlie ją przysunął do siebie. Minty zerknął na Audrey.**

**–To jego żona – wyjaśnił.**

**Audrey dostrzegła nazwisko Rachel Asher, wydrapane na tylnej stronie pudełka, i poczuła, że kraje się jej serce. Objęła go.**

**–Tak mi przykro, Charlie. Tak mi przykro.**

**Na okładkę płyty zaczęły kapać łzy, a Charlie nie unosił głowy. Minty Fresh wstał i przelknął**

sline. Jego twarz nie wyrażała złości ani dezaprobaty. Wydawał się niemal zawstydzony.

–Audrey, przez ostatnie pare dni jezdziłem po mieście i chciałbym się gdzieś polozyć, jeśli znajdzie się miejsce.

Skinęła głową, odwrócona do niego tyłem.

–Popros Esther, pokaze ci gdzie. Minty Fresh wymknął się ze spizarni.

Audrey trzymała Charliego i długo go kołysała. Choć był zagubiony w świecie tej płyty, która skrywała miłość jego życia, a ona była na zewnątrz, przycupnieta w spizarni pełnej kosmicznych bibelotów, płakała wraz z nim.

Minęła godzina, a może trzy, bo w żalu i miłości czas płynie inaczej. Charlie odwrócił się do niej i spytał:

–Czy ja mam dusze?

–Słucham?

–Mówiłaś, że widzisz w ludziach świecącą duszę. Czy ja ją mam?

–Tak, Charlie. Masz duszę.

Skinął głową, znow się od niej odwrócił, ale mocniej naparł na nią plecami.

–Może być? – spytał.

–Aha, wygodnie mi – odparła, choć to nie była prawda. Wyjęła mu płytę z ręki, właściwie oderwała od niej jego dłoń, po czym położyła ją z powrotem z innymi.

–Pozwólmy Rachel odpocząć i chodźmy do innego pokoju.

–Dobrze – zgodził się.

Na gorze, w niewielkim pomieszczeniu, pełnym poduszek i wizerunków Buddy wśród lotosów, usiedli i rozmawiali przy blasku świec. Opowiadali sobie nawzajem swoje historie. O tym, jak stali się tym, kim byli, a przy okazji o tym, kogo i jak stracili.

–Widywałem to wiele razy – stwierdził Charlie. – Częściej u mężczyzn niż u kobiet, ale bez wątpliwości u jednych i drugich. Zona albo maź umiera, a drugi człowiek wydaje się przywiązany do zmarłego jak do alpinisty, który spadł w przepaść. Jeśli nie potrafi odpuścić, przeciąć liny, zmarły wciągnie go do grobu. Myślałem, że to samo spotkałoby mnie, gdybym nie miał Sophie, a może nawet gdybym nie został Handlarzem Śmierci. Działo się coś, co mnie przerastało, coś co przerastało mój ból. Tylko dlatego zaszedłem tak daleko.

–Wiara – powiedziała Audrey. – Czymkolwiek jest. Zabawne, kiedy przyszła do mnie Esther, była zła. Umierająca i zła. Powiedziała, że całe życie wierzyła w Jezusa. Teraz umierała, a przecież On powiedział, że będzie żyła wiecznie.

–Wiec jej odpowiedziałas: "Kiepsko być w twojej skorze, Esther".

Rzuciła w niego poduszka. Podobano jej się, że potrafi zdobyć się na głupi żart na tak mroczny temat.

–Nie, powiedziałam jej, że On powiedział, że będzie żyła wiecznie, ale nie powiedział, że teraz. Ze wcale nie zdradzono jej wiary i musi się tylko otworzyć na szerszą interpretację.

–Co było totalnym pieprzeniem – stwierdził Charlie. Kolejna poduszka odbiła się od jego czoła.

–Nie, to nie była gadanina. Jeśli ktoś powinien rozumieć znaczenie księgi, nieomawiającej wszystkich szczegółów, to właśnie ty... my.

–Nie umiesz powiedzieć "pieprzenie", co?

Audrey poczuła, że się rumieni, i z zadowoleniem stwierdziła, że nie oświetla jej błady blask świec.

–Ja tu mówię o wierze, może byś mi odpuszcil?

–Przepraszam. Wiem... a raczej chyba wiem, co masz na myśli. Znaczący, wiem, że jest w tym jakiś porządek, ale nie mam pojęcia, jak można pogodzić, powiedzmy, katolickie wychowanie z tybetańską Księgą Umarłych, z Bardzo Wielką Księgą Śmierci, sprzedawcami towarów z drugiej ręki, którzy sprzedają rzeczy z ludzkimi duszami, z jadowitymi, krukowatymi kobietami z kanałów. Im więcej wiem, tym mniej rozumiem. Po prostu działa.

–Bardo thodrol mówi o setkach potworów, które napotkasz, gdy twoja dusza odbędzie wędrówkę przez śmierć i odrodzenie, ale masz je ignorować, bo to złudzenia, twoje własne leki, które chcą powstrzymać twoją świadomość przed ruchem naprzód. Tak naprawdę nie mogą ci skrzywdzić.

–Myślałem, że o tym nie było w księdze. Audrey, widziałem je, walczyłem z nimi, wrywałem dusze z ich łap, patrzyłem, jak obrywają nabojami i samochodami, a potem idą dalej. To na pewno nie są złudzenia i na pewno mogą ci skrzywdzić. Bardzo Wielka Księga nie precyzuje ich specyfiki, ale wyraźnie mówi o Siłach Ciemności, próbujących zająć naszym światem, i o tym, że przyjdzie Luminatus, by z nimi walczyć.

–Luminatus? – spytała Audrey. – Coś ze światłem?

–Wielka Śmierć – powiedział Charlie. – Śmierć przez duże S. Coś jak Kahuna, gruba ryba,

**szef smierci. Wiesz, gdyby Minty i inni Handlarze Smierci byli pomocnikami Mikołaja, Luminatus byłby Mikołajem.**

**–Świety Mikołaj to wielka Smierc? – spytała, szeroko otwierając oczy.**

**–Nie, to tylko przykład... – Zobaczył, że kobieta powstrzymuje śmiech. – Ej, zostałem poobijany, razony pradem, związany i przeżyłem szok.**

**–Wiec moja strategia uwodzenia zdaje egzamin? – Uśmiechnęła się.**

**Był zdenerwowany.**

**–Ja nie... nie patrzyłem... czy patrzyłem na twoje piersi? Bo jeśli tak, to zupełnie przypadkowo, bo wiesz... no, były i...**

**–Ciii. – Położyła mu p'ałec na ustach. – Charlie, czuje teraz, że jestem ci bardzo bliska, i nie chce, żeby ta wieź zniknęła, ale jestem też bardzo zmęczona i raczej nie mogę już rozmawiać. Chyba chce, żebyś poszedł ze mną do łózka.**

**–Naprawdę? Jesteś pewna?**

**–Czy jestem pewna? Nie uprawiałam seksu od czternastu lat i gdybyś spytał mnie wczoraj, powiedziałabym, że wole stawiać czoło któremuś z tych potwornych kruków, niż iść z mężczyzną do łózka. Ale teraz jestem tutaj, z tobą, i jestem tego tak pewna, jak tylko można być. – Uśmiechnęła się, po czym odwróciła wzrok. – To znaczy, jeśli ty też.**

**Wzjął ją za rękę.**

**–Tak – powiedział. – Ale chciałem ci powiedzieć coś ważnego.**

**–To nie może poczekać do rana?**

**–Jasne, może.**

**Spędzili noc w swoich objęciach. Wszelkie leki i wątpliwości okazały się złudzeniami. Samotność wyparowała z nich niczym suchy lód i rano była już tylko obłokiem na suficie, który zniknął w promieniach słońca.**

**W nocy ktoś postawił stół w jadalni i posprzątał bałagan, którego narobił Minty Fresh, gdy wpadł przez kuchenne drzwi. Siedział przy stole, gdy Charlie zszedł na dół.**

**–Odholowali mi samochód – oznajmił. – Jest kawa.**

**–Dzięki. – Charlie przeszedł przez jadalnię do kuchni. Nalał sobie kawy i usiadł z Mintym. – Jak głowa?**

**Wielki mezczyzna dotknal guza na czole.**

**–Lepiej. A ty jak sie masz?**

**–W nocy przypadkiem bzyknalem mniszke.**

**–Czasami, w chwilach kryzysu, nie sposob tego uniknac. A poza tym jak sie czujesz?**

**–Wspaniale.**

**–Aha, wyobraz sobie, ze reszta z nas nie cieszy sie z konca swiata.**

**–To nie bedzie koniec swiata, tylko nad wszystkim zapanuje ciemnosc – odparl radosnie Charlie. – Kiedy robi sie ciemno, zapal swiatlo.**

**–Gratuluje, Charlie. A teraz przepaszam, musze odebrac samochod z parkingu policyjnego, nim zaczniesz teksty w stylu "gdy zycie daje ci cytryny, rob lemoniade" i bede cie musial sprac do nieprzytomnosc. (To prawda, nie ma nic okropniejszego niz zakochany samiec beta. Normalnie, jest uwarunkowany mysla, ze nigdy nie znajdzie milosci, wiec gdy juz ja znajduje, ma wrazenie, ze caly swiat ulegl jego pragnieniom. I moze zachowywac sie zgodnie z tym zludzeniem. To dla niego czas wielkiej radosci i zagrozenia).**

**–Czekaj, mozemy sie zrzucic na taksowke. Musze pojechac do domu i wziac svoj kalendarz.**

**–Ja tez. Zostawilem moj na przednim siedzeniu w samochodzie. Wiesz, ci dwaj klienci, ktorzy mi uciekli, sa tutaj. Zyja.**

**–Audrey mi powiedziala – odparl Charlie. – Razem jest ich szescioro. Zrobila im phowe nieumierania. Najwyrazniej to wywolalo caly ten kosmiczny burdel. Ale co zrobimy? Nie mozemy ich zabic.**

**–Nie, mysle, ze jest tak, jak powiedziales. Tutaj, w San Francisco, rozegra sie bitwa, i to wktrotce. A poniewaz jestes Luminatusem, mysle, ze wszystko spoczywa w twoich rekach. Wiec zdaje sie, ze juz po nas.**

**–Moze nie. Znaczy, za kazdym razem, kiedy prawie mnie dorwaly, ktos, albo cos, wkraczal do akcji, zebym wyszedl z tego cala. Mysle, ze mamy przeznaczenie po swojej stronie. Czuje w tym wzgledzie duzy optymizm.**

**–Tylko dlatego ze wlasnie bzyknales mniszke – powiedzial Minty.**

**–Nie jestem mniszka – odparla Audrey, wchodzac do pomieszczenia z plikiem papierow w rece.**

**–O, cholera – jekneli chorem Handlarze Smierci.**

–Nie, w porzadku – powiedziała. – Faktycznie mnie bzyknał, czy raczej oboje się bzykaliśmy, ale nie jestem już mniszka. Nie z powodu bzykania, wiecie, to była decyzja przedbzykaniowa. – Rzuciła papiery na stol i usiadła Charliemu na kolanach. – Ej, przystojniaku, jak się masz z rana? – Pocałowała go, omal nie skrecając mu karku, i oplotła go niczym rozgwiazda próbująca otworzyć ostrygę. W końcu Minty Fresh chrzaknął i odwróciła się do niego. – I dzień dobry panu, panie Fresh.

–Tak. Dzień dobry. – Minty przechylił się, by widzieć Charliego. – Niezależnie od tego, czy zjawily się z twojego powodu, czy z powodu naszych klientów, którzy nie umarli... wroca. Wiesz o tym, co?

–Morrigan? – spytała Audrey.

–He? – jekneli Handlarze Śmierci, znowu chorem.

–Jestescie uroczy – zachwyciła się. – Nazywają się Morrigan. Kobiety-kruki, uosobienia śmierci w postaci pięknych wojowniczek, które mogą zmieniać się w ptaki. Są trzy i każda stanowi część zbiorczej królowej Zaswiatów, zwanej Morrigan.

Charlie odsunął się trochę, by móc jej spojrzeć w oczy.

–Skąd to wiesz?

–Właśnie sprawdziłam w Internecie.

Zgramoliła się z jego kolan, podniosła papiery ze stołu i zaczęła czytać:

–Morrigan składa się z trzech odrębnych bytów. Macha nawiedza pole bitwy i zabiera głowy wojowników jako ofiary – rzekomo może uleczyć wojownika ze śmiertelnych ran, jeśli jego kompani ofiarowali jej wystarczająco wiele głów. Celtowie nazywali odcięte głowy zoledziami Machy. Jest uważana za boginię-matkę całej trójki. Babd to wściekłość, bitewny szal i zabijanie – mówiono, że zbiera nasienie poległych i używa go, by wywoływać seksualny obłęd podczas walki, dosłowna żądza krwi. A szalona Nemain prowadziła podobno żołnierzy do bitwy wściekłym wyciem, które mogło sprawić, że wrogowie umierali z przerażenia. Miała jadowite pazury i nawet lekkie uklucie zabijało żołnierza, głównie jednak rzucała krople jadu w oczy nieprzyjaciół, żeby ich oslepic.

–To one – stwierdził Minty Fresh. – Tej, która widziałem w metrze, z pazurów ściekał jad.

–Tak – potwierdził Charlie. – Zdaje się, że pamiętam Babd, te od żądzy krwi. Muszę pogadać z Lily. Wysłałem ją do Berkeley, żeby się czegoś o nich dowiedziała, ale wróciła z niczym. Widocznie nawet nie sprawdziła.

–Aha, i spytaj, czy się z kims spotyka – powiedział Minty Fresh. Po czym zwrócił się do Audrey: – A napisali, jak je zabić? Jakie mają słabe punkty?

**Pokrecila glowa.**

**–Tylko tyle, ze wojownicy zabierali do bitwy psy, zeby chronily ich przed Morrigan.**

**–Psy – powtorzyl jak echo Charlie. – To wyjasnia, dlatego moja corka dostala do ochrony piekielne ogary. Mowie ci, Fresh, wszystko bedzie dobrze. Przeznaczenie jest po naszej stronie.**

**–Tak, jasna sprawa. Wezwij taksowke.**

**–Ciekawe, dlaczego sposrod najrozniejszych bogow demonow z Zaswiatow, pojawily sie akurat te celtyckie.**

**–Moze wszystkie tu sa? – zastanawial sie Minty. – Pewien stukniety Indianin powiedzial mi kiedys, ze jestem synem Anubisa, egipskiego boga zmarlych o glowie szakala.**

**–Wspaniale! – wykrzyknal Charlie. – Szakal to rodzaj psa. Widzisz, masz wrodzone zdolnosc do walki z Morrigan.**

**Minty zerknal na Audrey.**

**–Jesli nie zrobisz czegos, zeby sie rozczarowal i wyluzowal, to go zastrzele.**

**–A, wlasnie – powiedzial Charlie. – Moge pozyczyc jeden z twoich wielkich pistoletow?**

**Minty wstal.**

**–Wychodze. Wezwe taksowke i poczekam na nia, Charlie. Jesli jedziesz, lepiej zacznij sie juz zegnac, bo odjade, kiedy sie tylko pojawi.**

**–Super – powiedzial Charlie, patrzac z zachwytem na Audrey. – W swietle dnia chyba i tak jestesmy bezpieczni.**

**–Uwodziciel mniszek – warknal Minty, schylajac sie pod futryna.**

**Ciocia Cassie wpuscila Charliego do malego domu w dzielnicy Marina, a Sophie przywolala do porzadku diabelskie psy niemal w chwili, gdy zaczely powitalne rzniecie.**

**–Tata!**

**Charlie podniosl ja i sciskal, az zaczela zmieniac kolor. Potem, gdy Jane wyszla z kuchni, zlupal ja druga reka i tez przytulil.**

**–Uch, puszczaj – powiedziala Jane, odpychajac go od siebie. – Smierdzisz jak kadzidlo.**

**–Oj, Jane, sam nie wierze, ona jest taka cudowna.**



–Bzykal sie – stwierdzila Cassandra.

–Bzykales sie? – spytala Jane, calujac brata w policzek. – Tak sie ciesze. A teraz pusc.

–Tata sie bzykal – oznajmila Sophie ogarom, ktore najwyrazniej ta wiadomosc bardzo ucieszyla.

–Nie, nie bzykal – powiedzial Charlie, wywolujac zbiorowy jek zawodu. – Tak, bzykal – powiedzial, wywolujac zbiorowe westchnienie ulgi – ale nie o to chodzi. Chodzi o to, ze jest cudowna. Przepiekna, mila i...

–Charlie – przerwala mu Jane – zadzwoniles i powiedziales, ze Sophie grozi jakies wielkie niebezpieczenstwo i ze musimy ja zabrac i chronic, a sam poszedles na randke?

–Nie, nie, to niebezpieczenstwo bylo... jest prawdziwe, przynajmniej noca, i naprawde potrzebowalem waszej opieki nad Sophie, ale kogos poznalem.

–Tata sie bzykal! – ponownie ucieszyla sie Sophie.

–Kochanie, nie wolno tak mowic, dobrze? – powiedzial Charlie. – Ciocia Jane i ciocia Cassie tez nie powinny tak mowic. To... niemile.

–Jak "kotek" i "nie w tylek"?

–Wlasnie, skarbie.

–Dobrze, tatusiu. Wiec to nie bylo mile?

–Tata musi jechac do domu i zabrac stamtad kalendarz, paczusi, pozniej o tym porozmawiamy. Daj buziaka.

Sophie mocno go przytulila i pocalowala, a Charlie pomyslal, ze chyba sie rozplacze. Od tak dawna byla jego jedyna przyszloscia i jedynym zrodlem radosci, a teraz mial te druga radosc, ktora chcial sie z nia podzielic.

–Niedlugo wroce, dobrze?

–Dobrze. Postaw mnie.

Pozwolil jej zsunac sie na podloge, a ona pobiegla do innej czesci domu.

–Wiec to nie bylo mile? – spytala Jane.

–Przepraszam, Jane. To byl czysty obled. Przykro mi, ze musze was w to pakowac. Nie chcialem was przestraszyc.

**Jane stuknela go w ramie.**

**–Wiec to bylo mile?**

**–Bardzo mile – odparl, usmiechajac sie szeroko. – Jest bardzo mila. Taka mila, ze tesknie za mama.**

**–Nic nie rozumiem – stwierdzila Cassandra.**

**–Bo chcialbym, zeby mama zobaczyła, ze u mnie wszystko gra. Ze poznalem kogos, kto jest dla mnie dobry. Kto bedzie dobry dla Sophie.**

**–Ej, nie badz taki szybki Bill – powiedziala Jane. – Dopiero poznales te kobiety, musisz zwolnic. I wez pod uwage, ze mowi ci to ktos, dla kogo druga randka byla zwykle zamieszkaniem razem.**

**–Dziwka – mruknela Cassie.**

**–Mowie powaznie, Jane. Jest niesamowita. Cassie zerknela na Jane.**

**–Mialas racje, naprawde potrzebowal seksu.**

**–To nie to!**

**Zadzwonila komorka Charliego.**

**–Przepraszam was. – Otworzył telefon.**

**–Asher, co ty, do diabla, zrobiles? – To byla Lily. Plakala. – Co, do diabla, uwolniles?**

**–Co, Lily? Co?**

**–Wlasnie tu bylo. Szyby wystawowej juz nie ma. Nie ma! Wpadlo tutaj, przetrzasnelo sklep i zabralo wszystkie te twoje duchowe rzeczy. Zapakowalo je do torby i odlecialo.**

**Kurwa, Asher. Mowie, KURWA! To bylo ogromne i kurewsko paskudne.**

**–Tak, Lily, nic ci sie nie stalo? Ray w porzadku?**

**–Nic mi nie jest. A Ray dzis nie przyszedl. Ucieklam na zaplecze, kiedy to cos wpadlo do srodka. Nie interesowalo sie niczym oprócz tej polki. Asher, to bylo wielkie jak byk i jeszcze, kurwa, latalo!**

**Wygladalo na to, ze Lily jest na granicy hysterii.**

**–Poczekaj, Lily. Zostan tam, przyjade do ciebie. Idz na zaplecze i nie otwieraj drzwi, dopoki**

**mnie nie usłyszysz, dobra?**

**–Asher, co to, kurwa, było?**

**–Nie wiem.**

**Byczogłowy stwor wfrunął w wylot kanału i natychmiast opadł na cztery łapy, by pobiec przez rurę, ciągnąc za sobą torbę z duszami. Już niedługo. Już niedługo będzie musiał pelzacz. Czas nadszedł, Orcus to czuł. Czuł, jak zlatują się nad miastem – miastem, które dawno temu uznał za swój teren, jego miastem. Mimo wszystko przyjdą i spróbują zabrać to, co było jego prawowitą własnością. Wszyscy starzy bogowie śmierci: Yama, Anubis i Mors, Tanatos, Charon i Maha-kala, Azrael, Emma-o i Ahkoh, Balor, Erebus i Nyks – dziesiątki bogów, zrodzonych z energii największego ludzkiego strachu, strachu przed śmiercią – wszyscy przybywali, by powstać jako wódz ciemności i zmarłych, jako Luminatus.**

**Ale on był tu pierwszy i z pomocą Morrigan to on zostanie władcą. Najpierw jednak musiał zebrać siły, wyleczyć Morrigan i zgładzić tych przeklętych złodziei dusz z miasta.**

**Torba z duszami pomoże mu wyleczyć swoje oblubienice. Wmaszerował do groty, w której znajdował się wielki statek, i wyskoczył w powietrze. Lopot ogromnych, skorzystych skrzydeł zabrzmiał jak werbel, odbijając się echem od ścian groty i podrywając nietoperze, które zaczęły chmarami krążyć wokół maszty.**

**Poharatane i złamane siostry Morrigan czekały na niego na pokładzie.**

**–A nie mówiłam? – odezwała się Babd. – Na Powierzchni wcale nie jest wspaniale, co? Ja, na ten przykład, mogłabym się w ogóle obejść bez samochodów.**

**Jane prowadziła, podczas gdy Charlie dzwonił z komórki, najpierw do Rivery, a potem do Minty'ego Fresha. W ciągu pół godziny wszyscy znaleźli się w sklepie Charliego, czy raczej w ruderze, która była sklepem Charliego, a umundurowani policjanci ogrodzili teren, zanim komus przyszło do głowy, by posprzątać szkło.**

**–Turysci będą zachwyceni – powiedział Nick Cavuto, zując niezapalone cygaro. – Dokładnie przy trasie tramwaju linowego. Super.**

**Rivera siedział na zapleczu i przesłuchiwał Lily, podczas gdy Charlie, Jane i Cassandra próbowali posprzątać bałagan i poukładać towar z powrotem na polkach. Minty Fresh stał przy drzwiach, w ciemnych okularach, demonstrując zdecydowanie przesadny luz jak na rozciągający się przed nim obraz zniszczenia. Sophie siedziała w kacie i karmila Alvina i Mohammeda butami.**

**–Czyli – powiedział do Charliego Cavuto – jakiś latający potwór wpadł do tego sklepu przez okno, a pan uznał, że to dobre miejsce, żeby tu przyprowadzić swoje dziecko?**

**Charlie odwrócił się do rosnącego gliniarza i oparł na ładzie.**

**–Niech mi pan powie, jako profesjonalista, jaki tok postępowania powinienem przyjąć w wypadku włamania ze strony latającego potwora? Jak, do kurwy niedzy, wygląda standardowa procedura policji San Francisco wobec zajeźbistego, latającego monstrum, detektywie?**

**Cavuto stał i patrzył na Charliego, jakby ktoś chlusnął mu w twarz wodą – nie tyle z gniewem, ile z zaskoczeniem. W końcu wargi, w których trzymał cygaro, wykrzywiły się w uśmiechu.**

**–Panie Asher – powiedział – wyjdę na zewnątrz, zapalę, połączę się z centralą i poproszę, żeby sprawdzili tę konkretną procedurę. Zbil mnie pan z tropu. Powie pan mojemu partnerowi, gdzie jestem?**

**–Dobrze – odparł Charlie. Poszedł na zaplecze, do Lily i do Rivery, i spytał: – Mogę dostać jakąś policyjną ochronę mieszkania? Funkcjonariuszy z karabinami?**

**Rivera skinął głową, poklepując dłoń Lily i odwracając wzrok.**

**–Mogę dać ci dwóch ludzi, ale najwyżej na dwadzieścia cztery godziny. Na pewno nie chcesz wyjechać z miasta?**

**–Na gorze mamy kraty w oknach i stalowe drzwi, mamy ogary i bron Minty'ego Fresha, a poza tym tutaj już byli. Mam wrażenie, że wzięli to, co chcieli, ale przy gliniarzach będę się czuł lepiej.**

**Lily spojrzała na Charliego. Tusz do rzes zupełnie jej się rozpuścił, rozmazała też sobie szminkę na pol twarzy.**

**–Przepraszam, myślałam, że lepiej to zniósę. To było straszne. Nie tajemnicze ani fajne, tylko straszne. Te oczy i kły... posikałam się, Asher. Przepraszam.**

**–Nie przepraszaj, dziecko. Świetnie się spisalas. Ciesze się, że miałas dość rozsądku, żeby zejść temu z drogi.**

**–Asher, jeśli ty jesteś Luminatusem, to coś jest pewnie twoją konkurencją.**

**–Co? Co takiego? – spytał Rivera.**

**–A, to te jej gotyckie dziwactwa, inspektorze. Proszę się nie przejmować – odparł Charlie.**

**Wyjrzał przez drzwi i zobaczył przed sklepem Minty'ego Fresha, który wzruszył ramionami, jakby chciał spytać: "No i?", więc zwrócił się do Lily:**

**–Ej, Lily, spotykasz się z kims?**

Lily wytarła nos w rekaw swojego kucharskiego fartucha.

–Sluchaj, Asher, eee, musze wycofac sie z propozycji, ktora ci zlozylam. Znaczy, po Rayu nie wiem, czy chce jeszcze to w ogole robic. Kiedykolwiek.

–Nie pytalem w swoim imieniu, Lily. – Skinal glowa w strone poteznej sylwetki Fresha.

–A – powiedziala Lily, podazajac za jego spojrzeniem i ocierajac oczy rekawami. – Oz, kurwa. Kryj mnie. Musze sie przegrupowac. – Pognala do lazienki dla pracownikow i trzasnela drzwiami. Rivera zerknal na Charliego.

–Co tu sie, do diabla, dzieje?

Charlie probowal wymyslic jakas odpowiedz, kiedy zadzwonila jego komorka. Uniosl palec, by wstrzymac bieg czasu.

–Charlie Asher – powiedzial.

–Charlie, mowi Audrey – uslyszal szept. – Sa tutaj. Teraz. Morrigan sa tutaj.

## 26. ORFEUSZ W KANALE

Charlie zaparkowal furgonetke w poprzek ulicy i pognal po schodach osrodka buddyjskiego, wolajac Audrey po imieniu. Ogromne frontowe drzwi wisialy krzywo na jednym zawiasie, wszedzie walaly sie odlamki szkla. Wszystkie szuflady i szafki zostaly otwarte, ich zawartosc wyrzucona, a kazdy mebel byl przewrocony albo roztrzaskany. Uslyszal czyjs glos przed domem i wybiegl z powrotem na ganek.

–Audrey?

–Tutaj! – zawolala. – Ciagle jestesmy pod gankiem. Zbiegl po schodach i okrazil ganek, podchodzac do niego z boku. Za krata dostrzegl jakis ruch. Znalazl niewielka klapke i otworzyl ja. W srodku ujrzal przycupnieta Audrey, alka innych osob oraz caly tlum wiewiorkoludzi. Wpelzl tam i ja objal. Chcial miec ja na linii przez cala droge, ale gdy byl o kilka ulic stad, wyczerpala mu sie bateria w telefonie. Przez te kilka przerazajacych chwil wyobrazal sobie, ze ja traci – swoja przyszlosc, swoja nadzieje – po tym, jak nadzieja zaplonela w nim na nowo. Teraz tak mu ulzylo, ze ledwie mogl oddychac.

–Poszly juz? – spytala Audrey.

–Tak mi sie wydaje. Jak dobrze, ze nic ci sie nie stalo.

Wyprowadzil ich spod ganku i powiodl z powrotem do domu. Wiewiorkoludzie trzymali sie blisko scian i poruszali bardzo szybko. Charlie poczul klepniecie w ramie i odwrocil sie, by ujrzec usmiechnieta Irene Posokovanovich. Az podskoczyl.

**–Proszę mnie więcej nie straszyc. Jestem dobrym facetem.**

**–Wiem, panie Asher. Chciałam spytać, czy chce pan, zebym przeparkowała panska furgonetke, zanim ja odholuja.**

**–O, tak, miło z pani strony. – Podal jej kluczyki. – Dziękuję.**

**Gdy weszli do domu, Audrey powiedziała:**

**–Ona chce tylko pomoc.**

**–Jest okropna – odparl Charlie, ale potem zobaczyl w spojrzeniu Audrey cos, co wygladalo na dezaprobate, wiec szybko dodal: – W miłym znaczeniu tego słowa, znaczy się.**

**Poszli prosto do kuchni i staneli przed otwarta spizarnia.**

**–Zabrały wszystkie – powiedziała Audrey. – To dlatego nie zrobiły nam krzywdy. Nie o nas im chodzilo.**

**Charlie byl tak wsciekly, ze mial trudnosci z mysleniem, ale nie mogac sie wyladowac, po prostu drzal na calym ciele i staral sie panowac nad glosem.**

**–Zrobily to samo w moim sklepie. Cos zrobilo.**

**–Tu bylo jakies trzysta dusz – powiedziała Audrey.**

**–Wziely dusze Rachel.**

**Audrey objela go jedna reka, ale nie umial zareagowac inaczej, niz wychodzac z kuchni.**

**–Juz, Audrey. Skonczone.**

**–Jak to skoncone? Przerazasz mnie.**

**–Zapytaj wiewiorkoludzi, ktoredy dostane sie do kanalow. Moga ci to powiedziec?**

**–Pewnie tak. Ale nie mozesz tego zrobic. Odwrocil sie do niej tak gwaltownie, ze az odskoczyla.**

**–Musze to zrobic. Dowiedz sie. Wszyscy do mojej furgonetki. Pojedziecie do mojej kamienicy, tam bedziecie bezpieczni.**

**Wszyscy zgromadzili sie w salonie Charliego: Sophie, Audrey, Jane, Cassandra, Lily, Minty Fresh, nieumarli klienci z osrodka buddyjskiego, piekielne ogary, a takze jakas piecdziesiatka wiewiorkoludzi. Lily, Jane i Cassandra stanely na kanapie, by znalezc sie jak najdalej od wiewiorkoludzi, ktorzy klebili sie przy blacie sniadaniowym.**

–Ladne ubranka – skomentowała Lily. – Ale... fuuuj.

–Dziekuje – powiedziała Audrey.

Sophie stała przy Audrey i zadzierała głowę, patrzac na nią.

–Jestem Zydowka – oznajmiła mała. – A ty jesteś Zydowka?

–Nie, jestem buddystka – odparła kobieta.

–To jak siksa?

–Tak mi sie wydaje. To rodzaj siksy.

–A, no to chyba w porzadku. Moje pieski to tez siksy. Tak mowi na nie pani Ling.

–Twoje pieski robia wrazenie – powiedziała Audrey.

–Chca zjesc te twoje male ludki, ale im nie pozwole, dobra?

–Dziekuje. Milo z twojej strony.

–Chyba ze bedziesz niedobra dla taty. Wtedy juz po nich.

–Oczywiscie – powiedziała Audrey. – Szczegolne okolicznosci.

–On cie bardzo lubi.

–Ciesze sie. Tez go bardzo lubie.

–Chyba jestes w porzadku.

–To samo moge powiedziec o tobie – odparła kobieta. Uśmiechnela sie do tej malej rezolutnej ciemnowlosej dziewczynki o zachwycajacych blekitnych oczach i z trudem sie powstrzymala, by nie poderwac jej do gory i nie uscisnac z calej sily.

Charlie wskoczyl na kanape obok Jane, Cassandry i Lily, a potem spojrzal w drugi kraniec pokoju, na Minty'ego Fresha, i stwierdzil, ze nadal nie dorownuje mu wzrostem, co bylo troche denerwujace. (Minty wydawal sie skupiony na Lily, co tez bylo troche denerwujace).

–Sluchajcie, ide cos zrobic i moge juz nie wrocic. Jane, w tym liscie, ktory ci wyslalem, sa wszystkie dokumenty uprawniajace cie do opieki nad Sophie.

–Spadam stad – powiedziała Lily.

–Nie – powiedzial Charlie, lapiac ja za ramie. – Chce, zebys tez przy tym byla. Zostawiam ci

firmie, ale z zastrzeżeniem, że część zysków ma trafić do Jane, na opiekę nad Sophie, a także na jej przyszłe studia. Wiem, że masz swoją kucharską karierę, ale ufam ci i jesteś dobra w tym biznesie.

Zdawało się, że Lily rzuci jakiś ironiczny komentarz, ale tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Jasne. Mogę prowadzić twoją firmę, a oprócz tego gotować. Rob, co należy do Handlarza Śmierci i zajmuj się córką.

– Dzięki. Jane, dostaniesz kamienicę, ma się rozumieć, ale kiedy Sophie dorosnie, to, jeśli nie zechce zostać w San Francisco, zawsze musisz mieć dla niej mieszkanie.

Jane zeskoczyła z kanapy.

– Charlie, to jakieś bzdury. Nie pozwolę ci zrobić nic, co...

– Proszę, Jane. Muszę iść. To wszystko jest napisane, ale chciałem ci to powiedzieć osobiście.

– Dobra – powiedziała.

Charlie wyciskał siostrę, Cassandre i Lily, po czym ruszył do łazienki i skinał na Minty'ego Fresha, by poszedł za nim.

– Minty, idę do Zaswiatów. Po Morrigan... po dusze Rachel, po wszystkie dusze. Już czas.

Wielkolud pokiwał głową.

– Ide z tobą.

– Nie, nie idziesz. Musisz tu zostać i opiekować się Audrey, Sophie i resztą. Przed domem są gliniarze, ale myślę, że przez niedowierzanie mogliby się zawahać, gdyby zjawili się Morrigan. Ty tego nie zrobisz. Minty pokreślił głową.

– Jakie szanse masz sam? Pojdziesz z tobą. Stawimy temu czoło razem.

– Raczej nie – odparł Charlie. – Ja mam dar czy coś. Przepowiednia mówi: "Luminatus powstanie i stoczy bitwę z Siłami Ciemności w Mieście Dwoch Mostów". Nie mówi: "Luminatus i jego wierny pomocnik, Minty Fresh".

– Nie jestem twoim pomocnikiem.

– Właśnie to chcę powiedzieć – wyjaśnił Charlie, który chciał powiedzieć coś zupełnie innego. – Chcę powiedzieć, że mam jakąś tajemniczą ochronę, ale ty pewnie nie. A jeśli nie wróce, będziesz musiał dalej pełnić funkcję Handlarza Śmierci w mieście i być może przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść.



**Minty Fresh pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.**

**–A wezmiesz oba moje desert eagle, tak na szczęście? – Gdy unosił głowę, uśmiechał się.**

**–Wezme jeden – odpadł Charlie.**

**Minty Fresh zsunał zakładaną na ramię kaburę i wyregulował pasy, by pasowały na Charliego, po czym pomógł mu je zapiąć.**

**–Tu są dwa dodatkowe magazynki, pod prawą pachą – powiedział. – Mam nadzieję, że nie będziesz musiał strzelać aż tyle razy, bo ogłuchniesz.**

**–Dzięki – powiedział Charlie.**

**Minty pomógł mu nałożyć tweedową marynarkę na kaburę.**

**–Wiesz, może jesteś dobrze uzbrojony, ale i tak wyglądasz jak angielski profesor. Nie masz jakiegos odpowiedniejszego ubrania do walki?**

**–James Bond zawsze chodzi w garniturze – zauważył Charlie.**

**–Tak, rozumiem, że granica między fikcją a rzeczywistością wydaje się tu ostatnio nieco rozmyta...**

**–Zartuje – powiedział Charlie. – W sklepie mam skórzany stroj motocrossowy, o ile go znajde.**

**–To dobrze. – Minty poklepał go po ramionach. – Jak zobaczysz te dziwke z jadowitymi pazurami, przywal jej ode mnie, dobra?**

**–Zasadze czopa w dupę tej sztuni – odpowiedział Charlie.**

**–Przystan.**

**–Przepraszam.**

**Najtrudniejsze nastąpiło parę minut później.**

**–Kochanie, tata musi gdzieś iść.**

**–Idziesz po mamie?**

**Charlie ukucnął przed córką i omal się nie przewrócił, słysząc to pytanie. Przez ostatnie dwa lata wspomniała o mamie najwyżej dziesięć razy.**

**–Dlaczego tak mówisz, skarbie?**

**–Nie wiem. Myslalam o niej.**

**–Wiesz, ze bardzo cie kochala. – Tak..**

**–I wiesz, ze bez wzgledu na wszystko, ja cie bardzo kocham.**

**–Tak, mowiles mi to wczoraj.**

**–I mowilem prawde. No, musze isc stoczyc walke z paroma zlymi osobami. I moge nie wygrac.**

**Dolna warga Sophie wysunela sie niczym mokra szuflada. Nie placz, nie placz, nie placz, nie placz, powtarzal w myslach Charlie. Nie zniose tego, jesli sie rozplaczesz.**

**–Nie placz, kochanie. Wszystko bedzie dobrze.**

**–Nieeeeeeeee – zalkala Sophie. – Chce isc z toba. Chce isc z toba. Nie idz, tato. Chce isc z toba.**

**Charlie objal ja i poslal blagalne spojrzenie swojej siostrze. Podeszla i wziala mala w ramiona.**

**–Nieeeee. Chce isc z toba.**

**–Nie mozesz ze mna isc, skarbie.**

**I wyszedl z mieszkania, zanim znowu zlamala mu serce. Audrey czekala w holu z piecdziesiecioma trzema wiewiorkoludzi.**

**–Zawioze cie do wejscia – powiedziala. – Nie odmawiaj.**

**–Nie – odparl. – Nie chce cie stracic zaraz po tym, jak cie znalazlem. Zostaniesz tutaj.**

**–Ty lajzo! Co ci daje prawo do takiego postepowania? Ja tez cie dopiero znalazlam.**

**–Tak, ale nie takie cenne ze mnie znalezisko.**

**–Dupek – powiedziala, po czym weszla mu w objecia i pocalowala go.**

**Po dluzszej chwili Charlie rozejrzal sie. Wszyscy wie-wiorkoludzie patrzyli na niego.**

**–Co oni tu robia?**

**–Ida z toba.**

**–Nie. Za duze ryzyko.**

**–Za duze takze dla ciebie. Nawet nie wiesz, co tam cie moze czekac. To cos, co wlamalo sie do sklepu, to nie byla zadna z Morrigan.**

**–Nie bede sie bal, Audrey. Tam moze byc sto roznych demonow, ale Ksiega umarlych slusnie mowi, ze one tylko zawracaja nas z drogi. Mysle, ze te stwory istnieja z tego samego powodu, dla ktorego wybrano mnie do tego zajecia. Z powodu strachu. Balem sie zyc, wiec zostalem Smiercia. Nasz lek przed smiercia to zrodlo ich mocy. Nie boje sie. I nie zabiore wiewiorkoludzi.**

**–Znaja droge. A poza tym maja trzydziesci piec centymetrow wzrostu. Co dostali od zycia?**

**–Ej – odezwal sie londyński straznik krolewski z czaszka misia zamiast glowy.**

**–Powiedzial cos?**

**–Jeden z moich eksperymentalnych aparatow mocy.**

**–Troche piszczy. – Ej!**

**–Przepraszam, ee, Beef. – Stworzonka wygladaly na zdecydowane. – No to naprzod!**

**Charlie przebiegl przez hol, nie chcac znowu sie zeg-ac. Dziesiec metrow za nim maszerowala niewielka rmia istot rodem z sennego koszmaru, poskladanych fragmentow stu roznych zwierzat. Gdy zblizaly sie do schodow, na dol zeszla pani Ling, chcac sprawdzic, co to a zamieszanie. Calá armia zatrzymala sie pod schodami spojrzala na nia. Pani Ling zawsze byla buddystka, a zatem mocno wierzyla w koncepcje karmy i w to, ze lekcje, ktorych czlowiek wczesniej nie przyswoi, beda wracaly, az mu sie uda, bo inaczej jego dusza nie wejdzie na wyzszy poziom. Tego popoludnia, gdy Sily Swiatla szykowaly sie do walki z Silami Ciemnosci wladze nad swiatem, pani Ling, patrzac w puste oczy wiewiorkoludzi, doznala objawienia i juz nigdy wiecej nie jadlo miesa, zadnego rodzaju. Pierwszym aktem zadoscuczynienia z jej strony byla propozycja zlozona tym, ktorych, jak sie zdawalo, skrzywdzila.**

**–Dac wam jesc? – spytala.**

**Ale wiewiorkoludzie ruszyli dalej.**

**Cesarz zobaczyl, ze przy strumieniu zatrzymuje sie furgonetka i wysiada z niej mezczyzna w jaskrawozolтым, skorzanyм stroju motocyklisty. Mezczyzna siegnal do samochodu i wyciagnal cos, co wygladalo jak uprzaz z przytroczonym mlotem kowalskim, po czym nalozyl ja na siebie. Gdyby wszystko nie przedstawialo sie tak dziwacznie, Cesarz moglby przysiac, ze to jego przyjaciel Charlie Asher z komisju na North Beach. Ale Charlie? Tutaj? Z pistoletem? Nie. Lazarus, ktory nie musial az tak bardzo polegac na wzroku, zaszczekal na powitanie. Mezczyzna odwrocil sie do nich i pomachal. To byl Charlie. Po chwili zszedl nad przeciwny brzeg strumienia.**

**–Wasza wysokosc – powiedzial.**

**–Wydajesz się zdenerwowany, Charlie. Co się stało?**

**–Nie, nie, wszystko gra, ale musiałem skorzystać ze wskazówek niemego bobra w fezie i trochę wytraciło mnie to z równowagi.**

**–Wyobrazam sobie – powiedział Cesarz. – Ładny strój, te skory i pistolet... Nie ten elegancki splendor, co zwykle.**

**–No, nie. Mam taką małą misję do spełnienia. Wejść do tego kanału, znaleźć drogę do Zaswiatów i stoczyć walkę z Siłami Ciemności.**

**–Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Ostatnio Siły Ciemności coraz bardziej panoszą się w mieście.**

**–Wiec zauważyłeś? Cesarz zwiesił głowę.**

**–Tak. Obawiam się, że straciliśmy przez tych łotwów jednego z żołnierzy.**

**–Bummera?**

**–Kilka dni temu wszedł do kanałów i dotąd nie wyszedł.**

**–Przykro mi.**

**–Poszukasz go, Charlie? Proszę. Przyrowadź go.**

**–Wasza wysokość, nie jestem pewien, czy sam wrócę, ale obiecuję, że jeśli go znajdzie, spróbuję go stamtąd zabrać. A teraz przepraszam, otworzę ten samochód i nie chce, by zaniepokoiło cię to, co zobaczysz. Wejść do tej rury, dopóki przez studzienki wpada jeszcze trochę światła. To, co wyjdzie z samochodu... to przyjaciele.**

**–Smialo – powiedział Cesarz.**

**Charlie przesunął boczne drzwi samochodu i wiewiórkołudzie wyskoczyli na zewnątrz i pognali wzdłuż brzegu strumienia w stronę ścieku. Charlie sięgnął do wozu, wyciągnął swój miecz w lasce i latarkę, po czym zatrzęsł drzwi, popychając je pośladkami. Lazarus zaskamlał i popatrzył na Cesarza tak, jakby ten, kto umie mówić, powinien coś powiedzieć.**

**–Zatem życze powodzenia, meżny Charlie – powiedział Cesarz. – Idź i miej nas wszystkich w sercu, tak jak my będziemy mieli w sercach ciebie.**

**–Popilnujesz samochodu?**

**–Będzie go pilnował, dopóki Golden Gate nie rozpadnie się w pył, przyjacielu – obiecał Cesarz.**

**A zatem Charlie Asher, w służbie życia, światła i wszystkich czujących istot, pełen nadziei na**

odzyskanie duszy miłości swojego życia, poprowadził armie trzydziestopięciocentymetrowych składanek z kawalkow zwierząt, uzbrojonych we wszelka bron, od szydelek po plastikowe sztucce, do kanałów burzowych pod San Francisco.

Przez wiele godzin podawali naprzód. Czasami rury stawały się tak wąskie, że Charlie musiał pełznąć na czworakach, a czasem przechodziły w szerokie rozgalezienia, niczym betonowe komnaty. Pomagał wiewiórkom wspinac się do wyżej położonych rur. Wcześniej znalazł lekki kask budowlany z diodową lampą czołową, która przydawała się w wąskich przejściach, gdzie nie bardzo mógł posłużyć się latarką. Mniej więcej dziesięć razy na godzinę walił się w głowę, i chociaż dzięki kaskowi nie doznawał urazów, zaczął go dreczyć pulsujący ból w czaszce. Jego skorzany strój – właściwie nie skorzany, tylko nylonowy, z miękkimi wzmocnieniami na kolanach, ramionach, łokciach, goleniach i przedramionach – chronił go przed siniakami i otarciami, ale przesiąkł wodą i obcierał mu plecy i kolana. Przy rozgalezieniu z kratka u góry wspiął się po drabinie i próbował wyjrzec na zewnątrz, by się zorientować, gdzie są, ale zrobiło się już ciemno, a w dodatku nad kratką zaparkował samochód. Co za ironia – w końcu zebrał się na odwagę i ruszył w otchlan tylko po to, by utknąć w tej otchłani. Ludzki niewypał.

–Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – spytał.

–Nie wiem – odparł ten z czaszka rysia.

Maly londyński gwardzista wyglądał dziwnie, gdy mówił, jako że tak naprawdę nie miał twarzy i nie wymawiał głoski "p". W dodatku zamiast halabardy, która zdaniem Charliego dodałaby kostiumowi autentyczności, rys był uzbrojony w plastikowy widelec.

–Mozesz spytać pozostałych, czy wiedzą, gdzie jesteśmy?

–Dobrze. – Odwrócił się do przemoczonego tłumu wiewiórkom. – Ej, wie ktoś, gdzie jesteśmy?

Wszyscy pokręcili głowami, spoglądając po sobie i wzruszając ramionami. Nie.

–Nie – powiedział rys.

–Sam mogłem to zrobić – stwierdził Charlie.

–To czemu nie zrobisz? To twoja wy\_rawa. – Charlie zrozumiał, że chodzi o wyprawę.

–Dlaczego nie wymawiasz "p"? – zapytał.

–Nie mam warg.

–Racja, warg. Przepraszam. Co chcesz zrobić z tym widelcem?

–No, jak znajdziemy jakichs wrogow, oberwa tym widelcem w du\_e.

–Swietnie. Bedziesz moim porucznikiem.

–Z\_owodu widelca?

–Nie, bo umiesz mowic. Jak sie nazywasz?

–Rysio.

–Nie, serio – Serio. Rysio.

–A nazwisko masz pewnie Kotowaty.

–Wilson.

–Tylko sprawdzalem, przepraszam.

–Nie ma s\_rawy.

–Pamietasz, kim byles w poprzednim zyciu?

–Troche \_amietam. Chyba ksielowym.

–Czyli nie masz doswiadczen wojskowych?

–Jesli trzeba bedzie liczyc tru\_y, bede do tego wlasciwym czlowiekiem, ee, stworem.

–Super. Czy ktos tu pamietaj, ze byl wojskowym, ninja albo cos? Szczegolnie mile widziani sa ninja, wikingowie itepe. Jesli ktorys z was byl w poprzednim zyciu Attyla czy d'Artagnanem, to nie w kij dmuchal.

Fretka w minisukience z cekinami i butach striptizerki wystapila naprzod z uniesiona lapa.

–Bylas w wojsku?

Fretka szepnela cos do czapki Rysia (jako ze Rysio nie mial juz uszu).

–Mowi, ze nie, zle zrozumiala. Myslala, ze mowiles cos o dmuchaniu.

–Byla prostytutka?

–Grala na klarncie – sprostowal Rysio.

–Przepraszam – powiedzial Charlie. – To przez te buty. Fretka machnela reka, co mialo znaczc "spoko", po c:zym pochylila sie i znowu cos szepnela do Rysia.

–Co? – spytał Charlie.

–Nic – odparł Rysio.

–Jak to nic? Nie sadzilem, że umieją mówić.

–No, ale nie do ciebie – powiedział Rysio.

–Co powiedziała?

–Ze mamy \_rzejebane.

–To nie jest najlepsze podejście – stwierdził Charlie, choć zaczynał wierzyć, że fretka z baru ze striptizem ma rację, i przybrał pozycję polsiedzaca na rurze, by odpocząć.

Rysio wspiał się na mniejszą rurę i usiadł na krawędzi, dyndając nogami. Woda kapłała z jego małych lakierków, ale mosiężne sprzaczki z motywami roślinnymi wciąż lśniły w świetle lampy czołowej Charliego.

–Ladne buty – powiedział Charlie.

–Tak, no, Audrey mnie lubi – odparł Rysio.

Zanim Charlie zdolał odpowiedzieć, Rysia dopadł pies i zaczął nim potrząsać jak szmacianą lalką. Śmiercionośny plastikowy widelec odbił się od rury i zniknął w wodzie poniżej.

## 27. KOCIOŁ ŁADACZNICY

Lily przez cały wieczór szukała sposobu, by się zbliżyć do Minty'ego Fresha. Dziesięć razy nawiązywała z nim kontakt wzrokowy i uśmiechała się, ale w atmosferze leku, jaka zapanowała w pokoju, nie umiała wymyślić, jak go zagadnąć. W końcu, kiedy w telewizji zaczął się film tygodnia – Oprah – i wszyscy zebrali się wokół telewizora i patrzyli, jak gwiazda mediów zabija Paula Winfielda żelazkiem, Minty podszedł do blatu śniadaniowego i zaczął kartkować kalendarz, a Lily wykonała swój ruch.

–Sprawdzasz, kiedy masz spotkania? – spytała. – Widocznie jesteś optymistą w kwestii dalszego biegu wydarzeń.

Pokrecił głową.

–Nie bardzo.

Lily była oczarowana. Okazał się nie tylko przystojny, ale i ponury – niczym wielki, brązowy dar bogów.

–Będzie aż tak źle? – Wyjęła mu kalendarz z rąk i zaczęła go przeglądać. Zatrzymała się na

**dzisiejszej dacie.**

**–Dlaczego tu jest nazwisko Ashera? – zapytała. Minty zwiesił głowę.**

**–Mówił, że od jakiegoś czasu wszystko o nas wiesz. – Tak, ale... –Jeszcze raz spojrzała na nazwisko. Zrozumiała, co widzi, i to było jak uderzenie obuchem.**

**–To ten kalendarz? To twój kalendarz do tych spraw? Minty pokiwał głową, nie patrząc na nią.**

**–Kiedy pojawiło się to nazwisko? – spytała.**

**–Jeszcze godzinę temu go nie było.**

**–Ja pierdziele – rzuciła, siadając na stolku obok Minty'ego.**

**–Tak – powiedział. Objął ją jedną ręką.**

**Dzięki temu, że Charlie ciągnął za nogi rysiwatego zwierzaka (który wydawał dość efektowne krzyki, jak na kogoś posługującego się eksperymentalnymi strunami głosowymi), a wiewiórkołudzie cała kupa opadli boston teriera, w końcu udało się wyciągnąć porucznika ze szczek ucielesnienia furii o owadzich oczach. Nie licząc drobnych uszkodzeń munduru gwardzisty, ofierze nic się nie stało.**

**–Lezec, Bummer – powiedział Charlie. – Wyluzuj.**

**Nie wiedział, czy "wyluzuj" jest uznawana psia komenda, ale powinno nią być. Bummer parsknął i cofnął się od tłumu wiewiórkołudzi.**

**–To nie jeden z nas – powiedział rysiwaty, wskazując Bummera. – To nie jeden z nas.**

**–Zamknij się – rzucił Charlie. Wyciągnął z kieszeni pasek suszonej wołowiny, którą wziął w charakterze racji żywnościowych, oderwał kawalek i podał Bummerowi. – Chodź, piesku. Obiecałem Cesarzowi, że cie odnajde.**

**Bummer podszedł do Charliego i wziął od niego wołowinę, po czym odwrócił się pyskiem w stronę wiewiórkołudzi, którzy wydawali klekoczące dźwięki i prezentowali bron.**

**–To nie jeden z nas. To nie jeden z nas – powtarzał Rysio.**

**–Przeszan – powiedział Charlie. – Nie nakłonisz tłumu do skandowania, bo tylko ty masz tu aparat mowy.**

**–A, tak. – Rysio zamilkł. – Ale to nie jest jeden z nas – dodał na swoją obronę.**

**–Już jest – odparł Charlie. Po czym zwrócił się do Bummera: – Możesz nas zaprowadzić do**



## Zaswiatow?

Pies spojrzal na niego tak, jakby dokladnie wiedzial, o co sie go prosi, ale potrzebował drugiej polowy tego paska suszonej wolowiny, jesli miał znalezc siły na wypelnienie zadania. Charlie dal mu mieso i Bummer natychmiast wskoczył do polozonej wyzej rury o metrowym przekroju, zatrzymal sie, zaszczekal i ruszył w jej glab.

–Za nim – rozkazal Charlie.

Minela godzina marszu za Bummerem przez kanaly, rury ustapily miejsca coraz bardziej sie rozszerzajacym tunelom. Wkrotce szli juz przez jaskinie o wysokich zlepieniach, z ktorych zwieszaly sie stalaktyty, swiecace niklymi kolorami i oswietlajace im droge niklym, jednostajnym blaskiem. Charlie wystarczajaco wiele czytal geologii okolicy, by wiedziec, ze takie jaskinie nie sa San Francisco czymś normalnym. Domyslal sie, ze cala ekipa znalazla sie gdzies pod dzielnica finansowa, wzniesiona glownie na terenie, ktory zasypiano w czasach Goraczki Zlota, wiec nie powinno tu byc nic tak starego, jak te jaskinie.

Bummer podazal naprzod, bez wahania wybierajac to ya, to prawa odnoge, az nagle wyszli z tunelu do wielkiej groty. Byla tak ogromna, ze po prostu pochlaniala swiatlo arki i lampy czolowej Charliego, ale sklepienie, znajdujace sie ponad sto metrow nad nimi, bylo pokryte swiecacyimi laktytami, ktore odbijaly sie czerwienia, zielenia i fio-em w gladkiej, czarnej tafli jeziora. Na srodku jeziora,;ies dwiescie metrow od brzegu, widnial wielki, czarny jlowiec o wysokich masztach niczym hiszpanski galeon, oknach kabin w tylnej czesci kadluba pulsowal czerwo-blask, a poklad oswietlala pojedyncza lampa. Charlie szal o tym, ze podczas Goraczki Zlota zakopano cale statki, nie mialy one jednak prawa zachowac sie w takim nie. Te jaskinie byly skutkiem wzrostu potegi Zaswiatow. Charlie zdal sobie sprawe, co sie bedzie dzialo w miescie, jesli Zaswiaty przejmą władze. Bummer zaszczekal i po grocie ponioslo sie donosne echo, posylajac w powietrze chmare nietoperzy. Charlie dostrzegl ruch na pokladzie – czarno-niebieska sylwetke kobiety – i juz wiedzial, ze Bummer doprowadzil ich we wlasciwe miejsce. Podal latarke Rysiowi i odlozyl na chwile swoj miecz w lasce. Wyciagnal pistolet Desert Eagle z kabury, sprawdzil, czy w komorze jest naboje, po czym schowal bron z powrotem.

–Bedzie nam potrzebna lodz – powiedzial do Rysia. – Poszukajcie czegos, z czego mozna by zrobic tratwe.

Rysio ruszył wzdłuż brzegu, oswietlajac latarka skaly w poszukiwaniu czegos przydatnego. Bummer zawarczal i potrzasnal lbem, jakby miał pasozyty w uszach albo jakby chcial pokazac, ze Charlie oszalal, po czym wbiegl do jeziora. Piecdziesiat metrow od brzegu woda wciaz nie zakrywala mu klebu.

Charlie popatrzył na statek i stwierdzil, ze kadlub zdecydowanie za bardzo wystaje nad powierzchnie – ze statek tak naprawde spoczywa na dnie w wodzie o glebokosci pietnastu centymetrow.

**–Ee, Rysiu – powiedział. – Darujmy sobie lodz. Idziemy pieszo. Macie zachowac cisze.**

**Wyciagnal miecz i wszedl do wody. W miare, jak zblizali sie do statku, widzieli coraz wiecej szczegolow jego konstrukcji. Relingi wykonano ze zwiazanych kosci udowych, a podwiezie z ludzkich miednic. Lampa na pokladzie okazala sie ludzka czaszka. Charlie nie mial pewnosci, w jaki sposob ujawnia sie jego zdolnosci jako Luminatusa, ale gdy dotarli do kadluba, zapragnal, by stalo sie to jak najszybciej i by do tych zdolnosci nalezala lewitacja.**

**–No i du\_a – powiedział Rysio, patrzac w gore na krzywizne czarnego kadluba.**

**–Wcale nie – odparl Charlie. – Po prostu ktos musi sie tam wspiac i rzucic nam line.**

**Wśród wiewiorkoludzi wybuchlo male zamieszanie, a potem z tlumu wystapilo jedno stworzenie – wygladalo jak dziewietnastowieczny francuski dandys z glowa agamy, jego ubior – zwlaszcza zabor i plaszcz – skojarzyl sie Charliemu z portretami Charlesa Baudelaire'a, ktore kiedys pokazala mu Lily.**

**–Dasz rade? – spytaj go Charlie.**

**Tamten wyciagnal rece i wyjal z wody jedna noge. Lapy wiewiorki. Charlie podniosl go najwyzej, jak mogl, a zwierzak uczepil sie czarnego drewna kadluba, po czym pomknal po burcie, mijajac otwory strzelnicze.**

**Minuty plynely i Charlie uwaznie nasluchiwal najlzejszego dzwieku, ktory swiadczylby o tym, co sie dzieje na gorze. Kiedy tuz obok plusnela gruba lina, wyskoczyl na pol metra w powietrze, z trudem powstrzymujac glosny wrzask radosci.**

**–Ladnie – powiedział Rysio.**

**–Ty pierwszy – powiedział Charlie, pociagajac za line, by sprawdzic, czy utrzyma jego ciezar.**

**Czekal, az tamten znajdzie sie o jakis metr nad jego glowa, po czym wsunal laske z mieczem pod wzmacniajacy plat z poliweglanow, ktory mial przypety do plecow, i on rowniez zacyal sie wspinac. Zanim pokonal trzy czwarte drogi na gore, mial wrazenie, ze jego bicepsy eksploduja niczym balony z woda, i zaplatal swoje motocrossowe buty w line, by odpoczac. Bol w miesniach ustapil, zupełnie jakby bogowie dodali mu sil, i gdy podjal wspinaczke, mial wrazenie, ze naprawde zyskuje moc Luminatusa. Dotarlszy do krawedzi burty, chwycil za jedna z kostnych podwiezi i podciagnal sie, po czym usiadl okrakiem na relingu. Odwrocil sie i promien jego lampy czolowej pochwycil czarne lsnienie jej oczu. Trzymala Rysia jak kolbe kukurydzy. Pazurem przebila mu czaszke, unieruchamiajajac szczeke. Swiecaca na czerwono maz splywala jej na twarz i piersi. Odgryzla kolejny kes londynskiego gwardzisty.**

**–Chcesz troche, kochanku? – spytala. – Smakuje jak szynka.**

–Nie powinniśmy im powiedzieć? – spytała Lily.

–Oni nie wiedza o nas. O tym. – Minty uniosł kalendarz. – Tylko Audrey.

–Wiec nie powinniśmy powiedzieć jej?

Minty spojrzal na Audrey, która drzemala na kanapie obok siostry Charliego i jednego z piekielnych ogarow. Wydawała sie bardzo zadowolona.

–Nie. Nie sadze, zeby to teraz czemus posluzylu.

–To dobry facet – powiedziala Lily.

Oderwala papierowy recznik z rolki na blacie i osuszyla czy, nie chcac, by rozmazany tusz znowu zrobil z niej szopa pracza.

–Wiem – odrzekl Minty. – To moj przyjaciel.

W tym momencie poczul, ze cos ciagnie go za nogawke, pojrzal w dol i napotkal wzrok Sophie.

–Ej, masz samochod? – spytała.

–Tak, mam.

–Mozemy sie przejechac?

Charlie bez chwili wahania wyciagnal zza plecow laske z mieczem i wymierzyl cios w nadgarstek Morrigan. puscila Rysia, który z wrzaskiem przebiegl przez poklad wskoczyl na reling po drugiej stronie. Morrigan zlapala laske i probowala ja wyrwac Charlieemu. Pozwolil jej na to uwalniajac miecz, którym nastepnie pchnal ja w splot sloneczny tak mocno, ze piescia trafil Morrigan w zebra, ostrze wyszlo plecami, grzeznac w drewnianym kadlubie alupy ratunkowej, o która sie opierala. Przez ulamek sekundy znalazl sie z nia twarza w twarz.

–Teskniles? – spytała.

Odturlal sie w chwili, gdy sie na niego zamachnela, niosl reke w sama pore, by oslonic twarz przed ciosem, gruby plat z poliweglanow na przedramieniu oslonil reke, która inaczej odcielelyby szpony. Chciala sie na niego rzucic, ale miecz przyszpilil ja do szalupy. Charlie pobiegl przez poklad, jak najdalej od niej, podczas gdy Morrigan krzyczala w bezsilnej wscieklosci. Ujrzal swiatlo. Saczylo sie zza drzwi, które musialy prowadzic do kabiny na rufie – znajomy czerwony blask i Charlie zrozumial, ze jego zrodlem na pewno sa naczynia duchowe. Dusza Rachel mogla wciaz tam byc. Znajdowal sie ledwie o krok od wlazu, gdy tuz przed nim wyladowal olbrzymi kruk i rozlozyl skrzydla, jakby chcial zatarasowac przejście do jednej z czesci statku. Charlie cofnal sie i wyciagnal pistolet Desert Eagle. Usilowal powstrzymac drzenie reki, gdy go

odbezpieczal. Ptak zamachnal sie na niego dziobem, lecz mezczyzna odskoczyl. Wtedy dziob skurczyl sie i przeobrazil w twarz kobiety – ale skrzydla i szpony pozostaly ptasie.

–Nowe Mieso – powiedziala Macha. – Co za odwaga, ze tu przyszedles.

Pociagnal za spust. Z lufy trysnela trzydziestocentymetrowa struga ognia, a Charlie poczul sie tak, jakby ktos walnal go mlotkiem w reke. Wydawalo mu sie, ze celuje dokladnie miedzy oczy, ale pocisk przeszedl przez szyje, odrywajac kawal czarnego miesa. Jej glowa przechylila sie, a krucze cialo zamachalo skrzydlami w jego strone. Upadl na plecy, ale znow uniosl pistolet i strzelil jeszcze raz, gdy kruk sie don zbлизal. Tym razem trafil w srodek piersi, odrzucajac Morrigan w tyl, na dach kabiny. Dzwonilo mu w uszach, jakby ktos zamontowal w jego glowie kamertony i tlukl w nie paleczkami perkusyjnymi – przeciagly, bolesny, wysoki dzwiek. Ledwie uslyszal irzyk po swojej lewej stronie, gdy inna Morrigan usiadla na olinowaniu za jego plecami. Przeturlal sie do relingu i uniosl bron w chwili, gdy chlasnela go w twarz. Glowna sile uderzenia przyjal pistolet i oslona przedramienia, ale desert eagle wylecial mu z reki i zaczal sunac po pokladzie.

Charlie skoczyl na rowne nogi i pobiegl za pistoletem. Nemain machnela za nim pazurami i uslyszal syk, gdy jad trafil w poliweglanowa oslone kregoslupa i zaczal palic poklad po obu stronach. Charlie zanurkowal po pistolet, probujac sie przeturlac i wstac z wycelowana bronia, ale zle oszacowal odleglosc i kostny reling wbil mu sie pod kolana. Skoczyla, szponami naprzod, i uderzyla go w piers w momencie, gdy desert eagle wystrzelil. Charlie polecial w tyl nad burta.

Spadl plasko na wode. Powietrze z jego ciala eksplodowalo i poczul sie tak, jakby uderzyl go autobus. Nie mogl oddychac, ale widzial i czul swoje konczyny. Po kilku sekundach rzezenia zlupal w koncu oddech.

–Jak tam idzie? – spytal Rysio, mniej wiecej pol metra od jego glowy.

–Dobrze – odparl Charlie. – Uciekaja w poplochu. Rysio mial spora dziure wygryziona w torsie i mundur w strzepach, ale poza tym wydawalo sie, ze jest w niezlym nastroju. Trzymal w ramionach desert eagle, niczym najdrozsze dziecko.

–Mysle, ze bedzie ci \_otrzebny. Ostatni strzal byl celny. Oderwales jej niemal \_olowe czaszki.

–To dobrze – powiedzial Charlie.

Wciaz mial trudnosc z oddychaniem. Czul w piersiach palacy bol i pomyslal, ze moze zlamal zebro. Usiadl i popatrzyll na ochraniacz na piersi. Szpony Morrigan przesunely sie po nim, ale widzial jedno miejsce, gdzie pazur wniknal pod oslone i trafil w piers. Nie krwawil zbyt mocno, mimo to bolalo jak diabli.

–Ciagle atakuja? – zapytal Charlie.

–Nie te dwie, które \_ostrzeliles. Nie wiemy, gdzie się \_odziała ta, w którą wbiles miecz.

–Zastanawiam się, czy dam radę drugi raz wejść po tej linii.

–To nie \_roblem – odparł Rysio.

Patrzył na sklepienie grotty, pod którym chmara piskliwych nietoperzy krążyła spiralnie wokół maszty. Nad nimi jednak łopotały skrzydła zupełnie innego stworzenia. Charlie wziął pistolet od Rysia i dzwignął się na nogi, omal nie upadł, po czym złapał równowagę i cofnął się od kadłuba. Wokół siebie miał wiewiorkoludzi. Bummer rozpoczął kanonadę gniewnych szczeknięć. Demon uderzył w wodę jakieś dziesięć metrów od niego. Charlie poczuł, że w gardle wzbiera mu krzyk, ale zdołał go powstrzymać. Stwor miał trzy metry wzrostu i skrzydła o dziesięciometrowej rozpiętości, leć o rozmiarach beczki piwa, kształtem przypominający głowę byka, nie licząc szczek – drapieżnych, pełnych zębów, wyglądających jak połączenie rekina i lwa. Oczy świeciły mu na zielono.

–Złodziej dusz!!! – ryknął. Złożył skrzydła za grzbietem i ruszył w stronę Charliego.

–To chyba ty, co? – odparł Charlie, który nadal ledwo rżał. – Ja jestem Luminatusem.

Demon zatrzymał się. Charlie wykorzystał te chwile wahania, by unieść pistolet i strzelić. Pocisk trafił potwora w ramię i obroczył go w bok. Demon odwrócił się z powrotem i zaryczał.

Charlie poczuł jego cuchnący zgnitym mięsem oddech, cofnął się i strzelił jeszcze raz, choć ręka zdrewniała mu już i kolejnych odrzutów wielkiej broni. Trafiony pociskiem demon cofnął się o krok. W gorze rozległy się piskliwe krzyki radości. Charlie strzelał raz po raz. Kule wyrywały krater w piersi demona, który się zachwiał, a potem opadł na kolana, mężczyzna wycelował i znowu nacisnął spust. Rozległ się cichy trzask. Cofnął się jeszcze o kilka kroków i usiłował sobie przypomnieć, co mówił mu Minty o zmianie magazynka. Zdołał nacisnąć przycisk, uwalniając pusty magazynek, który pluskiem wpadł do wody. Potem odpiął jedną z kieszeni pod pachą, by wyjąć dodatkowy magazynek, który jednak Heciał mu z ręki i też znalazł się w jeziorze. Kilko wiewiorkoludzi z Rysiem na czele pognęło naprzód i zaczęło nurkować, szukając magazynka. Demon znowu ryknął, rozpostarł skrzydła, machnął mi potężnie i stanął na nogach.

Charlie wydobyl drugi magazynek i drżącymi rękami zdołał wsunąć go w pistolet. Potwór przykucnął, jakby się przeżył do skoku. Mężczyzna przesunął naboje do komory i niemal jednocześnie nacisnął spust. Demon upadł, gdy wielki pocisk oderwał mu kawał uda.

–Dobra robota, Mieso! – dobiegł z góry kobiecy głos.

Charlie na chwilę podniósł wzrok, ale potem znowu popatrzył na byczogłowego demona, który wstał już z powrotem. Wolną dłoń przytrzymał nadgarstek i strzelił, i jeszcze raz, idąc naprzód i pakując kule w piers potwora. Przy każdym wystrzale czuł, że odrzut rozwali mu nadgarstek, aż w końcu iglica trzasnęła w pustej komorze. Zatrzymał się, zaledwie półtora

metra od demona, gdy ten runał, padając pyskiem w wodę. Charlie wypuścił bron z ręki i opadł na kolana. Wydało mu się, że grota przed nim faluje.

Siostry Morrigan wylądowały po jego trzech stronach. Każda sciskała w szponach naczynie duchowe i pocierała nim swoje rany.

–To było świetne, kochanku – powiedziała ta, która stała najbliżej padłego demona.

Charlie rozpoznał w niej znajomą z zaulka. Rana kluta, która zadał jej mieczem w brzuch, goiła się na jego oczach. Morrigan kopnęła ciało byczogłowego demona.

–Widzisz, mówiłam, że pistolety są do dupy.

–Naprawdę niezłe się spisałeś, Mieso – powiedziała ta z prawej. Szyja wciąż jej się zrastała. To właśnie ją posłał na dach kabiny.

–Wiecie co? Odradzacie się z wdziękiem kojota z kreskówek – powiedział Charlie. Uśmiechnął się, czując się jak pijany, jakby patrzył na to wszystko z daleka.

–Jaki on słodki – powiedziała harpia, z którą miał przy-:mnos'c w zaulku owego feralnego wieczoru. – Mogłabym go zjeść.

–Dla mnie bomba – odparła ta po lewej, której głowa była wciąż lekko przechylona.

Charlie zobaczył ciekący z jej pazurów jad, po czym zerknął na rane pod swoim ochraniaczem klatki piersiowej.

–Tak, skarbie – powiedziała pierwsza. – Obawiam się, że Nemain cie dziabnęła. Niezły z ciebie wojownik, skoro wytrzymałeś tak długo.

–Jestem Luminatusem – odrzekł Charlie.

Morrigan wybuchły śmiechem, a ta, która stała przed im, wykonała kilka tanecznych kroków. W tej samej chwili byczogłowy demon podniósł łeb z wody.

–To ja jestem Luminatusem – powiedział. Między zębami sypłała mu czarna maź i woda.

Morrigan przestała tańczyć, złapała demona za jeden róg i odciągnęła mu głowę w tył.

–Myślisz? – spytała. Potem zatopiła szpony w jego krtani. Obrocił się, wyrzucając ją na sześć metrów w powietrze. Uderzył o kadłub statku.

Morrigan, która była za Charliem, poklepała go po głowie.

–Zaraz do ciebie wrócimy, mój drogi. Jestem Macha, to my jesteśmy Luminatusem, albo zaraz będziemy.

Morrigan rzuciły się na byczogłowego demona, ciosani szponów wyrrywając z jego ciała wielkie kawały mięsa i kości. Dwie wzbily się w powietrze i atakowały stwora, który wymachiwał rękami, czasami nawet trafiając. Był jednak zbyt osłabiony postrzałami, by skutecznie walczyć. Po dwóch minutach było po wszystkim, a jego ciało zostało odarte z większej części mięsa. Macha ścisnęła jego rogi, jakby trzymała kierownicę motocykla, choć demon dalej klapał zębami, chwytając tylko powietrze.

–Twoja kolej, złodzieju dusz – powiedziała Macha.

–Tak, twoja – potwierdziła Nemain, obnażając pazury. Macha trzymała głowę demona przed sobą, kierując ją w stronę Charliego. Mężczyzna cofnął się, gdy szczęki klapnęły tuż przy jego twarzy.

–Chwileczkę – powiedziała Babd.

Dwie pozostałe zatrzymały się i odwróciły do siostry, stojącej nad tym, co zostało z ciała stwora.

–Nie udało nam się dokończyć.

Zdążyła zrobić krok, gdy coś uderzyło w nią niczym kula ciemności, odpychając ją gwałtownie. Charlie spojrzał na przybliżającą się głowę demona, a potem rozległo się cmoknięcie i Macha poleciała w bok, jakby miała przymocowaną do kostek line bungee.

Znowu rozległy się wrzaski i Charlie zobaczył Morrigan, którymi rzucano w ciemnościach na wszystkie strony. Rozlegały się pluski i zapanował chaos – mężczyzna nie nadązał za wydarzeniami. Nie mógł skupić wzroku. Spojrzał na Nemain, która teraz ruszyła na niego z ociekającymi jadem szponami. Katem oka dostrzegł małą raczkę i głowa Morrigan rozpadła się na tysiąc gwiazd, a przynajmniej tak to wyglądało.

Popatrzył w stronę, z której pojawiła się raczka.

–Czesc, tato – powiedziała Sophie.

–Czesc, malenka.

Teraz już rozumiał, co się dzieje – piekielne ogary rzuciły się na Morrigan. Jedna z nich wyrwała się, wyskoczyła gore i rozłożyła skrzydła, po czym z wrzaskiem zanurkowała ku Sophie.

Mała uniosła raczkę, jakby robiła "pa, pa", i harpia zmieniła się w deszcz czarnej mazi. Dusze, tysiące dusz, które pochłonęła przez tysiąclecia, wzbily się w powietrze. Czerwone światelka krążyły po grocie i wydawało się, że właśnie trwa w niej pokaz fajerwerków.

–Nie powinnas tu przychodzić, skarbie – powiedział harlie.

–Wlasnie, ze powinnam – odparla mala. – Musialam to sprawic, odeslac je wszystkie. Jestem Luminatusem.

–Ty...

–Tak – powiedziala obojetnie tym glosem Pana Calej Smierci i Ciemnosci, ktory u szesciolatki potrafi byc taki razniacy.

Piekielne ogary staly nad ostatnia Morrigan i na oczach Charliego rozrywaly ja na strzepy.

–Nie, skarbie – powiedzial Charlie.

Sophie uniosla raczke i Babd wyparowala jak tamte, uwolnione dusze wystrzelily niczym iskry z ogniska.

–Chodźmy do domu, tato – zaproponowala Sophie.

–Nie – powiedzial, niemal nie mogac utrzymac glowy gorze. – Musimy cos odzyskac.

Zachwial sie w przod i zaraz jeden z piekielnych ogarow znalazl sie przed nim, by go podtrzymac. Cala armia wiewiorkoludzi wychodzila sprzed dziobu statku. Kazdy niosl naczynie duchowe zabrane z kabiny.

–To? – spytala Sophie.

Wziela plyte kompaktowa od Rysia i podala ja Charliemu. Obrocil ja w dloniach i przycisnal do piersi.

–Wiesz, co to jest, kochanie?

–Tak. Chodźmy do domu, tato.

Charlie upadl na grzbiet Alvina. Sophie i wiewiorkolu-dzie podtrzymywali go, dopoki nie wyszli z Zaswiatow. Minty Fresh zanosl go do samochodu. Lekarz przyszedl i poszedl. Gdy Charlie odzyskal zmysly, lezal w swoim lozku, a Audrey ocierala mu czolo wilgotna sciereczka.

–Czesc – powiedzial.

–Czesc – odrzekla.

–Sophie ci powiedziala? – Tak.

–One tak szybko rosna – powiedzial.

–Tak. – Audrey usmiechnela sie.



**–Znalazłem to. – Siegnął pod ochroniacz na piersi i wyciągnął płytę Sarah McLachlan, która pulsowała czerwonym światłem.**

**Audrey skinęła głową i wyciągnęła rękę po płytę.**

**–Połóżmy ją tutaj, żebyś miał ją na oku. – Gdy tylko jej palce dotknęły plastikowego pudełka, blask zgasł. Audrey zadrżała.**

**–Ojej – powiedziała.**

**–Audrey. – Charlie próbował usiąść, ale ból znowu ściągnął go na łóżko. – Uch. Audrey, co się stało? Zabrały ją? Zabrały jej duszę?**

**Popatrzyła na swoją klatkę piersiową, a potem znowu na niego. Lzy napłynęły jej do oczu.**

**–Nie, Charlie, to ja – powiedziała.**

**–Ale dotykałaś jej już wcześniej, wtedy w szpitalu. Dlaczego wtedy nic się nie stało?**

**–Widocznie nie byłem gotowa.**

**Charlie wziął ją za rękę i ścisnął, a potem ścisnął jeszcze raz, znacznie mocniej, niż chciał, gdy przeszła go fala bólu.**

**–Cholera – jęknął. Zaczął ciężko dyszeć, szybko, wyglądało to jak hiperwentylacja.**

**–Myślałem, że to wszystko mrok, Audrey. Wszystkie te duchowe sprawy budziły lek. Dzięki tobie przejrzałem na oczy.**

**–Ciesz się – powiedziała.**

**–Może powinienem przespacerować się z poetką, żeby zrozumieć, jak sprowadzać świat do słów.**

**–Tak. Myślę, że masz duszę poety, Charlie.**

**–Powinienem się też kochać z malarką, żeby poczuć pociągnięcia pędzla, przejąć jej barwy, faktury i naprawdę widzieć.**

**–Tak – powiedziała Audrey, przeczesując mu włosy palcami. – Masz taką wspaniałą wyobraźnię.**

**–Myślę – zaczął Charlie. Jego głos stawał się coraz wyższy, a oddech coraz cięższy. – Myślę, że powinienem iść do łóżka z uczoną, żeby zrozumieć mechanikę świata, poczuć ją w głębi swojego ciała.**

**–Tak, wtedy czułbyś świat – odparła Audrey.**

**–Z dużymi cycami – dodał, z bólu wyginając plecy w łuk.**

**–Oczywiście, moj mały – powiedziała Audrey.**

**–Kocham cie, Audrey.**

**–Wiem, Charlie. Ja też cie kocham.**

**A potem Charlie Asher, mąż Rachel, brat Jane, ojciec Sophie (Luminatusa, władającego Śmiercią), ukochany Audrey, Handlarz Śmierci i dostawca wysokiej jakości używanych ubrań i drobiazgów, wydał ostatnie tchnienie i umarł.**

**Audrey uniosła wzrok i zobaczyła wchodząca do pokoju Sophie.**

**–On odszedł, Sophie.**

**Mała położyła dłoń na czole Charliego.**

**–Pa, tato – powiedziała.**

## **Epilog**

### **DZIEWCZYNY**

**W Mieście Dwoch Mostów wszystko się ułożyło i wszyscy mroczni bogowie, którzy powstawali, by zapanować nad światem, przypomnieli sobie, gdzie jest ich miejsce, po czym wrócili w głąb Zaskwiatów. Jane i Cassie wzięły ślub cywilny, który w ciągu kolejnych lat był kilkakrotnie unieważniany i sankcjonowany, mimo to były szczęśliwe, a w ich domu zawsze rozbrzmiewał śmiech.**

**Sophie zamieszkała z ciociami Jane i Cassandra. Wyrosła na wysoką i piękną kobietę, a w końcu zajęła miejsce należne Luminatusowi, na razie jednak chodziła do szkoły, bawiła się z przyjaciółkami i miło spędzała czas, czekając, aż przyjdzie po nią tata.**

### **LUDZIE ZE SKLEPOW**

**Choć Minty Fresh wierzył w porządek, że każda chwila jest jak kryzys, wiara ta miała charakter raczej akademicki, do czasu gdy zaczął się spotykać z Lily Severo i gdy nabrała charakteru zdecydowanie praktycznego. Jego życie zyskało kilka punktów w skali "ciekawe" do tego stopnia, że kariera Handlarza Śmierci stała się najbardziej prozaicznym z jego epizodów. Stali się znani w mieście, wielkolud w pastelowej garniturze w towarzystwie niskiej, mrocznej kucharki. Ale na dobre zauważono ich wtedy, gdy otworzyli Pizzerię Jazzową na North Beach, w miejscu gdzie kiedyś mieścił się Komis Ashera. Jeśli chodzi o Raya Macy'ego, inspektor Rivera poznał go z właścicielką lombardu z Fillmore, która nazywała się Carrie Lang. Między nimi niemal natychmiast zaiskrzyło – łączyło ich zamiłowanie do filmów kryminalnych i**

broni krotkiej, a takze gleboka nieufnosc wobec wiekszej czesci ludzkosci. Ray byl bardzo zakochany i zgodnie ze swoja natura samca beta byl jej wierny jak pies, choc w duchu zawsze podejrzewal, ze jest seryjna zabojczynia.

## RIVERA

Inspektor Alphonse Rivera przez wiekszosc zycia probowal zmienic swoje zycie. Pracowal w kilku roznych komisariatach, na kilku roznych stanowiskach, i chociaz byl bardzo dobrym glina, zawsze najwyrazniej probowal sie stamtad wyrwac. Po sprawie z Handlarzami Smierci i dziwnych, zwiazanych z tym wydarzeniach, byl po prostu wyczerpany. Na krotki czas odszedl ze sluzby i otworzyl antykwariat z rzadkimi ksiazkami. Czul, ze byl to chyba jedyny okres w jego syciu, gdy byl naprawde szczesliwy. Teraz, w wieku czterdziestu jeden lat, mogl sprobowac znowu: przejsc na wczesniejsza emeryture, czytac i zyc w spokojnym swiecie ksiazek. Dlatego ucieszyl sie, gdy dwa tygodnie po smierci Charliego Ashera znalazl w skrzynce na listy gruba koperte, w ktorej mogla byc jedynie ksiazka. To znak, myslal, siadaac przy kuchennym stole i otwierajac przesylnke. Rzeczywiscie, byla to ksiazka – wygladala jak bardzo rzadka i dziwna tcsiazka dla dzieci. Otworzyl ja na pierwszym rozdziale., „A satem jestes Smiercia. Oto, czego ci potrzeba”.

## CESARZ

Cesarz z radoscia powital powrot zolnierzy i do konca swoich dni sprawowal rzady nad San Francisco. Za doprowadzenie Charliego do Zaswiatow i niezmiernia odwage Bummer otrzymal od Luminatusa sile i wytrzymalosc piekielnego ogara. Cesarz nie umial wyjasnic, jakim cudem jego nagle czarny towarzysz – ktory nawet przemokniety nie wazyl wiecej niz trzy kilogramy – potrafi przescignac geparda i przegryzc opony w toyocie.

## AUDREY

Audrey dalej pracowala w osrodku buddyjskim i szyla costiumy dla miejscowej grupy teatralnej, ale podjela tez ochotnicza prace w hospicjum, gdzie pomagala ludziom przejsc na druga strone, co wczesniej przez tyle lat czynila w Tybecie. Hospicjum jednak dawalo jej tez dostep do cial, z ktorych niedawno ulecialy dusze. Korzystala z tej okazji, by wprowadzic wiewiorkoludzi z powrotem w ludzki cykl narodzin i odrodzenia. Przez jakis czas w San Francisco notowano wiele przypadkow pacjentow, ktorzy odzyskiwali zdrowie mimo smiertelnych chorob, Audrey bowiem praktykowala phowe nieumierania.

Nie do konca odpuscila sobie tworzenie wiewiorkoludzi, bo zdobycie tej umiejtnosci kosztowalo wiele czasu i pracy, a do tego nadal moglo przynoscic duza satysfakcje. A przynajmniej odczuwala ja, patrzac na swoje najnowsze arcydzieło w pokoju medytacji w Osrodku Buddyjskim Trzy Klejnoty. Mial pysk krokodyla – szescdziesiat osiem ostrych zebow i oczy, ktore blyszczaly jak czarne szklane paciorki. Jego rece byly lapami drapiezczy, zbrojnymi w zakrzywione pazury, pokryte skorupa zakrzepnietej krwi. Palce nog, polaczone blona, jak u

wodnego ptaka, były zakończone pazurami do wygrzebywania zdobyczy z błota. Miał na sobie fioletowa szata z jedwabiu, obszyta sobolowym futrem, a do tego dopasowany kapelusz czarodzieja z gwiazda ze złotej nici.

–To tylko na jakiś czas, dopóki kogoś nie znajdziemy – mówiła. – Ale słowo daje, wyglądasz wspaniale.

–Wcale nie. Mam tylko trzydziści pięć centymetrow wzrostu.

–Tak, ale dołożyłam ci dwudziestopięciocentymetrowa pyte.

Rozsunął szatę i spojrzał w dół.

–No, proszę – powiedział Charlie. – Ładna.

## **Nota od Autora i podziękowania**

Jak w wypadku każdej innej książki, mam dług wdzięczności wobec tych, którzy przyczynili się do jej zainspirowania, jak i wobec tych, którzy bezpośrednio pomogli w wyszukiwaniu informacji i pracy nad tekstem. Za inspiracje dziękuję z głębi serca krewnym i przyjaciółom Patricii Moss, którzy dzielili się ze mną swoimi myślami i uczuciami, gdy Pat odchodziła. Dziękuję też osobom pracującym w hospicjum na wszelkich stanowiskach, dziennie poświęcającym czas i serce umierającym i ich rodzinom. Miasto San Francisco zawsze stanowi inspirację i jestem wdzięczny mieszkańcom, że pozwolili mi lazić po swoich dzielnicach i byli wyrozumiali wobec moich kpin. Choć starałem się oddać atmosferę dzielnic San Francisco, doskonale wiem, że konkretne miejsca przedstawione w książce, laszcha sklep Charliego i Osrodek Buddyjski Trzy Klejnoty, nie znajdują się pod wskazanymi adresami. Jeśli uznasz, że koniecznie musicie do mnie napisać i poinformować mnie o tych niescisłościach, poczuje się zmuszony zwrócić uwagę, że na North Beach nie znajdziecie też ogromnych, wszytkozernych piekielnych ogarów. Nie wchodziłem do kanałów, by sprawdzić szczegóły rozgrywających się tam scen, głównie dlatego, że to KANALY! San Francisco należy do nadbrzeżnych miast, w których kanały burzowe i sciekowe są połączone w jeden system – całkowicie zignorowałem ow fakt podczas opisywania tego podziemnego świata. Jeśli naprawdę bardzo was interesuje, jak jest w kanałach, no to – wiecie – uuuch. Po prostu uwierzcie mi na słowo, że to wszystko mogło się tam zdarzyć, i nie psujcie sobie lektury przesadną dbaloscia o szczegóły. W tej książce występuje wiewiorka w sukni balowej, na miłość boską, więc odpuście sobie kwestie kanałów. Jeśli chodzi o inne merytoryczne faux pas: nie wiem, czy naprawdę można obciąć dziecku głowę za pomocą elektrycznych szyb cadillaca eldorado z 1957 roku – uznałem po prostu, że dla książki będzie to fajne. Proszę, nie sprawdzajcie tego w domu. Szczerze dziękuję Monique Motil – wiewiorkoludzi wymyśliłem, zainspirowany jej zdumiewającymi dziełami. Na jej rzeźby, które sama nazywa Stworzeniami Krawieckimi, natrafiłem w Paxton Gate, galerii w dzielnicy Mission w San Francisco, i byłem tak oczarowany ich makabryczną dziwacznością, że napisałem do Monique i zapytałem, czy mogę je ożywić w Brudnej robocie. Uprzejmie mi na to zezwoliła. Możecie obejrzeć sztuki Monique pod adresem

<http://www.moniquemotil.com/sartcre.html>. Mozecie tez poczytac o jej pobocznej karierze piosenkarki w barze dla zombie (nie zartuje), a takze o jej pasji, polegajacej na przydawaniu zombie zmyslowej powagi, ktora wampiry moga sie zachwycac na [zombiepinups.com](http://zombiepinups.com). Dziekuje Betsy Aubrey za jej tekst "Meczczyn lubie takich, jaka lubie herbate – slabych i zielonych". Gdy to uslyszalem, musialem umiescic to w ksiazce. (I dzieki dla Sue Nash, ktorej herbata byla rzeczywiscie slaba i zielona). Za przeslanie mi ratunkowej paczki ksiazek o buddyzmie tybetanskim i phowie w czasie, gdy bylem pod pistoletem i skonczyly mi sie zrodla, dziekuje Rodowi Meade'owi Sperry'emu z Wisdom Press. Za dokarmianie mnie na podziekowania zasluzyl moj agent, Nick Ellison, a takze Abby Koons i Jennifer Cayea z Nicholas Ellison Inc. Dziekuje tez swojej genialnej redaktorce, Jennifer Brehl, ktora sprawia, ze wygladam madrze, a nie czuje sie glupio. Wielkie dzieki dla nastepujacych osob: Michaela Morrisona, Lisy Gallagher, Mike'a Spradlina, Jacka Womacka, Leslie Cohen, Dee Dee DeBartolo i Debbie Stier – wszyscy podtrzymywali we mnie wiare i pokazywali ksiazki Wam, Czytelnikom. I jak zwykle dziekuje Charlee Rodgers za jej tolerancje i wyrozumialosc, gdy pisalem te ksiazke, a takze nadzwyczajna odwage i wspolczucie podczas opieki nad obiema naszymi umierajacymi matkami – te wydarzenia pomogly ukszaltowac dusze tej opowiesci.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2009-11-30

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)*

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)